

VICTORIA HOLT
CZARNY OPAL

Z angielskiego przełożyła
Beata Długajczyk

Odkrycie w ogrodzie

Gdy pewnego ranka w pierwszych dniach marca Tom Yardley wyszedł do ogrodu obejrzeć świeżo przycięte krzewy róż, dokonał zdumiewającego odkrycia.

Tom był ogrodnikiem u doktora Marline'a w Commonwood House i - jak lubił mawiać o sobie - nie zwykł się wylegiwać. Najczęściej zrywał się o świcie i szedł prosto do ogrodu, który stanowił główny przedmiot jego zainteresowań.

Z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale przecież nie było to złudzenie. Najpierw usłyszał płacz, więc zajrzał pod krzak azalii - ten sam, który sprawiał mu tyle kłopotów w ubiegłym roku - i zobaczył ni mniej, ni więcej, tylko niemowlę owinięte wełnianym szalem.

To ja byłam tym niemowlęciem.

Doktor Marline mieszkał w Commonwood House od czasu, gdy przejął praktykę po starym doktorze Freemanie. Mówiono, że kupił dom za pieniądze żony, a jak wiadomo, ludzie na wsi zawsze znają takie szczegóły o swoich sąsiadach. Dom doktorostwa był bardzo komfortowy, oczywiście dzięki pieniądzom pani Marline, i to właśnie ona w nim rządziła.

W momencie, gdy się pojawiłam, w rodzinie była już trójka dzieci. Adelina miała dziesięć lat i była nieco upośledzona umysłowo. Służba wiele szeptła na jej temat

i z ich plotek dowiedziałam się, że przyczyną takiego stanu był „trudny poród”. Adelina nigdy nie była „całkiem w porządku”, co bardzo martwiło panią Marline, która nie potrafiła się pogodzić z tym, że jakkolwiek jej produkt mógłby być niedoskonały. Toteż narodziny Henry’ego poprzedziła długa przerwa. W czasie gdy zostałam znaleziona w ogrodzie, Henry miał już cztery lata i z nim, podobnie jak z młodszą o dwa lata Estellą, wszystko było w porządku.

Opiekę nad dziećmi sprawowały niania Gilroy i trzynastoletnia Sally Green, świeżo przyjeżdżająca do domu, by się przyuczać przy niani. Obecność Sally okazała się dla mnie szczęśliwym zrzędzeniem losu, gdyż to właśnie ona, kiedy już byłam w takim wieku, że mogłam zrozumieć prawdę, opowiedziała mi, jak domownicy przyjęli moje pojawienie się w Commonwood House.

- Cóż, mogło się i tak zdarzyć, że nikt by cię nie znalazł - mówiła. - Leżałabyś pod tym krzakiem, aż byś umarła, biedactwo. Choć przypuszczam, że usłyszano by cię z daleka. Byłaś prawdziwym krzykaczem. Tom Yardley przyniósł cię do pokoju dziecięcego, a trzymał cię tak, jakby się bał, że go zaraz ugryziesz. Niania jeszcze nie wstała. Za chwilę wyszła ze swojego pokoju, w tej starej, czerwonej flanelowej nocnej koszuli i z papilotami na głowie. Ja też usłyszałam głos Toma i chciałam zobaczyć, co się stało. Tom mówił:

„Proszę popatrzeć, co znalazłem pod krzakiem azalii, tym samym, z którym miałem tyle kłopotów w ubiegłym roku”.

Niania Gilroy wlepiła w niego wzrok.

„Boże, miej nas w swojej opiece - odezwała się wreszcie. - Ładne powitanie dnia, nie ma co mówić”.

Ja od razu cię polubiłam. Kocham dzieci, zwłaszcza gdy są takie małe i nie płaczą się pod nogami.

„Założę się, że to dziecko Cyganów - mówiła dalej niania. - Najpierw włóczą się tutaj, naprzykrzają się porządnym ludziom, a potem znikają, nie dbając o to, że ktoś musi uporządkować bałagan, który zostawili”.

Nie lubiłam, gdy nazywano mnie bałaganem, ale kochałam historię o moim znalezieniu, więc milczałam. Cyganie bi-

wakowali w lasach nieopodal Commonwood House, widocznych z tylnych okien domu, który zawdzięczał swoją nazwę* rozciągającym się od frontu łąkom należącym do gminy.

Sally mówiła dalej, że zdaniem niani Gilroy jedyną sensowną rzeczą byłoby odesłanie mnie do sierocińca albo przytułku, który był najlepszym miejscem dla niemowlęcia porzuconego pod krzakiem.

- Zapanowało prawdziwe zamieszanie - ciągnęła. - Pani Marline też przyszła do dziecięcego pokoju, żeby cię objrzeć. To, co zobaczyła, niezbyt jej się spodobało. Obdarzyła cię tym swoim specjalnym spojrzeniem - wiesz, kąciki ust opuszczone w dół, oczy w pół przymknięte - i powiedziała, że twoje okrycie trzeba natychmiast spalić razem ze śmieciami, a ciebie samą wykapać. Potem zaś należy zawiadomić odpowiednie władze, że mają przyjechać i zabrać cię do sierocińca.

Na to wszystko nadszedł doktor. Przez chwilę przyglądał ci się w milczeniu, jak to on, wreszcie powiedział:

„To dziecko jest głodne. Nianiu, proszę dać jej mleka i umyć ją”.

Na szyi miałaś zawieszoną tę błyskotkę.

- Wiem - wtrąciłam - mój medalion. Nadal go mam. Jest na łańcuszku i wyryto na nim różne znaki.

* * *

- Doktor popatrzył na medalion i powiedział:

„To pismo cygańskie... albo jakieś podobne. Być może dziecko pochodzi od Cyganów”.

Niania była usatysfakcjonowana, gdyż tak właśnie przypuszczała.

„Wiedziałam o tym - mówiła. - Biwakują w naszych lasach. Powinno się im tego zakazać”.

Doktor podniósł rękę... wiesz, tym swoim gestem, jakby dawał do zrozumienia, że nie interesuje go, co niania ma do powiedzenia... ale znasz przecież nianię. Była przekonana o swojej racji i musiała mieć ostatnie słowo. Powiedziała, że im prędzej dziecko znajdzie się w przytułku, tym lepiej, bo tam właśnie jest jego miejsce.

*Common (ang.) - błonia, gminne pastwiska.

A doktor na to:

„Czy niania jest tego pewna?”.

„No przecież - odpowiedziała - to jest najprawdziwsze małe Cyganiątko. Musi być jakiś przytułek czy sierociniec dla tego rodzaju dzieci”.

„Skąd niania może wiedzieć, jakiego ona jest rodzaju?” - mówił doktor chłodnym tonem, jednak niania przekonana o swojej słuszności nie zwracała na to uwagi, tylko perorowała dalej.

„W moim przekonaniu tu nie ma żadnych wątpliwości”.

„W takim razie niania jest bardziej spostrzegawcza niż ja - powiedział doktor - gdyż dla mnie pochodzenie tego dziecka wcale nie jest takie oczywiste”.

W tym momencie zaczęłaś krzyczeć ile sił w płucach, a ja za wszelką cenę usiłowałam cię uciszyć, bo z taką pomarszczoną i zaczerwienioną buzią bynajmniej nie stanowiłaś przyjemnego widoku. Pomyślałam sobie: głuptasie, jeśli nie przestaniesz, to odeślą cię czym prędzej i ciekawa jestem, jak ci się będzie podobało w sierocińcu.

„Myślę, sir... ” - zaczęła niania, ale doktor jej przerwał.

„Niech się niania nie trudzi - powiedział, co było uprzejmą formą zwrócenia jej uwagi, żeby się nie wtrącała. - Pani Marline i ja sami zadecydujemy, co należy zrobić”.

Chcesz powiedzieć, że to ona zadecyduje, pomyślałam sobie. Ty nie będziesz miał zbyt wiele do powiedzenia i tak czy owak skończy się to dla tego maleństwa przytułkiem.

Jak się okazało, myliłam się. Pojęcia nie mam, co skłoniło panią Marline do tego, żeby zmieniła zdanie; przecież przedtem chciała pozbyć się ciebie z domu możliwie jak najprędzej. Do dziś zachodzę w głowę, co wpłynęło na zmianę jej decyzji. Niania oczywiście musiała robić to, co jej kazał doktor, więc umyła cię, ubrała w sukieneczkę po panience Estelli i zaczęłaś wyglądać jak normalne dziecko. Postanowiono, że przez jakiś czas zostaniesz w Commonwood, gdyż ktoś może się o ciebie upomni, co jednak wydawało się mało prawdopodobne, skoro zostawiono cię pod azalią.

Niania nie przestawała powtarzać:

„Doktor jest łagodny, ale to nie on będzie miał ostatnie słowo, tylko pani. Doktor zdaje się nie rozumieć, że dla tego dziecka byłoby lepiej, żeby od razu poszło do przytułku, zanim jeszcze przyzwyczai się do lepszego życia”.

Niania myliła się. Była gotowa przysiąc, że pani pozbędzie się ciebie z domu lada chwila, tymczasem pani z jakiegoś powodu zgodziła się z decyzją doktora.

Tak więc zostałam w Commonwood House i, co dziwniejsze, dzieliłam pokój dziecięcy z dziećmi Marline'ów.

* * *

- Jako niemowlę należałaś bardziej do mnie niż do kogokolwiek innego - opowiadała Sally. - Od razu przylgnęłaś do mnie, a ja bardzo cię polubiłam. Niania ciągle nie mogła zapomnieć, jakim sposobem znalazłaś się w tym domu. Mówiła, że nie należysz do tej sfery i że ona nie potrafi zmusić się do traktowania cię na równi z pozostałymi dziećmi.

Wiedziałam o tym aż nazbyt dobrze. Pani Marline zdawała się nie zwracać na mnie uwagi, choć raz czy dwa razy przyłapałam ją na tym, że mi się przygląda. Widząc mój wzrok, szybko odwracała głowę. Doktor, podczas tych rzadkich okazji, gdy dochodziło do spotkania między nami, zachowywał się powściągliwie. Najczęściej uśmiechał się tylko, a czasami gładził mnie po głowie i pytał: „Wszystko w porządku?”, na co ja przytakiwałam z nerwowym drgnieniem. Wtedy on kiwał głową i szybko się oddalał, jakby chciał jak najprędzej znaleźć się z dala ode mnie.

Adelina zawsze była bardzo miła. Lubiła dzieci i pomagała mi, gdy byłam mała. Trzymała mnie za rękę, gdy uczyłam się chodzić, pokazywała mi obrazki w książkach dla dzieci i zdawała się być nimi zachwycona na równi ze mną.

Estella zachowywała się na przemian raz przyjaźnie, raz wrogo. Czasami zdawała się podzielać uprzedzenia niani, natomiast kiedy indziej traktowała mnie jak siostrę.

Z kolei Henry nie zwracał na mnie uwagi, ale ponieważ on najwyraźniej nigdy nie zaprzętał sobie głowy dziewczętami czy w ogóle kimś młodszym od siebie i nie

robił tu wyjątku nawet dla własnej siostry, więc jego obojętność przynajmniej nie bolała.

Upłynął jakiś czas, zanim zdecydowano, że trzeba mnie przecież jakoś nazwać. Do tej pory mówiono o mnie albo „to dziecko”, albo „to Cyganiątko” (to oczywiście niania). Sally, którą zawsze interesowało znaczenie imion, opowiedziała mi, jak się to odbyło.

- No bo moje imię, Sarah, znaczy „księżniczka” - mówiła. - Ciebie chcieli nazwać Różą. Tom Yardley zawsze opowiadał, jak to wyszedł do ogrodu, żeby popatrzeć na krzewy róż, które przycinał poprzedniego dnia, i znalazł cię pod azalią, dlatego wymyślili, że imię Róża będzie dla ciebie odpowiednie. Ale mnie się ono nie podobało, dla mnie nie byłaś Różą. Tyle jest teraz tych Róż i Róż. Ty byłaś inna. Uważałam, że masz w sobie coś cygańskiego. A kiedyś słyszałam o jednej Cygance, która nazywała się Carmen... nie, Carmel. I czy wiesz, że potem odkryłam, że Carmel to znaczy ogród? No więc, to było dobre imię, prawda? Skoro zostałam znaleziona w ogrodzie, nie mogłaś nazywać się inaczej, jak tylko Carmel. Carmel, powiedziałam wtedy, takie jest jej imię, żadne inne. Nikt nie miał nic przeciwko temu i tak zostałam Carmel. A March wzięło się stąd, że znaleziono cię w marcu*. Zatem mogę powiedzieć, że to ja cię nazwałam.

- Dziękuję ci, Sally - powiedziałam - rzeczywiście Róż jest bardzo dużo.

Tym sposobem ja, Carmel March, dziecko nieznanego pochodzenia, dzięki łaskawości doktora Marline'a zamieszkałam w Commonwood House, gdzie byłam ledwie tolerowana przez jego mniej łaskawą małżonkę i nianię Gilroy.

* * *

Może nie było w tym nic dziwnego, że wyrosłam na prawdziwego natręta, jak mawiała niania. Czułam, że muszę się jakoś bronić i przypominać wszystkim, że nie pozwolę, by traktowano mnie jak kogoś bez znaczenia. Chciałam, by wszyscy zrozumieli, że aczkolwiek moje pochodzenie jest

**March* (ang.) - marzec.

niepewne, nie jestem przecież mniej warta niż inni.

W tamtych dniach mój świat ograniczał się głównie do pokoju dziecięcego, gdzie niania Gilroy czyniła zdecydowane rozgraniczenie między mną a pozostałymi dziećmi. Nie mogłam zaprzeczyć prawdzie, że jestem podrzutkiem, dlatego starałam się udowodnić wszystkim, że pochodzenie owiane tajemnicą jest czymś szczególnym. Wiedziałam, że w domu toleruje się mnie wyłącznie z powodu dziwnego pomysłu, jaki przyszedł do głowy doktorowi w związku z osieroconym dzieckiem i z powodu zupełnie niezrozumiałego braku sprzeciwu ze strony pani Marline. Niejednokrotnie buntowałam się przeciwko takiemu traktowaniu. Powtarzałam sobie, że jestem warta tyle samo co inni, i to czyniło mnie tak stanowczą.

- Cygańska krew - mawiała wtedy niania. - Oni także wpychają się wszędzie ze swoimi klamerkami do bielizny i molestują człowieka, żeby posrebrzył ich dłonie monetą, w zamian za co opowiadają potem bzdury o wielkiej fortunie.

Cyganie bardzo mnie fascynowali i starałam się dowiedzieć o nich jak najwięcej. Odkryłam, że mieszkają w taborach i podróżują z miejsca na miejsce, co wydawało mi się bardzo romantyczne i pełne tajemnicy. I pomyśleć, że najprawdopodobniej jestem jedną z nich.

Panna Mary Harley, córka miejscowego proboszcza, przychodziła do domu dawać nam lekcje. Nerwowa i nieśmiała, o wysokiej, kanciastej sylwetce, z nieporządnymi, rzadkimi włosami zawsze wymykającymi się spod spinek, chyba nie była najlepszą nauczycielką. Przynajmniej tak to oceniam dzisiaj. Ale usposobienie miała łagodne i uprzejme, ja zaś garnęłam się do każdego, kto okazywał mi uczucie, więc bardzo ją polubiłam. Zaangażowano ją, ponieważ pani Marline zdecydowała, że dzieci są jeszcze za małe, by oddać je do szkoły, i że do tego czasu panna Harley w zupełności wystarczy.

Panna Harley też była zadowolona, że może udzielać lekcji. Słyszałam, jak niania Gilroy mówiła do kucharki, pani Barton, że pannie Harley musi zależeć na pieniądzach. Na plebanii się nie przelewało; nic dziwnego, przy takim

domu do utrzymania i trzech córkach, które trzeba wydać za mąż, a które w dodatku nie są wcale ładne. Wszyscy byli zgodni, że rodzina pastora jest biedna jak myszy kościelne i że pieniądze bardzo by im się przydały.

Panna Harley nauczyła mnie czytać i pisać i miałam lekcje razem z Adeliną. Prześcignęłam ją szybko, a godziny spędzane na nauce sprawiały mi ogromną przyjemność.

Ale najważniejszym wspomnieniem z dzieciństwa było moje pierwsze spotkanie z wujem Tobym.

Lubiłam chodzić do ogrodu i często nogi same mnie niosły w poblize owego krzewu azaliowego. Wyobrażałam sobie tamten marcowy poranek, kiedy mnie tu podrzucono. Oczami wyobraźni widziałam niewyraźną sylwetkę zakradającą się do ogrodu i cichutko przemykającą alejkami, w obawie, by jej nie usłyszano. Widziałam też siebie, owiniętą w szal. Ostrożnie, z czułością położono mnie pod krzewem, ale najpierw ona - z pewnością była to ona, bo to przecież kobiety zwykle zajmują się dziećmi - pocałowała mnie czule, gdyż była bardzo nieszczęśliwa, że musi mnie tu zostawić.

Kim była? Niania twierdziła, że Cyganką. Na pewno miała ogromne kolczyki w uszach, a czarne kręcone włosy spływały jej na ramiona.

Kiedy tak stałam pogrążona w myślach, poczułam, że ktoś do mnie podchodzi. Usłyszałam czyjś głos.

- Halo, kim ty jesteś?

Odwrociłam się gwałtownie. Mężczyzna wydawał mi się potężny. Rzeczywiście był bardzo wysoki. Miał jasne włosy - spłowiełe od słońca, jak się dowiedziałam później - a jego skóra miała odcień brązowożółty. Z jego twarzy patrzyły na mnie najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Mężczyzna uśmiechał się.

- Jestem Carmel - powiedziałam z godnością, jaką zawsze starałam się okazywać.

- To znakomicie - odparł. - Od razu wiedziałem, że musisz być kimś niezwykłym. Co tutaj robisz?

- Przyglądam się krzewowi azalii.

- Jest bardzo ładny.

- Sprawił wiele kłopotów Tomowi Yardleyowi.

- Naprawdę? Ale ty chyba go lubisz.

- Właśnie pod nim zostałam znaleziona.
- Ach, więc to było tutaj. Czy często przychodzisz popatrzeć na tę azalię?

Skinęłam głową.

- No tak, to rozumiałe. W końcu nie każdy został znaleziony pod krzewem azalii, prawda?

Ściągnęłam ramiona i roześmiałam się. Zawtórował mi.

- Ile ty masz lat, Carmel?

Wyciągnęłam cztery palce, a on przeliczył je dokładnie.

- Cztery lata? To znakomity wiek. Od jak dawna mieszkasz tutaj?

- Od marca. To dlatego właśnie nazywam się Carmel March.

- A ja jestem wuj Toby.

- Czyj wuj Toby?

- Henry'ego, Estelli, Adeliny, a także twój, jeśli mnie przyjmiesz.

Znowu się roześmiałam. Ilekroć byłam szczęśliwa, potrafiłam śmiać się na zawołanie, a obecność tego człowieka nappełniła mnie radością.

- Zgadzasz się? - pytał.

Przytaknęłam.

- Ale ty nie mieszkasz w naszym domu - powiedziałam.

- Przyjechałem z wizytą i jestem tu od wczorajszego wieczoru.

- Zostaniesz z nami?

- Przez jakiś czas, a potem odjadę.

- Dokąd?

- Na morze. Żyję na morzu.

- Tam przecież żyją ryby - powiedziałam z niedowierzaniem.

- I żeglarze - dokończył.

- Wuj Toby! Wuj Toby! - Estella biegła w naszą stronę. Rzuciła mu się na szyję.

- Halo, halo! - Podniósł ją wysoko i przytrzymał nad głową. Oboje śmiali się serdecznie. Poczulałam ukłucie zażdrości. Potem nadszedł Henry.

- Wuj Toby!

Wuj postawił Estellę na ziemi i zaczął rozmawiać z Henrym, który zasypał go pytaniami.

- Kiedy przyjechałeś? Jak długo zostaniesz? Gdzie byłeś?

- Zaraz wszystko wyjaśnię - mówił wuj. - Przyjechałem wczoraj wieczorem, gdy już leżeliście w łózkach. Zdażyłem usłyszeć o wszystkim, co robiliście podczas mojej nieobecności, i zawarłem znajomość z Carmel.

Estella popatrzyła na mnie raczej szyderczo, ale wuj Toby obdarzył mnie ciepłym uśmiechem.

- Chodźmy do domu - powiedział. - Mam wam mnóstwo do opowiadania i jeszcze więcej do pokazania.

- O tak, o tak! - zaczęła wykrzykiwać Estella.

- No więc chodźmy - zgodził się Henry.

Estella uczepiła się ręki wuja i zaczęła go ciągnąć w stronę domu. Przez chwilę poczułam się osamotniona, ale wuj Toby odwrócił się i wyciągnął rękę.

- Chodź, Carmel - powiedział.

Znowu byłam szczęśliwa.

* * *

W dzieciństwie nigdy nie czułam się szczęśliwsza, niż podczas wizyt wuja Toby'ego. Nie wypadały zbyt często, więc tym bardziej były upragnione. Wuj był bratem pani Marline, co nigdy nie przestawało mnie zdumiewać. Trudno było spotkać dwoje mniej podobnych do siebie ludzi. On nie miał w sobie nic z jej oschłości i sprawiał wrażenie kogoś, komu niestraszne są żadne kłopoty. Cokolwiek miałyby go spotkać, dałby sobie z tym radę. Co dziwniejsze, w jego obecności każdy zaczynał odczuwać to samo. Może to właśnie stanowiło głównie o jego uroku.

Gdy zjawiał się w domu, wszystko od razu stawało się inne. Nawet niania Gilroy łagodniała. Wuj mówił różne rzeczy, których absolutnie nie mógł myśleć serio. Kłamstwa? - zastanawiałam się. Z pewnością było źle, że kłamał, jednak wszystko, co robił, znajdowało usprawiedliwienie w moich oczach.

„Ach nianiu - mówił na przykład - za każdym razem gdy cię widzę, jesteś coraz ładniejsza”.

„Nie wierzę panu, kapitanie Sinclair” - odpowiadała wtedy, ściągając usta. Myślę jednak, że szczerze w to wierzyła.

Nawet pani Marline się zmieniała. Gdy patrzyła na niego, jej twarz łagodniała, a ja nie przestawałam się zdumiewać, jak on mógł być jej bratem. Doktor także był pod jego urokiem i częściej się uśmiechał. Estella i Henry zawsze starali się przebywać jak najbliżej niego. Szczególną czułość wuj okazywał Adelinie, która siedząc przy nim i uśmiechając się, wyglądała wręcz ładnie.

Ja także byłam zachwycona, gdyż dzięki wujowi mogłam uczestniczyć we wszystkim. Sądziłam nawet, że wuj lubi mnie bardziej niż pozostałe dzieci, chociaż może po prostu było to złudzenie, w które bardzo chciałam uwierzyć.

Wuj zwykł mówić: „Chodź tutaj, Carmel”, po czym ujmował moją dłoń i ścisnął mocno. „Trzymaj się blisko wuja Toby'ego”. Tak jakby trzeba mi było o tym mówić!

- To jest mój wuj Toby - przypominała mi Estella a nie twój.

- Powiedział, że jeśli zechcę, będzie też moim wujem, a ja bardzo tego chcę.

- Cyganie nie mają takich wujów jak wuj Toby.

Posmutniałam, gdyż wiedziałam, że to prawda. Nie chciałam jej jednak przyjąć do wiadomości. Wuj nigdy nie robił żadnej różnicy między nami. Właściwie to często celowo podkreślał, że chce być moim wujem.

Ilekróć przyjeżdżał, zawsze spędzał wiele czasu z dziećmi. Estella i Henry mieli lekcje konnej jazdy i wuj powiedział, że ja także powinnam nauczyć się jeździć konno. Posadził mnie na kucyka chodzącego na lonży i prowadzał w kółko po polu. To było dla mnie największe szczęście.

Opowiadał nam najrozmaitsze historie o tym, co widział na morzu i jak jego okręt zawijał do różnych krajów na całym świecie. Mówił o miejscach, o których nigdy przedtem nie słyszałam; o tajemniczym Wschodzie, cudach Egiptu, o barwnych Indiach, o Francji, Włoszech i Hiszpanii.

Biegłam wtedy do globusa w szkolnym pokoju, okręcałam go wokół osi i zasypywałam pannę Harley pytaniami:

- Gdzie są Indie? Gdzie jest Egipt?

Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o tych wspaniałych krainach, odwiedzanych przez jeszcze wspaniałego wuja Toby'ego.

Przywiózł dzieciom prezenty i - co było cudem nad cudami - dla mnie także. Estella na próżno mi powtarzała, że wuj Toby nie jest moim wujem. Właśnie że był moim wujem, i to o wiele bardziej niż ich.

Mnie podarował pudełko z sandałowego drewna z trzema małymi małpkami siedzącymi na wieczku, które jakoby miały mówić: „Nie przyglądaj się diabłu, nie rozmawiaj z diabłem, nie słuchaj diabła”. Gdy zaś podniosło się wieczko, pozytywka grała „Boże, zachowaj królową”. Nigdy przedtem nie miałam czegoś tak ładnego. Nie spuszczałam szkatułki z oka. Idąc spać, kładłam ją koło łóżka, tak że w nocy wystarczyło mi tylko wyciągnąć rękę, by jej dotknąć, a pierwszą rzeczą, jaką robiłam po obudzeniu, było uruchomienie pozytywki.

Podczas wizyt wuja Commonwood House przeistaczał się w prawdziwie zaczarowane miejsce; kiedy wuj wyjeżdżał, dom na powrót stawał się nudny i zwyczajny, choć ożywiał go promień nadziei, że wuj przecież wróci.

Kiedy się z nami żegnał, przywierалаm do niego kurczowo. Zdawał się bardzo to lubić.

- Czy prędko wrócisz? - pytałam nieodmiennie. Jego odpowiedź była zawsze taka sama:

- Tak prędko, jak tylko będę mógł.

- Ale na pewno? Na pewno? - naciskałam stanowczo, wiedząc, że dorośli często obiecują coś, czego wcale nie mają zamiaru dotrzymać.

Ku mojej niewysłowionej radości wuj odpowiadał stanowczo:

- Nic nie utrzymałoby mnie z dala od tego domu, od kąd poznałem pannę Carmel March.

Stałam potem, nasłuchując uderzeń kopyt i turkotu uwożącego go powozu. Gdy już weszliśmy do domu, Estella powiedziała:

- To nie jest twój wuj Toby.

Nic jednak nie byłoby w stanie mnie przekonać, że jest tak, jak twierdzi Estella.

* * *

Pewnego wiosennego dnia, już po odjeździe wuja Toby'ego, Henry przyszedł do domu i oznajmił:

- W lasach są Cyganie. Przechodząc, widziałem ich wozy.

Serce mocniej mi zabiło. Lata całe minęły, odkąd Cyganie przebywali w tej okolicy; nie widziano ich tutaj od czasu moich narodzin.

- Boże, miej nas w swojej opiece - westchnęła niania Gilroy. - Doprawdy, powinno się zrobić z nimi porządek. Do czego to podobne, żeby wciskali się wszędzie i nagabywali porządnych ludzi. - Mówiąc to, spoglądała na mnie, jakby uważała, że to ja jestem odpowiedzialna za ich przybycie.

Odezwałam się:

- Przecież mają prawo. Las jest dla wszystkich i mogą w nim przebywać, jeśli chcą.

- Nie życzę sobie twoich impertynencji, moja panno - powiedziała niania. - Ty możesz mieć swoje powody, aby lubić takich jak oni, natomiast ja i tysiące innych ludzi podobnych do mnie sądzimy inaczej. Nie należy pozwalać, by się tutaj panoszyli i coś należałoby z tym zrobić. Jeśli tylko pojawią się w domu, nie żałuj języka, Sally, i pokaż im, gdzie jest ich miejsce, a ja zrobię to samo.

Sally przezornie nie odpowiedziała, a ja obrzuciłam nianię ponurym spojrzeniem, choć nie było to zbyt mądre i niewiele pomogło.

O Cyganach krążyły najrozmaitsze opowieści. Najczęściej ludzie bali się ich. Mówiono, że będą się włóczyć po okolicy i kraść, a wszystkim, którzy nie kupią ich towarów albo nie dadzą sobie powróżyć, będą przepowiadali najrozmaitsze nieszczęścia.

Wieczorami Cyganie gromadzili się wokół ogniska i śpiewali swoje pieśni. Często słyszałam ich z ogrodu, a ich muzyka wydawała mi się bardzo melodyjna. Niejedna dziewczyna z sąsiedztwa pozwoliła przepowiedzieć sobie przyszłość.

Niania ostrzegała Estellę, aby była ostrożna.

- Cyganie znają różne sztuczki. Uprowadzają dzieci,

morzą je głodem, a potem zmuszają do sprzedawania klamerk do bielizny. Ludzie zawsze litują się nad głodnymi dziećmi.

- To wszystko nieprawda - powiedziałam do Estelli. - Cyganie wcale nie kradną dzieci.

- Nie - zgodziła się Estella - podrzucają je pod krzakiem, a potem inni muszą się nimi zajmować. To jasne, że ty ich bronisz.

Estella jest zazdrosna, powtarzałam sobie. Jest ode mnie dwa lata starsza, tymczasem ja potrafię czytać równie dobrze jak ona. Poza tym wuj Toby bardziej mnie lubi.

Estella zaczęła śpiewać:

*A moja mama zawsze mi mówiła, bym
się z Cyganami w lesie nie bawiła.*

- A dlaczego nie należy się bawić z Cyganami? - dodała jeszcze. - Bo cię porwą, zabiorą ci buty i pończochy, a potem wyślą cię, żebyś sprzedawała klamerki do bielizny.

Odeszłam, starając się przybrać wyniosłą minę, ale dręczył mnie niepokój. Gdyby tylko wuj Toby był tutaj, mogłabym z nim porozmawiać na temat Cyganów.

Tak bardzo byłam nimi zainteresowana, że z trudem przychodziło mi trzymanie się z daleka od ich obozowiska.

W owym czasie miałam sześć lat, ale wyglądałam na starszą. Wzrostem dorównywałam Estelli, a pragnienie, by uznawano mnie za równą innym, było we mnie silniejsze niż kiedykolwiek. Było to zrozumiałe, skoro nieustannie przypomniano mi, że choć mnie tu żywią i ubierają, choć dzielę pokój z dziećmi Marline'ów i wspólnie z nimi odrabiam lekcje, to mieszkam w Commonwood House wyłącznie dzięki łaskawości doktora i jego żony. Tak więc bez przerwy musiałam im udowadniać, że jestem kimś równie dobrym jak wszyscy, jeśli nie lepszym.

Kochałam Sally, lubiłam Adelinę i pannę Harley, lubiłam każdego, kto okazywał mi choć trochę serdeczności, i oczywiście uwielbiałam wuja Toby'ego. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że niektórzy w tym domu skąpią

mi czułości, i dlatego tym żywiej reagowałam na każdy objaw uczucia, jakim darzyli mnie inni.

Bez trudu potrafiłam wymknąć się niepostrzeżenie z domu i wtedy nieodmiennie kierowałam się w stronę obozowiska Cyganów. Kryjąc się wśród drzew, mogłam przyglądać się rozstawionym wozom, nie będąc widzianą przez nikogo. Obserwowałam zabawy ciemnoskórych, bosonogich dzieci i młode kobiety zajęte wyplataniem wiklinowych koszyków i wycinaniem małymi nożykami różnych przedmiotów z drewna. Podczas tej pracy najczęściej plotkowały lub nuciły coś z cicha.

Sz szczególnie jedna z Cyganków wzbudziła moje zainteresowanie. Niemłoda, z gęstymi, czarnymi włosami przytkanymi pasmami siwizny, pracowała, siedząc zawsze na stopniach jednego z wozów, w pewnym oddaleniu od pozostałych kobiet. Dużo mówiła, ale byłam za daleko, aby usłyszeć, o czym opowiada. Od czasu do czasu dochodził mnie jej śpiew. Figurę miała przysadzistą i często się śmiała. Bardzo chciałam dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Nieraz zastanawiałam się, co by się ze mną stało, gdyby tak nie zostawiono mnie pod krzewem azalii. Czy byłabym teraz jednym z tych bosych dzieci? Wzdrygałam się na samą myśl o tym. Byłam zadowolona, że trafiłam do Commonwood House, nawet jeśli niezbyt chętnie mnie tam przygarnęli, i odczuwałam wdzięczność wobec doktora, dzięki któremu mogłam tam pozostać. Tak naprawdę to on też mnie nie chciał, ale może był przekonany, że spełnia dobry uczynek i że nie poszedłby do nieba, gdyby kazał mnie odesłać. Bez względu na to, jakimi pobudkami kierowali się państwo Marline, byłam im wdzięczna.

Było upalne popołudnie. Siedziałam wśród drzew, przyglądając się Cygankom i nawołującym się dzieciom. Gruba kobieta siedziała jak zwykle na stopniach swojego wozu. Na kolanach trzymała wyplatany właśnie koszyk i sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała zapaść w drzemkę.

Pomyślałam, że przy takim upale pewnie są mniej czujni niż zwykle, więc mogłabym zaryzykować i podkraść się

bliżej. Zerwałam się dość gwałtownie i nie zauważyłam wystającego z ziemi kamienia. Potknęłam się i rymnęłam jak długa.

Wszystko to nastąpiło tak nagle, że nie zdołałam powstrzymać okrzyku. W stopie poczułam nagły ból, a na pończosze zobaczyłam plamę krwi.

Gruba kobieta zaczęła się gramolić ze stopni wozu.

- Co to? - zawołała - co to takiego? Och, to mała dziewczynka. Co się stało? Skaleczyłaś się?

Popatrzyłam na zakrwawioną pończochę. Kobieta uklękła przy mnie, a dzieci otoczyły nas kołem.

- Boli tutaj, kochanie?

Dotknęła mojej kostki, a ja skinęłam głową.

Chrząknęła i odwróciła się do dzieci.

- Biegnijcie po wuja Jake'a i powiedzcie mu, żeby tu przyszedł. Szybko!

Dwójka dzieci pobiegła w głąb lasu.

- Ślicznotka skaleczyła się troszeczkę. Biedna nóżka. Ranka nie jest duża, ale musimy zatamować krwawienie. Jake będzie tu za chwileczkę. Jest tam... ścina drzewo.

Mimo bólu w nodze nie pozwalającego mi zrobić nawet kroku, byłam podekscytowana. Zawsze starałam się znaleźć coś, co pozwoliłoby mi uciec od nudy, jaką stanowiły dni bez wuja, i byłam rada z każdej odmiany. Ta wydawała mi się szczególnie obiecująca, ponieważ przybliżyła mnie do Cyganów.

Dwójka dzieci wróciła biegiem; za nimi szedł wysoki mężczyzna z czarnymi kędzierzawymi włosami i złotymi kolczykami w uszach. Miał bardzo ciemną cerę i białe zęby, które odsłaniał w szerokim uśmiechu.

- Och, Jake - powiedziała tęga kobieta - tej małej panience przydarzyło się nieszczęście. - Roześmiała się bezgłośnie i tylko po podrygiwaniu jej ramion można było poznać, że się śmieje. Spodobało mi się, że nazwała mnie małą panienką, więc uśmiechnęłam się z aprobatą.

- Lepiej zabierz ją do wozu, Jake. Muszę opatrzeć skaleczenie.

Jake wziął mnie na ręce. W kilku krokach przemierzył polanę i po stopniach wniósł mnie do wnętrza wozu, tego samego, przed którym uprzednio siedziała kobieta.

Pod jedną ścianą stała długa ława, a pod przeciwną coś w rodzaju kanapy. Jake położył mnie na kanapie. Zaczęłam się rozglądać. Wnętrze wozu przypominało niewielki zagracony pokoi. Na ławie pod ścianą stały różne kubki i butelki.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedziała kobieta. - Zaraz opatrzymy skaleczenie, a potem pomyślimy o zabraniu cię do domu. Gdzie mieszkasz, kochanie?

- W Commonwood House z doktorem Marlinem i jego rodziną.

- To wspaniale - powiedziała Cyganka i znowu zaśmiała się bezgłośnie. - Pewnie niepokoją się już o ciebie. Lepiej ich od razu zawiadomić.

- Na pewno nie... jeszcze nie teraz.

- W takim razie wszystko w porządku. Musimy zdjąć pończoszkę.

- Wszystko dobrze? - zapytał Jake.

Kobieta skinęła głową.

- Zawołam, gdy będę cię potrzebowała.

- Jesteś w dobrych rękach - uśmiechnęła się do mnie Jake.

- No to do dzieła - powiedziała kobieta. Skinęła na jedno z dzieci, które towarzyszyły nam do wnętrza wozu. - Daj mi miskę z wodą.

Dziecko spełniło jej polecenie; wzięło miskę stojącą na zagraconej ławie i napełniło ją wodą z emaliowanego dzbanka.

Kobieta zaczęła obmywać moją nogę kawałkiem szmatki. Z przerażeniem popatrzyłam na zakrwawioną gałganek i wodę w misce stopniowo zabarwiającą się na czerwono.

- Nie ma się co niepokoić, kochanie - pocieszyła mnie kobieta. - Wkrótce się zagoi. Mam coś specjalnego, czym posmarujemy ranę. Sama to sporządziłam. Cyganie znają się na tych sprawach, możesz zaufać Cygance.

- Och, wierzę pani - zapewniłam.

Uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając olśniewająco białe zęby.

- Teraz troszeczkę poboli, ale im więcej zaboli, tym szybciej się zagoi, rozumiesz?

Powiedziałam, że rozumiem.

- Gotowa?

Skinęłam głowę.

- W porządku? A więc jesteś małą dziewczynką doktora?
- Nie, niezupełnie. Po prostu jestem tam.
- Przyjechałaś z wizytą?
- Nie, ja tam mieszkam. Jestem Carmel March.
- Masz bardzo ładne imię.

- Carmel to znaczy ogród, bo właśnie tam mnie znaleźli, a ponieważ to było w marcu, więc nazwali mnie March.

- Znaleźli cię w ogrodzie?

- Wszyscy o tym wiedzą. Znaleźli mnie pod krzewem azaliowym, dokładnie pod tym samym, który w poprzednim roku sprawił Tomowi Yardleyowi tyle kłopotów.

Kobieta spoglądała na mnie ze zdumieniem, nie przestając kiwać głową.

- I teraz mieszkasz w Commonwood House? -

Tak.

- Czy oni są dla ciebie dobrzy?

Zawahałam się.

- Sally jest dobra i panna Harley, i Adelina, i wuj Toby oczywiście, ale...

- Ale nie doktor i jego żona?

- Nie wiem. Nie zwracają na mnie szczególnej uwagi. Natomiast niania ciągle powtarza, że ja do nich nie należę.

- Ta niania chyba nie jest specjalnie miła?

- Po prostu uważa, że nie powinnam tam mieszkać.

- Dla mnie to nie brzmi sympatycznie, kochanie. A teraz zawiniemy nóżkę.

- To bardzo miłe z pani strony.

- My, Cyganie, jesteśmy miłymi ludźmi. Nie należy wierzyć temu, co inni o nas mówią.

- Ja nie wierzę.

- Widzę, że nie. Nie boisz się mnie ani odrobinę, prawda?

Potrząsnęłam głowę.

- Jesteś dzielną małą dziewczynką. A teraz odprowa dzimy cię do domu. Jake cię zaniesie, bo sama nie dała byś rady zejść. Ale najpierw dostaniesz odrobinę ponczu i pogawędzimy sobie troszeczkę. Należy ci się chwilka

odpoczynku. Kostka wkrótce się zagoi, to tylko zwichnięcie. Teraz boli, ale niebawem będzie lepiej. Tylko na razie nie powinnaś chodzić. To napar z ziół... złagodzi szok... bo właśnie przeszłaś szok, kochanie.

Poncz był bardzo smaczny. Kiedy piłam, kobieta przyglądała mi się bacznie.

- A teraz - powiedziała - ty i ja pogawędzimy sobie trochę. Opowiesz mi o doktorze, jego żonie, o niani i o całej reszcie.

- O tak.

- To znakomicie.

Opowiedziałam jej o Commonwood House, a ona słuchała z wielką uwagą.

- Nie podoba mi się ta niania - zawyrokowała.

- Uważana jest za znakomitą nianię. Naprawdę. Ona po prostu myśli, że nie jestem na tyle dobra, abym mogła wychowywać się razem z innymi dziećmi.

- A ty jej pokazujesz, że wcale tak nie jest, jestem gotowa się założyć.

Jej ramiona zatrzęsły się od śmiechu. Zawtórowałam jej.

- Masz za złe... tej niani?

- Cóż... tak... trochę... czasami.

Potem opowiedziałam jej o wuju Tobym i jej oczy zażyły z radości.

- Dał ci pudełko z małpkami. To musi być bardzo miły człowiek.

- O tak... na pewno.

- I lubi cię, a ty lubisz jego?

- Myślę, że lubi mnie nawet bardziej niż inne dzieci.

Skinęła głowę, a jej ramiona znowu zaczęły podrygiwać.

- Cóż, kochanie - powiedziała - ani trochę się temu nie dziwię.

To była wspaniała przygoda. Polubiłam tę kobietę. Powiedziała mi, że nazywa się Rosie Perrin, a ja zrewanżowałam się opowiadaniem, jak to chcieli mnie nazwać Różą.

- Co za pomysł - powiedziała. - Byłyby z nas dwie kwitnące różyczki.

Z przykrością myślałam o tym, że muszę wracać do Commonwood House.

Na widok Jake'a niosącego mnie w ramionach w domu nastąpiła prawdziwa konsternacja.

- Mała panienska miała wypadek - tłumaczył pokojówce Janet, która otworzyła mu drzwi.

Janet nie wiedziała, co ma robić, więc Jake wszedł do holu.

- Panienska nie może chodzić - powiedział - więc najlepiej będzie, jeśli zaniosę ją do łóżeczka.

Janet zaprowadziła go na górę do pokoju dziecięcego. Niania była wstrząśnięta.

- Boże, miej litość nad nami - zaczęła utyskiwać. - Do czego to dochodzi?

- Mała przewróciła się w lesie - tłumaczył Jake. - Nie mogła ustać na nodze. Położę ją do łóżka.

Sally, która także była w pokoju dziecięcym, zaokrąglonymi z ciekawości oczami spoglądała, jak Jake kładzie mnie do łóżka. Potem odprowadziła go na dół.

- Co ty sobie u licha myślisz? - wybuchnęła niania - Żeby sprowadzać Cyganów do domu...

- Przecież sama nie mogła zrobić kroku - powiedziała Sally. - Musiał ją nieść.

- Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Coś ty wyrobiła? Gdzieś ty się włóczyła? Byłaś w lesie u Cyganów?

- Znaleźli mnie, gdy upadłam - zaczęłam wyjaśniać. - Byli dla mnie bardzo mili.

- Mili, patrzcie państwo. Zawsze muszą coś wycyganic od porządných ludzi.

- Niczego nie wycyganili. To oni poczęstowali mnie ponczem.

- Ciekawe, co będzie dalej. Natychmiast idę do pani powiedzieć jej, co się tutaj wyprawia.

W rezultacie na górę przyszedł doktor. Niania stała przy łóżku, mocno zaciskając usta i patrząc na mnie oskarżycielsko. Doktor niemal się do niej nie odzywał. Pomyślałam, że najwidoczniej niezbyt ją lubi. Do mnie uśmiechał się miło.

- No, zobaczymy, co też nabroiłaś - powiedział.

- Przewróciłam się w lesie - zaczęłam - i znaleźli mnie Cyganie. Jedna Cyganka dała mi ponczu, posmarowała czymś nogę i owinęła bandażem.

- Zaraz wszystko obejrzymy. Czy to boli?
- Przedtem trochę bolało, ale teraz już nie.
Pomacał nogę w kostce.
- Skręciłaś nogę - powiedział - i trochę ją nadwreżyłaś.
To nic poważnego. Przez kilka dni będziesz musiała poleżeć.
- Zdjął bandaż i dodał: - Wszystko w porządku. Potrzymamy
ten bandaż przez jakiś czas, to ci pomoże. -Starannie
obandażował nogę i uśmiechnął się łagodnie. -To naprawdę
nic groźnego - dodał pocieszająco.

- Nie powinna była chodzić do lasu i sprowadzać tych
ludzi do domu - wtrąciła niania.

Doktor popatrzył na nią chłodno, co utwierdziło mnie w
przypuszczeniach, że widocznie nie darzy jej sympatią.

- Carmel nie była w stanie wrócić o własnych siłach -
powiedział. - To bardzo ładnie, że się nią zajęli. Jestem
pewien, że pani Marline zechce napisać do nich liścik
z podziękowaniami.

Odrzucił się ku mnie i znów się uśmiechnął.

- Nie przypuszczam, by któryś z nich powiedział ci, jak
się nazywa.

- Ależ tak - zawołałam. - Ta kobieta, która dała mi
ponczu i zabandażowała nogę, nazywa się Rosie Perrin.

- Zapamiętam sobie - powiedział doktor, skinął głową i
wyszedł.

- Pisać do Cyganów, widział kto coś takiego? - burczała
niania. - Ciekawe, co jeszcze. Pani będzie lepiej wiedziała.
Co za maniery, żeby przewracać się w lesie i sprowadzać do
domu takich ludzi.

Sally chciała usłyszeć wszystko o mojej przygodzie, a
Estella zdaje się trochę mi zazdrościła, że to nie jej
przytrafiło się coś takiego. Sally powiedziała, że to było
bardzo miłe ze strony Cyganów, że się mną zaopiekowali.

Doktor przychodził codziennie, by obejrzeć moją nogę.
Dla mnie był zawsze bardzo miły, natomiast wobec niani
zachowywał się raczej chłodno. Zaczęłam go bardziej lubić
z obu tych powodów. Pani Marline nie pokazała się na górze
ani razu. Ciekawa byłam, czy napisała liścik do Rosie
Perrin.

Ten incydent stał się punktem zwrotnym w moich sto-
sunkach z doktorem. Teraz już mnie tak nie unikał i przy

spotkaniu pytał: „Jak tam noga, czy już w porządku?”, a gdy skaleczenie się zagoiło, pytał już tylko: „Czy wszystko w porządku?”.

Coraz bardziej go lubiłam. Czułam, że naprawdę go obchodzi, czy wszystko jest „w porządku”, mimo że zostałam znaleziona pod krzewem azalii i sprowadziłam do domu Cyganów.

W naszym sąsiedztwie znajdowała się duża rezydencja o nazwie Grange, należąca do sir Granta Cromptona, o którym wszyscy w okolicy z szacunkiem mawiali „pan dziedzic”. Sir Grant i lady Crompton byli prawdziwymi dobroczyńcami dla całego sąsiedztwa; w swoich dobrach zatrudniali wiele osób, dzierżawili swoje farmy lokalnym rolnikom, a na święta Bożego Narodzenia posyłali gęś każdemu biedakowi w okolicy.

Wszystko to działo się zgodnie z dawno utrwaloną tradycją. Lady Crompton przewodniczyła wszystkim kiermaszom, bazarom i tym podobnym imprezom, których celem było zbieranie pieniędzy na cele dobroczynne. Podczas pobytu w Grange cała rodzina regularnie pojawiała się w kościele, gdzie zasiadali w tych samych ławkach, jakie zajmowali Cromptonowie od dwustu lat. Za nimi siadała ich służba. Sir Grant bardzo szczerzełożył na potrzeby kościoła i za tę hojność darzono go powszechnym uznaniem.

W Grange było dwoje dzieci - Lucian i Camilla. Widywałam ich, gdy jeździli konno w towarzystwie stajennego. Oboje byli bardzo ładni i bardzo wyniośli i gdy czasami spotykaliśmy się wśród pól - oni na swoich wspaniałych koniach, my pieszo - rzadko zaszczycali nas spojrzeniem. Estella wdychała wtedy z żalem, że to nie ona mieszka w Grange i nie jeździ na białym koniu, ze wspaniałe wykwapowanym bratem u boku. Jednak Lucian był o wiele wyższy i znacznie przystojniejszy od Henry'ego.

„Ci z Grange” należeli do zupełnie innej sfery niż my i chociaż doktor nie był lekceważony w tamtych kręgach i od czasu do czasu zapraszano go nawet do Grange, to jednak powszechnie mówiło się, że gospodarze czynią to tylko wtedy, gdy któryś z ważniejszych gości

w ostatniej chwili odwoła swoje przybycie i trzeba uzupełnić liczbę zaproszonych.

Pani Marline nie była zachwycona taką sytuacją i czasami komentowała zgryźliwie, że Cromptonowie zadzierają nosa, ale gdy tylko nadarzyła się sposobność, by zacieśnić stosunki między Grange a Commonwood House, podchwyciła ją skwapliwie. Zaangażowała się mianowicie w działalność charytatywną, co pociągnęło za sobą wizytę w Grange. Lady Crompton przyjęła ją niezmiernie uprzejmie i w pewnym momencie konwersacja zeszła na temat żywo interesujący obie damy, to znaczy na edukację synów.

Lady Crompton miała zamiar zaangażować guwernera dla Luciana, ponieważ uważała, że jest on jeszcze zbyt młody, by wysłać go do szkoły, a jako że ten sam problem dręczył też panią Marline, obie damy miały sobie wiele do powiedzenia. Po namyśle lady Crompton zaproponowała, by chłopcy mieli wspólnego nauczyciela, który zamieszkałby w Grange.

Pani Marline była zachwycona tym pomysłem. Przypuszczam, że koszty opłacania nauczyciela zostały podzielone między obie rodziny, gdyż słyszałam, jak niania Gilroy mówiła, że mimo swoich majątków Cromptonowie nie należą do tych, którzy by wyrzucali pieniądze. Natomiast pani Marline, jak wszyscy wiedzieli, miała pieniądze, i z pewnością nie zawahałaby się zapłacić za coś, co uważała za wielki przywilej.

Tak więc zgodnie z obopólnym postanowieniem, każdego ranka oprócz niedziel Henry wyruszał do Grange i wracał po południu obładowany książkami i z zadaniem domowym do odrobienia na następny dzień.

W opinii pani Marline było to bardzo satysfakcjonujące rozwiązanie, gdyż oznaczało, że obie rodziny będą łączyć znacznie żywsze kontakty niż dotychczas. Estella, Henry i Adelina byli teraz zapraszani do Grange na podwieczorki z Lucianem i Camillą. Estella była w siódmym niebie, choć po każdej takiej wizycie narzekała, że w porównaniu z Grange Commonwood House prezentuje się bardziej niż skromnie.

Mnie nigdy nie zaproszono. Podejrzewałam, że niania Gilroy musiała maczać w tym palce, oczywiście przy apro-

bacie pani Marline. Ale byłam pewna, że gdyby doktor miał coś do powiedzenia w tej sprawie, z pewnością zająłby inne stanowisko.

Potem jednak wszystko się zmieniło.

Wuj Toby odwiedził nas ponownie, gdy jego statek przechodził gruntowny remont.

Jak zwykle jego wizyta okazała się czymś wspaniałym. Dla mnie przywiózł prezent z Hongkongu, jadeitowy medalion na cienkim złotym łańcuszku, z chińskim napisem „Na szczęście”. Tak przynajmniej powiedział mi wuj.

Jeden naszyjnik posiadałam już wcześniej, ten, który miałam zawieszony na szyi, gdy znaleziono mnie pod krzewem azalii. Przyglądałam mu się często, ale nigdy go nie nosiłam, gdyż uważałam, że zbyt przypominałby wszystkim, jak się tutaj znalazłam i że nie należę do tej sfery.

Prezent wuja Toby'ego był inny. Byłam zachwycona nie tylko obietnicą szczęścia, ale i faktem, że to właśnie wujowi zawdzięczam tak wspaniały przedmiot. Niania Gilroy powiedziałaaby oczywiście, że dzieci w moim wieku nie powinny nosić biżuterii, i kazałaby mi go zdjąć, więc gdy była w pobliżu, nosiłam medalion schowany pod sukienką. Nigdy się z nim nie rozstawałam. Rano, gdy tylko otwierałam oczy, dotykałam go palcami, powtarzając „Na szczęście”, a drugą rękę wyciągałam ku pozytywce, by posłuchać „Boże, zachowaj królową”.

Estella była bardzo podekscytowana, gdyż została z Henrym zaproszona na herbatę do Grange. Gdyby pogoda dopisała - a mieliśmy właśnie falę upałów - podwieczorek miał być podany na dworze. Niania kazała Sally przygotować dla Estelli niebieską sukienkę z atlasową szarfą i bufiastymi rękawami. Estella musi być ubrana równie pięknie jak Camilla.

- I ładniej wyglądać - dodała jeszcze.

Przyglądałam się Sally prasującej sukienkę.

- To doprawdy wstyd, że cię nie zaprosili - mówiła Sally.

- Na pewno chętnie byś poszła, prawda? Wyglądasz równie dobrze jak inne dzieci.

- Nie chcę iść do Grange - skłamałam. - Wolę zostać w domu.

- Na pewno byś się dobrze bawiła - nalegała Sally. - Powinni cię zapraszać. I myślę, że zrobiliby to... gdyby nie niania. Jestem gotowa się założyć. No i gdyby nie ona.

Mówiąc „ona”, Sally miała oczywiście na myśli panią Marline. Jestem pewna, że nie myliła się w swoich przypuszczeniach.

Estella została wystrojona w sukienkę i musiałam przyznać, choć niechętnie, że wyglądała bardzo ładnie. Razem z Henrym wyruszyli do Grange, a ja spoglądałam za nimi przez okno, gdy nagle przyszedł mi do głowy zuchwały pomysł. Nie byłam wprawdzie zaproszona, ale dlaczego właściwie nie miałabym pójść?

Kiedyś przy pewnej okazji byłam już na terenie Grange. Owładnęła mną ciekawość... Pomyślałam, że w porze podwieczorku mieszkańcy domu i służba będą zajęci swoimi sprawami. Zresztą nawet gdyby ktoś mnie przyłapał, mówiłam sobie, zawsze mogę twierdzić, że zabłądziłam. Droga na teren posiadłości wiodła przez ogrodzony wygon, za którym rósł żywopłot otaczający frontowy trawnik. Musiałam tylko prześliznąć się pod ogrodzeniem i szybko przebiec do żywopłotu, skąd miałabym doskonały widok na trawnik i dom.

Dom był piękny - stary, z szarego kamienia, z wieżyczkami w narożnikach i ogromną bramą wjazdową, przez którą widać było fragment wewnętrznego dziedzińca. Siedząc za żywopłotem, będę mogła śledzić cały przebieg podwieczorku, natomiast mnie nikt nie zauważy. Skoro nie mogłam być gościem, nie było najmniejszego powodu, abym przynajmniej nie mogła popatrzeć sobie na przyjęcie.

Tak więc gdy Estella i Henry wyszli, wymknęłam się za nimi. Coraz to dotykałam mojego przynoszącego szczęście medalionu, by się upewnić, że mam go ze sobą i że podczas tej ryzykownej wyprawy będę bezpieczna.

Nie zauważona przez nikogo dotarłam aż do żywopłotu, skąd miałam znakomity widok na trawnik, na którym ustawiono już nakryty białym obrusem stół i białe krzesła. Wszystko było przygotowane do podwieczorku na świeżym powietrzu. Nadeszli Henry i Estella i skierowali się do

środku. Pomyślałam, że niebawem wyjdą w towarzystwie Luciana i Camilli i być może także tego bladego pana, który był nauczycielem chłopców.

Skuliłam się za krzakiem. Nie mogę dopuścić, by mnie tu odkryto. Wycofując się stąd, też będę musiała wybrać właściwy moment. Najpierw przemknę wzdłuż żywopłotu, a potem - to będzie dość ryzykowna chwila - przebiegnę przez wygon. Gdy już prześliznę się pod ogrodzeniem, będę bezpieczna.

Ale przecież nie może mi się nie udać, skoro mam na szyi mój przynoszący szczęście naszyjnik. Położyłam rękę na piersi, by go dotknąć, i nagle poczułam, że robi mi się słabo. Medalionu nie było.

Przez dłuższą chwilę siedziałam jak sparaliżowana, nie mając odwagi się poruszyć. Przecież jeszcze przed chwilą go dotykałam. Muszę go mieć. Ja chyba śnię, to jakiś koszmar. Zerwałam się na równe nogi, ryzykując, że ktoś mnie dostrzeże. Znowu położyłam dłonie na szyi. Nie ma medalionu ani łańcuszka. Jak to się mogło stać? Zakładając go, starannie zapięłam zameczek. Zawsze to robiłam. Przetrzęsnałam fałdy sukienki, rozejrzałam się po ziemi. Ani śladu naszyjnika.

Nie mógł upaść daleko, pocieszałam się. Jeszcze kilka minut temu miałam go na szyi. Opadłam na kolana i rozpoczęłam poszukiwania. Mój naszyjnik. Zgubiłam mój drogocenny naszyjnik, prezent od wuja Toby'ego. Zgubiłam moje szczęście.

Poczułam się samotna i opuszczona. Łzy same spływały mi po policzkach. Muszę go znaleźć, muszę. Pełzałam wokół, szukając gorączkowo. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić tą samą drogą, którą tu przyszłam. Ale czy potrafię dokładnie odtworzyć, którędy szłam przez wygon? Usiadłam zrozpaczona, zakryłam twarz rękami i zaczęłam płakać.

Nagle poczułam czyjąś obecność.

- Co się stało? - zapytał Lucian Crompton.

Zapomniałam, że nie mam prawa tu przebywać. Byłam całkowicie pochłonięta myślą o utraconym skarbie.

- Zgubiłam przynoszący szczęście naszyjnik - wyjąkałam.

- Co zrobiłaś? - zawołał Lucian. - A w ogóle to kim ty jesteś i co tutaj robisz?

Odpowiedziałam po kolei.

- Naszyjnik z medalionem kupił mi wuj Toby w Hongkongu. Napisano na nim „Na szczęście”. A ja jestem Carmel. Nie zaproszono mnie na podwieczorek, więc przyszedłam, żeby chociaż popatrzeć.

- Gdzie mieszkasz?

- W Commonwood House.

- Dzieci stamtąd są dzisiaj u nas.

- Tak... ale ja nie. Chciałam tylko popatrzeć.

- Aha, już wiem. To ty jesteś tą dziewczynką, którą...

Przytaknęłam:

- ... którą znaleziono pod krzakiem azalii, tym samym, który w poprzednim roku sprawił Tomowi Yardleyowi tyle kłopotów. Mam na imię Carmel, co oznacza ogród. No bo właśnie w ogrodzie mnie znaleziono.

- I zgubiłaś naszyjnik?

- Owszem. Musiał mi upaść zaraz po tym, jak przeszłam pod ogrodzeniem.

- Jakim ogrodzeniem? Wskazałam w stronę wygonu.

- Przyszłaś tamtędy?

Przytaknęłam.

- I przy ogrodzeniu jeszcze go miałaś? W takim razie musi leżeć gdzieś w pobliżu.

Poczułam odrobinę nadziei. Lucian mówił z taką pewnością siebie.

- Chodź, pójdziemy poszukać. Którędy szłaś?

Pokazałam mu.

- W takim razie ruszajmy. Prowadź. Dwie pary oczu są lepsze niż jedna. Rozglądaj się uważnie i patrz, gdzie stawiasz nogi, żebyś na niego nie nadepnęła. Jak on wygląda?

- Jest zielony i ma napis „Na szczęście” chińskimi literami.

- Racja, mówiłaś. Chyba nie będzie trudno go odszukać. Doszliśmy do końca żywopłotu, jednak bez powodzenia.

- Teraz przecięłaś wygon - powiedział Lucian. - Widzę

już, w którym miejscu przelaziałaś pod ogrodzeniem. Tam gdzie jest ta mała wyrwa, tak? Przytaknęłam.

- No więc idziemy w tę stronę. Gdy będziemy przecinali wygon, staraj się wybierać dokładnie tę samą drogę co poprzednio i patrz na wszystkie strony.

Wreszcie dotarliśmy do płotu. Lucian uklęknął i wydał okrzyk triumfu.

- To ten?

Omial się nie rozplakałam z radości. Lucian podniósł naszyjnik i powiedział.

- Już rozumiem, co się stało. Popatrz, zapięcie jest zepsute. To dlatego zsunął ci się z szyi.

- Zepsute - powtórzyłam z przerażeniem, a moja radość natychmiast wyparowała.

Lucian oglądał łańcuszek z uwagą.

- Jedno ogniwo się poluzowało i trzeba po prostu przymocować je z powrotem. Samo zapięcie jest w porządku. Stary Higgs na High Street upora się z tym w minutkę.

Podał mi naszyjnik. Złapałam go na wpół z radością, na wpół ze łzami. Nie zgubiłam go wprawdzie, ale był uszkodzony i musiałam z nim pójść do starego Higgsa na High Street. Niania nigdy się na to nie zgodzi. Będę musiała poprosić o pomoc Estellę albo Henry'ego. Może Sally mogłaby to załatwić?

Lucian popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- Powiem ci, co zrobimy. Po podwieczorku sam wezmę go do Higgsa, żeby go zaraz zreperował.

- Zrobisz to? - zawołałam.

- Oczywiście, dlaczego nie?

- Po... ?

- Właśnie. Powinniśmy już usiąść do stołu. Idziemy.

- Ale ja nie mogę.

- Ja cię zapraszam. Pewnego dnia ten dom będzie mój, więc mogę zapraszać, kogo chcę.

- Ale niania...

- Jaka niania?

- Niania Gilroy. Powiedziałyby, że to nie uchodzi, żebyś mnie zapraszał, bo skoro znaleziono mnie pod krzewem azalii, to nie należę...

- Jeśli ja mówię, że należysz, to należysz - powiedział Lucian tak buńczucznie, że musiałam się roześmiać.

Ścisłałam w rękę mój medalion. Szczęście powróciło do mnie.

Tak więc poszłam z Lucianem do Grange. Oczywiście Estella była zdumiona i Henry również. Lucian opowiedział im o naszyjniku. Camilla chciała koniecznie zobaczyć chińskie litery, które oznaczają „Na szczęście”.

- Jaki piękny - powiedziała. - Chciałabym mieć taki. Promieniałam dumą i byłam bardzo szczęśliwa. Estella wyglądała na zaniepokojoną.

- Wiecie, Carmel... ona nie jest jedną z nas.

- Wiem - odparł Lucian. - Znaleziono ją pod krzakiem. Powiedziała mi o tym. Dlaczego jej nie zapraszano?

- Cóż... ona jest podrzutkiem - powiedziała Estella.

- Jakie to ekscytujące - zawołała Camilla. - To brzmi jak historia z Szekspira albo z jakiejś powieści.

- Znaleziono ją pod krzakiem azalii.

- Właśnie - dokończył Lucian - pod tym samym, który sprawił tyle kłopotów Tomowi Yardleyowi w poprzednim roku.

Popatrzył na Camillę i oboje wybuchnęli śmiechem.

Polubiłam ich od razu. Byli bardzo mili. Pomyślałam, że widocznie skoro są tacy bogaci i ważni, nie potrzebują bez przerwy przypominać ludziom, że są kimś lepszym od innych. Wobec mnie zachowywali się tak, jakbym była normalnym gościem. Ciasto było znakomite, posypane wiórkami kokosowymi. Zjadłam dwa kawałki.

- Smakuje ci? - zapytał Lucian z uśmiechem, gdy sięgałam po drugą porcję.

- Wyśmienite.

- To chyba lepsze niż chowanie się za żywoplotem, co?

Oboje z Camilla roześmiali się, a ja powiedziałam:

- O wiele lepsze.

Oni chyba też mnie polubili i gdy tylko skończyliśmy podwieczorek, Lucian poszedł do stajni i oznajmił stajennemu, że bierze powozik i wszyscy jedziemy do miasteczka. Musiał być kimś bardzo ważnym, bo wszyscy natychmiast robili wszystko, co powiedział. Stłoczyliśmy się w

powoziku, co było bardzo zabawne. Lucian powoził, a ja siedziałam obok niego.

Potem weszliśmy do sklepu pana Higgsa, który osobiście wyszedł nam naprzeciw i powiedział:

- Dzień dobry, paniczu Lucianie. Czym mogę służyć?

- Mam tu pewien drobiazg - zaczął Lucian. - Trzeba naprawić to ogniwo w łańcuszku.

Pan Higgs popatrzył i przytaknął.

- Jim zaraz się tym zajmie - powiedział. - Nie potrwa to dłużej niż minutę. Ogniwo trzeba przymocować do zapinki. Jim! Panicz Lucian chce nareperować ten łańcuszek. Widzisz, co tu się stało?

Jim skinął głową i wyszedł.

- To naszyjnik tej dziewczynki? - zapytał pan Higgs.

- Tak. Wuj przywiózł jej z Hongkongu.

- Chiński. Chińczycy są znakomitymi rzemieślnikami.

Potrafia robić bardzo ładne rzeczy. A jak zdrowie państwa w Grange?

Lucian zapewnił pana Higgsa, że wszyscy w domu cieszą się doskonałym zdrowiem, a ja słuchałam z zachwytem, z jaką łatwością prowadził konwersację, i niecierpliwie czekałam na zwrot medalionu. I oto miałam go w ręku... dokładnie taki sam jak przedtem... nikt by się nie domyślił, że ogniwo było zepsute.

Lucian chciał zapłacić, ale pan Higgs powiedział:

- To naprawdę drobnostka, paniczu Lucianie, po prostu niewielka naprawa. Cieszę się, że mogłam pomóc.

Lucian zapiął mi łańcuszek na szyi.

- Proszę bardzo - powiedział - naprawione i nic mu już nie brakuje.

W tym momencie zakochałam się w nim.

* * *

Niani Gilroy absolutnie nie podobało się to, co usłyszała od Estelli na temat mojego nieoczekiwanego pojawienia się na podwieczorku.

- Wszędzie się wepchnie - utyskiwała. - Przepowiadałam, że tak będzie.

- Lucian ją przyprowadził - powiedziała Estella. - Zobaczył ją w żywopłocie, gdy zgubiła naszyjnik.

- Naszyjnik! Po co dziecku w jej wieku naszyjnik?

- Wuj Toby jej podarował.

Niania uśmiechnęła się, jak to zawsze czyniła, gdy ktoś wspomniał o wuju Tobym, i nic już nie powiedziała. Najwyraźniej doszła do wniosku, że skoro prezent jest od wuja, nie może być w tym nic złego.

Następnym razem gdy Estella i Henry zostali zaproszeni na herbatę, zaproszenie objęło także mnie. Zaczęłam się przyzwyczajać do tych wizyt. Bardzo polubiłam Camillę, która nigdy mi nie okazywała, że uważa mnie za kogoś gorszego. A co do Luciana, to czułam, że od tej historii z naszyjnikiem łączą nas specjalne więzy.

Tak więc stosunki między Commonwood House a Grange, którym początek dało zaangażowanie wspólnego nauczyciela, zaczęły się ożywiać, głównie dzięki determinacji pani Marline, która za wszelką cenę pragnęła na powrót znaleźć się w tych kręgach towarzyskich, w których obracała się poprzednio i z których musiała zrezygnować, wychodząc za doktora. Teraz robiła wszystko, by zyskać aprobatę lady Crompton. Z poświęceniem oddawała się działalności charytatywnej, angażując się zwłaszcza w tych dziedzinach, którymi szczególnie zainteresowana była sama lady. W wyniku tego była częstym gościem w Grange.

Henry zaprzyjaźnił się z Lucianem, a Estella z Camillą. Szczęśliwym trafem w obu rodzinach był syn i córka, i to w zbliżonym wieku. Ja także zostałam wciągnięta do wspólnych zabaw, a Lucian zawsze miał dla mnie specjalny uśmiech. Przynajmniej mnie wydawał się on specjalny. Lucian miał zwyczaj spoglądać znacząco na mój medalion, który - gdy tylko znikalam z pola widzenia niani Gilroy - nosiłam na sukience, i wiedziałam, że w tym momencie z rozbawieniem przypomina sobie nasze pierwsze spotkanie. Życie wydawało się doprawdy bardzo przyjemne.

Pani Marline była zapaloną amazonką i wszyscy pobieraliśmy lekcje jazdy konnej. Estella i Henry mieli swoje kucyki, a wuj Toby kupił kuca także i dla mnie. Był naprawdę wspaniałym wujem. Uważałam, że to jemu zawdzięczałam szczęśliwą odmianę losu.

Powoli zaczynałam uświadamiać sobie, jaką pozycję zajmuje w domu pani Marline. Niania Gilroy w jej obecności od razu stawała się bardziej potulna i przyciszona. Pani Marline wzbudzała lęk we wszystkich - nawet w doktorze. Chociaż raczej należałoby powiedzieć - zwłaszcza w doktorze.

Słyszałam, jak niania Gilroy rozmawiała raz na ten temat z kucharką, panią Barton.

- Z pani jest prawdziwy tyran - mówiła. - Nigdy nie pozwala doktorowi zapomnieć, z czyich pieniędzy reguluje się w tym domu większość rachunków. To ona tu rządzi, nie on.

- On jest bardzo dobrym lekarzem - wtrąciła pani Barton. - Pacjenci bardzo go chwalą. Pani Gardiner twierdzi, że przeżywała prawdziwe katusze z nogą, dopóki nie zwróciła się do niego. Tak, doktor to prawdziwy dżentelmen... na swój sposób.

- Powiedziałabym, że jest łagodny jak baranek, gdyby pytał mnie ktoś o zdanie. Nie potrafi walczyć o swoje. Cóż, to ona ma pieniądze, a pieniądze są najważniejsze.

- Zgadza się - potwierdziła pani Barton. - Biedny doktor tak niewiele ma z życia.

Pani Marline prawie mnie nie dostrzegала. Zachowywała się tak, jakby nie chciała zauważyć mojej obecności w domu. Nie przeszkadzało mi to, przeciwnie, byłam raczej zadowolona. Miałam wuja Toby'ego, a teraz także Luciana, Camillę i Sally, Estella i Henry też nie byli źli, a Adelina zawsze mnie lubiła.

Pod koniec lata Cyganie opuścili lasy.

- Jednego dnia przychodzą, drugiego odchodzą - skomentowała niania. - Chwała Bogu, że pozbyliśmy się tego tałatajstwa.

Chciałam ich bronić, przypomnieć jej, jak Rosie Perrin obandażowała mi nogę, a Jake zaniósł mnie do domu, ale oczywiście nie odezwałam się.

Wkrótce potem zaczęto mówić, że Henry niebawem zostanie wysłany do szkoły.

- Ten Lucian z Grange idzie, więc panicz Henry musi zrobić to samo. I zobaczycie, że nie będzie to byle jaka szkoła - mówiła niania. - Ci z Grange to wielcy państwo i

gdzie poślą Luciana, tam Henry pójdzie także. Wspomnicie moje słowa. To znaczy, o ile wiem cokolwiek o naszej pani.

- Któż inny mógłby znać ją lepiej niż ty - wtrąciła pani Barton przypochlebnie. Za wszelką cenę chciała utrzymać dobre stosunki z nianią, którą uważano za ważną osobistość w domu, ustępującą jedynie samej pani Marline.

Wiedziałam, że gdy Lucian pójdzie do szkoły, będzie mi go brakowało. Od czasu do czasu on i Camilla przychodzili na podwieczorek do Commonwood House. Były to specjalne okazje, ale nie lubiłam tego aż tak bardzo jak wizyt w Grange. Pani Marline nie siadała z nami do herbaty, ale nieustannie krążyła w pobliżu, sprawdzając, czy wszystko przebiega tak jak trzeba. Chciała, by podwieczorki w Commonwood House były tak samo doskonałe pod każdym względem jak te w Grange. Myślę, że chętnie by mnie z nich wykluczyła, ale skoro Lucian osobiście nalegał, bym przychodziła do Grange, nie mogła mnie odesłać na czas wizyt dzieci Cromptonów w Commonwood House.

W ogóle pani Marline wtrącała się teraz do wszystkiego. Miała bardzo władczą naturę i jej donośny, przenikliwy głos słychać było wszędzie, gdy bezustannie narzekała, że czegoś nie wykonano lub też wykonano źle. Była zupełnym przeciwieństwem cichego i spokojnego doktora. Często zastanawiałam się, czy to z jej powodu doktor zawsze był taki zrezygnowany. Przypuszczam, że w podobny sposób zdominowałaby każdą osobę podobną z charakteru do łagodnego i ustępliwego doktora.

To zdumiewające, jak często nasze życie przez długi okres czasu biegnie spokojnym, utartym szlakiem, aż nagle jeden incydent potrafi zburzyć dotychczasową egzystencję i wszystko, co następuje potem, jest rezultatem tego jednego wydarzenia, bez którego nic, co spotyka nas później, nie miałyby miejsca.

Taka właśnie historia przytrafiła się w Commonwood House.

Pani Marline z niecierpliwością wyczekiwała wielkiego polowania, którego, podobnie jak Cromptonowie, była wielką entuzjastką. Henry, Estella, Adelina i ja poszliśmy

zobaczyć wyjazd myśliwych, którzy zebrali się przed Grange. Pani Marline, znakomicie trzymająca się na koniu, całkowicie panowała nad swoim wierzchowcem, podobnie jak panowała nad doktorem i całą rodziną. Stała wśród innych jeźdźców, wymieniając uprzejmości ze znajomymi z sąsiedztwa. Mężczyźni w czerwonych kurtkach prezentowali się imponująco i wszystkich ogarnęła atmosfera niecierpliwego oczekiwania.

Doktor nie brał udziału w polowaniu. Doprawdy wśród tych ludzi wydawałby się nie na miejscu.

Przypatrywaliśmy się kawalkadzie wyruszającej za biednym małym lisem, dopóki nie zniknęła nam z oczu. Potem wróciliśmy do domu.

Pamiętam, że tego dnia było zimno i prawie całą drogę przebyliśmy biegiem. Henry nie mógł się doczekać dnia, kiedy on także będzie mógł wziąć udział w polowaniu. Estella nie była pewna, czy spodobałaby się jej ta rozrywka. Na kucyku nie czuła się zbyt pewnie i teraz też się trochę bała, patrząc na duże, rwące się do biegu konie.

Dzień upływał nam tak jak zwykle. Skąd mieliśmy wiedzieć, że będzie to ten szczególny dzień, który okaże się przełomowy dla wszystkich mieszkańców Commonwood House?

A wszystko zaczęło się od korzenia pozostałego po niedawno wykarczowanym drzewie. Ulewnie deszcze padające przez kilka ostatnich dni odsłoniły go nadmiernie i sterczał teraz w poprzek ścieżki, którą obrali myśliwi.

Wieść o tym, co się wydarzyło, zastała mnie w ogrodzie, gdzie bawiłam się z Estella. W całym domu panował spokój. Wystarczyła tylko nieobecność pani Marline, by wszystko zmieniało się w zdumiewający sposób.

Zobaczyłyśmy, że Fred Carton, miejscowy policjant, podjeżdża rowerem pod furtkę. Podszedł do nas.

- Panie Carton - zawołała Estella - co się stało?

- Czy doktor jest w domu? Muszę się z nim natychmiast zobaczyć.

- Tak, tatuś jest w domu - odparła Estella.

Przed dom wyszła pokojówka Jenny. Na widok pana Cartoną zaniemówiła.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z doktorem - powiedział pan Carton raczej szorstko. Zwykle był bardzo grzeczny i skłonny do żartów.

Estella i ja popatrzyłyśmy na siebie z rosnącym podnieceniem. Coś się wydarzyło i pan Carton zaraz nam powie, o co chodzi.

Poszłyśmy za nim do domu i Jenny pobiegła na górę zawołać doktora, który pojawił się prawie natychmiast.

- Co się stało, o co chodzi? - dopytywał się z niepokojem.

Estella i ja kręciłyśmy się niecierpliwie.

- Chodzi o panią Marline. Miała wypadek i zabrano ją do szpitala. Sądzę, że powinien pan tam pojechać.

- Jadę natychmiast - odparł doktor.

Guwernantka

Pani Marline nie przyniesiono do domu na noszach, tak jak postąpiono z panem Carteretem z Letch Manor, który kiedyś złamał nogę na polowaniu, lecz zabrano ją do szpitala. Fakt ten był złowieszczy w swojej wymowie.

Doktor długo nie wracał. Ponura wiadomość szybko obiegła cały dom. Pani miała wypadek na polowaniu. Widać musi być z nią źle, skoro zamiast przynieść ją do domu, od razu zabrano ją do szpitala.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach, wszyscy zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób to wydarzenie może wpłynąć na ich losy. Czy pani Marline umrze? Gdyby tak się stało, służba mogłaby stracić pracę. Dla nikogo nie było tajemnicą, że to pani Marline utrzymuje cały dom. Nikt z domowników jej nie lubił, a służący unikali jej, jak tylko mogli. Jednak w zaistniałej sytuacji przestano nazywać ją tyranem czy prawdziwym utrapieniem. Nagle dla wszystkich stała się niemal świętą, co - jak już dawniej zauważyłam - było dość powszechną reakcją w obliczu śmierci. Najwidoczniej wszyscy uważali, że pani Marline długo nie pożyje.

W końcu doktor wrócił ze szpitala. Najpierw poinformował o wszystkim służących, a następnie wezwał Estellę, Henry'ego i mnie. Gdy już przyszliśmy do jego pokoju, powiedział:

- Wasza matka jest ciężko ranna. Jej koń potknął się na wystającym korzeniu, dokładnie w chwili, gdy szykowała się do przesadzenia płotu. Niestety konia trzeba było dobić, a... wasza mama jest w szpitalu, gdzie pozostanie przez dłuższy czas. Istnieje obawa, że nigdy nie odzyska władzy w nogach. Musimy się modlić, by do tego nie doszło, by w pełni powróciła do zdrowia. Możemy tylko czekać i mieć nadzieję.

Wszyscy byliśmy bardzo przejęci. Niania zamykała się w kuchni z panią Barton, wiodąc długie rozmowy o przyszłości. Estella i ja nie wiedziałyśmy, jak się zachować. Z niepokojem oczekiwaliśmy rozwoju sytuacji. Właściwie w moim życiu pani Marline nie odgrywała większej roli i jej obecność czy też nieobecność praktycznie nie miała dla mnie znaczenia. Ale już wtedy zdawałam sobie sprawę z tego, że w naszym życiu nastąpiła bardzo istotna zmiana i że nigdy nie będzie ono takie jak dawniej.

I nie myliłam się.

Choroba pani Marline zaciążyła nad całym domem. Dwa pokoje na parterze, z francuskimi oknami wychodzącymi na ogród, przystosowano specjalnie do jej potrzeb. W jednym urządzono sypialnię, w drugim salonik. Mając wózek inwalidzki, mogła swobodnie przemieszczać się z pokoju do pokoju, ale jeśli chciała wyjechać do ogrodu, ktoś musiał jej w tym pomóc. Miała też dzwonek do przyzywania służby i jego donośny dźwięk rozbrzmiewał po całym domu niemal bez przerwy.

Annie Logan, pielęgniarka okręgowa, przychodziła co rano, by pomóc pani przy toalecie. Zjawiała się punktualnie o dziesiątej, zsiadała z roweru i szła do pani Marline, a po godzinie spędzonej z chorą udawała się do kuchni na herbatę, którą wypijała w towarzystwie niani Gilroy i pani Barton. Po herbacie i świeżej porcji plotek wsiadała na rower i jechała do następnego nieszczęśnika potrzebującego pomocy.

Pani Marline bardzo cierpiała z powodu nieustannych bólów i pozostawała pod opieką doktora Everesta z sąsiedniej wsi, co wydawało mi się raczej dziwne, skoro mieliśmy lekarza w domu. Powiedziałam o tym Hen-ry'emu.

- Głupia jesteś - odparł. - Doktor nie może leczyć własnej żony.

- Dlaczego nie? - domagałam się wyjaśnień.

- Bo ktoś mógłby podejrzewać, że chce ją wykończyć.

- Wykończyć? Nie rozumiem.

- No zamordować, ty głupia.

- Zamordować?

- Mężowie czasami mordują swoje żony.

Pomyślałam, że to rzeczywiście rozsądne rozwiązanie, gdyż doktor Marline naprawdę mógłby mieć podobną pokusę.

Po wypadku pani Marline zrobiła się jeszcze bardziej nieznośna niż dawniej. Łajała wszystkich dookoła i w niczym nie można jej było dogodzić. Najczęściej skrupiało się to na doktorze. Skarżyła się na niego podniesionym głosem, a on odpowiadał cicho i potulnie: „Tak, kochanie. Oczywiście, kochanie”.

„Kochanie” - to określenie wydawało mi się bardzo nieodpowiednie. Jak pani Marline mogła być czymkolwiek kochaniem?

Biedny doktor wyglądał blade i mizernie. Doskonale rozumiałam, dlaczego do pani Marline musiał przyjeżdżać doktor Everest.

Atmosfera w domu była ciężka i ponura. Ja i tak miałam szczęście, gdyż stosunkowo najłatwiej mi było schodzić pani Marline z oczu.

Kiedy przyjechał wuj Toby, życie nabrało kolorów. Nawet pani Marline rozpogodziła się nieco i wyraźnie cieszyła się z jego wizyty. Wuj spędzał z nią wiele czasu i gdy sobie gawędzili, od czasu do czasu udawało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy.

Odbyłam z wujem długą rozmowę w ogrodzie.

- Przyjemnie jest wyjść z domu - powiedział. - Biedny stary doktor, ostatnio nie powodzi mu się najlepiej, ale Grace też należy współczuć. Zawsze chciała podporządkować sobie wszystko i wszystkich. Powinna była wyjść za kogoś bardziej podobnego do siebie, za kogoś, kto potrafiłby ją nieco poskromić. A doktor nie pragnie niczego więcej, tylko świętego spokoju. - Wzniósł oczy do nieba. - I ten człowiek ożenił się z Grace. Niektórzy

ludzie doprawdy mają pecha. Cóż, ich własna wina, jak sądzę. „Nie wińmy gwiazd, wińmy siebie samych”*, jak powiada poeta. A jak się tobie wiedzie, Carmel? Czy bardzo ci dokucza obecna sytuacja?

- Pani Marline nie zwraca na mnie specjalnej uwagi. Nigdy tego nie robiła, na moje szczęście.

- Wszystko ma swoje dobre strony, co? Wyrosłaś. Ile ty masz lat, osiem?

- W marcu skończę osiem.

Poklepał mnie po ręce.

- Niezbyt tu radośnie, co? Chciałbym, aby było lepiej.

- Jest lepiej, odkąd przyjechałeś. Objął mnie i przytulił do siebie.

- Pewnego dnia może wezmę cię ze sobą w podróż - powiedział. - Pożeglujemy razem przez świat. Jak ci się podoba taki pomysł?

Z zachwytem zaklaskałam w ręce. Czy potrzebne były jakiegokolwiek słowa?

- Wieczorami będziemy siadać na pokładzie i wpatrywać się w Krzyż Południa.

- A co to takiego? - zapytałam.

- To gwiazdozbiór na drugiej półkuli. W ciepłe dni będziemy wypatrywać wielorybów i obserwować skaczące delfiny. Zobaczymy ryby latające, jak śmigają nad powierzchnią wody.

- I syreny? - pytałam.

- Kto wie? Dla ciebie może znajdzie się i syrena.

- One śpiewają i wodzą żeglarzy ku zgubie.

- Nas nie zwiodą. My będziemy żeglować.

- Kiedy to nastąpi?

- Którego dnia... może.

- Będę się o to modliła co wieczór.

- Zrób to. Wierzę, że ci w górze czasami odpowiadają na nasze modlitwy.

Długo potem rozmyślałam o naszej rozmowie i marzyłam o dniu, w którym wuj Toby spełni swoją obietnicę i zabierze mnie ze sobą w podróż.

Wkrótce potem wuj odjechał i w domu ponownie za-gościła niepewność i przygnębienie. Doktor Marline

*William Szekspir, *Juliusz Cezar*, przeł. Jerzy S. Sito.

sprawił wrażenie zagubionego i wyczerpanego. Niania Gilroy, pani Barton i pielęgniarka odbyły w kuchni długą rozmowę, której fragmenty udało mi się podsłuchać.

- Nic nie jest w stanie zadowolić pani - skarżyła się niania.

- Ona cierpi - mówiła Annie Logan. - Co prawda ból nie dręczy jej bez przerwy, ale może się pojawić w każdej chwili... zniecka. Właśnie na wypadek takiego ataku ma te silnie działające tabletki. To morfina. Bardzo jej pomaga. Bez niej byłoby już całkiem źle.

- Już przedtem była okropna - powiedziała pani Barton. - Nic dosłownie nie było w stanie jej zadowolić, a teraz jest dziesięć razy gorsza. Wszystko ma człowiekowi za złe.

Mijały tygodnie. Nadszedł dzień moich ósmych urodzin. Ustalono, że będę obchodziła urodziny pierwszego marca, choć nikt nie znał dokładnej daty. Tom Yardley znalazł mnie szesnastego, a że miałam wtedy mniej więcej dwa tygodnie, pierwszy marca wydawał się odpowiedni. Przecież każdy miał urodziny, więc dla mnie też musiano wybrać jakiś dzień.

Wuj Toby postanowił dać mi w prezencie ładną sukienkę, więc Sally kupiła materiał i zaniosiła go do pani Grey, miejscowej krawcowej, razem z jedną z moich starych sukienek, z której wzięto miarę. Moja nowa sukienka była chyba najładniejszą, jaką pani Grey kiedykolwiek uszyła. W dniu urodzin zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Sally podarowała mi książkę z wierszykami dla dzieci, którą widziałam wcześniej w księgarni i którą bardzo chciałam mieć. Od Estelli dostałam niebieską szarfę, która przestała jej się podobać, a od Adeliny tabliczkę czekolady. Nikt inny nie pamiętał o moich urodzinach, ale nie przejmowałam się tym specjalnie, skoro miałam swoją piękną sukienkę.

A potem wydarzyło się coś, co zaważyło na losach nas wszystkich w Commonwood House. Pani Harley, żona pastora, miała lekki wylew i panna Harley nie mogła już dłużej nas uczyć, gdyż musiała zaopiekować się matką. Postanowiono zaangażować guwernantkę dla Estelli, która skończyła już dziesięć lat. Ponieważ zgodnie z życzeniem

wuja ja także miałam się uczyć, guwernantka miała być wspólna dla mnie i dla niej.

Często się zastanawiałam, co by się ze mną stało, gdyby nie wuj Toby. Wiedziałam, że tylko jego wstawiennictwu zawdzięczam, że mogę korzystać z okrucichów spadających z pańskiego stołu.

Tak więc zaangażowano dla nas guwernantkę i tym sposobem panna Kitty Carson trafiła do Commonwood House.

* * *

Kiedy Estella i ja po raz pierwszy usłyszałyśmy o guwernantce, miałyśmy mieszane uczucia; ciekawość walczyła w nas z lękiem i obawą i aż do przyjazdu panny Carson do Commonwood House wałkowałyśmy niemal bez przerwy jeden i ten sam temat: Jaka ona będzie?

- Na pewno stara i brzydka - zawyrokowała Estella. - Będzie miała włosy na brodzie tak jak stara pani Cram z wioski, o której niektórzy mówią, że to wiedźma.

- Nie może być bardzo stara - protestowałam. - Gdyby była stara, nie mogłaby nas uczyć.

- Będzie nam zadawała trudne słupki i nie pozwoli wstać, dopóki ich nie zrobimy.

- Może będzie miła.

- Guwernantki nigdy nie są miłe. Niania mi mówiła, że guwernantka to takie ni to, ni owo. One nie należą do żadnej sfery. Są kimś lepszym od służby, ale jednocześnie stoją niżej niż państwo. Zawsze zadzierają nosa i chcą być traktowane jak rodzina. Ja w każdym razie będę jej nienawidziła. Mam zamiar być dla niej tak okropna, że zrezygnuje i odjedzie.

- Mogłabyś poczekać i zobaczyć najpierw, jaka ona będzie.

- I tak już wiem. - Estella była nieugięta w swoim postanowieniu.

W dniu przyjazdu guwernantki tkwiłyśmy przy oknie na piętrze, obserwując, jak pod dom podjeżdża pocztowa bryczka. Patrzyłyśmy z napięciem, jak z bryczki wysiada guwernantka, idzie do bramy, a potem ścieżką w stronę domu, poprzedzana przez poczmistrza Toma Fellowsa niośącego jej bagaż.

Była wysoka i szczupła. Z ulgą zauważyłam, że w niczym nie przypomina starej pani Cram. Wyglądała nadzwyczaj sympatycznie. Nie była piękna, ale miała bardzo miły i ujmujący wyraz twarzy, i pomyślałam sobie, że z pewnością współzycie świetnie nam się ułoży. Miała około trzydziestu lat, czyli była w wieku, w jakim moim zdaniem powinna być guwernantka.

Gdy tylko weszła do środka, opuściliśmy nasz postereunek przy oknie i podkradłyśmy się do szczytu schodów. Zobaczyłyśmy, że zaprowadzono ją do pokoju pani Marline. Drzwi były zamknięte, więc nie udało nam się podsłuchać, o czym mówiono. Potem pani Marline zadzwoniła i niania, która kręciła się po hallu, weszła do pokoju.

Wyszła w towarzystwie guwernantki. Usta miała zaciśnięte. Pomysł zaangażowania guwernantki bynajmniej nie przypadł jej do gustu, gdyż obawiała się, że nowa osoba może podważyć jej pozycję w domu. Wiedziałam, że niania będzie się starała znaleźć w panie Carson wszelkie możliwe wady.

Gdy wchodziły na schody, wycofałyśmy się chyłkiem, chowając się w jednym z pokoi. Drzwi zostawiłyśmy uchylone, by móc obserwować, co się będzie działo.

- Tędy - mówiła niania opryskliwie. W tym momencie nadszedł doktor.

Spoglądałam przez szparę i zobaczyłam, że właśnie mijają drzwi, za którymi tkwiłyśmy skulone, nadstawiając uszu.

Doktor odezwał się z ujmującym uśmiechem:

- Panna Carson, prawda?
- Tak - odparła guwernantka.
- Witamy w Commonwood House.
- Dziękuję.
- Mam nadzieję, że będzie tu pani dobrze. Chyba jeszcze pani nie widziała dziewczynek, prawda?
- Nie, jeszcze nie.
- Niania je zawoła - powiedział doktor.

Powstrzymując chichot, przeczekałyśmy, aż wejdą do pokoju, przygotowanego dla panny Carson na drugim piętrze. Potem wyszłyśmy na korytarz i wolnym krokiem zbliżyłyśmy się do schodów.

- A, tu jesteście - powiedziała niania.
- A gdzie Adelina? - zapytał doktor.
- Na pewno w swoim pokoju - odparła niania. - Carmel, biegnij i przyprowadź ją.

- Ale najpierw, panno Carson - wtrącił doktor - oto pani dwie uczennice, Estella i Carmel.

Panna Carson miała prześliczny uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, tak że stała się niemal piękna.

- Witam was - powiedziała. - Mam nadzieję, że się polubimy. Jestem tego pewna. - Jej oczy spoczęły na mnie. Estella trochę się boczyła, ale ja polubiłam pannę Carson od razu i jestem pewna, że ona mnie także.

Poszłam po Adelinę, która siedziała w swoim pokoju, wystraszona i nieszczęśliwa. Domyślałam się, że musiała usłyszeć jedno z opowiadań Estelli na temat nowej guwernantki.

- Masz przyjść i przywitać się z panną Carson - zaczęłam. - Mnie się wydaje bardzo miła. Nie musisz się jej obawiać. Jestem pewna, że ci się spodoba.

Adelina łatwo ulegała czyimś argumentom. Teraz też rozpromieniła się natychmiast.

Bardzo mi się podobał sposób, w jaki panna Carson przywitała się z Adelina. Z pewnością musiała słyszeć od doktora o jej ułomności. Ujęła ją za ręce i uśmiechnęła się serdecznie.

- Jestem pewna, że będzie się nam znakomicie układało, Adelino - powiedziała.

Adelina przytaknęła radośnie, a ja zauważyłam, że doktor wygląda na zadowolonego.

- Cóż, zostawimy panią, by mogła pani rozpakować swoje rzeczy, panno Carson - powiedziała niania opryskliwie - a potem dziewczynki mogą pokazać pani pokój szkolny.

- Powiedzmy, za pół godziny - zaproponowała panna Carson.

- Dobrze, za pół godziny przyjdą do pani. Czy chciałaby pani wypić filiżankę herbaty? Powiem pani Barton, żeby przysłała herbatę na górę.

- Z przyjemnością się napiję, bardzo dziękuję - odparła panna Carson.

Zostawiłyśmy ją samą. Estella zmrużyła oczy.

- To wilk w owczej skórce - powiedziała.

- Wcale nie jest wilkiem! - wykrzyknęła Adelina. - Ja ją lubię.

Estella popatrzyła na siostrę ze zniecierpliwieniem.

- To znaczy, że ona może nie być tym, na kogo wygląda - oświadczyła tajemniczo.

Estella stanowczo postanowiła być niedobra dla panny Carson. Nie chciała guwernantki. Chciała jechać na pensję i bawić się tak jak inne dziewczęta, które sypiały we wspólnych sypialniach, urządzały sobie wesołe uczty w środku nocy i nie miały żadnych starych głupich guwernantek.

Adelina i ja odczuwałyśmy zupełnie inaczej. Panna Carson miała doskonale podejście do Adeliny; była wobec niej bardzo cierpliwa i Adelina wreszcie przestała bać się lekcji, przeciwnie, wyczekiwała ich teraz niecierpliwie. Darzyła pannę Carson bezgranicznym wręcz oddaniem, chodziła za nią wszędzie, a w czasie spacerów trzymała ją za rękę. Tylko w jej pobliżu czuła się szczęśliwa.

Na mojej liście faworytów panna Carson także zajmowała wysoką pozycję. Miała bardzo wrażliwe serce i szczególną serdecznością darzyła tych, którzy potrzebowali uczucia. Adelina dosłownie rozkwitła pod jej wpływem.

Wiedziałam, że doktor też to zauważył i że bardzo go to ucieszyło. Regularnie odwiedzał teraz pokój szkolny i przysłuchiwał się lekcjom. Nasza nauka interesowała go o wiele bardziej niż wówczas, gdy zajmowała się nami panna Harley.

Pewnego dnia, gdy bawiłam się w ogrodzie, panna Carson wyszła na spacer i odbyłyśmy długą rozmowę. Jej żywe zainteresowanie sprawami bliźnich sprawiało, że człowiek chętnie jej się zwierzał. Z łatwością potrafiłam jej wytłumaczyć powody, dla których nigdy nie czułam się prawdziwym członkiem rodziny - z wyjątkiem tych okresów, gdy w domu przebywał wuj Toby. Opowiedziałam jej też,

jak to Tom Yardley znalazł mnie pod krzewem azaliowym.

- Bo widzi pani - tłumaczyłam - moja mama mnie nie chciała i dlatego mnie porzuciła. Matki najczęściej kochają swoje dzieci.

- Jestem pewna, że twoja matka także cię kochała. Myślę, że zostawiła cię, bo bardzo cię kochała i chciała, żebyś miała lepsze warunki, niż ona mogłaby ci zapewnić. Wiedziała, że w Commonwood House mieszkają ludzie, którzy otoczą cię opieką, będą cię karmić i troszczyć się o ciebie. Musiała wiedzieć, że w tym domu jest doktor.

Byłam zdumiona, że matka mogła mnie zostawić, ponieważ mnie kochała. Podobna myśl nigdy przedtem nie przyszła mi do głowy.

- Bo mnie się wydawało, że tak naprawdę to ona mnie nie chciała - ciągnęłam. - Niania uważa, że powinnam być zostac odesłana do sierocińca. I pewnie tak by się stało, gdyby nie doktor.

- Doktor to bardzo dobry i współczujący człowiek.

- Niania uważa, że powinnam pójść do przytułku.

- Ale doktor pozwolił ci zostać w domu, więc to nieważne, co sądzi niania. Najważniejsze jest, że on chciał, abyś została.

- To Sally opowiedziała mi o wszystkim. Ona pamięta to bardzo dobrze. Akurat w tym czasie zaczęła tu służbę. Też się bała, że mnie odeślą, bo doktor nie miał zbyt wiele do powiedzenia w tej sprawie. Pani Marline mnie nie chciała, a jej zdanie liczyło się najbardziej

- A jednak zadecydowało zdanie doktora. On postanowił cię zatrzymać i to jest najważniejsze. Twoja matka uczyniła wielką ofiarę, bo pragnęła dla ciebie jak najlepiej. Nie możesz czuć się gorsza z tego powodu. Musisz pokazać wszystkim, że nawet jeśli zostałaś znaleziona pod krzewem azaliowym, jesteś tyle samo warta co inni.

- O tak, o tak - powiedziałam i poczułam się tak samo radośnie jak wówczas, gdy przyjeżdżał wuj Toby.

Pokochołam pannę Carson równie gorąco jak Adelina. Niania oczywiście jej nie lubiła. Od samego początku była do niej uprzedzona. Nie uznawała guwernantek, kręcących

się po domu i wtrącających się do wychowania dzieci, i nie miała zamiaru zmieniać swojej opinii. Uważała, że guwernantki zadzierają nosa, mają wygórowane mniemanie o sobie i wywyższają się ponad służbę. Nawet tak miła osoba jak panna Carson nie była w stanie jej zadowolić.

Oczywiście jej wierna sojuszniczka pani Barton popierała ją w tym względzie. Guwernantki to zwykle zawracanie głowy. Trzeba im posyłać posiłki do pokoju, bo nie chcą jadać w towarzystwie służby, a oczywiście byłoby nie do pomyślenia, by mogły jadać z państwem. A zresztą, co to się teraz porobiło z państwem. Ona u siebie, bez przerwy domagająca się tego czy tamtego, on wiecznie przesiadujący samotnie w swoim pokoju, nie przywiązujący żadnej wagi do tego, co się przed nim postawi do zjedzenia. Zdaniem pani Barton to wszystko jest postawione na głowie, a obecność guwernantki bynajmniej nie przyczynia się do poprawy sytuacji.

Choroba pani Marline zaciążyła nad całym domem. Pokojówki ani przez moment nie mogły odsapnąć, przyzwane nieustannym dźwiękiem dzwonka.

- Nic, tylko narzekania - mówiła pani Barton. - Rano, w południe, a nawet w środku nocy.

- Ona nawet w samym archaniele Gabrieliu potrafiłaby znaleźć jakąś wadę - dodawała niania.

Wszyscy już przyzwyczaili się do tego, że gdy tylko doktor wchodził do pokoju żony, zza drzwi zaraz zaczynał dobiegać nieustanny potok wyrzekań i utyskiwań, z rzadka tylko przerywany krótkimi pauzami, podczas których, jak się domyślaliśmy, doktor usiłował ją uspokoić, przemawiając swoim łagodnym, cierpliwym głosem.

- Biedny człowiek - mawiała wówczas Sally. - Przecież on jest kompletnie wykończony. Przez cały dzień nic, tylko połajanki. Mówiąc między nami, o wiele lepiej by mu było bez niej. Przecież ona już do końca życia będzie kaleką. A zresztą, jeśli nadal będzie mu dawała taką szkołę, to on znajdzie się w grobie jeszcze przed nią. Tylko żebyś mi się nie ważyła powtarzać tego, co ja tu wygaduję.

Było mi żal doktora. Był taki łagodny, a ilekroć opuszczał pokój pani Marline, sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego. Wiele przebywał teraz w swoim pokoju i wy-

dawał się też z chęcią chodzić do ambulatorium, gdzie obecnie zostawał dłużej, niż to miał w zwyczaju do tej pory. Domyślałam się, że niechętnie wraca do domu i do pani Marline, zdając sobie sprawę z tego, że gdy tylko przekroczy próg, żona natychmiast wezwie go do siebie i zacznie na wszystko wyrzekać.

Annie Logan nadal przychodziła co rano i co wieczór, i zawsze potem szła do kuchni na herbatę i na plotki z nianią i panią Barton. Staralam się podsłuchiwać, o czym mówią, i zawsze była to rozmowa o Niej i o Nim.

Wydawało mi się - choć możliwe, że wyobraziłam to sobie dopiero później - że w domu panuje atmosfera niepewności i wyczekiwania. Czasami, gdy pani Marline miała atak bólu, zażywała swoje tabletki i wówczas na jakiś czas nastawał spokój, ale i tak wszyscy czekali z napięciem na kolejny wybuch. Potem znowu pani Marline czuła się lepiej i jej wózek zaczynał krążyć od pokoju do pokoju, albo też, popychany przez Toma Yardleya czy doktora, wyjeżdżał do ogrodu, a wtedy wszyscy staraliśmy się znaleźć jak najdalej od tego miejsca.

Dla mnie nie było to takie trudne, gdyż pani Marline zawsze mnie ignorowała. Gorzej było z Henrym, Adelina i Estellą. Pani Marline ustawicznie miała im coś do zarzucenia, zwłaszcza Adelinie. Nie potrafiła ukryć swojej pogardy dla biednej dziewczyny, tak samo jak nie mogła zapomnieć, że urodziła nienormalne dziecko, mimo że była przecież osobą, która osiąga perfekcję we wszystkim, czego się podejmie. Tak przynajmniej ją oceniałam.

Biedna Adelina nigdy nie ośmieliłaby się pokazać matce łez, ale gdy tylko udało się jej umknąć sprzed matczynego oblicza, natychmiast wybuchała płaczem. Doprawdy trudno było patrzeć na jej rozpacz. Na szczęście panna Carson czuwała i gdy tylko Adelina opuszczała ten okropny pokój, zawsze spieszyła ze słowami pociechy. Pod ich wpływem Adelina zapominała o połajankach. Na nowo zaczynała wierzyć, że wszystko jest dobrze, skoro ona, Adelina, ma przecież swoją pannę Carson, która uważa ją za mądrą dziewczynkę.

* * *

Tego lata Cyganie ponownie zawitali w nasze okolice.

Pewnego ranka, gdy się obudziłam, byli już w lesie. Zazwyczaj przyjeżdżali późno w nocy i rozbijali swoje obozowisko.

Byłam bardzo przejęta ich przybyciem. Myślę, że to z powodu mojego pochodzenia, a poza tym nie zapomniałam spotkania z Rosie Perrin i z Jake'em.

Wkrótce zaczęto ich widywać w okolicy, z koszykami pełnymi klamerek do bielizny i z bukietami suszonego wrzosu i lawendy.

„Kup bukiet na szczęście” - namawiali, chodząc po domach. Niektóre dziewczęta, pragnąc poznać swoją przyszłość, chodziły do Rosie Perrin, która za kilka groszy wróżyła z dłoni. Sally powiedziała mi, że jeśli ktoś chce naprawdę dowiedzieć się czegoś o swoim losie, musi zapłacić więcej, a wtedy Rosie spogląda w kryształową kulę, którą trzyma w wozie. To jest „prawdziwa sprawa”, mówiła Sally.

Nie mogłam się oprzeć pokusie i znowu chodziłam do lasu, by popatrzeć na nich zza osłony drzew, jak to zrobiłam wtedy, gdy skaleczyłam się w nogę. Pewnego dnia, gdy przykucnięta za krzakiem przyglądałam się bosym dzieciom i Rosie Perrin siedzącej na stopniach wozu, usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam Jake'a. Uśmiechał się do mnie.

- Dzień dobry, mała dziewczynko - odezwał się. - Przyglądasz się Cyganom?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc odparłam tylko: - Tak.

- Widzę, żeśmy ci się spodobali. Bardzo się różnimy od innych znanych ci ludzi, prawda?

- Tak - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Odmiana to wspaniała rzecz.

- O tak.

- Pamiętasz mnie jeszcze?

- Oczywiście. Pan zaniósł mnie do domu.

- Jak tam twoja noga, zagoiła się?

- Tak, bardzo dziękuję.

- Rosie od razu cię polubiła.

Ucieszyło mnie to.

- Była dla mnie bardzo miła - powiedziałam.
- Ona tobie też się spodobała, prawda? Nie miałas nic przeciwko temu, że jest Cyganką.
- Bardzo ją polubiłam.
- Coś ci powiem. Rosie na pewno by się ucieszyła z twoich odwiedzin.

- Naprawdę?
- Mogę się założyć.
- A jeśli mnie nie pamięta? To było tak dawno temu.
- Rosie nigdy niczego nie zapomina i zobaczysz, że ciebie też nie zapomniła. Chodź, przywitasz się z nią.

Ruszył w stronę obozu, a ja podreptałam z nim. Dzieci przerwały zabawę i spoglądały na mnie z zaciekawieniem, a Rosie Perrin na mój widok krzyknęła z radości:

- Patrzcie, patrzcie, przecież to mała panienka Carmel. Kto by pomyślał? Podejdz do mnie, kochaneczko.

Wspięłam się na stopnie wozu i weszłam do środka, a Jake za mną.

- Siadaj, kochanie - powiedziała Rosie. - Ileż to czasu upłynęło, odkąd bylas tu ostatnio. Jak tam noga? Cała i zdrowa? Wiedziałam, że tak będzie. Opowiadaj, kochana, opowiadaj. Co nowego w domu. Nadal traktują cię dobrze?

- O tak. Mamy teraz guwernantkę.
- To wspaniale. A czy ona też jest dla ciebie dobra?
- Jest szalenie miła i bardzo ją lubię.

Pokiwiała głową.

- A co słyhać u pani i u doktora?
- Pani miała wypadek. Spadła z konia i teraz nie może chodzić. Jeździ w takim specjalnym fotelu i często ma bóle.

- Biedaczka. Ta mała pielęgniarka przychodzi do was co rano i co wieczór, prawda? Jedna z naszych dziewczynek przewróciła się na drodze. Ta pielęgniarka akurat przejeżdżała tamtędy i zajęła się dzieckiem. Opatrzyła ją i odwiozła do nas. Pogawędziłyśmy sobie trochę.

- To Annie Logan. Przychodzi pomagać pani Marline.
- Z pani to zdaje się prawdziwy tyran, co?
- Tak... chyba tak.

- Ale wobec ciebie jest w porządku?
- Nie zwraca na mnie specjalnej uwagi. Nigdy tego nie robiła. Sądzę, że nie lubi, gdy się jej przypomina o mojej obecności.

- To chyba nie jest takie złe, co? - Rosie trąciła mnie łokciem i roześmiała się. Zawtórowałam jej.

- Pod warunkiem, że cię dobrze traktują.

Jake wyszedł i zostawił nas same, a Rosie nadal wypytywała mnie o dom i jego mieszkańców. Opowiadałam jej o pokojach pani Marline na parterze, o nieustannych dzwoneczkach i o narzekaniach służby, że pani w żaden sposób nie można zadowolić.

Nagle usłyszałam czyjś śpiew. Głos był jasny i czysty.

*Raz Cyganki trzy stanęły, gdzie zamkowa brama, I
pieśń razem zanuciły, tęskną, pełną czaru. Pani
zamku w swej komnacie nocą czuwa sama, Nie śpi,
serce jej topnieje od miłości żaru.*

Zamilkłam zasłuchana.

- To Zingara - powiedziała Rosie i w tym momencie drzwi się otworzyły i do wozu weszła najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Ogromne kolczyki zwisały jej z uszu, gęste, czarne, lśniące włosy były wysoko upięte, a ciemne oczy błyszczały radośnie. Rosie spoglądała na nią z dumą.

- Zingara! - zawołała.

- A któż by inny? - odpowiedziała nowo przybyła, a potem uśmiechnęła się do mnie i dodała: - A to jest... ?

- Mała Carmel March z Commonwood House.

- Słyszałam o tobie i o tym, że kiedyś wybrałaś się w odwiedziny do Cyganów - powiedziała Zingara, patrząc na mnie tak, jakby była bardzo zadowolona z naszego spotkania.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko zachichotałam. Zingara podeszła do mnie, położyła mi ręce na ramionach i przyglądała mi się z uwagą. Wydawało mi się, że bardzo mnie lubi. Potem ujęła mnie pod brodę i uniosła w górę moją twarz.

- Mała Carmel March - powiedziała powoli. - Chętnie bym sobie z tobą porozmawiała.

- Więc siadaj koło niej - wtrąciła Rosie. - Coś wam powiem. Zaparzę ziołowej herbaty, a wy sobie pogwarzycie w tym czasie.

Podniosła się i poszła na koniec wozu, gdzie było coś w rodzaju niewielkiej alkowy. Zostałam sama z Zingarą, która nie przestawała mi się przypatrywać, lekko dotykając palcami mojego policzka.

- Powiedz mi - odezwała się z powagą w głosie - czy w tamtym domu są dla ciebie dobrzy?

- Tak... tak sądzę. Doktor zawsze się do mnie uśmiecha, pani Marline mnie ignoruje, a panna Carson jest bardzo miła.

Zingara chciała dowiedzieć się czegoś więcej o panie Carson i z uwagą słuchała mojego opowiadania. Było mi bardzo przyjemnie, że tak się mną interesuje. Powtórzyłam jej wszystko, co niedawno opowiedziałam Rosie Perrin.

- A więc się uczysz. Edukacja jest bardzo ważna - po wiedziała Zingara. - Sama żałuję, że nie mogłam uczyć się więcej. Ale i tak miałam dużo szczęścia.

- Czy mieszkasz tu z Cyganami? - zapytałam.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Przyszłam w odwiedziny. Ale wychowałam się wśród nich. Biegałam wokoło podobnie jak te dzieci, które tu widziałas. Zawsze bardzo lubiłam tańczyć i śpiewać. Pewnego razu w naszym obozie zamieszkał pisarz, który postanowił napisać książkę o Cyganach. Ów dżentelmen, widząc jak tańczę i słysząc mój śpiew, zdecydował, że powinien rozwijać swój talent. Bardzo mi pomógł. Wysłał mnie do szkoły dla artystów i tam się uczyłam. Teraz jeżdżę po całym kraju z występami. Jestem znana jako Zingara - cygańska pieśniarka i tancerka.

- Ale wróciłaś tutaj.

- Od czasu do czasu wracam. Nie potrafię się tak całkiem oderwać. To jest zupełnie tak jak w jednej cygańskiej pieśni. „Nigdy nie zapomnisz, gdzie twoje prawdziwe miejsce”.

- Ale ty lubisz być Zingarą - cygańską pieśniarką i tancerką.

- Owszem, lubię, choć od czasu do czasu coś mnie ciągnie z powrotem do obozu.

Rosie wyszła z alkowy, niosąc trzy kubki.

- Będzie ci smakowało - powiedziała do mnie. - Sama parzyłam te zioła. No i jak się wam udała pogawędka? Widzę, że od razu przyłgnęłyście do siebie.

- I to bardzo - zapewniła Zingara.

- Jakie to szczęście, że akurat przyjechałaś, gdy panienka Carmel przyszła do nas z wizytą - powiedziała Rosie, kiwając znacząco głową.

- To był wyjątkowo szczęśliwy traf - zgodziła się Zingara.

- No i co sądzisz o mojej herbacie? - dopytywała się Rosie. - Czy jest tak samo dobra jak ta, którą podają w domu doktora?

- Jest inna - odparłam.

- My też jesteśmy inni, czyż nie? - powiedziała Rosie. - Nie możemy wszyscy być tacy sami. Czy Carmel powiedziała ci o guwernantce?

- Tak - odparła Zingara. - Wygląda na bardzo dobrą nauczycielkę.

Przytaknęłam z zapalem.

- Pewnego dnia pewnie wyślą cię do szkoły - ciągnęła Zingara.

- Henry już idzie do szkoły razem z Lucianem Cromptonem.

- A ty pójdziesz z siostrą tego młodego panicza i będzie z ciebie prawdziwa dama - powiedziała Rosie.

To była wielka frajda siedzieć tak z nimi w wozie i gawędzić. Zingara mnie zafascynowała. Z cygańskiego dziecka biegającego po obozowisku wyrosła na artystkę występującą na scenie, a wszystko dzięki pewnemu dżentelmenowi, któremu spodobał się jej śpiew i taniec. Uważałam, że to wspaniała historia, i bardzo chciałam zobaczyć kiedyś, jak tańczy.

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy i nagle uświadomiłam sobie, że przecież jestem poza domem już bardzo długo i że Estella i panna Carson pewnie się zastanawiają, co się ze mną stało.

- Muszę już iść - bąknęłam. - Muszę wracać do domu.

- Pewnie już się o ciebie niepokoją - powiedziała Zingara.

- Chyba tak.
- I na pewno doszli do wniosku, że porwali cię Cyganie - roześmiała się Rosie.

- Tak z pewnością by nie pomyśleli - zaprotestowałam.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekła na to Rosie.

- Chciałabym cię jeszcze zobaczyć - powiedziała Zingara.

- Ja też - odparłam.

Wzięła mnie za rękę i uściśniła mocno.

- Tak się cieszę, że mogliśmy się spotkać. - Uśmiechnęła się do mnie słodko. Rosie patrzyła na mnie z prawdziwą miłością i czułością. Poczułam się szczęśliwa i żałowałam, że nie mogę z nimi zostać.

Podziękowałam Rosie za herbatę i powiedziałam, że pobyt u nich sprawił mi wielką radość. Zingara objęła mnie mocno i przytuliła do siebie. Rosie siedziała, nic nie mówiąc. Uśmiechała się tylko.

- Ona naprawdę już musi iść - odezwała się w końcu. - Będą jej szukali.

- Wiem - powiedziała Zingara. Podeszła ze mną do drzwi wozu.

- Nie odprowadzaj jej - dodała Rosie. - Lepiej będzie, jak wróci sama.

Zingara skinęła głową.

Zeszłam po stopniach w dół i obejrzałam się. Obie Cyganki stały w drzwiach wozu i spoglądały za mną.

Pokiwałam im ręką i szybko ruszyłam przez polanę.

Nie uszłam daleko, gdy usłyszałam jakieś głosy. Przystanęłam raptownie i zaczęłam nasłuchiwać. Jeden z głosów brzmiał zupełnie jak głos doktora, ale to przecież było niemożliwe. Co doktor robiłby w lesie o tej porze?

Cichutko podeszłam bliżej. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie zobaczył, nie chciałam nikomu opowiadać o mojej wizycie u Cyganów. Sama nawet nie wiedziałam dlaczego, poza jednym oczywistym powodem, że na pewno zabroniono by mi tam chodzić, a do tego nie chciałam dopuścić. Pragnęłam przemyśleć to wszystko w spokoju. Zingara wywarła na mnie wielkie wrażenie, podobnie jak poprzednio Rosie Perrin. Ale to wrażenie było innego rodzaju. Chciałam rozważyć wszystko w samotności, bez złośliwych komentarzy

Estelli, która pewnie by powiedziała, że Cyganki tak mi schlebowały, bo chciały mi przepowiedzieć przyszłość, albo też zrobiłaby inną, podobnie złośliwą uwagę.

Chciałam, aby każdy szczegół tego spotkania utrwalił się wyraźnie w mej pamięci, od momentu gdy Jake zatrzymał się przy mnie i powiedział, że Rosie Perrin chętnie by się ze mną zobaczyła, aż do chwili gdy musiałam odejść.

Dlatego nie chciałam, by ktokolwiek mnie tu spotkał.

Ależ tak... to jednak był głos doktora, ten drugi zaś należał do panny Carson.

Zobaczyłam ich. Siedzieli na zwałonym pniu drzewa. Dobrze znałam to miejsce, gdyż sama często tam przesiadywałam.

Zbliżyłam się do nich od tyłu. Inaczej mogliby mnie zauważyć. Stałam przez chwilę, obserwując ich, pograżonych w ożywionej rozmowie. Nie słyszałam, o czym rozmawiają, ale co jakiś czas wybuchali śmiechem, więc musiało być to coś zabawnego. Doktor zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Nigdy go jeszcze takim nie widziałam. A panna Carson była taka wesoła. Uderzyło mnie, że wygląda na szczęśliwą. Wszystko to wydało mi się bardzo dziwne, ponieważ oboje sprawiali wrażenie zupełnie innych ludzi.

Pogratulowałam sobie, że usłyszawszy ich głosy ukryłam się, zanim zdołali mnie zobaczyć. Inaczej musiałabym się tłumaczyć, że byłam z wizytą u Cyganów, a nie chciałam tego robić, nawet przed panną Carson.

Odwrociłam się i cichutko ruszyłam między drzewami w stronę domu.

* * *

Wkrótce potem znowu wybrałam się do Cyganów. Rosie Perrin siedziała na stopniach swojego wozu i wyplatała koszyk, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziałam ją po raz pierwszy. Niestety, Zingara już wyjechała, związana kontraktem. Rosie powiedziała mi, że Zingara występowała już w wielu dużych miastach, nawet w Londynie, i że przedstawienia z jej udziałem cieszą się dużym powodzeniem.

Rozmawiałyśmy przez chwilę i Rosie zapytała, jak mi się podobała Zingara.

- Bardzo - odpowiedziałam, na co Rosie mocno uściśniła mi rękę, mówiąc:

- Ona także bardzo cię polubiła.

Atmosfera w domu uległa pewnym przeobrażeniom. Najmniej dotyczyło to samej pani Marline, które była tak samo wymagająca jak poprzednio, a nawet - jak twierdziła pani Barton - z dnia na dzień stawała się gorsza. Bez przerwy robiła wymówki biednemu doktorowi, nie czekając nawet, aż wchodząc do jej pokoju zamknie za sobą drzwi, tak że wszyscy mogli bez przeszkód wysłuchać, że to za jej pieniądze kupiono ten dom i że doktor wszystko jej zawdzięcza. Wyglądało na to, że ranienie czyichś uczuć sprawia jej przyjemność, a ponieważ Adelina była najwrażliwsza, wybrała ją sobie za obiekt szczególnie okrutnych ataków.

Często posyłała po nią i zadreślała pytaniami, aby sprawdzić, jakie postępy robi pod kierunkiem nowej guwernantki. Adelinę ogarniał wtedy paniczny lęk, tak że kompletnie traciła głowę, a wtedy pani Marline zaczynała ubolewać, że wydała na świat tak głupie stworzenie. Twierdziła przy tym, że wina leży po stronie doktora, a nie jej.

Adelina wychodziła z pokoju matki w stanie całkowitej hysterii. Panna Carson czekała już na nią, zabierała na górę do pokoju szkolnego, obejmowała ramieniem, przytulała, ocierała łzy i szeptała słowa pociechy. Zapewniała Adelinę, że absolutnie nie jest głupim stworzeniem, że doskonale daje sobie radę z lekcjami, że nie powinna brać sobie do serca, gdy ktoś mówi o niej coś innego. Gdy ona, panna Carson jest tutaj, nikt nie wyrządzi jej krzywdy, a nawet gdyby ktoś miał taki zamiar, będzie najpierw miał z nią do czynienia.

Ja także przyłączałam się do nich ze słowami pociechy i stopniowo Adelina zaczynała się uśmiechać. Zarzucała pannie Carson ręce na szyję i przytulała się do niej. Na szczęście Adelina szybko przerzucała się z jednego nastroju w drugi i pannie Carson łatwo udawało się ją przekonać, że wszystko jest w porządku, i taki stan trwał aż do następnej awantury.

Przy kolejnym incydencie tego typu panna Carson sama postanowiła stawić czoło pani Marline. Estella, Adelina i ja wiedziałyśmy, że poszła do jej pokoju, i wszystkie trzy stanęłyśmy pod drzwiami, żeby posłuchać, co się teraz będzie działo.

Do naszych uszu dochodził podniesiony głos pani Marline i znacznie cichsze odpowiedzi panny Carson; wreszcie po dłuższej chwili panna Carson wyszła z zaczerwienioną twarzą i błyszczącymi oczami. Minę miała przygnębioną. Bałam się, że pani Marline jej wymówiła, i myśl o jej odejściu napełniła mnie przerażeniem. Adelina i ja kochałyśmy ją bardzo i nawet Estella przyznawała, że „ta guwernantka nie jest taka zła”.

Panna Carson poszła prosto do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Owładnięta okropnym podejrzeniem, nie mogłam się powstrzymać od pójścia za nią. Panna Carson siedziała na łóżku, wpatrując się w coś niewidzącymi oczami. Rzuciłam się jej w ramiona, a ona przytuliła mnie mocno.

- Pani od nas nie odejdzie, prawda? - zawołałam ze strachem.

Nie odpowiedziała, ale wyglądała tak nieszczęśliwie, iż pomyślałam, że chyba jednak jej wymówiono. Wreszcie odezwała się:

- A mogłam tu być taka szczęśliwa, taka szczęśliwa. - Mówiła cicho, ze smutkiem, jakby do siebie.

- Niech pani nie odchodzi - błagałam. - Niech pani nas nie zostawia. Adelina nie zniosłaby tego, a ja także nie. My panią bardzo kochamy.

- Moje dziecko, ja też was kocham. Kocham ten dom, kocham... - Jej wargi drżały, gdy mówiła dalej: - Oświadczyła mi, że mam odejść. Ona jest szalona. Nie dba o nikogo, myśli wyłącznie o sobie. Biedny doktor... zaraz, co ja mówię. Nic... nic już nie można zrobić, pozostaje tylko pogodzić się z losem.

Pomyślałam, że jeśli pani Marline dała jej wymówienie, to rzeczywiście nic już nie da się zrobić. Pani Marline zawsze nagnie wszystko do swojej woli. Zadrżałam na myśl, jak okropnie będzie w domu bez panny Carson. Nic już nie będzie w stanie mnie ucieszyć, poza wizytami wuja

Toby'ego oczywiście, ale one przecież są takie rzadkie. Może jeszcze Zingara, ale ona ma swój kontrakt i też nie będzie tu częstym gościem.

Gdy doktor wrócił, poszedł do pokoju żony, jak to zwykł czynić codziennie, a my wszyscy czekaliśmy w napięciu, co się teraz stanie. Pani Marline zrobiła koszmarną awanturę. Bez wątpienia była wściekła. W końcu doktor wyszedł z pokoju. Twarz miał białą jak płótno. Udał się wprost do pokoju panny Carson i pozostawał tam przez dłuższy czas.

Nigdy nie dowiedziałam się, co dokładnie zaszło między doktorem a panią Marline, ale panna Carson nie odeszła. Widocznie doktor też miał swoje sposoby. Już kiedyś, gdy pani Marline chciała mnie odesłać do przytułku, sprawił, że zostawiono mnie w Commonwood.

W domu zapanowała atmosfera niepewności. Każdy z napięciem wyczekiwał, co jeszcze może się wydarzyć. Służba poszeptowała za zamkniętymi drzwiami. Wyrok na pannę Carson został odroczoney.

Po tym incydencie nigdy już nie chodziła do pokoju pani Marline. Adelina także nie. Biednej dziewczynie oszczędzono tych okropnych przeżyć i wiedziałam, że to panna Carson ją od nich wybawiła. Adelina była bardzo uczuciowa. Pannę Carson uwielbiała najbardziej ze wszystkich znanych sobie osób. Gdy tylko nauczycielka pojawiała się na horyzoncie, twarz Adeliny rozjaśniała się radością. Potrafiła wpatrywać się w nią całymi godzinami, uśmiechając się do siebie. Byłam przekonana, że Adelina czuje się bezpiecznie i szczęśliwie wyłącznie w obecności panny Carson.

* * *

Doktor zaczął zwracać na nas baczniejszą uwagę. Częściej też go teraz widywaaliśmy. Bardzo się zmienił. Interesował się naszymi postępami w nauce, co przed pojawieniem się panny Carson zdawało się wcale go nie obchodzić. Teraz przychodził do pokoju szkolnego, wypytując o nasze osiągnięcia.

Jego odwiedzin mogliśmy się nie obawiać. Doktor zawsze się uśmiechał. Panna Carson była bardzo dumna z Adeliny, która teraz umiała już trochę czytać, czego absolu-

tnie nie potrafiła się nauczyć przy pannie Harley. Adelina rumieniła się z dumy, słysząc, że musi przeczytać coś głośno tatusiowi, aby mu pokazać, jaka jest mądra. Z buzią ściągniętą skupieniem otwierała książkę i wodziła palcem po linijkach, czytając z przejęciem:

*Trzy rozbrykane kaczuśki Nad
stawem czynią swawole. Oj
brzydko, brzydko, kaczuśki, Wy
przecież macie być w szkole.*

Skończywszy, podniosła oczy w oczekiwaniu na wyrazy podziwu ze strony słuchaczy. Panna Carson zaczęła klaskać, a doktor przyłączył się do aplauzu. Adelina pęczniała z dumy i szczęścia.

Zastanawiałam się, czy doktorowi przychodzi czasami do głowy to, co i mnie, mianowicie że panna Carson tak bardzo różni się od pani Marline.

Potem doktor pytał jeszcze, jak dajemy sobie radę Estella i ja, a panna Carson pokazywała mu nasze zadania.

- Świetnie, świetnie, wręcz wyśmienicie - mówił doktor, spoglądając na pannę Carson.

- Myślałam, żeby zacząć dziewczynki uczyć francuskiego - powiedziała pewnego dnia.

- Co za doskonały pomysł.

- Staram się, jak mogę.

- Jestem o tym przekonany - powiedział doktor, uśmiechając się promiennie do nas i do panny Carson.

Przynajmniej on ją docenia, myślałam, rozważając, o ile przyjemniej byłoby w domu, gdyby nie obecność pani Marline.

Henry przyjechał na wakacje. Bardzo przyjaźnił się teraz z Lucianem Cromptonem i często odwiedzał Grange. Camilla także była w szkole, a gdy wróciła, zostałyśmy zaproszone na herbatę, podczas której opowiadała nam różne szkolne historie, od których włos jeżył się na głowie. Estella bardzo jej zazdrościła, natomiast ja nie zamieniłabym panny Carson nawet na najbardziej porywające i zuchwałe przygody.

Potem przyszedł nowy rok i atmosfera w domu zdawała się zmieniać coraz bardziej. Nie bardzo potrafiłam powiedzieć, na czym ta zmiana polega. Doktor stał się zupełnie innym człowiekiem; często słyszałam teraz jego śmiech. Nawet gdy wynurzał się z pokoju pani Marline, która nie przestawała go strofować, nie miał już tak żalosego wyglądu jak dawniej. Czasami nucił melodie z operetek Gil berta i Sullivana, bardzo popularne w owym czasie, czego wcześniej nigdy nie czynił.

Pani Marline coraz częściej miewała swoje złe dni. My wszyscy witaliśmy je z ulgą, gdyż wtedy pojawiał się doktor Everest i dawał jej silny środek uspokajający, po którym stawała się senna i ociężała. Na parterze zapadała wówczas błoga cisza, a służba nie musiała ustawicznie nasłuchiwać dzwonka.

Panna Carson sprawiała wrażenie szczęśliwej. Jej rozpromieniona twarz wyglądała niemal pięknie. Nie była to taka uroda, jak uroda Zingary, ale coś, co nazwałabym wewnętrznym światłem.

Adelina też była szczęśliwa. Chodziła po domu, podśpiewując:

*Migocząca gwiazdko mała,
Jak na niebo się dostałaś?*

Ilekoć teraz słyszę gdzieś tę dziecięcą piosenkę, wracam myślą do przeszłości, do tamtych dni, które - jak to teraz oceniam - były ciszą przed burzą, jaka rozpuętała się później i pochłonęła nas wszystkich.

Ale wtedy byliśmy bardzo szczęśliwi i nawet Estella przestała tęsknić za szkołą.

Zauważyłam, że służba poszeptuje między sobą i milknie raptownie, ilekoć zbliża się któreś z dzieci. Widocznie coś musiało się wydarzyć. Przelotnie zastanawiałam się, co by to mogło być.

W Commonwood House służba sypiała na strychu, gdzie znajdowało się wiele małych pokoików o nieregularnych kształtach i spadzistych sufitach. Poniżej, na trzecim piętrze, była część przeznaczona dla dzieci - pokój szkolny i nasze sypialnie: moja, Adeliny, Estelli, Henry'ego, niani i Sally.

Pokój panny Carson znajdował się na drugim piętrze, na pierwszym zaś była sypialnia doktora, którą niegdyś dzielił z panią Marline.

Sama nie wiem, co mnie obudziło tamtej nocy. Może ogromny księżyc, świecący przez okno wprost na moje łóżko. Otworzyłam oczy i wpatrywałam się w wielką tarczę, która zdawała się zawieszona bardzo nisko.

I wtedy usłyszałam jakiś szmer, zupełnie jakby ktoś zamknął drzwi. Natychmiast pomyślałam o Adelinie. Jej pokój sąsiadował z moim. Panna Carson zawsze powtarzała, że powinniśmy uważać na Adelinę i nigdy nie dawać jej odczuć, że jest inna niż my.

Wstałam z łóżka i cichutko otworzyłam drzwi. Wokoło panowała cisza. Adeliny nie było na korytarzu, a drzwi jej sypialni były zamknięte. Pomyślałam, że pewnie wyobraziłam sobie tylko ten dźwięk; może po prostu śniłam. Potem jednak usłyszałam szmer dochodzący z dołu. Przechyliłam się przez poręcz i zobaczyłam pannę Carson. Ostrożnie szła w stronę schodów, najwyraźniej starając się robić jak najmniej hałasu. Gdy dotarła do pierwszego piętra, przemknęła korytarzem aż do sypialni doktora, a potem cichutko nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Byłam zdumiona. Dlaczego chciała zobaczyć się z doktorem o tej porze? Czy coś się stało z Adeliną? Ale nie, panna Carson nie mogła być w sypialni Adeliny przed pójściem do doktora, usłyszałabym ją.

Czekałam dłuższą chwilę, ale nic się nie działo. Minuty upływały, a drzwi sypialni doktora pozostawały zamknięte.

Byłam bardzo młoda i niedoświadczona i nie rozumiałam, co to może oznaczać. Dopiero w długi czas później pojęłam znaczenie owej sceny.

Panna Carson zmieniła się. Teraz często siedziała, wpatrując się w przestrzeń, jakby widziała tam coś, co dla naszych oczu pozostawało zakryte. Jej twarz, łagodna i piękna, była jakby opromieniona blaskiem jakiejś cudownej wizji. A potem, gdy któreś z nas się odezwało, zdawała się

budzić ze snu. Dla nas była jak zwykle łagodna i dobra.

Co więcej, w domu rozgrywała się jakaś tajemnica. Chociaż niania Gilroy bynajmniej nie pochwalała tego, co się działo, owa tajemnicza sprawa stanowiła dla niej źródło przewrotnej uciechy. Ale niania już taka była i nieraz czerpała przyjemność z tego, co nazywała nikczemnością. Kiedyś zdarzyło się, że żona piekarza uciekła z komiwojażerem. Niania mówiła o nim, że jest zepsuty do szpiku kości, i z satysfakcją dodawała, że żonę piekarza spotka marny koniec, ale przecież ta kobieta nie zasłużyła sobie na nic lepszego. Niania wydawała się bardzo z tego zadowolona. Nigdy nie darzyłam jej specjalną sympatią, ale teraz lubiłam ją mniej niż kiedykolwiek.

Pewnego dnia panna Carson oświadczyła nam, że musi pojechać do kogoś z wizytą i nie będzie jej w domu przez kilka dni. Gdy wyjechała, Adelina wpadła w panikę. Biedaczka obawiała się, że matka natychmiast po nią pośle, i gdy byłyśmy na parterze, nie odstępowała mnie ani na krok i przez cały czas ścisnęła moją rękę. Po tygodniu panna Carson wróciła i Adelina przyłgnęła do niej jeszcze bardziej niż poprzednio.

- Niech pani nigdzie nie wyjeżdża - powtarzała.

Panna Carson wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpląkać. Mocno przytuliła Adelinę i powiedziała:

- Nie chcę stąd nigdzie odjeżdżać, kochanie. Chcę tu zostać na zawsze z tobą, z Carmel, z Estellą i... na zawsze, naprawdę na zawsze.

Nadszedł wrzesień. Lucian i Camilla, którzy przyjechali na wakacje, wkrótce mieli wrócić do szkoły. Lucian - choć teraz znacznie starszy - nie przestał być miły wobec mnie, zawsze miał dla mnie czas i często ze mną rozmawiał. Estella nie była z tego specjalnie zadowolona, co sprawiało, że podwójnie ceniłam sobie jego względy. Estella bardzo lubiła Luciana i zawsze starała się zainteresować go swoją osobą.

Przez kilka dni na dworze było gorąco i parno. Tom Yardley powtarzał, że burza wisi w powietrzu. Rzeczywiście od czasu do czasu dochodziły do nas odległe grzmoty. Gdy teraz spoglądam w przeszłość, wydaje mi się, że burza była

jakby zapowiedzią tego, co miało się wydarzyć w Commonwood House.

Pani Marline czuła się teraz nieco lepiej i Tom znowu wywoził jej fotel do ogrodu i ustawiał go w cieniu, gdzie mogła wygodnie czytać lub drzemać.

Tego dnia Lucian i Camilla przyszli do nas z wizytą i wszyscy jedliśmy podwieczorek w saloniku na parterze. Ponieważ pani Marline była w ogrodzie, mogliśmy hałasować do woli.

Lucian jak zwykle kierował rozmową. Był starszy od Henry'ego i w naszych oczach już niemal dorosły, toteż czuliśmy przed nim respekt i gdy coś mówił, nikt z nas mu nie przerywał, wszyscy słuchali z uwagą. Ostatnio Lucian czytał książkę o wydobywaniu opali w Australii i temat ten bardzo go zafascynował. Teraz opowiadał nam o tych kamieniach. Adelina siedziała razem z nami. Zawsze chciała robić to co wszyscy, a Lucian chętnie godził się na jej obecność.

- Opale są fantastyczne - mówił z przejęciem. Zawsze wpadał w entuzjazm, gdy coś szczególnie go zainteresowało, i potrafił zarazić nim swoich słuchaczy. - Wyobraźcie sobie te wszystkie długie i żmudne poszukiwania i potem odkrycie jakiegoś wspaniałego okazu. Opale potrafią mieć precudne kolory - mienią się czerwienią, błękitem, zielenią. Te nazywa się czarnymi opalami, w odróżnieniu od mlecznych, których złoża znajdują się w innych miejscach. Moja matka ma czarny opał, ale nie nosi go zbyt często. Trzyma go w banku, razem z resztą kosztowności.

- Ludzie mówią, że opale przynoszą nieszczęście - wtrąciła Camilla. - To dlatego mama trzyma swój w banku. Uważa, że dzięki temu nie ona będzie miała pecha, tylko bank.

- Nieprawda - roześmiał się Lucian. - Trzyma go w banku ze względu na jego wartość. Opale są bardzo cenne.

- Moja mama ma pierścionek z opalem - powiedział Henry. - Czasami go wkłada.

- Może właśnie dlatego spotkał ją wypadek. - Camilla nie chciała tak łatwo zrezygnować ze swojej teorii o opalach przynoszących nieszczęście.

- Nonsens - odparł Lucian. - W jaki sposób kamień może sprowadzić nieszczęście? Ludzie nazwali opale pechowymi kamieniami, ponieważ łatwo się kruszą. Podobne historie szybko znajdują podatny grunt. Ludzie wyolbrzymiają takie incydenty i potem rodzą się przesady. Chciałbym kiedyś zobaczyć pierścionek pani Marline.

- Jest w posiadaniu naszej rodziny już od dawna - powiedział Henry. - Mama trzyma go w szkatułce z kosztownościami.

- Mama nie nosi go zbyt często - dodała Estella. - Oczywiście pewnego dnia pierścionek przejdzie na mnie. Opal jest otoczony małymi diamentami.

Lucian opowiedział nam jeszcze, jak się wydobywa opale, sortuje je i nadaje im pożądane kształty. Dodał też, że dziwnym trafem opale można znaleźć tylko w kilku miejscach na ziemi.

Gdy skończyliśmy herbatę, Henry oznajmił, że jadą z Lucianem do wioski po jakąś część do roweru.

- Ale wróćcie tu jeszcze? - upewniła się Adelina.

- Myślę, że tak - odparł Lucian.

Zabrałyśmy Camillę do pokoju szkolnego i zaczęłyśmy grać w zgadywanke. Camilla powiedziała, że w internacie dziewczęta często bawią się w tę grę wieczorem po zgaszeniu świateł.

Na krótko przedtem zanim chłopcy wybrali się do wioski, pani Marline wróciła do siebie, ale po chwili doszła do wniosku, że skoro pogoda jest tak piękna, a ona sama czuje się lepiej, posiedzi jeszcze w ogrodzie. Tom Yardley pomógł jej wyjechać z fotelem i w domu znowu zapanował spokój.

Lucian i Henry nie wracali. Podejrzewałam, że musieli się gdzieś wypuścić. My poszłyśmy odprowadzić Camillę do Grange. Pani Marline ciągle była w ogrodzie. Po powrocie udałam się do swojego pokoju i w chwilę później usłyszałam odgłosy awantury. Zeszłam na dół, aby zobaczyć, co się stało.

Biedna Adelina wpakowała się w tarapaty. Siedziała na podłodze w sypialni pani Marline, a obok niej leżała wywrócona szufladka toaletki, której zawartość wałała się teraz po dywanie. Najwidoczniej chciała otworzyć szufladkę

i wysunęła ją za daleko, tak że szufladka wypadła. Adelina oczywiście nie pomyślała o żadnym sensownym rozwiązaniu, tylko zaczęła głośno wzywać pomocy, w nadziei, że ktoś - najlepiej panna Carson - przyjdzie i wybawi ją z kłopotu, zanim matka wróci i odkryje, że Adelina była w jej sypialni i grzebała w toalecie.

Pech chciał, że jej krzyki usłyszała sama pani Marline. Natychmiast zawołała kręcącego się w pobliżu Toma Yardleya i kazała mu zawieźć się z powrotem do sypialni, gdzie zastała Adelinę siedzącą na podłodze, z zawartością szufladki rozsypaną na dywanie. Nadbiegła zaalarmowana niania Gilroy. Przez otwarte drzwi mogłam obserwować tę rozdzierającą serce scenę. Pani Marline patrzyła na szlochającą Adelinę z niesmakiem.

- Ja tylko chciałam pokazać Lucianowi... - mówiła Adelina, nie przestając płakać. - Tylko na chwileczkę. Nie chciałam nic złego. Pociągnęłam i wszystko wyleciało.

- Przestań się mazać - powiedziała pani Marline. - Wyglądasz idiotycznie. Yardley, proszę pozbiierać te rzeczy i włożyć je na miejsce.

Tom Yardley zrobił, co mu kazano.

- Chodź tutaj - warknęła pani Marline do opierającej się Adeliny. - Ty głupie stworzenie, kiedy wreszcie okażesz choć trochę rozsądku?

- Jak tylko chciałam pokazać Lucianowi pierścionek z opalem. Ja tylko...

- Uspokój się natychmiast. Jak śmiałaś wejść do mojej sypialni i otworzyć szufladkę?

- Ja tylko...

W tym momencie na dół zeszła panna Carson.

- Co się stało? - zwróciła się do mnie.

- Adelina poszła do sypialni pani Marline. Usiłowała otworzyć szufladkę toaletki i szufladka wypadła - powiedziałam. - Lucian opowiadał nam o opalach i Adelina chciała mu pokazać pierścionek matki.

- Biedne dziecko. Jak można traktować ją w ten sposób? Przecież to nic nie pomoże.

- Zostaniesz ukarana - mówiła pani Marline. - Natychmiast pójdziesz do swojego pokoju i będziesz tam siedziała bez światła przez cały wieczór.

Przerażona Adelina zaczęła głośno zawodzić. Panna Carson weszła do pokoju. Na jej widok Adelina krzyknęła z radości i przywarła do niej kurczowo.

- Wszystko w porządku - uspokajała ją panna Carson. - Nikt cię nie skrzywdzi.

Adelina, ciągle szlochając, trzymała się jej ze wszystkich sił.

- Jak pani śmie się wtrącać? - zawołała pani Marline. - Co za impertynencja! Tego już doprawdy za wiele. Proszę natychmiast opuścić ten dom.

- Nie, nie! - krzyczała Adelina.

- Własnym uszom nie wierzę - ciągnęła pani Marline. - Czy wszyscy tu postradali zmysły? Panno Carson, jak pani śmiała wejść do mojego pokoju?

- Adelina nie miała zamiaru wyrządzić żadnej szkody i nic złego się nie stało - powiedziała panna Carson spokojnie.

- Chodźmy, Adelino.

Adelina kurczowo uczepliła się jej ręki, podczas gdy pani Marline mierzyła ją pełnym oburzenia spojrzeniem. Panna Carson, prowadząc Adelinę, wyszła do hallu, gdy nagle wydała lekki okrzyk. Potknęła się i gdyby nie niania Gilroy, która ją podtrzymała, byłaby upadła. Teraz miękko osunęła się na podłogę i leżała z zamkniętymi oczami. Twarz miała bardzo bladą.

- Zemdląła - powiedziała niania Gilroy z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy. - Po prostu zemdląła.

- Co się stało, na Boga? - dopytywała się pani Marline ze swojego pokoju.

- Guwernantka zemdląła, proszę pani - odparła niania Gilroy. - Zaraz się nią zajmę.

Adelina spoglądała na pannę Carson z niedowierzaniem. Ogarnęło mnie przerażenie. Cała ta scena wydawała się jakby nierealna.

Przybiegła pani Barton.

- A co tu się wyprawia? - zaczęła wypytywać.

- Guwernantka zemdląła - odparła niania, a w jej głosie brzmiała jakaś szczególna nuta. Zupełnie jakby mówiła do pani Barton: „Przepowiadałam, że tak będzie”.

Kilka następnych minut było prawdziwym koszmarem. Adelina szlochała, powtarzając bez przerwy:

- Obudź się, obudź się. Nie pozwól im mnie skrzywdzić.
Niania popatrzyła na panią Barton.

- Lada moment przyjedzie Annie. Nie byłoby źle, gdy by rzuciła na nią okiem. - Szturchnęła panią Barton, a ta uśmiechnęła się. Zupełnie jakby przypomniały sobie jakiś dowcip, znany tylko im.

W końcu ku uldze mojej i Adeliny panna Carson otworzyła oczy.

- Co, co... ? -pytała.

- Zemdląła pani, kochana - powiedziała pani Barton.

Panna Carson popatrzyła na nią z wyrazem paniki w oczach. Adelina klęczała obok, ściskając ją za rękę.

- Nie mdlej - błagała. - Nie zostawiaj mnie samej.

- Pomogę pani wstać, moja droga - mówiła pani Barton.

- Najlepiej będzie, jak się pani od razu położy i odpocznie.

- Właśnie - poparła ją niania. - Pani pójdzie się położyć.
Miała pani ciężkie przejścia.

Panna Carson poszła do swojego pokoju, odprowadzana przez nianię i panią Barton. Adelina i ja nie odstępowałyśmy ich ani na krok. Byłyśmy wstrząśnięte tą sceną.

Weszłam do pokoju panny Carson, która leżała na łóżku, przerażonymi oczami wpatrując się w sufit.

- Niech pani sobie teraz poleży - mówiła pani Barton. - W tym stanie nie wolno się pani denerwować.

Usta niani drgnęły w szyderczym grymasie. Popatrzyła na mnie i na Adelinę.

- A wy co tutaj robicie? Zabierajcie się stąd, i to mi-giem.

Wzięłam Adelinę za rękę i wyprowadziłam z pokoju.

- Ale panna Carson nie jest chora, prawda? - z niepo-kojem dopytywała się Adelina.

- Wszystko będzie z nią dobrze - zapewniłam.

- I nie odeślą jej stąd?

Uścisnęłam jej rękę.

- Och nie, nie - powiedziałam bez przekonania. Mu-siałam ją jakoś pocieszyć, gdyż nie mogłam znieść wido-ku jej twarzy wykrzywionej przerażeniem.

Niania Gilroy wysunęła się z pokoju. Złapała Adelinę za rękę i odciągnęła ode mnie.

Poszłam do siebie. Czułam, że niebawem wydarzy się

coś dramatycznego. Byłam przekonana, że panna Carson dostanie wymówienie i będzie musiała pakować manatki. Pani Marline nigdy nie zezwoli na to, by ktoś, kogo zatrudniła, przemawiał do niej w taki sposób. Już raz panna Carson była o krok od wypowiedzenia. Tym razem nie uda się tego uniknąć. Byłam przerażona na myśl, jak okropny będzie dom po jej odejściu.

O wpół do siódmej, gdy Annie Logan przyjechała pomóc pani Marline przy toalecie, niania Gilroy zaprowadziła ją do pokoju panny Carson. Uchyliłam drzwi i podglądałam, jak idą korytarzem.

- Byłoby lepiej, gdybyś się nią zajęła, Annie. Zemdląła, najzwyczajniej w świecie zemdląła. To nie jest normalne, żeby młoda kobieta ni z tego, ni z owego traciła przytomność. Coś jest z nią nie w porządku.

Zniknęły w pokoju panny Carson, zamykając za sobą drzwi.

Po jakimś czasie wyszły i udały się do kuchni na tradycyjną filiżankę herbaty. Czekałam i czekałam, podczas gdy one rozmawiały z panią Barton. Jakże żałowałam, że nie mogę usłyszeć, o czym mówią. Wreszcie drzwi się otworzyły i usłyszałam głos niani.

- Teraz można zrobić tylko jedno. Mówcie, co chcecie, ale ja uważam, że wszystko trzeba powiedzieć pani. Kto by pomyślał! Zresztą od początku to podejrzewałam, i wy także.

Wszystkie trzy udały się prosto do pokoju pani Marline. Niestety, nie zdołałam usłyszeć, o czym mówiły. Pani Marline tym razem nie podnosiła głosu. Po rozmowie z panią Annie wsiadła na rower i odjechała, a niania i pani Barton poszły do kuchni na dalsze plotki.

Gdy doktor wrócił do domu, pani Barton zakomunikowała mu, że pani chce go natychmiast widzieć. Wiedziałam, że rozmowa będzie dotyczyła przyszłości panny Carson. W podsłuchiwaniu miałam już niezłą wprawę, więc udało mi się usłyszeć to i owo.

Dzień był gorący i okna pokoju pani Marline były szeroko otwarte. Podkrađłam się tak blisko, jak tylko starczyło mi odwagi, i wcisnęłam się za rozłożysty krzew. Oczywiście nie zdołałam usłyszeć wszystkiego, jednak część rozmowy

dotarła do moich uszu, zwłaszcza te fragmenty, gdy pani Marline podnosiła głos, jak to zwykle czyniła, gdy coś ją zdenerwowało. Tym razem była wyjątkowo zła.

- ... Bezcelność tej kobiety. Żeby mnie pouczać, jak mam traktować własne dziecko...

Cichych słów doktora nie udało mi się zrozumieć.

- Nie będziesz mi tu bronił tej dziwki. Miarka się przebrała. Ma stąd natychmiast odejść. Byłoby oburzające trzymać ją tutaj. Masz ją zwolnić... albo... albo może wolisz, abym ja to zrobiła? Ma opuścić mój dom. Może zostać przez dzisiejszą noc, a potem fora ze dwora.

Po tych słowach zapadła długa cisza, widocznie doktor opuścił pokój.

Wśliznęłam się z powrotem do domu i pod wpływem nagłego impulsu poszłam do pokoju panny Carson i zapukałam do drzwi. Gdy rozpoznała mój głos, powiedziała:

- Wejdz, proszę.

Weszłam do środka. Adelina leżała na łóżku panny Carson, płacząc i obejmując ją za szyję. Panna Carson usiłowała ją uspokoić. Czując nagłe wzruszenie, podeszłam do nich i gdy blady i zgnębiony doktor wszedł do pokoju, zastał nas wszystkie trzy ciasno obejmujące się ramionami.

- Och, tatusiu - szlochała Adelina - nie pozwól, aby panna Carson odeszła.

- Musimy zrobić wszystko, aby z nami została - powiedział doktor.

- O tak, o tak - powtarzała Adelina ze szlochem.

- A teraz, dzieci, mam coś ważnego do powiedzenia pannie Carson. Carmel, zabierz stąd Adelinę, dobrze?

Podniosłyśmy się z łóżka. Adelina podbiegła do ojca i chwyciła go za rękę.

- Och proszę, proszę, zrób coś, aby została.

- Drogie dziecko - zaczął doktor, potem urwał nagle i pocałował ją. Nigdy przedtem nie widziałam, aby to robił. - Uczynię wszystko, co w mojej mocy.

Potem uśmiechnął się do mnie łagodnie, a ja wzięłam Adelinę za rękę i wyprowadziłam z pokoju.

* * *

To była dziwna noc. Spałam niewiele, a kiedy obudziłam się rankiem, czułam, że czeka nas coś nieuchronnego. Wiedziałam, że nadchodzący dzień będzie dla nas ważny.

Tego dnia Henry wracał do szkoły. Odjeżdżał jak zwykle o dziesiątej rano. Zawsze w związku z jego odjazdem wszystkie inne sprawy domowe odsuwano na drugi plan i tym razem było tak samo.

Wczorajszy wieczór spędził z Lucianem w Grange i dlatego miał niewielkie pojęcie o wydarzeniach poprzedniego dnia, ale Henry rzadko interesował się czymkolwiek, co nie dotyczyło go bezpośrednio. Panna Carson odgrywała w jego życiu niewielką rolę, więc nawet nie zdawał sobie sprawy z tego - czy też może nie dbał o to - jaką tragedią byłoby jej odejście.

Doktor jak zwykle odwiózł go na stację, gdzie już czekał Lucian, gdyż chłopcy podróżowali razem. Pożegnawszy się z Henrym, doktor udał się wprost do ambulatorium i wrócił do domu późnym popołudniem. To dziwne, ale na pozór mogłoby się wydawać, że po wczorajszym dramacie wszystko wróciło do normy. Ale tak naprawdę była to tylko cisza przed burzą. Nie ulegało wątpliwości, że pani Marline będzie nalegała na odjazd panny Carson i doktorowi pewnie nie uda się temu przeszkodzić.

Panna Carson nie czuła się dobrze, więc nie miałyśmy lekcji. Estella była z tego zadowolona. Wiedziała, że między matką a guwernantką doszło do spięcia. Odnosiłam wrażenie, że wie coś więcej na temat tej scysji, ale nie chciała mi niczego powiedzieć. Poszła zobaczyć się z Camillą, która wracała do szkoły dopiero za kilka dni.

Nie chciałam jej towarzyszyć. Nie chciałam opuszczać domu, gdyż spodziewałam się, że każda następna chwila może przynieść kolejne, brzemiennie w skutki wydarzenie.

Pani Marline przebywała w swoim pokoju i zachowywała się wyjątkowo spokojnie.

Słyszałam, jak niania mówi do pani Barton:

- Pani jest wściekła, ale kto by nie był na jej miejscu. Poczekaj, aż on wróci, a wtedy dopiero rozpęta się piekło.

W ciszy, jaka ogarnęła cały dom, wyczuwało się coś złowieszczo. Ta cisza przytłaczała. Na pewno się skończy, gdy doktor wróci do domu, a wtedy - według słów niani - rozpęta się piekło.

Ale nastąpiło to jeszcze przed jego powrotem. Zaczęło się w chwili, gdy Tom Yardley wszedł do pokoju pani Marline zapytać, czy pani chce wyjechać do ogrodu. Widać tak mu już było pisane, że to zawsze on dokonywał jakiegoś odkrycia.

Okna były otwarte, więc zastukał i zawołał panią, a nie usłyszawszy odpowiedzi, zajrzał do pokoju. Pani Marline leżała w łóżku. Pomyślał, że pewnie śpi, i już miał się odwrócić, kiedy zaniepokoił go jej dziwny, charczący oddech. Uznawszy, że coś musi być nie w porządku, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie kogoś powiadomić, więc udał się do kuchni, do pani Barton.

Oboje wrócili do sypialni. Pani Marline leżała spokojnie i już nie charczała, jednak w jej wyglądzie było coś niepokojącego i pani Barton zdecydowała, że trzeba posłać po doktora Everesta.

Tom poszedł po niego, ale doktor był u pacjenta i minęła dobra godzina, zanim przyszedł do Commonwood House. Gdy wreszcie się pojawił, mógł tylko stwierdzić, że pani Marline nie żyje.

Na morzu

Teraz, po latach, trudno mi odtworzyć w pamięci wydarzenia tamtego dnia. Po domu kręciło się mnóstwo osób, bez przerwy ktoś wchodził i wychodził. Wokół panowało ciężkie, przygnębiające milczenie, przerywane jedynie nerwowym poszeptywaniem po kątach.

Wiadomość, że pani Marline nie żyje, spadła na wszystkich niczym grom z jasnego nieba. Doktor Everest posłał po doktora Marline'a, który wrócił do domu przerażony i wstrząśnięty. Obaj panowie odbyli długą rozmowę, po której doktor Everest opuścił wreszcie Commonwood House. Niania Gilroy z panią Barton konferowały zawzięcie, później dołączyła do nich jeszcze Annie Logan. Na wszelki wypadek zamknęły drzwi kuchni, by nikt nie podsłuchał, o czym mówią.

Doktor i panna Carson siedzieli w saloniku, oboje kompletnie załamani.

Także Estella i ja dyskutowaliśmy o tym, co się wydarzyło. Żadna z nas nawet nie starała się udawać żalu po pani Marline. Wielokrotnie słyszałam, jak ludzie nazywali śmierć „szczęśliwym wybawieniem”. W tym wypadku to określenie wydawało mi się szczególnie trafne. Rzeczywiście zgon pani Marline był dla nas wybawieniem. Dla niej pewnie też, skoro tyle się nacierpiała.

Słyszałam, jak niania mówi złowieszczym tonem:

- Na pewno dojdzie do rozprawy i wtedy dopiero zobaczymy.

Dom stał się teraz zupełnie inny. Miałam wrażenie, że po kątach czają się groźne, ponure cienie, że lada moment może dojść do strasznego w skutkach wybuchu. Usiłowałam się pocieszać, że wszystko powoli się uładzi i będziemy jeszcze bardzo szczęśliwi bez pani Marline.

Ale w życiu nigdy nie układa się tak, jak byśmy pragnęli.

Miała się odbyć rozprawa i to zatrważające słowo padało w każdej rozmowie, jaką udało mi się podsłuchać. We wszystkich oknach pospuszczano zasłony i we wnętrzu panował półmrok. Pokoje pani Marline zostały zamknięte na klucz i nikt nie miał prawa do nich wejść.

Estella twierdziła, że w przypadku nagłej śmierci zawsze się sprawdza, jaka mogła być przyczyna. Z podsłuchanych strzępków rozmów niani z panią Barton domyślałam się, że po takim sprawdzeniu wyjdzie na jaw coś bardzo istotnego.

Mniej więcej w trzy dni po śmierci pani Marline w Commonwood House pojawiła się nowa osoba, wysoka i chuda kobieta, zachowująca się z wielką pewnością siebie. Uderzyło mnie jej podobieństwo do pani Marline. Doktor przyjął ją z pewnym zdziwieniem. Z mojego punktu obserwacyjnego usłyszałam, jak pani ta powiedziała do doktora:

- Doszłam do wniosku, że najwyższy czas, abym przyjechała. Coś trzeba postanowić w sprawie dzieci.

Nowo przybyła zamknęła się z doktorem w salonie i nie udało mi się usłyszeć nic więcej z ich rozmowy. Potem do salonu poproszono Estellę. Wyszła stamtąd po dłuższej chwili, wyraźnie oszołomiona, i natychmiast pobiegła do swojego pokoju. Podążyłam za nią.

- Kim jest ta pani i czego tutaj chce? - zapytałam. - Nigdy jej przedtem nie widziałam.

- To ciotka Florence. Adelina i ja mamy do niej jechać.

Spoglądałam na nią w osłupieniu.

- Kiedy?

- Teraz. Mam zawołać nianię, żeby mi pomogła spakować rzeczy.

- Dokąd jedziesz?

- Mówię przecież, że do niej. Przyjechała, żeby nas zabrać.

- Na wakacje?

Estella wzruszyła ramionami.

- Ciotka jest zdania, że powinniśmy stąd wyjechać, gdyż tak będzie dla nas najlepiej.

- To znaczy, że wyjeżdżasz teraz?

- Przecież tłumaczę ci to przez cały czas.

Estella łatwo wpadała w złość, gdy gnębił ją jakiś problem. Widziałam, że nie pali się specjalnie do pobytu u ciotki Florence, która, o ile się orientowałam, nigdy dotąd nie odwiedzała Commonwood House.

- Na jak długo jedziecie? - zapytałam.

- Myślę, że do czasu, aż będzie po rozprawie. Ciotka uważa, że tak będzie najlepiej. Mówi, że nie powinniśmy być w nic wmieszani.

- A co ze mną?

Estella wzruszyła ramionami.

- O tobie nic nie mówiła. Tylko Adelina i ja. Henry jest przecież w szkole.

Nagle poczułam się jeszcze bardziej opuszczona i samotna niż w dniach, które poprzedzały moje pierwsze spotkanie z wujem Tobym.

Ciotka Florence odjechała, zabierając Estellę i Adelinę. Nigdy nie zapomnę twarzy Adeliny, gdy szła do karetki pocztowej z Estellą, ciotką i całym bagażem. Była tak przerażona, że nie potrafiła nawet płakać.

Zostałam sama.

Bez Adeliny i Estelli czułam się bardzo nieswojo, ale na szczęście w domu została panna Carson. Powiedziała mi, że ciotka Florence jest siostrą pani Marline. Nie widywały się od lat, ponieważ nie przepadały za sobą. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, gdyż nie wyobrażałam sobie, by ktoś mógł lubić panią Marline, jej siostra zaś wydawała mi się bardzo do niej podobna.

Panna Carson mówiła:

- Gdy pani Marline wychodziła za mąż za doktora, jej rodzina bardzo ganiła ten związek. Uważali, że popełnia mezalians, wychodząc za wiejskiego lekarza, skoro mogłaby poślubić nawet para. I wielka szkoda, że tego nie uczyniła - zakończyła z dziwnie niepasującą do niej goryczą.

Zastanawiałam się, co stanie się ze mną, gdy już będzie po rozprawie, która wydawała się czymś nieuchronnym, zupełnie jak klątwa. Słyszałam, jak niania Gilroy mówi do pani Barton:

- Będą nas wzywać bez wątpienia. Powiem wtedy wszystko, co wiem. W podobnych wypadkach nie wolno niczego zataić. Zresztą i tak wszystko by wywęszyli. Nie wiele uchodzi ich uwadze.

- Jemu pewnie się to nie spodoba - odparła pani Barton. - Nikt nie lubi, gdy się wsadza nos w jego sprawy.

- O takich rzeczach ludzie powinni myśleć wcześniej, zanim zostaną przyłapani.

Zaczęłam się zastanawiać, co się stanie w czasie tej okropnej rozprawy.

A potem przyjechał wuj Toby i zapomniałam o wszystkim innym. Rzuciłam mu się na szyję, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- Pojechały. Adelina i Estella pojechały - powiedziałam.

- Wiem. Do mojej siostry Florence. Biedne małe. A ciebie tu zostawili?

Skinęłam głową.

- Świetnie się złożyło, ponieważ mam zamiar zabrać cię ze sobą na jakiś czas.

Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Zabrać mnie ze sobą?

- Dopóki wszystko się nie ułoży. Czy nie umawialiśmy się, że pewnego dnia popłyniemy razem?

- Popłyniemy? - wykrzyknęłam.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

- To chyba dobry pomysł?

Nie mogłam wprost uwierzyć, by to mogło być prawdą. Od śmierci pani Marline wydarzyło się wiele dziwnych rze-

czy, ale ta była bardziej zdumiewająca niż wszystkie inne. Odejść z tego ponurego domu, którego sekretów nie rozumiałam. Odejść z wujem Tobym. Popłynąć razem z nim. Czy coś takiego naprawdę mogło się wydarzyć? Wydawało mi się, że śnię, i bałam się, że w każdej chwili mogę się obudzić.

Wpatrywałam się w niego w osłupieniu, a gdy wreszcie zrozumiałam, że nie żartuje, poczułam niewypowiedzianą radość.

* * *

Muszę przyznać, że byłam zbyt podekscytowana tym, co mnie spotkało, by myśleć o Adelinie, którą rozłączono z uwielbianą panną Carson. Wiedziałam, że Estella da sobie radę. Może nawet spodoba jej się ta odmiana. W Commonwood House ostatnio nie było zbyt przyjemnie. Natomiast przede mną otwierała się wspaniała przyszłość. Czegoś tak cudownego nie potrafiłabym sobie nawet wyobrazić.

Wuj Toby przedstawił mi swoje plany. Przecież obiecał mi, że któregoś dnia zabierze mnie ze sobą w podróż. Teraz nadeszła chyba odpowiednia chwila. Musimy się pośpieszyć, gdyż odpływamy mniej więcej za tydzień, a przedtem jeszcze trzeba załatwić sporo spraw. Będę potrzebowała wielu rzeczy. Polly mi pomoże.

- Kto to jest Polly? - zapytałam.

- Moja gospodyni. Błogosławiona Polly. Co ja bym bez niej począł? Wynajmuję u niej mieszkanie. To bardzo wygodne rozwiązanie. Najczęściej przybijamy do Southampton i tam mam swoje *pied-a-terre*. Słyszałem, że uczysz się francuskiego, więc powinnaś wiedzieć, co to znaczy. To takie niewielkie mieszkanie, gdzie można się zatrzymać w razie konieczności. Pewnego dnia, gdy już skończę z morzem, osiadę gdzieś na stałe, ale na razie wystarcza mi *pied-a-terre* u pani Q.

- Pani Q?

- Polly Quinton. To wspaniała kobieta i na pewno ją polubisz. Opiekuje się swoimi chłopcami-marynarzami. Tak nas zwykle nazywa. Nie jestem jedynym. Mieszka nas u niej spora gromadka. Przychodzą i znowu odchodzą. Odpowiada mi to i pani Q także. Mam cztery pokoje na ostatnim piętrze,

z widokiem na port. Cały czas jestem w pobliżu mojej starej łajby. Wiesz, statek staje się częścią ciebie. Statki są wspaniałe. Każdy jest obdarzony innym charakterem, każdy jest indywidualnością. Mają swoje sztuczki i każdy z nich jest inny. Są bardzo kapryśne, zupełnie jak kobiety. Czy wiesz, że my, Anglicy, zawsze mówimy o statku „ona”, nigdy „on”? Statki nie mają w sobie nic z męczyzny. Dlatego człowiek tak je kocha.

Uwielbiałam rozmowy z wujem Tobym. Potrafił wspaniale opowiadać i wszystko, co wydarzyło się w Commonwood House w ostatnich miesiącach, stopniowo zaczęło się zacierać w mojej pamięci. Otwierały się przede mną nowe wspaniałe perspektywy. Snuliśmy z wujem cudowne podniecające plany i byłam nimi całkowicie pochłonięta.

- Mamy ponad tydzień czasu, zanim zaokrętujemy się na Panią Mórz - powiedział wuj Toby - ale przedtem czeka nas sporo do zrobienia. Nie tylko trzeba cię stosownie obsprawić, ale jest jeszcze mnóstwo formalności do załatwienia. Tym ostatnim ja się zajmę, a zakupy to sprawa twoja i pani Q.

Rzeczywiście, tak jak mówił wuj, dom znajdował się w pobliżu doków. Polly Quinton przywitała mnie tak, jakby znała mnie przez całe swoje życie. Była bardzo tęga, miała rumianą twarz, a gdy się śmiała, jej oczy niemal ginęły w fałdach tłuszczu. Śmiała się zaś bardzo często. Gdy coś ją bawiło, krzyżowała ręce na potężnym biuście i podrygiwała z uciechy.

Dom miał pięć pięter i wszystkie pokoje poza tymi na parterze wynajmowali marynarze, których pani Quinton darzyła szczególną sympatią. Wkrótce okryłam, że nie trzeba wiele, by zaczęła opowiadać o sobie. Właściwie robiła to bez przerwy, gdy tylko miała jakiegoś słuchacza.

- Mój Charley też był marynarzem - mówiła z oczami zasnutymi mgiełką smutku. - To był prawdziwy mężczyzna. Jak tylko pomyślę o tamtych czasach! - Potrząsnęła głową na to wspomnienie. - Starał się jak najpełniej wykorzystać każdy urlop. Tacy już są marynarze. To były czasy. A potem wszystko się skończyło. Jego statek zatonął u wybrzeży Ameryki Południowej.

Milczała przez chwilę, z twarzą ściągniętą smutkiem. Potem jednak ożywiła się.

- Tak, przeżyliśmy razem kawał życia i to było wspaniałe. Dobrze mnie też zaopatrzył. Zawsze mi powtarzał: „Nie będziesz cierpieła niedostatku, gdy mnie zabraknie, Polly. Zostanie ci ten dom, z którego będziesz mogła się utrzymać”. I tak się też stało. Nie lubiłam, gdy tak mówił, i zawsze prosiłam, żeby przestał krakać. Cóż, miał rację. Wynajmuję pokoje marynarzom, bo oni mi przypominają Charleya. Twój wuj mieszka u mnie dobrych parę lat. To prawdziwy dżentelmen. Tak, moja droga, zawsze mam dla niego specjalne względy i wcale tego nie ukrywam. Masz szczęście, dziecko, że popłyniesz razem z nim. To naprawdę wspaniała przygoda. Szkoda, że mnie nie było przy Charleyu, kiedy tamto się wydarzyło. Myślałam, że znalazłabym sposób, żeby go uratować. Taka już jestem. Charley zawsze powtarzał: „Bo tobie się wydaje, że potrafisz zrobić wszystko lepiej niż inni”. To prawda. Dlatego też jestem przekonana, że dałabym radę wyciągnąć go jakoś z tej wody. Cóż, kochanie, jutro musimy się wybrać po zakupy. Zawsze twierdzę, że nic tak człowieka nie rozwesela, jak wydawanie pieniędzy.

Znowu się śmiała, a jej chwilowy smutek minął bez śladu.

Poszliśmy razem do sklepów i kupiliśmy różne rzeczy, których mogłam potrzebować w czasie podróży - solidne buty z podszwami, które nie ślizgają się na mokrym pokładzie, i kilka letnich sukienek, niezbędnych w gorącym klimacie. Pani Quinton najwyraźniej cieszyła się z tej wyprawy, ja także.

Wuj Toby większość dnia spędzał poza domem, zajęty różnymi sprawami. Statek stał w porcie i ciągle coś przy nim robiono. Raz wuj zabrał mnie ze sobą na pokład. To było coś wspaniałego. Zwiedziłam przeznaczoną dla mnie kabinę, usytuowaną dokładnie pod mostkiem, w pobliżu kabiny wuja.

- Ty będziesz pasażerem - wytłumaczył mi wuj Toby. - Specjalnym pasażerem. Zawsze podczas rejsu musimy opiekować się pasażerami, natomiast załadunku nie trzeba aż tak pilnować, więc będę miał sporo czasu dla ciebie.

Pokazał mi jadalnię z długimi stołami, pralnię, pokój muzyczny i jeszcze wiele innych pomieszczeń, gdzie pasażerowie mogli oddawać się różnym rozrywkom. Na pokładzie stały leżaki i można tam było usiąść i patrzeć na morze. Czulałam, że otwiera się przede mną nowy wspaniały świat.

A potem wypłynęliśmy z portu i mój sen powoli stawał się rzeczywistością. Byłam bardzo dumna z wuja Toby'ego, który w kapitańskim mundurze prezentował się wspaniale. Każdy ustępował mu z szacunkiem z drogi. Wuj był władcą Pani Mórz i wszystkich, którzy płynęli tym statkiem.

Zachowywał się inaczej niż na lądzie. Był niczym bóg, czuwający nad bezpieczeństwem tych, którzy mu zawierzyli. Najczęściej był bardzo zajęty, ale znajdował też czas i dla mnie. Zawsze bardzo się z tego cieszyłam. Chwile, które spędzaliśmy razem, zdawały się sprawiać mu równą przyjemność jak i mnie.

- Muszę iść na jakiś czas na mostek - mawiał - więc nie będę mógł zająć się tobą, ale gdy tylko znajdę trochę czasu...

Kiwałam głową, zachwycona, że tłumaczy mi wszystko tak dokładnie, bo dorośli rzadko to robią. Często myślałam, że to wielkie szczęście dla mnie mieć takiego wuja, który, choć nie był moim prawdziwym wujem, zachowywał się tak, jakby nim był. To właśnie mnie zabrał ze sobą w rejs, nie Henry'ego, nie Estellę, nie Adelinę. Przecież ktoś mógłby powiedzieć, że to raczej Henry powinien popłynąć, gdyż to chłopcy są na ogół stworzeni do przygód. W duchu myślałam, że wuj Toby nie lubi Henry'ego i jego sióstr tak bardzo jak mnie, co zdawało się graniczyć z cudem.

Od czasu do czasu rozmyślałam o moim dawnym życiu. Broniałam się przed tym, ale wspomnienia nasuwały się same. Jak im się wiedzie u ciotki Florence? A może są już z powrotem w domu? Rozprawa pewnie się skończyła i w Commonwood House wszystko ułożyło się tak jak dawniej; lekcje i spacer z panną Carson i pani Marline spoczywająca spokojnie w grobie, niezdolna do kolejnej awantury. Adelina musi być szczęśliwa. Może trochę tęskni za mną, ale ma za to pannę Carson.

Tak więc cała historia będzie miała szczęśliwe zakończenie. Od czasu do czasu nadochodziła mnie obawa, co będzie ze mną, gdy podróż się zakończy. Przypuszczałam, że wrócę do Commonwood House i wszystko potoczy się po staremu.

Ale teraz nie chciałam o tym myśleć. Chciałam napawać się każdą chwilą tej wspaniałej podróży.

Życie na statku było doprawdy zajmujące. Posiłki jadaliliśmy wspólnie przy długich stołach, co było bardzo przyjemne. Wszyscy odnosili się do mnie niezwykle serdecznie, ponieważ byłam protegowaną kapitana. Wszyscy mi też powtarzali, że to wspaniale mieć takiego wuja i płynąć razem z nim. Czasami wuj Toby przyłączał się do towarzystwa. Pasażerowie bardzo go lubili. Wypytywali go o różne szczegóły związane ze statkiem. Wuj potrafił bardzo zajmująco opowiadać i wszyscy słuchali go z ogromnym zainteresowaniem.

Nocami leżałam w mojej koi, w kabinie bezpośrednio pod mostkiem, i wyobrażałam sobie wuja, który stojąc teraz na mostku studiuje mapy czy też wpatrzony w gwiazdy wyznacza kurs statku.

Kajutę dzieliłam z dziewczynką mniej więcej w moim wieku. Nazywała się Gertie Forman i wraz z rodzicami i bratem Jimmym płynęła do Australii, gdzie mieli zamiar się osiedlić.

W naszej kabinie znajdowały się dwie koje, jedna nad drugą. Ja zajmowałam górną, na którą wspinałam się po opuszczanej drabince. To było bardzo zabawne, leżeć w takiej koi, zwłaszcza podczas kołysania okrętu.

Gertie i ja zaprzyjaźniłyśmy się bardzo szybko i razem zwiedzałyśmy statek. Dla Gertie też była to pierwsza podróż, toteż miałyśmy ze sobą wiele wspólnego. Penetrowałyśmy pomieszczenia dla pasażerów, wyszukiwałyśmy najwygodniejsze miejsca na pokładzie. Oczywiście rzadko tam siadałyśmy, najczęściej kręciłyśmy się po wszystkich zakamarkach Pani Mórz. Czasami rozmawiałyśmy z marynarzami. Niektórzy byli ciemnoskórzy i nie znali dobrze angielskiego, ale było też kilku Anglików, którzy zawsze nazywali mnie „małą siostrzeniczką naszego kapitana”.

Cieszyłam się, że mam przyjaciółkę, z którą mogę spędzać czas, gdy wuj Toby jest zajęty. Przez większość dnia Gertie i ja byłyśmy nierozłączne, wieczorami zaś leżałyśmy na naszych kojach, snując opowieści.

Dowiedziałam się od niej, że Formanowie mieszkali na farmie w Wiltshire. Gertie i jej brat mieli codzienne obowiązki do wypełnienia; w porze dojenia przyprowadzali krowy z pastwiska, zbierali jajka, przygotowywali karmę dla świń. Na farmie zawsze jest mnóstwo roboty, mówiła Gertie. Teraz jechali do Australii, gdzie ziemia jest tańsza niż w Anglii, by kupić tam posiadłość. Zdecydowali się na ten wyjazd, gdyż oni - Gertie nie bardzo wiedziała, kim są ci „oni” - postanowili wybudować drogę prowadzącą przez tereny Formanów. Ta droga obniżyłaby znacznie wartość ich ziemi. Formanowie martwili się tym już od dawna, mieli jednak nadzieję, że może nie dojdzie do budowy, ale gdy się dowiedzieli, że decyzja już zapadła, postanowili wyemigrować do Australii.

Ja też opowiedziałam jej nieco o sobie, ale starałam się być ostrożna. Nie chciałam, by się dowiedziała, że znaleziono mnie pod krzewem azalii. Na pewno zaczęłaby się wtedy dziwić, jakim sposobem ktoś tak wspaniały jak kapitan Sinclair może być wujem podrzutka. Zastanawiałam się, co jej powiem, gdyby zaczęła mi zadawać różne szczegółowe pytania. Ale Gertie, podobnie jak większość ludzi, o wiele bardziej była zainteresowana sobą niż sprawami bliźnich i nietrudno było sprowadzić rozmowę na inne tory, gdy stawała się zbyt dociekliwa.

Mimo licznych obowiązków wuj Toby znajdował czas i dla mnie. Zabierał mnie na mostek, gdzie pokazywał mi mapy i przeróżne przyrządy; często też siedzieliśmy w jego kabinie, prowadząc długie rozmowy. Cieszyłam się każdą chwilą spędzoną na statku, ale rozmowy z wujem zawsze stanowiły prawdziwe ukoronowanie dnia.

Wuj zawsze rozmawiał ze mną jak z kimś dorosłym. Uwielbiałam go za to. Ilekroć przypomiinałam sobie różne kąśliwe uwagi, jakich nie szczędzili mi Estella, Henry i niania Gilroy, wydawało mi się niemal cudem, że wspaniały kapitan Sinclair traktuje mnie, jakbym była kimś ważnym i interesującym.

Często pytał, jak mi się podoba na statku, i zanim zdążyłam odpowiedzieć, sam zaczynał mówić.

- Cudowne przeżycie, prawda? Powiew świeżej bryzy na policzkach, kołysanie fal. Morze jest w ciągłym ruchu, nieustannie się zmienia. Potrafi być łagodne i spokojne i ni stąd, ni zowąd wzburzyć się zniecka. Nigdy nie widziałś morza w prawdziwym gniewie i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz.

Opowiadał mi o miejscach, które mieliśmy odwiedzić. Przed nami leżała teraz Zatoka Biskajska, która jest bardzo kapryśna. Będziemy musieli uważać na szkwały, a także na zmienne wiatry i zdradliwe prądy. Czasami Zatoka bywa życzliwa dla żeglarzy, ale potrafi też być bardzo groźna. Minąwszy Zatokę, poześlujemy przez Morze Śródziemne i zawiniemy do Neapolu, a później do Suezu.

- Będziemy płynąć przez Kanał Sueski. To cię powinno zainteresować. Jeszcze do niedawna trzeba było opływać Przylądek Dobrej Nadziei, ale odkąd wybudowano Kanał, podróż stała się o wiele łatwiejsza. Neapol na pewno ci się spodoba. Moim zdaniem Włochy to jeden z najpiękniejszych krajów na świecie, Egipt zaś jest jednym z najbardziej tajemniczych. Zobaczysz kawałek świata, Carmel. Czy odczuwasz brak lekcji? Może przerwa w nauce nie jest zbyt korzystna, ale podróż taka jak ta... Właściwie możesz nauczyć się z niej więcej niż z podręczników. Przynajmniej tak będziemy utrzymywać. Uspokoi to trochę nasze sumienia, a to zawsze poprawia samopoczucie.

Opowiadał mi o dawnych podróżnikach, Krzysztofie Kolumbie i sir Francisie Drake'u. Byli doprawdy nieustraszeni, skoro mieli odwagę wypuszczać się w tak dalekie podróże, nie wiedząc, co ich może spotkać, bo w tamtych czasach okręty bynajmniej nie przypominały Pani Mórz, nie było też odpowiednich map ani przyrządów.

- Wyobraź sobie tylko... sztormy... brak ekwipunku... To byli bohaterowie. Czy nie jesteś z nich dumna? Wielkie odkrycia geograficzne... ryzyko... przygody!

Uwielbiałam, gdy tak mówił. W pełni podzielałam ten entuzjazm. W moich oczach wuj był tak samo dzielny jak Krzysztof Kolumb i sir Francis Drake.

Opowiadał mi o odległych krajach, a ja wracałam myślami do pokoju szkolnego w Commonwood House. Widziałam pannę Carson pokazującą nam te krainy na obracającym się globusie. Na moment ogarnęło mnie przynębenie i poczułam wyrzuty sumienia. Jakże szybko zapomniałam o domu. A jeśli nie wszystko się ułoży? Przypomniałam sobie kose spojrzenia i złośliwe uśmiešky niani oraz przerażenie na twarzy panny Carson. Do niedawna Commonwood House stanowiło część mojego życia, a teraz jego mieszkańcy byli dla mnie niczym cienie albo kukielki należące do zupełnie innego świata, świata tajemnic i koszmarów, z którego cudem wyrwał mnie wuj Toby.

Czasami budziłam się rankiem i przez moment wydawało mi się, że znajduję się w Commonwood House, w swojej sypialni, i że jestem świadkiem czegoś okropnego, czego nie potrafię pojąć. W takich chwilach ogarniała mnie panika, dopóki nie poczułam znajomego kołysania statku i nie zobaczyłam światła wpadającego do kabiny przez bulaj tuż nad moją głowę. Z ulgą uświadamiałam sobie wtedy, że to był tylko sen, że jestem w mojej kajucie, a w koi pode mną śpi Gertie. Nic się nie zmieniło, nadal otacza mnie ta nowa, wspaniała rzeczywistość, która stała się moim udziałem dzięki wujowi Toby'emu. Zaraz obudzi się Gertie i zawoła do mnie: „Nie śpisz już?”. A ja odpowiem jej rześkim głosem: „Nie, już nie śpię. Co będziemy robiły dzisiaj?”.

Czy można sobie wyobrazić przyjemniejszy sposób na rozpoczęcie dnia dla dziewczynki, która nie skończyła jeszcze jedenastu lat, lecz której jedenaste urodziny właśnie się zbliżały?

Formanowie niemal mnie adoptowali, gdyż Gertie i ja tak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Pijałam z nimi herbatę i przesiadywałam z nimi na pokładzie, zupełnie jakbym należała do rodziny. Jimmy Forman rzadko przyłączał się do nas. Gertie i ja byłyśmy młodsze od niego, więc uważał nas za dzieciinne. Poza tym nie darzył nas zbyt dużym respektem, gdyż byłyśmy dziewczynkami. Większość czasu spędzał z marynarzami, których zasypywał pytaniami o statek.

Państwo Formanowie byli zachwyceni, że Gertie znalazła przyjaciółkę. To zadziwiające, jak łatwo ludzie zawierają przyjaźnie na statku. Myślę, że to dlatego, iż spędzają ze sobą tak dużo czasu.

Podróż przez Zatokę Biskajską upłynęła nam bez niespodzianek i teraz żeglowaliśmy przez Morze Śródziemne. Wuj Toby zaproponował, abym dołączyła do wycieczki do Pompejów i Herkulanum.

- Ja, niestety, będę musiał zostać na statku – powiedział - ale nie widzę powodu, dla którego ty nie miałabyś pójść z Formanami.

Gertie i ja zdążyłyśmy już przedyskutować to zagadnienie.

- Koniecznie musimy to zobaczyć - obwieściła Gertie i dodała, że jej rodzice będą zachwyceni, jeśli do nich dołączę.

Rzeczywiście państwo Formanowie chętnie się na to zgodzili. Tylko Jimmy nie miał ochoty na wycieczkę z rodziną. Chciał iść z Timothyem Leesem, z którym dzielił kabinę.

To było niezapomniane przeżycie. W wyobraźni przeniosłam się w tamte dawne, dawne czasy, kiedy wydarzyła się katastrofa. Złowroga góra wznosiła się wysoko nad miastem i przed moimi oczami przesuwały się dramatyczne obrazy; moment paniki, kiedy z wierzchołka wulkanu zaczęła wypływać gorąca lava i popioły, które pokryły miasto i jego mieszkańców. Wysłuchani w fascynującą opowieść przewodnika przemierzaliśmy wąskie, zniszczone uliczki, a ja usiłowałam wyobrazić sobie tę straszną tragedię.

Wróciłam na statek pełna zachwytu i gdy tylko zobaczyłam wujka Toby'ego, zaczęłam mu opowiadać o wspamiętnieniach wycieczki. Wuj słuchał mnie z uwagą, a potem powiedział:

- Widzę, że nie musimy się martwić, nawet jeśli opuścisz kilka lekcji. To dobre rozwiązanie, przynajmniej na jakiś czas.

Natychmiast posmutniałam. Nie chciałam myśleć o przyszłości. Żyłam chwilą obecną i pragnęłam, by ten cudowny stan trwał wiecznie.

- Myślę, że Adelina i Estella już wróciły od ciotki i znowu mają lekcje. Będę musiała je dogonić w nauce po powrocie do domu - powiedziałam.

Dom? - pomyślałam przy tym. Nigdy nie uważałam Commonwood House za swój prawdziwy dom i odczuwałam przykrość na myśl, że będę musiała tam wrócić.

Wuj Toby powiedział lekko:

- Z łatwością wszystko nadrobisz. Zawsze byłam zdania, że zwiedzanie świata stanowi część edukacji. Gertie jest bardzo miłą dziewczynką, prawda? - zmienił nagle temat. - Masz szczęście, że na nią trafiłaś. Nie zawsze wszystko układa się tak pomyślnie.

Zaczął mi opowiadać zabawne historie o różnych nie-dobrych parach, zmuszonych dzielić kabinę.

- Porty są interesujące, prawda? - mówił. - Następnym będzie Suez. Tam robimy tylko krótki postój, tak że żadne wycieczki nie są przewidziane. Zawijamy nie wcześniej niż o ósmej rano, a o czwartej trzydziści już musimy odpływać, więc nie będzie czasu na zwiedzanie. Zresztą z portu do piramid jest kawał drogi, tak że nie uda nam się dotknąć tajemnicy Egiptu. Jestem pewien, że Formanowie nie będą mieli nic przeciwko temu, żebyś wybrała się z nimi do portu. Już samo dotarcie tam zajmie sporo czasu, bo trzeba będzie spuścić szalupy. W Suezie jest zbyt płytko dla Pani Mórz. Lądowanie na pewno ci się spodoba. Użyjemy łodzi ratunkowych i oczywiście najpierw trzeba będzie je spuścić w dół, dokładnie tak samo, jak w sytuacji zagrożenia, gdy trzeba opuścić okręt. To dobre ćwiczenie, zresztą zobaczysz sama. Małe stateczki wpływają tu bez trudu, ale większe kotwiczą głębiej w zatoce.

Objaśnienia wuja Toby'ego zawsze sprawiały mi przyjemność. Byłam dumna, że uważa mnie za osobę, która wszystko rozumie. W takich momentach zapominałam o jego wcześniejszych uwagach na temat przerwanej nauki. Ilekroć powracał do tego tematu, uświadamiałam sobie, że obecny stan nie potrwa wiecznie, że jest to tylko krótki epizod w moim życiu. Byłam zdecydowana cieszyć się każdą chwilą, by na trwałe zapadła mi w pamięć.

Oczywiście Formanowie powiedzieli, że chętnie mnie zabiorą na zwiedzanie portu. Natomiast Jimmy i Timothy

Lees zamierzali wypuścić się samodzielnie, uważając, że są już zbyt dorośli, by trzymać się rodziców.

Pogoda wyraźnie nam sprzyjała. Gdy byliśmy w morzu, wuj Toby miał więcej wolnego czasu, więc często siadaliśmy razem na pokładzie, prowadząc długie rozmowy, pewnego dnia, gdy tak siedzieliśmy, podszedł do nas doktor Emmerson, przyjemny młody człowiek w wieku około dwudziestu pięciu lat.

Wuj Toby powiedział:

- Po prostu spokojnie *tete-a-tete*. Nie mam aż tyle wolnego czasu, ile bym sobie życzył, ale Carmel jest bardzo przedsiębiorczą młodą osobą i znakomicie daje sobie radę beze mnie.

- Jestem tego pewien - odparł doktor Emmerson. - Mogę się przyłączyć na moment?

- Bardzo proszę. Czy jest pan już gotowy do opuszczenia nas?

- Niezupełnie. Zostało mi jeszcze kilka drobiazgów do zapakowania.

- Doktor Emmerson opuszcza nas w Suezie - wyjaśnił mi wuj Toby. - Tam dołączy do nas ktoś inny. Nie możemy płynąć bez lekarza, więc na miejsce doktora Emmer-sona przyjdzie doktor Kelso. Będzie nam ciebie brakowało, Lawrence.

- Z doktora Kelso też będziecie zadowoleni.

- Doktor Emmerson będzie pracował w jednym ze szpitali w Suezie - mówił wuj Toby. - Specjalizuje się w chorobach skóry i przyjechał tu specjalnie z zamiarem ich studiowania.

- Czy w Suezie zejdzie pan na ląd, kapitanie? - zapytał doktor Emmerson.

- Niestety nie, ale Formanowie, wie pan, ci, którzy emigrują do Australii, zabierają Carmel.

- Znakomicie - powiedział doktor Emmerson.

Doktor bardzo dobrze znał Suez i przez chwilę gawędziliśmy o tym mieście. Potem doktor wspomniał, że musi jeszcze dokończyć pakowania, i zostawił nas samych.

- Przyjemny gość z tego Emmersona - powiedział wuj Toby. - Bardzo ambitny. Znakomity lekarz. Zdaje się, że rodzina chciała wykierować go na księżda, jednak on

uparcie trwał przy swoim. Teraz jedzie na praktykę do Suez, ale myślę, że niebawem wróci i rozpocznie specjalizację w Londynie. Życzę mu szczęścia. Jego rodzina może być z niego dumna. Wiesz, że moja rodzina też nie chciała, bym poszedł na morze, ale podobnie jak Emmerson postawiłem na swoim. Kiedy miałem siedemnaście lat, uciekłem z domu i wstąpiłem do marynarki handlowej. Głównie pływałem do Indii, na statkach, które przewoziły żołnierzy i urzędników cywilnych, wyjeżdżających bądź powracających do kraju. Wiodłem wspaniałe życie i nigdy nie żałowałem swojej decyzji. To jeden z ważniejszych sekretów powodzenia w życiu. Nigdy niczego nie żałuj. Jeśli wszystko się układa, to dobrze. Jeśli coś idzie nie tak, należy to potraktować jako doświadczenie, które warto było przeżyć, doświadczenie, z którego płynie nauka, żeby nie robić tego samego powtórnie.

Chciałam go zapytać o rodzinę, ale przypomniałam sobie, że pani Marline była jego siostrą, i bałam się, by nasza rozmowa nie zeszła na jakiś niemiły temat. Jednak wuj kontynuował:

- Później przebaczone mi i przyjęto z powrotem na łono rodziny, jednak zawsze pozostałem obcy. Nigdy do nich nie pasowałem. Nie potrafię zadać sobie trudu, by zadowolić innych.

Roześmialiśmy się. Wuj widać uznał temat rodziny za wyczerpany, bo zaczął opowiadać o swoich przygodach na morzu. Postanowiłam, że postaram się go naśladować. Będę cieszyła się wszystkimi dobrymi rzeczami, jakie przypadną mi w udziale, i nie pozwolę, by złe zepsuły mi humor.

Za dwa dni mieliśmy wypłynąć do Suez. Gertie i ja snułyśmy już plany, co będziemy tam robić. Gertie wdrapywała się na moją koję i ułożone wygodnie paplałyśmy tak długo, dopóki jedna z nas nie usnęła.

Tymczasem rano w dzień poprzedzający nasze przybycie do Suez Gertie powiedziała mi, że jej ojciec w nocy zachorował.

- Mama jest przekonana, że to jeden z jego ataków. Czasami są bardzo dokuczliwe. Tata ma kłopoty z płucami.

W ciągu dnia pan Forman czuł się coraz gorzej i doktor Emmerson zalecił mu pozostanie w łóżku przez kilka dni. Pani Forman nie pozostało więc nic innego, tylko zaopiekować się nim, gdyż takie przeziębienie łatwo mogło się przekształcić w coś poważniejszego.

Gertie była przygnębiona.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? - powiedziała. - Będziemy musiały zostać na pokładzie.

Pani Forman też było przykro. Wiedziała, jak wiele obiecywałyśmy sobie po tej wycieczce, ale przecież nie mogła zostawić pana Formana samego.

Gertie była tym tak zmartwiona, że w końcu pani Forman powiedziała, że mogłybyśmy pójść na ląd pod warunkiem, że chłopcy się nami zaopiekują.

Gertie dodała z przygnębieniem, że reakcja chłopców na tę propozycję była mało zachęcająca. Jimmy oświadczył, że nie życzą sobie gromady dzieciaków włóczących się za nimi.

- Powiedziałam mu wtedy, że nie będzie nas gromada, tylko dwie, a poza tym nie jesteśmy już dziećmi. A mama się zezłościła i przykazała Jimmiemu, żeby nie był taki samolubny, bo tata też byłby niezadowolony, gdyby się dowiedział, że Jimmy nie chciał zaopiekować się siostrą i jej przyjaciółką i dlatego biedaczki musiały zostać na statku. Wtedy Jimmy skapitulował i powiedział, że możemy iść z nimi. Ale tak naprawdę to chłopcy nie są tym zachwyceni.

- Więc może lepiej nie iść - zaproponowałam.

- Mamy zostać na statku? To niemożliwe! Musimy iść z nimi, bo inaczej wcale nas nie puszczą.

Perspektywa zostania na statku nie była zbyt zachęcająca i mimo że czułyśmy się urażone takim zachowaniem chłopców, zdecydowałyśmy, że lepiej narzucić im nasze towarzystwo, niż zrezygnować z wycieczki.

* * *

Wsiadanie do łódki, która miała zawieźć nas na ląd, okazało się bardzo zabawne. Najpierw trzeba było zejść na trap, kołyszący się na falach, i dopiero z niego wsiąść do szalupy. Nie było to wcale takie łatwe, na szczęście

pomagali przy tym dwaj rośli marynarze, stojący na rozkołysanej platformie niczym wartownicy. Mnie i Gertie po prostu wzięli na ręce i opuścili do szalupy, podskakującej na wzburzonych falach. Podtrzymywałyśmy się nawzajem, by utrzymać równowagę, wybuchając co chwila śmiechem, podczas gdy chłopcy - nasi opiekunowie z przymusu - spoglądali na nas z pogardą.

Było już niemal południe, zanim wreszcie znaleźliśmy się na lądzie. Chętnych na wycieczkę było wielu, a że szalupa zabierała tylko po kilka osób, musiałyśmy czekać na swoją kolej. Powiedziano nam, że musimy być na pokładzie najpóźniej o czwartej, gdyż o czwartej trzydzieści opuszczamy Suez, więc ostatnia łódka odpłynie o wpół do czwartej.

Wreszcie byłyśmy na stałym lądzie. Popatrzyłam w stronę Pani Mórz, która z tej odległości wyglądała bardzo majestatycznie. Jimmy i Timothy popędzali nas niecierpliwie, więc ruszyliśmy ich śladem i wkrótce znaleźliśmy się na targowisku. W płataninie wąskich, brukowanych uliczek ciągnęły się rzędy sklepików przypominających jaskinie, o wejściach zastawionych kramami. Wśród straganów panował niesamowity gwar; sprzedający i kupujący pokrzykiwali z ożywieniem. Większość mężczyzn nosiła długie szaty i turbany, co wyglądało bardzo egzotycznie. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego. Przysłuchiwałyśmy się rozmowom przy kramach. Chyba się targowali, ale oczywiście nie rozumiwałyśmy ani słowa. Czasami przypominało to wręcz kłótnię; mężczyźni gestykulowali gwałtownie i miałyśmy wrażenie, że lada moment dojdzie do bijatyki. Gdy jednak transakcja została zawarta, wszyscy od razu się uspokajali, uśmiechali się do siebie, a raz nawet zaczęli się obejmować i całować.

Chłopcy przystanęli przy straganie, na którym rozłożone były najrozmaitsze naszyjniki, pierścionki i bransolety. Dwie śniade dziewczyny obsługujące stragan zawołały coś w ich stronę. Obie miały długie czarne włosy i roześmiane czarne oczy; z uszu zwisały im długie kolczyki, a szyje zdobiły naszyjniki, takie same jak te na straganie. Jedna z dziewcząt zarzuciła naszyjnik na szyję Jimmy'ego, który popatrzył na

nią z zakłopotaniem. Dziewczęta najwyraźniej uznały to za doskonały żart.

- Ładny, ładny - powiedziała jedna z nich. - Ty kupić.

Chłopcy roześmiali się, a dziewczęta zaczęły chichotać. Druga dziewczyna w podobny sposób zarzuciła naszyjnik na szyję Timothy'ego.

Jimmy i Timothy najwyraźniej nie wiedzieli, jak się zachować, co niezmiernie ucieszyło mnie i Gertie. Bawiło nas, że jesteśmy świadkami ich konfuzji. Potem dziewczyna, która zaczęła Jimmy'ego, zaczęła wolno przyciągać naszyjnik do siebie - razem z Jimmym.

- Ty przyjść - powiedziała.

Druga z dziewcząt w identyczny sposób postąpiła z Timothy'm.

- To się robi głupie - zwróciła się do mnie Gertie. - Chodź, obejrzymy sobie wyroby ze skóry na tamtym straganie.

Podeszliśmy do wskazanego przez Gertie kramu, gdzie wśród innych drobiazgów leżały portfele z miękkiej, różnokolorowej skóry z wytłaczanym złotym ornamentem.

- W przyszłym tygodniu przypadają urodziny taty - powiedziała Gertie. - Mogłabym mu kupić taki portfel. - Wzięła jeden do ręki. Kupiec błyskawicznie znalazł się przy niej.

- Podoba się? Bardzo ładny.

- Ile? - zapytała Gertie, starając się naśladować dorosłą osobę.

- Ty mi powiedz... ile zapłacisz?

- Nie mam pojęcia - odparła Gertie. - Ile chcesz za to?

Kupiec złapał karteczkę i wypisał na niej cenę.

- Nie mam tyle - powiedziała Gertie i zwracając się do mnie dodała: - Chodźmy stąd.

Odłożyła portfel na miejsce i chciała odejść, ale kupiec złapał ją za ramię.

- Ile dasz? Ile dasz?

Jego palce zacisnęły się na małej torebce Gertie. - Ile dasz? - powtarzał.

Obie żałowałyśmy z całego serca, że dałyśmy się wciągnąć w ten targ. Byłam pewna, że portfel podoba się

Gertie coraz mniej. Ale kupiec nie puszczał jej ramienia. Obrzucał portfel marzycielskim wzrokiem, potem prznosił na nas tragiczne spojrzenie, jakby chcąc nas przekonać, że sprzedaż jest dla niego sprawą życia i śmierci. Widocznie zauważył, że wzbudził nasze zainteresowanie i współczucie, gdyż zaczął mówić:

- Ja biedny. Ja być bardzo biedny.

Na moment puścił ramię Gertie, złożył ręce tak, jakby kołysał niemowlę. Podniósł w górę osiem palców.

- Dzieci - powiedział. - Osiem.

Wymieniliśmy spojrzenia. W końcu Gertie wzruszyła ramionami i wyciągnęła wszystkie pieniądze z portmonetki. Kupiec uśmiechnął się, wziął pieniądze i zapakował portfel.

Tym sposobem uwolniliśmy się nareszcie. Nie byłam pewna, czy Gertie kierowała się współczuciem, czy też chęcią zakończenia tej krępującej sytuacji.

I wtedy zorientowałyśmy się, że podczas gdy my kupowałyśmy portfel, chłopcy gdzieś zniknęli. Dziewczęta z naszymi też się ulotniły.

- Mniejsza z tym - powiedziała Gertie. - Same też damy sobie radę. Oni nie chcieli nas, a my nie chcemy ich.

Ruszyliśmy wąskimi zaułkami, rozglądając się po kramach, jednak zdecydowane nie dać się uwikłać w żadne targi. Uliczki - jedna podobna do drugiej - stanowiły prawdziwą płataninę i krążyłyśmy po nich dobre pół godziny, zanim udało nam się wydostać z tego labiryntu.

Byłyśmy przekonane, że wyjdziemy w tym samym miejscu, z którego rozpoczęłyśmy zwiedzanie i skąd znałyśmy drogę do portu, tymczasem znalazłyśmy się w zupełnie innym otoczeniu. Gertie popatrzyła na zegarek, który nosiła przypięty do gorsu sukienki. Było wpół do trzeciej.

- Chodź, weźmiemy jeden z tych małych powozików z osiołkiem, żeby nas zawiózł z powrotem na statek - zaproponowała.

- Nie sądzisz, że chłopcy będą nas szukali?

- A gdzie tam. Będą szczęśliwi, że się nas pozbyli. Poza tym udowodnimy im, że wcale nie są nam potrzebni. Zobacz, tu jest taki wózek.

Skinęłyśmy na woźnicę - młodego chłopca, który nie mógł mieć więcej niż czternaście lat.

- Chcemy się dostać do miejsca, skąd odpływa szalupa, która zabierze nas z powrotem na statek Pani Mórz. Czy wiesz, gdzie to jest?

Chłopiec z zapalem pokiwał głową.

- Wiem, wiem. Wy jechać ze mną.

Wdrapałyśmy się do bryczki, przypominającej zwykły wózek. Zal nam było dwóch małych osiołków, które miały nas ciągnąć przez całą drogę. Wyglądały na mocno za-biedzone. Ale wkrótce zaczęłyśmy się śmiać, co chwila chwytając się kurczowo czego się dało, gdy wózek podskakiwał na wybojach. Jazda trwała już dłuższą chwilę i wkrótce zaczęłyśmy się rozglądać niecierpliwie, gdyż nigdzie nie było widać morza. Gertie powiedziała do woźnicy:

- Powinnyśmy już dawno być na miejscu. Gdzie jest morze?

- Morze tam - odrzyknął chłopiec, wskazując gdzieś końcem bata, ale my nadal nie potrafiłyśmy dostrzec portu.

To, co nastąpiło później, było prawdziwym koszmarem i męczyło mnie w snach jeszcze przez długi czas, gdy już dawno było po wszystkim. Wózek się zatrzymał. Wygramoliłyśmy się z niego.

- Gdzie jesteśmy? - krzyknęła Gertie.

- To morze - brzmiała odpowiedź. - Statek tutaj.

- Tu nie ma żadnego statku! - zawołałyśmy razem.

- Tutaj. Wy zapłacić.

- Nie zawiozłeś nas do statku - upierała się Gertie z rozpaczą.

- Właśnie - poparłam ją. - To nie jest właściwe miejsce.

Zaczęłam się denerwować. Już przedtem przytrafiła nam się ta historia z portfelem. Była prawie trzecia, a ostatnia szalupa odpływała o trzeciej trzydzieści.

Gertie najwyraźniej myślała o tym samym.

- Musisz nas natychmiast zawieźć na miejsce - powiedziała.

Chłopiec pokiwał głową.

- Wy zapłacić.
- Ale przecież nie zawiozłeś nas do portu. Zapłacimy, gdy to uczynisz.

- Wy płacić.

- Za co? - zawołała Gertie z oburzeniem.

- Nie prosiłyśmy cię, żebyś nas przywiózł tutaj - dodałam. - Masz nas odwieźć do portu.

Miałyśmy bardzo mało pieniędzy. Gertie wydała wszystko na portfel, a ja dysponowałam tylko niewielką sumką. Ale przecież musiałyśmy się dostać do szalupy, by wrócić na statek. Usiłowałam wytłumaczyć to chłopcu. Otworzyłam portmonetkę i powiedziałam:

- Wszystko to będzie twoje, gdy zawieziesz nas do portu.

Chłopiec popatrzył pogardliwie na pieniądze, a potem pokiwał głową.

- Wy zapłacić, ja zawiozę.

Zabrał pieniądze i ciągle potakując odwrócił się, wskoczył na kozioł i odjechał.

Popatrzyłyśmy po sobie z przerażeniem. Byłyśmy z dala od statku, bez pieniędzy, zagubione i z każdą chwilą wystraszone coraz bardziej. Nagle dotarła do nas cała prawda. Jesteśmy w obcym kraju, zupełnie same. Nie miałyśmy zaufania do tubylców, a ostatnie doświadczenie nauczyło nas, że powinnyśmy mieć się na baczności. Nie mogłyśmy się z nikim porozumieć, gdyż nie znałyśmy języka. Byłyśmy bezradne i sparaliżowane strachem; zbyt przerażone, by myśleć jasno, i wystarczająco duże, by zdawać sobie sprawę z tych wszystkich okropności, jakie mogą stać się naszym udziałem, natomiast nie na tyle doświadczone, by wiedzieć, co mamy teraz robić.

Przemknęło mi przez myśl, że ocalić nas może tylko cud.

- Tylko Bóg może nas wybawić - powiedziałam głośno.

Gertie wpatrywała się we mnie.

- Co możemy zrobić? - wyszeptwała.

- Możemy się modlić - odparłam.

W chwilach zagrożenia człowiek zawsze zwraca się do Boga. Wiedziałam, że moje zaufanie do Opatrzności bie-

rze się z desperacji. Wierzyłam, bo musiałam - alternatywa była zbyt okropna, by brać ją pod uwagę. Myślę, że Gertie odczuwała tak samo.

Stanęłyśmy obok siebie, zamknęłyśmy oczy i złożyłyśmy ręce do modlitwy.

- Dobry Boże - szeptałyśmy — pozwól nam odnaleźć powrotną drogę do statku.

Otworzyłyśmy oczy. Czego się spodziewałyśmy? Że port i łódzie w cudowny sposób zmaterializują się przed naszymi oczami?

Wszystko było dokładnie takie samo. Nic się nie zmieniło... poza nami samymi. My wierzyłyśmy. Panika nas opuściła. Jakoś odnajdziemy drogę powrotną. Bóg nam ją wskaże.

Gertie ujęła mnie za rękę.

- Chodźmy tędy. Jestem pewna, że miałyśmy to miejsce.

Zauważyłam duży biały budynek, stojący w pewnym oddaleniu od innych.

- Zapytamy tam - powiedziałam. - Na pewno spotkamy kogoś, kto będzie mówił po angielsku i nam pomoże.

Gertie przytaknęła i zaczęłyśmy biec w stronę budynku.

I wtedy... wydarzył się cud. Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna, którego sylwetka wydała mi się znajoma. Popatrzyłam uważniej. To był doktor Emerson. Nie posiadałam się z radości. Bóg odpowiedział na nasze modlitwy.

- Doktorze Emerson! - zawołałam.

Doktor zatrzymał się i wlepił w nas wzrok.

- Carmel! Co wy tutaj robicie? Przecież statek odpływa o czwartej.

- Panie doktorze - mówiłam pośpiesznie - zgubiłyśmy się. Woźnica przywiózł nas tutaj i zostawił. Powiedział nam, że to jest port.

Doktora na moment zamurowało. Potem nie wahał się ani chwili. Zawrócił nas spod budynku. Akurat zbliżał się jeden z wózków zaprzężonych w osiołki. Doktor zatrzymał go i powiedział coś do woźnicy w tutejszym języku. Po krótkiej burzliwej dyskusji wsiedliśmy do bryczki, która natychmiast ruszyła z wielką szybkością.

Nieco chaotycznie opowiedziałyśmy doktorowi o naszej przygodzie.

- Zupełnie nie pojmuję, dlaczego pozwolili wam wypuścić się bez opieki.

- Nie byliśmy same - powiedziała Gertie. - Zgubiłyśmy gdzieś chłopców.

Doktor Emmerson był wyraźnie poruszony.

- Mam nadzieję, że zdążymy - powiedział. - Czasu jest niewiele.

- Łódka odpływa... - zaczęłam.

- Wiem, wiem. - Z niepokojem popatrzył na zegarek.

Po cichu odmawiałam dziękczynne modły, podczas gdy doktor popędzał woźnicę, by jechał szybciej. Z jego gestów mogłam się zorientować, że ten człowiek zmusza swoje biedne osiołki do największego wysiłku.

Nasza radość, gdy zobaczyłyśmy port, była ogromna, ale zaraz po niej nastąpiła chwila bolesnego rozczarowania. Szalupa odbiła kilka minut temu i właśnie zmierzała w stronę Pani Mórz.

Wysiadłyśmy z wózka. Doktor Emmerson wręczył woźnicy pieniądze i przez kilka chwil staliśmy bez ruchu, wpatrując się w szalupę szybko zbliżającą się do statku. Doktor był wyraźnie skonsternowany.

W pobliżu znajdowało się kilka łodzi wiosłowych. Doktor skinął na jedną z nich. Wskazywał na nas i na Panią Mórz, a z jego gestów można było się domyślić, co mówi. Szybko doszedł do porozumienia z wiosłarzami i już po chwili wszyscy znaleźliśmy się w łodzi.

Powoli zbliżaliśmy się do statku. Szalupa przybiła już do burty i pasażerowie weszli na pokład. Teraz mocowano ją na zwykłym miejscu przy burcie. Statek gotował się do odpłynięcia; kilku marynarzy kończyło właśnie wciągać trap. Doktor Emmerson zaczął do nich wołać. Początkowo nie zwracali uwagi na jego okrzyki, w końcu jednak dostrzegli nas.

- Dwie dziewczynki! Pasażerki! Siostrzenica kapita-
na! - wołał doktor.

Nareszcie. Poczuliśmy niewyobrażalną ulgę. Wszystko będzie dobrze. Wiedziałyśmy, że jest to odpowiedź na nasze modlitwy.

Musiałśmy jeszcze trochę poczekać. Na pokładzie zgromadziło się wiele osób. Tłoczyli się przy burcie, spoglądając w naszą stronę. Doktor Emmerson odetchnął z ulgą. Teraz mógł być spokojny, że zdążyliśmy. Pewnie już się zastanawiał, co pocznie w Suezie z dwiema dziewczynkami.

- Nie mogą ponownie opuścić trapu - powiedział. - Wejdziecie po drabince sznurowej.

- Po drabince! - krzyknęłam, spoglądając na Gertie.

- To będzie świetna zabawa - powiedziała, ale w jej głosie brzmiała raczej obawa niż zachwyty.

Miała się czego obawiać. Nie było to wcale takie proste. Siedziałyśmy w małej, kołyszącej się na falach łódeczce, która przy potężnej Pani Mórz wydawała się jeszcze bardziej wątła i krucha.

Pasażerowie na pokładzie przyglądali się opuszczaniu drabinki.

- Musicie bardzo uważać - ostrzegł nas doktor. - To może być niebezpieczne. Na górze przytrzymają was marynarze, a ja pomogę wam tutaj, ale na krótkim odcinku będziecie zdane wyłącznie na siebie. Rozumiecie?

- Tak - powiedziałam.

Doktor chwycił koniec drabinki.

- Ty pierwsza, Carmel - powiedział. - Idź ostrożnie. Za nic w świecie nie wypuść liny z rąk. Trzymaj ją z całych sił. I nie spoglądaj na morze. Patrz prosto przed siebie. Gotowa?

Ruszyłam. Początkowo doktor podtrzymywał mnie, ale potem znalazłam się poza zasięgiem jego rąk. Ostrożnie wspinałam się krok po kroku, pomna jego wskazówek. Nagle poczułam ręce chwytające mnie od góry. Dwóch silnych marynarzy wciągnęło mnie na pokład.

Potem przyszła kolej na Gertie.

Wreszcie obie znalazłyśmy się na pokładzie. To był prawdziwy cud. Wiedziałam, że Gertie odczuwa dokładnie to samo co ja.

Spojrzałyśmy w dół. Doktor Emmerson uśmiechał się szeroko. Twarz miał spokojną; teraz nie musiał się już niczego obawiać.

- Dziękujemy, dziękujemy, doktorze Emmerson! - zawołałyśmy.

- Do widzenia - odpowiedział. - Nigdy więcej tego nie róbcie.

Otoczyli nas pasażerowie, wśród nich Jimmy i Timothy.

- Idiotki - powiedział Jimmy - co wam strzeliło do głowy?

Pani Forman ścisnęła nas, śmiejąc się i płacząc na przemian.

- Tak się martwiliśmy - powiedziała - ale dzięki Bogu jesteście zdrowe i całe.

- O tak - odparłam z przekonaniem - naprawdę Bogu należy za to dziękować.

* * *

Oczywiście nasza przygoda spowodowała wielkie zamieszanie. Wuj Toby nie miał o niczym pojęcia, dopóki nie znalazłyśmy się bezpiecznie na pokładzie. Regulamin morski zabraniał niepokoić go podczas postoju w porcie, chyba że zachodziła nagła konieczność, a nasze spóźnienie na statek trudno było traktować jako katastrofę z marynarskiego punktu widzenia.

Gdy historia o naszej przygodzie dotarła do jego uszu, był bardzo wzburzony, a ja dopiero wtedy uświadomiłam sobie, na jakie niebezpieczeństwo byłyśmy narażone. W godzinę po odplynięciu wuj wezwał mnie do siebie do kabiny.

- Musisz bardzo uważać, aby coś takiego nie powtórzyło się nigdy więcej - zaczął poważnie.

- Nigdy by do tego nie doszło, gdyby to zależało od nas - powiedziałam.

- Częściowo zależało. Nie powinnyście były oddalać się od chłopców.

- Nie miałyśmy takiego zamiaru. Po prostu zniknęli nam z oczu.

- Nie będzie ci wolno schodzić na ląd, chyba że pod opieką kogoś dorosłego.

Nie mogłam powstrzymać łez. Do tej pory wuj nigdy się na mnie nie gniewał. Byłam taka dumna, że wszystko zakończyło się szczęśliwie, ale teraz świadomość, że wuj martwił się z mojego powodu, sprawiła, że poczułam się bardzo nieszczęśliwa.

Wuj Toby złagodniał natychmiast i chwycił mnie w objęcia.

- To dlatego, że znaczysz dla mnie tak wiele - powiedział. - Kiedy pomyślę, co cię mogło spotkać...

Milczeliśmy przez chwilę, przytuleni do siebie.

- Nigdy... nigdy... - zaczął.

- Na pewno, obiecuję.

Po krótkiej chwili wuj znowu był taki jak dawniej.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jestem naprawdę wdzięczny Emmersonowi. To cud, że znalazł się właśnie w tym miejscu.

- O tak - powiedziałam z przekonaniem - to był prawdziwy cud.

- To porządny gość. Napiszę do niego, a ty i Gertie możecie dołączyć swoje podziękowania.

- Na pewno to zrobimy. Jestem taka szczęśliwa, że jestem znowu z tobą. Naprawdę się nie gniewasz?

- Nie, dopóki znowu czegoś nie zmalujesz.

- Na pewno nie. Będę ostrożna, przyrzekam.

Tak więc wszystko zakończyło się szczęśliwie. Wuj Toby gniewał się na mnie tylko dlatego, że bardzo mnie kochał.

Wezwał też Jimmy'ego i Timothy'ego. Musiał palnąć im niezłą mówkę, gdyż wyszli z jego kabiny z zaczerwienionymi twarzami i przez kilka następnych dni zachowywali się znacznie spokojniej.

Pani Forman obwiniła samą siebie. Mówiła, że nie powinna była pozwolić nam na tę wyprawę. Ale wszyscy ją pocieszali, że to przecież nie jej wina, że musiała zostać na statku i opiekować się mężem. Pan Forman czuł się obecnie znacznie lepiej i za kilka dni miał całkowicie stanąć na nogi.

Ten incydent nie pozostał bez wpływu na wuja Toby'ego, który był teraz cichszy, jakby coś rozważał. Jak zawsze spędzał ze mną każdą wolną chwilę. Miałam wrażenie, że bardzo tego pragnie i że nic go tak nie cieszy, jak wspólnie spędzony czas.

Jednak teraz zapadały między nami długie chwile milczenia, co dawniej nigdy się nie zdarzało. Wuj zachowywał się tak, jakby chciał mi coś powiedzieć, a potem zmieniał zdanie.

Ta zmiana zaszła w nim od czasu naszej dramatycznej przygody i byłam przekonana, że ma z nią jakiś związek.

Niebawem miałam dowiedzieć się prawdy.

Zjedliśmy właśnie obiad i wuj miał trochę wolnego czasu. Wieczór był piękny, morze spokojne, księżyc w pełni kładł na wodzie świetlistą smugę światła. W ciszy słyhać było jedynie uderzenia fal o burtę.

Wuj Toby powiedział nagle:

- Nie jesteś już dzieckiem, Carmel. Myślę, że nadszedł czas, abyś dowiedziała się kilku rzeczy.

- Tak? - zapytałam z napięciem.

- Czegoś o mnie i o sobie.

- Proszę, powiedz mi, powiedz. Pragnę się tego dowiedzieć bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

- Dobrze. Przede wszystkim nie jestem twoim wujem.

- Wiem. Jesteś wujem Estelli, Adeliny i Henry'ego.

- Tak, to prawda. Najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku.

- O tak, proszę.

- Opowiadałem ci, że moja rodzina nie chciała, abym wyruszył na morze. Ja bardzo się od nich różniłem. Znałaś moją siostrę, żonę doktora. Nie powiedziałaabyś nigdy, że jestem do niej podobny, prawda?

Energicznie potrząsnęłam głową.

- Nie byłem też podobny do mojej drugiej siostry Florence.

- Tej, do której pojechały Adelina i Estella? Och, nie.

- Tak, do tej. Widzisz, jestem od nich zupełnie różny.

Oni wszyscy pourządzali się wygodnie, no, może poza samą Grace, bo wyszła za mąż za wiejskiego lekarza, którego reszta rodziny miała w pogardzie. Ale był to jedyny mężczyzna, jaki kiedykolwiek okazał Grace zainteresowanie, więc się uparła, że go poślubi. Może jestem niesprawiedliwy. W każdym razie między mną a pozostałymi członkami rodziny nigdy nie było prawdziwego zrozumienia i to był jeden z powodów, dla których wyruszyłem na morze.

Przytaknęłam. Doskonale mogłam zrozumieć, że ktoś pragnął uciec jak najdalej od pani Marline, nie mówiąc już o reszcie rodziny.

- Bardzo różnicie się od siebie - zauważyłam.

- Jak woda i ogień.

- Ale potem się pogodziliście.

- Opowiem ci, jak do tego doszło. Byłem oficerem na statku, którego macierzystym portem było Sydney w Australii. To wspaniałe miasto, a sam port jest przepiękny, jeden z najpiękniejszych na świecie. Cook, który dopłynął tam jako pierwszy, też tak uważał. Miał rację. W każdym razie nasza baza była w Sydney, skąd zabieraliśmy pasażerów i ładunek i żeglowaliśmy po świecie, tak jak teraz Pani Mórz. Najczęściej były to krótkie rejsy do Hongkongu, Singapuru, Nowej Gwinei czy Nowej Zelandii. Miałem dwadzieścia lat, kiedy spotkałem Elsie. Byłem młody, porywczy i romantyczny. Pobraliśmy się.

- Masz żonę?

- Coś w tym rodzaju.

- Jak można mieć coś w rodzaju żony?

- Jak zwykle jesteś bardzo logiczna, młoda damo, i masz rację. Albo się ma żonę, albo się jej nie ma. Mam na myśli, że nasz związek nie jest taki jak większość małżeństw. Zobaczą się z Elsie, gdy zawiniemy do Sydney. Jesteśmy przyjaciółmi, ale nie dzielimy już życia. Oboje zdecydowaliśmy, że tak będzie najlepiej.

- Ale ona jest twoją żoną.

- Więzy małżeńskie są nierozzerwalne. Człowiek albo jest żonaty, albo nie jest. Tak więc jesteśmy małżeństwem.

- Czy ja też ją zobaczę?

- O tak, poznasz ją z pewnością. Elsie i ja pozostajemy w przyjaźni, mimo że nie widzimy się często.

- Nie lubisz jej?

- Ależ nie, bardzo ją lubię. Doskonale nam się układa. To dobra kobieta.

- Więc dlaczego... ?

- Są sprawy, które pojdziesz dopiero, gdy dorośniesz. Ludzie to skomplikowane istoty. Rzadko robią to, czego się po nich spodziewamy. Elsie nie chciała opuścić swojego kraju, ja zaś jestem z gatunku wędrowców. Ma teraz mały wygodny domek w pobliżu portu. Tam się urodziła.

Rozumiesz, ojczyzna i tak dalej. Ale ja chciałem mówić o nas... o mnie i o tobie.

- Tak? - zapytałam z podnieceniem.

- Polubiliśmy się od pierwszej chwili, prawda? Od razu poczuliśmy do siebie sympatię.

- O tak.

- Od początku wytworzyła się między nami jakaś szczególna więź. Carmel, ja jestem twoim ojcem.

Milczałam, czując rozpierającą mnie radość.

- Cieszysz się? - zapytał wolno.

- To najwspanialsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić.

Ujął moje ręce i pocałował mnie czule.

- To najwspanialsza rzecz, jaka przytrafiła się także i mnie - powiedział.

Siedziałam zdumiona. Gdyby kiedykolwiek pozwolono mi wyrazić moje najgłębsze życzenie, byłoby ono właśnie takie.

- Na pewno się dziwisz, jak to jest możliwe.

Przytaknęłam, rozpromieniona.

- Kiedy usłyszałam, że zginęłaś w Suezie, przeżyłem prawdziwy szok. Mogę tylko dziękować Bogu, że dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, gdy już byłaś bezpieczna. Inaczej byłbym oszalał. Opuściłbym statek i poszedłbym cię szukać, a to oznaczałoby koniec mojej morskiej kariery.

- Och, tak mi przykro.

- Wiem. To nie była twoja wina. Ci głupi chłopcy powinni byli bardziej na was uważać. Wtedy przyszło mi do głowy, że przecież dorastasz, że powinnaś poznać prawdę, i zdecydowałem się wszystko ci powiedzieć. Nie wiedziałem, nie miałem o niczym pojęcia, dopóki doktor Marline nie napisał do mnie. Jego list dogonił mnie w Nowej Zelandii. Domyślasz się, że poczta często docierała do mnie z opóźnieniem. Drogi doktor Edward miał serce na właściwym miejscu. Bo widzisz, on wiedział. Bogu dzięki, że wiedział.

- Przecież mogli mnie odesłać do sierocińca. Wtedy nigdy bym cię nie poznała, nie wiedziałabym, kim jestem.

Teraz, gdy wiedziałam już, co mogłam przez to utracić, wizja ochronki wydała mi się podwójnie okropna.

- Nawet Grace, gdy się dowiedziała, że należysz do rodziny, musiała się z tym pogodzić i przyjąć cię pod swój dach. Ale pozwól, abym opowiedział ci wszystko od początku. Twoja matka była Cyganką.

- Zingara! - wykrzyknęłam.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Później przybrała to imię. Naprawdę nazywała się Rosaleen Perrin. Wiedziałś o tym?

- Widziałam ją jeden raz. - Opowiedziałam mu, jak kiedyś poznałam Rosie Perrin, która opatrzyła mi nogę, i jak później spotkałam Zingarę.

- Prawdopodobnie przyjechała specjalnie, żeby cię zobaczyć. Co o niej myślisz?

- To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałam.

- Jest niezwykła pod każdym względem. - Toby uśmiechnął się na to wspomnienie. - Przyjechałem wtedy do Commonwood House na całe trzy miesiące. Miałem długi urlop, gdyż mój statek poszedł do remontu. I właśnie wtedy poznałem Rosaleen. Byłem nią oczarowany, naprawdę oczarowany.

- A ona tobą.

- Tak, to była prawdziwa namiętność, przynajmniej tak długo, jak długo trwała.

- Nie trwała długo?

- Nie miała szans na przetrwanie. W obozie mieszkał dawniej pewien pisarz, który zbierał materiały do książki o życiu Cyganów. Gdy tylko zobaczył Rosaleen, zainteresował się nią. Nie było w tym nic niezwykłego. Rosaleen i ja spotykaliśmy się nocami w lesie. Podczas moich podróży poznałem wielu ludzi, ale nigdy nie natrafiłem na kogoś takiego jak ona. W czasie, gdy się poznaliśmy, Rosaleen zaczęła naukę tańca i śpiewu, by móc występować na scenie, i bardzo jej na tym zależało. Wiadomo było, że ja przecież nie zostanę w Commonwood House na stałe. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz romans nie będzie trwał wiecznie, i oboje to zaakceptowaliśmy. Ale nie miałem pojęcia o twoim istnieniu, dopóki nie dostałem listu od

Edwarda. Zaraz ci to wytłumaczę. Rosaleen zostawiła cię w Commonwood House, ponieważ uważała, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Była pełna swoistej mądrości. Doskonale wróżyła z kart i miała specjalny dar przewidywania. Nigdy by nie pozwoliła, żeby odesłano cię do przytułku. Byłaś dzieckiem jej i moim, więc uznała, że twoje miejsce jest nie z nią czy wśród Cyganów, lecz w Commonwood House.

- A ty wiedziałeś, że ja tam jestem?

- To właśnie chcę ci wytłumaczyć. Edward - doktor Marline - wiedział o moim uczuciu do Rosaleen. Nie pochwałał tego oczywiście, ale wiedział. Biedny człowiek. Odkąd wpadł w sidła Grace, nie było mu lekko. Nie akceptował mojego trybu życia. Żona w Sydney i kochanka wędrująca swobodnie po świecie. Tak, Edward wiedział o Rosaleen. Często mnie napominał. „Grace nigdy nie może się dowiedzieć”, mówił, tak jakbym kiedykolwiek myślał o zwierzaniu się Grace.

Na High Street był wtedy niewielki sklepik ze starociami, obecnie zlikwidowany. Nie sądzę, aby przynosił duży dochód, ale było to urocze miejsce. Prowadziła go panna Dowling, przemiła osoba, choć pozbawiona głowy do interesów. W oknie wystawowym miała różne ciekawe przedmioty i pewnego dnia zauważyłem tam medalion. Zainteresował mnie umieszczony na nim napis, więc wszedłem, aby go zobaczyć. Panna Dowling była w siódmym niebie, jak zwykle, gdy ktoś interesował się jej starociami, więc natychmiast ściągnęła go z witryny, żeby mi pokazać.

„Myślę, że to cygańska robota - powiedziała. - Tak mnie przynajmniej zapewniano. Ten napis ma jakieś znaczenie; to życzenia szczęścia czy coś podobnego. Najczęściej podobne napisy mówią o powodzeniu w życiu”.

Postanowiłem podarować naszyjnik Rosaleen i kupiłem go. Rosaleen uwielbiała błyskotki, a cygańskie pochodzenie medalionu z pewnością by ją rozbawiło.

Wychodziłem już ze sklepu, gdy natknąłem się na Edwarda. Wstąpił tam zainteresowany jakąś starą książką. Panna Dowling odszukała dla niego żądany tom i podczas rozmowy wspomniała też o naszyjniku.

Gdy wracaliśmy do Commonwood House, doktor zapytał mnie o naszyjnik. Pokazałem mu medalion, wspomniałem też o tajemniczych napisach, których znaczenie być może dla Cyganów byłoby zrozumiałe. Doktora zawsze interesowały takie ciekawostki i teraz też obejrzał naszyjnik z wielką uwagą. Czuję, że oddaje mi go raczej niechętnie. Potem wyraził swój pogląd na temat mojej znajomości z Cyganką. Ostrzegł mnie, że Cyganie to ludzie dzicy i zuchwali.

Odpowiedziałem mu wtedy swobodnie i beztrzesko, jak to zwykle ja, że co prawda życie bywa najeżone pułapkami, ale gdy ktoś ich bez przerwy wypatruje, może przeoczyć błogosławieństwa, jakich los także nam nie skąpi.

Lubiłem doktora i wydaje mi się, że on także mnie lubił. Co więcej, gorąco mu współczułem, jak współczułbym każdemu, kto poślubiłby Grace. Myślę, że Edward zdawał sobie sprawę z mojej sympatii i był mi za nią wdzięczny, i aczkolwiek nie pochwalał mojego, jak to nazywał, stosunku do życia, sądzę, że trochę mi zazdrościł.

Często rozmawiałem z Rosaleen na ten temat. Interesowała ją wszystko, co dotyczyło Commonwood House. Wiedziała o upośledzeniu Adeliny i mówiła, że to kara dla pani Marline za jej pychę i arogancję. Ja uważałem, że to okropne, by biedna Adelina musiała cierpieć za grzechy matki.

No, w każdym razie zmierzam do tego, że gdy zostałaś znaleziona z naszyjnikiem na szyi, Edward od razu skojarzył czyim jesteś dzieckiem i powiedział o tym Grace. Córka jej brata należała do Sinclairów; o tym nie wolno było zapominać. Dlatego zgodziła się, byś się wychowywała razem z jej dziećmi.

Rosaleen zaś, szczęśliwa, że jej dziecko znalazło się w dobrych rękach, wyjechała i poświęciła się karierze scenicznej. Doktor napisał do mnie, że moja córka jest w Commonwood House i chowa się razem z Marline'ami.

Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo byłem podekscytowany. Moja rodzona córka! Nie było żadnej nadziei, byśmy ja i Elsie kiedykolwiek mieli dziecko. Elsie nie mogła mieć dzieci i to był, jak sądzę, jeden z powodów,

dla których nie ułożyło się nasze małżeństwo. Elsie jest pełna macierzyńskich uczuć, sama się o tym przekonasz, gdy ją poznasz.

Tęskniłem za córką. Tak się pechowo składało, że akurat byłem daleko od domu. Gdy dotarł do mnie list Edwarda, miałaś już trzy miesiące. Bardzo pragnąłem wrócić do Commonwood House, ale przebywałem na drugiej półkuli i upłynęły cztery lata, zanim się spotkaliśmy. To było cudowne spotkanie.

Radośnie zaklaskałam w dłonie na to wspomnienie.

- Wszystko się zmieniło, kiedy przyjechałeś - powie
działam. - Wszystko stało się inne.

Odwrócił się i pocałował mnie.

- A moja córka jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem.

Ogarnęła mnie euforia. Życie było wspaniałe. Nareszcie należałam do kogoś. Mój ojciec był najwspanialszym człowiekiem na świecie. Nic dziwnego, że wierzyłam w cuda.

* * *

Z radością witałam każdy nadchodzący dzień, bo każdy przynosił mi coś nowego. Zасыpiając bałam się, by nie przysniło mi się, że szczęście, jakie przypadło mi w udziale, jest tylko snem, a nie rzeczywistością. Gdy się budziłam, powtarzałam sobie, że to jest prawda, i wtedy ogarniała mnie błogość.

Chciałam głośno krzyknąć do każdego: „Jestem córką kapitana”, ale nie mogłam tego zrobić. Tłumaczenie całej historii byłoby zbyt skomplikowane. Nie mogłam nawet zwierzyć się Gertie. Musiałam pozostać Carmel March, a on wujem Tobym, dopóki nie zawiniemy do Sydney i dopóki nie spotkam Elsie.

Gdy tylko wuj Toby (ciągle go tak nazywałam) miał wolną chwilę, siadaliśmy na pokładzie i snuliśmy plany na przyszłość. Zgodziliśmy się, że zostanie dla mnie wujem, dopóki nie dopłyniemy do Sydney, gdzie pożegnamy się ze wszystkimi towarzyszami podróży, których prawdopodobnie nie spotkamy już nigdy więcej. Jak mam go nazywać? Ojciec? Tatusz? Żadne z tych określeń nas nie zadowalało, aż w końcu zdecydowaliśmy, że skoro tak długo nazywałam go

wujem Tobym, mogę teraz opuścić wuja i mówić do niego po prostu Toby.

Wiedziałam oczywiście, że będę musiała wrócić do Commonwood House i dalej się uczyć. Toby był zdania, że byłoby najlepiej, gdybym mogła wyjechać do szkoły. Estella z pewnością pójdzie do internatu. Teraz, kiedy się dowie, że jestem jej kuzynką, a nie cygańskim podrzutkiem, na pewno będzie mnie traktowała inaczej.

Skrzywiłam się na myśl o szkole.

- Tak musi być - zawyrokował Toby smutnym głosem. - Edukacja jest w życiu niezbędna. Nie zdobędziesz odpowiedniego wykształcenia, wędrując po morzach ze swoim nowo odnalezionym ojcem. Będziemy się widywali możliwie jak najczęściej i gdy tylko nadarzy się okazja, znowu zabiorę cię ze sobą w podróż. Na razie mamy jeszcze kilka dni, aby się sobą nacieszyć. Jestem taki zadowolony, że poznałaś prawdę. Od dawna chciałem ci powiedzieć. Najpierw myślałem, że jesteś za młoda, ale teraz nadeszła właściwa chwila.

- Jestem taka szczęśliwa, że mi powiedziałaś.
- To będzie nasz punkt zwrotny.
- Teraz w Commonwood House wszystko ułoży się inaczej.

- Bez Grace - powiedział Toby.
- Ale mam nadzieję, że panna Carson nie odeszła.
- Nie będzie tak źle, zobaczysz.
- Chciałabym, abyś nie odjeżdżał ode mnie tak często.
- Życie nie jest idealne. Najlepiej zaakceptować tę prawdę, a nie pożądać rzeczy niemożliwych. Przecież jest nam dobrze razem, prawda?
- Jest cudownie - powiedziała z zapalem.

* * *

Teraz dni upływały stanowczo zbyt szybko. Gdyby tak można było zatrzymać czas! Niebawem mieliśmy zawinąć do Sydney. Cieszyłam się na myśl, że wreszcie zobaczę to wspaniałe miasto, o którym tyle słyszałam, ale zaraz potem pojawiła się refleksja. Przecież Sydney to już ostatni etap mojej przygody; od niego rozpocznie się powrót do Anglii. Zanim to nastąpi, upłynie jeszcze trochę czasu, ale przecież

wszystko ma swój kres, więc i ja będę musiała powrócić do dawnego życia. Czeka mnie pójście do szkoły. Wspaniałe, olśniewające dni na morzu nie będą trwały wiecznie. Dlatego nie mogłam znieść myśli, że uciekają tak szybko.

Ocean Indyjski na zawsze już będzie zajmował specjalne miejsce w moich wspomnieniach. Spokojne, pogodne dni, kiedy spacerowaliśmy po pokładzie albo przysiadaliśmy na chwilę, wpatrzeni w rozkołysaną wodę, chłodne wieczory spędzane na niekończących się rozmowach o przyszłości i o chwili obecnej. Toby pokazywał mi gwiazdy, opowiadał o tajemnicach uniwersum i o cudzie życia na tej kuli krążącej w przestworzach, która jest naszą planetą.

- Tak niewiele wiemy - mówił. - Wszystko może się wydarzyć zupełnie nieoczekiwanie. A lekcja z tego płynie taka, że należy się cieszyć każdą terażniejszą chwilą. Na tym właśnie polega prawdziwa mądrość.

Oceniając te dni z dzisiejszej perspektywy, mogę się uśmiechać na wspomnienie niewinnego dziecka, jakim wówczas byłam, dziecka, któremu wydawało się, że odkryło idealny sposób na życie. Jednakże doświadczyć takiego szczęścia jest czymś wspaniałym i może dobrze jest też nie wiedzieć, że nie może ono trwać wiecznie.

Zostawiwszy za sobą północne wybrzeże Australii, przybiliśmy do lądu w Queensland. Jeden dzień spędziliśmy w Brisbane. Toby'ego oczywiście zatrzymało w porcie mnóstwo spraw, a ja poszłam zwiedzać miasto z Formanami.

Bardzo się zmienili. Przedtem nie mogli się wręcz doczekać, kiedy wreszcie znajdą się w Sydney i rozpoczną nowe życie, ale teraz, gdy już prawie tam dotarli, wyczuwałam w nich pewne wahanie. Poprzednio byli pełni radości, powtarzali, że ziemia w Australii jest bardzo tania i jeśli tylko człowiek przyłoży się do pracy, nie może mu się nie powieść. Tak, wszystko wydaje się zupełnie proste, kiedy się o tym opowiada, ale gdy człowiek znajduje się o krok od urzeczywistnienia swoich planów, często ogarniają go wątpliwości. To jednak jest ryzyko, opuścić własny kraj, nawet jeśli jacyś tajemniczy „oni” planują poprowadzić

drogę przez środek twojej posiadłości, przez co obniży się jej wartość.

Gertie także gryzła się tym wszystkim i nie zachowywała się już tak bez troski, jak podczas naszej pierwszej wspólnej wycieczki na łód. Z nostalgią wspominałam Neapol. Ale za to wtedy nie wiedziałam jeszcze, kto jest moim ojcem. Ja oczywiście byłam w doskonałym nastroju, ale serdecznie współczułam Formanom.

Brisbane rozciągało się po obu stronach rzeki o tej samej nazwie. Zwiedziliśmy Zatokę Moreton i zbocza Taylor Range, na których leżało miasto. Przewodnik mówił, że w początkach naszego wieku była to kolonia karna. Słuchaliśmy go, ale myślami krążyliśmy gdzie indziej.

Tej nocy Gertie i ja długo rozmawialiśmy, leżąc w swoich kojach. Żadna z nas nie była zmęczona, a zresztą nawet gdybyśmy były, to i tak nie potrafiłybyśmy zasnąć.

- Tu będzie zupełnie inaczej - mówiła Gertie. - Chyba pošłą mnie do szkoły. Bycie młodym wcale nie jest wesołe.

Zgodziłam się z nią.

- To zabawne - ciągnęła - przez te wszystkie tygodnie widywałyśmy się codziennie, a kiedy dopłyniemy do Sydney, powiemy sobie do widzenia i prawdopodobnie nie zobaczymy się już nigdy w życiu.

- Może nie będzie tak źle. Może uda nam się spotkać w Sydney.

Gertie milczała przez chwilę.

- Zanim się rozstaniemy, musisz mi dać swój adres. Ja, niestety, na razie nie mam adresu, ale dam ci adres domu, w którym chwilowo się zatrzymamy. To pensjonat prowadzony przez przyjaciół naszych znajomych z Anglii. Mamy tam zarezerwowane pokoje i tam będziemy mieszkać do czasu, dopóki nie znajdziemy odpowiedniej posiadłości.

- Cieszę się, że o tym pomyślałaś - odparłam. - Będziemy do siebie pisywały.

Milczałyśmy, pocieszone myślą, że więz z tą cząstką naszego życia, którą zawsze będziemy wspominać z przyjemnością, nie zostanie całkowicie zerwana.

* * *

Za dwa dni mieliśmy dopłynąć do Sydney. Toby oznajmił, że statek będzie stał w porcie przez cały tydzień, my zaś zatrzymamy się u Elsie. Zawsze tak robił podczas pobytów w Sydney. Wszyscy pasażerowie opuszczą statek, ale zanim wyruszymy w podróż powrotną do Anglii, pojawią się nowi. Krótki postój w porcie jest niezbędny, gdyż Pani Mórz wymaga przeglądu i kilku drobnych napraw.

- Polubisz Elsie - powiedział Toby. - To dobra kobieta.

Bardzo chciałam zobaczyć Sydney, o którym Toby tak wiele zdążył mi już opowiedzieć. Bardzo lubił opowiadać o dawnych czasach. Po wieczornym posiłku siedzieliśmy jak zwykle na pokładzie i Toby zaczął snuć opowieść o tym, jak w 1788 roku zawinęły tu statki tak zwanej Pierwszej Floty z transportem więźniów na pokładzie.

- Wyobraź sobie tych wszystkich mężczyzn i kobiety... słoczonych razem pod pokładem. Zapewniam cię, że to nie to samo, co wygodna koba w kajucie dzielonej z Ger-tie Forman na Pani Mórz. Zesłańcy zostawiali za sobą domy rodzinne, których większość nie miała zobaczyć już nigdy więcej, płynęli do nieznanego kraju, nie wiedząc, co ich tam spotka.

Zadrżałam, słysząc te słowa. Wyobraziłam sobie skazańców, oderwanych od swoich rodzin... niektórzy z nich byli pewnie dziećmi... może w moim wieku... nie mieli pojęcia, jaki los ich czeka.

- Kapitan dowodzący Pierwszą Flotą nazywał się Arthur Philip. W mieście niejednokrotnie natkniesz się na to nazwisko. Samo Sydney wzięło swoją nazwę od nazwiska jednego z angielskich polityków. Na pewno nie raz też usłyszysz nazwisko Macquarie. To był gubernator Nowej Południowej Walii. Mądry człowiek. Zrobił wiele dobrego dla kolonii. Chciał, aby przyjeżdżający tu nie czuli się jak skazańcy wygnani ze swojej ojczyzny, ale jak koloniści ujarzmiający nowy kraj. Zachęcał ich do badania Australii. Właśnie za jego rządów wytyczono drogę przez Góry Błękitne. Przedtem aborygeni uważali, że tych gór nie da się przekroczyć, ponieważ zamieszkują je złe du-

chy, które zniszczą każdego, kto usiłowałby się przedrzeć na drugą stronę. A jednak znaleźli się śmiałkowie i co odkryli po drugiej stronie gór? Najwspanialsze pastwiska w całym kraju.

- Opowiedz mi więcej o tych górach - nalegałam.

- Są przepiękne. Musimy się tam wybrać któregoś dnia. Nie będziemy się bali duchów, prawda?

Po takich rozmowach nie mogłam się wręcz doczekać, kiedy wreszcie zobaczę ten kraj, ale moja radość była zaporawiona odrobiną smutku, gdyż wiedziałam, że przyjdzie mi rozstać się z Gertie.

W końcu zawnieśliśmy do Sydney i statek w dziwny sposób stał się nieprzytulny. Pożegnałam się z Gertie i jej rodziną. Pani Forman czule przytuliła mnie do siebie i powiedziała:

- Na pewno nie stracimy cię z oczu, kochanie. Będzie my w kontakcie.

Pan Forman uściśnął mi rękę, a Jimmy powiedział „Do zobaczenia”, odrobinę zakłopotany. Od czasu naszej przygody w Suezie, gdy Toby udzielił mu tak surowej reprimendy, zawsze czuł się trochę nieswojo w moim towarzystwie. Gertie pożegnała mnie niemal szorstko, ale wiedziałam, że jest poruszona naszym rozstaniem i tylko stara się maskować swoje uczucia.

Na statku nie pozostał już nikt z pasażerów. Czekałam, aż Toby zawoła mnie do swojej kabiny, a potem razem opuścimy statek, oczywiście tylko na krótki czas.

- No i tak to już jest - mówił Toby. - Tym razem po byt w porcie będzie dłuższy niż zazwyczaj, tak że zatrzy mam się u Elsie na dzień lub dwa. Oczywiście będę miał sporo zajęć na statku, ale przyjemnie jest od czasu do czasu dla odmiany postawić stopę na lądzie.

Ja także miałam zamieszkać u Elsie. Do tej pory nie myślałam wiele na jej temat. Jego żona. Nie żyli ze sobą jak małżeństwo, ale bardzo się lubili. Z pewnością nie było to normalne, żeby mąż, który opuścił swoją żonę, od czasu do czasu wpadał do niej z przyjacielską wizytą, ale Toby nie był konwencjonalny w niczym, co robił.

Spacerowałam po statku, zaglądając do opustoszałych pomieszczeń. Jakże inaczej wyglądały, gdy byli w nich lu-

dzie. Poszłam na pokład i przechyliłam się przez reling, podziwiając widoki. Wyobrażałam sobie, że przyplłynęłam tu na jednym ze statków Pierwszej Floty, że jestem biednym więźniem, któremu przyjdzie teraz żyć z dala od ojczystego kraju.

Pomyślałam też, jak bardzo sprzyja mi los. Mogłam przecież trafić do sierocińca. Ale mój najdroższy ojciec nigdy by nie pozwolił, by stała mi się jakaś krzywda. I tak będzie już zawsze.

Dom Elsie stał na trzykrowej działce. Wzniesiono go w starym stylu kolonialnym, z werandą dookoła i wiodącymi na nią sześcioma stopniami.

Właśnie wstępowaliśmy na schody, gdy podbiegł do nas niski ciemnoskóry mężczyzna, który wynurzył się z zabudowań gospodarczych.

- Kapitan, kapitan! - wykrzykiwał.

- Coś takiego - powiedział wuj Toby. - To przecież Aglo. Cieszę się, że cię widzę.

Niewielki człowieczek stał przed Tobym, szczerząc zęby w uśmiechu. Podali sobie ręce.

- Missus już czeka. Panna Mabel ciężko pracuje. Wszystko czyste, wszystko czeka na kapitana.

- Jak miło to słyszeć - powiedział Toby. - Pucują cały dom na mój przyjazd, co? - Mrugnął do Agla, żeby mu pokazać, że żartuje. - Byłbym niepokieszony, gdyby na taką okazję nie wypolerowały wszystkiego do połysku.

Odwrócił się do mnie. W tym samym momencie drzwi się otwarły i na werandę wyszła kobieta.

- Kapitan! - krzyknęła, rzucając się Toby'emu na szyję-

- Mabel, jakże się cieszę, że cię widzę. A to jest Carmel.

Toby uśmiechnął się do mnie. Zanim Mabel zdążyła coś powiedzieć, drzwi otworzyły się ponownie i na werandzie pojawiła się druga kobieta.

- Jesteś nareszcie, Tobe - powiedziała. - Co cię zatrzymywało tak długo? Przecież statek przybił już z samego rana.

- Obowiązki, Elsie. Co innego mogłoby mnie zatrzymać?

Elsie pocałowała Toby'ego w oba policzki, a on powiedział:

- To jest Carmel.

Elsie odwróciła się ku mnie. Była wysoka, z całą masą brązoworudych włosów. Oczy miała zielone i błyszczące. Białe zęby odbijały od opalonej cery. Emanowała z niej rzeczowość i otwartość. Od razu wiedziałam, że Elsie zawsze mówi to, co myśli, nie stosując żadnych wybiegów i uników. Poczułam do niej sympatię. Elsie można było zaufać.

- Carmel. Dużo o tobie słyszałam i wreszcie jesteś tu taj. Wizyta w Sydney, co? Jak tam podróż, bardzo dała ci się we znaki?

Ujęła mnie za rękę i przyglądała mi się z uwagą. Zastanowiłam się przelotnie, co żona może myśleć o córce męża, która nie jest jej dzieckiem, ale szybko odrzuciłam tę myśl. Elsie z pewnością nie ukrywałaby tego, co sądzi. Najwyraźniej nie widziała nic nadzwyczajnego w tej sytuacji.

- Szkoda, że zostajesz tylko przez tydzień - powiedziała ła do mnie. - Przez tak krótki czas nie zdołasz zobaczyć zbyt wiele, a zapewniam cię, że w Sydney jest co oglądać. Postaramy się wykorzystać ten czas jak najlepiej. Ale właściwie dlaczego stoimy na dworze? Wchodźcie. Domyślałam się, że jesteście głodni. Pewnie nie karmili was zbyt dobrze na tej starej łajbie.

Popatrzyła z ukosa na Toby'ego i widać było, że sobie z niego pokpiwa. Toby odpowiedział natychmiast.

- Jedzenie na statku było wyśmienite, prawda, Carmel?

- O tak - zapewniłam - bardzo dobre.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co dostaniesz u mnie. Pod koniec tygodnia nie będziesz chciała opuścić mojego domu, jestem gotowa się założyć.

Ujęła mnie za ramię i weszliśmy do środka. Widziałam, że Toby jest zadowolony ze sposobu, w jaki nas przyjęła.

- Wiesz, gdzie iść, Tobe - powiedziała Elsie. Jego imię wypowiedane w ten sposób brzmiało dziwnie w moich uszach, ale wkrótce zauważyłam, że Elsie ma zwyczaj

skracania imion. Odwróciła się ku mnie. - Zawsze zajmuje ten sam pokój, gdy zatrzymuje się u mnie, co nie zdarza się tak często, jak bym chciała. Ale musimy cieszyć się tym, co los nam zsyła. Pokażę ci teraz twój pokój, kochanie. Jest stamtąd przepiękny widok na port. Jesteśmy bardzo dumni z naszego portu i prezentujemy go wszystkim, gdy tylko nadarza się nam okazja. Tobe, w twoim pokoju czeka na ciebie poczta. Listy z domu. Położyłam je tam, ale proszę, nie zaczynaj ich czytać przed obiadem.

Toby przeciągnął się, popatrzył w niebo, a potem na dom i powiedział:

- Dobrze jest znowu tu zawitać.

- Dobrze też mieć cię tutaj znowu, prawda, Mabel?-
odparła Elsie.

- O tak - przytaknęła Mabel.

- Aglo też jest tego zdania - dodała Elsie.

Aborygen uśmiechnął się szeroko.

- Aglo to dobry chłopak. Nie wypuściłby się na łąkę, gdy kapitan ma przyjechać.

Aglo z zapalem potrząsnął głową i znowu się uśmiechnął.

Gdy później zapytałam, co to znaczy, Toby wytłumaczył mi, że aborygeni, gdy tylko zabiorą się do pracy, są dobrymi pracownikami, ale nie należy zapominać, że nie są przyzwyczajeni do mieszkania w domach i od czasu do czasu odczuwają potrzebę wędrówki i wtedy po prostu odchodzą. Czasami wracają, ale nie zawsze. Tego nigdy nie można być pewnym i nawet najbardziej oddany aborygen może po prostu odejść bez uprzedzenia.

- No, wchodźcie - popędzała Elsie.

Bez wątpienia przyjęcie, jakie nam zgotowano, było bardzo serdeczne i bezpośrednie. Przypomniałam sobie, w jaki sposób pani Marline witała lady Crompton, kiedy ta raczyła czasami odwiedzić Commonwood House. Jakże inne było to powitanie.

Mój pokój był duży i, zgodnie z zapowiedzią Elsie, za oknem rozciągał się wspaniały widok na port. W pokoju stało łóżko, szafa, umywalka, toaletka i kilka krzeseł. Podłoga była drewniana i przykrywało ją kilka chodników.

Obejrzawszy to skromne umeblowanie, znowu pomyślałam o Commonwood House. Co za różnica!

Elsie powiedziała, żebym przyszła do jadalni, gdy tylko będę gotowa. Otworzyłam drzwi. Toby wychodził właśnie od siebie.

- Wszystko w porządku? - zapytał z odrobiną niepokoju w głosie.

- Tak, jest świetnie.

- Wiedziałem, że dogadacie się z Elsie. Prawie wszyscy ją lubią.

- Z wyjątkiem ciebie - zauważyłam.

- To coś innego. W większości spraw zgadzamy się ze sobą, tylko nie w tym, co dotyczy małżeństwa. - Uścisnął moje ramię. - Szkoda, ale tak już czasami bywa. Spodoba ci się tutaj. Jest tu mnóstwo do oglądania. Elsie nie mogła się już ciebie doczekać. Wejdz, zobaczysz mój pokój.

Pokój Toby'ego okazał się podobny do mojego - podłoga z desek, chodniki i najniezbędniejsze meble.

- Nie bardzo to przypomina Commonwood House - powiedział Toby.

- Nie... właśnie o tym samym pomyślałam.

- Zupełnie inna atmosfera. Nie ma tu żadnych konwenansów, wszyscy są bezpośredni i otwarci.

- Tak - zgodziłam się - ja też to czuję. Toby zburzył mi włosy i pocałował mnie.

- Przed chwilą się cesałam - zaprotestowałam.

- Nie szkodzi. Elsie nie będzie gderać.

Rozejrzałam się po pokoju.

- Jakie mnóstwo listów przyszło do ciebie.

- Wiem, ale nie będę zagłębiał się w nie teraz. Przypuszczam, że nie ma w nich nic ważnego. Chodź, zejdziemy już na dół, bo inaczej będziemy w kłopotach.

Posiłek okazał się wyśmienity. Mabel, która była zarówno gospodynią, jak i przyjaciółką Elsie, dotrzymywała nam towarzystwa. Przy stole obsługiwała młoda dziewczyna, mająca nie więcej niż piętnaście lat. Na imię miała Jane. Znowu uderzył mnie zupełny brak sztywnej etykiety, a ponieważ to wszystko było tak różne od Commonwood House, mimo woli zaczęłam się zastanawiać, co też dzieje się w domu. Na pewno po śmierci pani Marline zaszły tam

duże zmiany. Adelina przy paninie Carson nie będzie się musiała niczego obawiać.

Elsie trochę przekomarzała się z Tobym, ale głównie rozmawiała ze mną. Opowiadała mi, co będziemy robiły w Sydney. Tyle tu jest do oglądania. Mogłybyśmy wybrać się na przejażdżkę łodzią po porcie, o ile oczywiście nie mam jeszcze dosyć statków. Ale to będzie mała łódź wiosłowa, chociaż kursuje też i prom. Spytała, czy jeżdżę konno.

- To znakomicie. Tutaj bez konia człowiek nie dałby sobie rady. Będziemy urządzały pikniki. Pogoda jest u nas wyśmienita, zresztą sama zobaczysz. Tutaj bardziej możesz na niej polegać niż w domu.

Zauważyłam, że Elsie często wyraża się o Anglii z pewnego rodzaju sentymentem, a jednocześnie z lekceważeniem. Wszystko było lepsze „tu w dole”. Później się dowiedziałam, że urodziła się w Australii i nigdy nie była w Anglii. Mimo to nazywała ją domem.

Toby wytłumaczył mi, że to jest bardzo charakterystyczne dla wielu ludzi. Ich korzenie były w Anglii, ponieważ stamtąd przywędrowali ich rodzice czy dziadkowie i osiedlili się tutaj w nadziei na lepsze życie. Ale także i dla tych, którym się powiodło, stary kraj na zawsze pozostał domem, nawet jeśli nigdy go nie widzieli.

Wszystko to było dla mnie fascynujące - kolejny etap w tym cudownym życiu, do którego wprowadził mnie Toby.

Tej nocy spałam smacznie, a rankiem, zaraz po przebudzeniu, wstałam z łóżka, otworzyłam szklane drzwi i wyszłam na balkon otoczony żelazną balustradą, skąd roztaczał się prześliczny widok. Spoglądałam na port, z licznymi zatoczkami otoczonymi gęstwiną krzewów schodzących aż ku wodzie. Za nimi, w pewnym oddaleniu, wyrastały wysokie drzewa - później dowiedziałam się, że są to eukaliptusy - i kwitnące na żółto krzewy akacji.

Elsie polubiłam od pierwszego wejrzenia. Była przyjazna i serdeczna, nawet jeśli nie potrafiła pogodzić się z Tobym w kwestii małżeństwa. Ale poza tym musiało być im razem bardzo dobrze, skoro odwiedzał ją, ilekroć znalazł się w

Sydney. Stojąc na balkonie, podziwiałam jeden z najpiękniejszych portów świata i po raz kolejny rozmyślałam o tej szczęśliwej odmianie w moim życiu, gdy nagle usłyszałam przeraźliwy śmiech. Wzdrygnęłam się przestraszona. Wydawało mi się, że to jakieś diabelskie stworzenie drwi sobie ze mnie i z tej wspaniałej przygody, jaka szczęśliwym zrządzeniem losu stała się moim udziałem. Rozejrzałam się wokoło, ale nikogo nie dostrzegłam.

Poczułam wielką ulgę, ujrawszy Elsie i Toby'ego. Przecież oni też musieli słyszeć ten przeraźliwy głos, tymczasem wcale nie wyglądali na zaniepokojonych. Siedzieli pograżeni w rozmowie i najwyraźniej dyskutowali o czymś poważnym. W niczym nie przypominali tych beztruskich, żartujących wesoło ludzi, jakimi byli jeszcze poprzedniego wieczoru, co wydało mi się bardzo dziwne. Gdyby nie to, że obudziłam się już dawno temu, byłabym skłonna przypuszczać, że śnię.

W pewnym momencie popatrzyli w górę i na mój widok wyraz ich twarzy zmienił się raptownie. Teraz znowu uśmiechali się wesoło.

- Dzień dobry! - zawołał Toby.
- Jak się spało? - dodała Elsie.
- Dzień dobry. Świetnie, dziękuję.
- To znakomicie.

Upiorny śmiech rozległ się ponownie. Elsie cmoknęła językiem.

- Znowu kookaburry. - Gdy to mówiła, ogromny, prawie półmetrowy szarobrazowy ptak sfrunął skądś i przysiadł na gałęzi; po chwili przyłączył do niego drugi.

Znowu rozległ się ten dziwny odgłos, przypominający szyderczy śmiech. Okazało się, że wydają go właśnie te ptaki.

- Upominają się o śniadanie - powiedziała Elsie. - Dokarmiam i te, i całą gromadę innych, dlatego zlatują się tu całymi stadami. Strasznie skrzeczą, ale przyzwyczaisz się do tego. Nazywamy je przedrzeźniaczami i niebawem sama zrozumiesz, dlaczego. Zachowują się tak, jakby wyśmiewały się z człowieka. Pewnie sobie pomyślisz, że jestem starą głupią babą, skoro zwracam sobie nimi głowę. No, czas, abyśmy i my zjedli śniadanie.

Zeszłam na dół. Na śniadanie była kawa, jajka na bekonie i świeżo upieczony chleb.

- Śniadanie zupełnie jak w domu - zauważyła Elsie. - Trzymamy się tu starych zwyczajów, prawda, Tobe?

Toby przytaknął. Zaczęliśmy omawiać plany na dzisiejszy dzień. Toby musiał iść do portu i nie wiedział, ile czasu mu to zabierze. Elsie powiedziała, że pokaże mi dom i ogród, bym mogła porównać, jak żyje się „tu na dole”.

Wszyscy byliśmy w wyśmienitych humorach. Toby wyszedł, a ja przyglądałam się Elsie karmiącej ptaki. Wesoła różnobarwna gromadka krążyła wokół jej głowy i był to naprawdę prześliczny widok. Niektóre ptaki wyglądały całkiem tak samo jak papużki, które trzymamy w domu w klatkach. Tutaj fruwały swobodnie, świergocąc z ożywieniem. Doprawdy w tej scenie było coś kojącego. Widziałam też kookaburry odbierające swoje porcje.

Ponownie rozległ się ich śmiech. Teraz nie zrobił już na mnie żadnego wrażenia.

* * *

Elsie powiedziała, że pewnie chętnie poznałabym tujszych mieszkańców.

- Ludzie w Australii są zupełnie inni niż mieszkańcy tych stron, z których pochodzisz. U nas nie ma żadnego zadzierania nosa, żadnego „ja jestem lepszy niż ty”. Wszyscy jesteśmy równi, nawet jeśli niektórzy są równiejsi, jak się to czasami mówi. Jak długo pamiętają, że ja tu rządzę, i robią tak, jak ja każę, wszystko jest w porządku.

- To zupełnie jak... - zaczęłam, ale Elsie roześmiała się.

- Zobaczysz, co mam na myśli, kochanie. Mam tu dwie służące, Adelajdę i Jane. Jane już poznałaś. No i jest Mabel. To cała moja służba. Mabel to prawdziwy skarb - gotuje i trzyma w ryzach cały dom. Jem, jego żona i ich syn Hal mieszkają nad stajniami i cały dzień kręcą się po domu i po dworze. Jest jeszcze Aglo. Czasami znika i nigdy nie jesteśmy pewni, czy wróci. Ale mnie się wydaje, że on nigdy nie odejdzie, a już na pewno nie wtedy, gdy Tobe

jest tutaj. Darzy go szczególnym uczuciem, podobnie jak większość ludzi. W Tobym już jest coś takiego. Chodź, obejrzymy teraz dom.

Udałyśmy się na zwiedzanie. Dom był obszerny, w znacznej części drewniany; umeblowany bardzo skromnie i raczej z myślą o tym co niezbędne, niż o jakimkolwiek zbytku. Była tam pralnia, duży pokój kredensowy, spiżarnia i ogromna kuchnia z wielkim piecem, piekarnikiem i długim, drewnianym stołem.

Poznałam wszystkich domowników i wiedziałam już, co Elsie miała na myśli, twierdząc, że nie przestrzega się tu konwenansów jak w Anglii. Wszyscy zachowywali się zupełnie swobodnie. Elsie uważała, że jeśli tylko robota jest zrobiona, to wszystko jest w porządku.

- Kto by sobie zawracał głowę fartuszkami, czepeczkami i tym całym kramem z mówieniem mi madam. Pani Sinclair w zupełności wystarczy.

W jej głosie usłyszałam nutkę żalu i zaczęłam się zastanawiać, czy nie wolałaby być żoną Toby'ego, a nie tylko widywać go od czasu do czasu, gdy jego statek zawija do Sydney.

Zaraz pierwszego poranka opowiedziała mi, że jej dziadek został zesłany do Australii w jednym z pierwszych transportów. Bynajmniej nie był kryminalistą, natomiast zbyt otwarcie głosił swoje poglądy. Pracował w fabryce i próbował ulżyć doli swoich współtowarzyszy.

- Zupełnie jak ci męczennicy z Tolpuddle*. Dziadek nie zwykł uskarżać się na to, czego nie był w stanie zmienić. Dzielnie odsiedział swoje siedem lat, a później dorobił się kawałka ziemi. Ciężko pracował i wkrótce zaczęło mu się dobrze powodzić. Zajął się poszukiwaniem złota. Mój ojciec poszedł w jego ślady i we dwójkę dorobili się małej fortunki. Tak więc znaleźliśmy się tutaj, w kraju, który okazał się dobry dla nas, i nigdy nie było mowy o powrocie.

*Robotnicy, którzy w 1833 roku założyli związek zawodowy, za co zostali skazani na zesłanie do Australii; uwolnieni później po fali publicznych protestów (przyp. tłum.).

Wszystko to wydało mi się bardzo zajmujące i chciałam usłyszeć dalszy ciąg tej historii.

- Usłyszysz, kochanie, na pewno. Mnie najczęściej usta się nie zamykają.

- Och, opowiedz mi, proszę. Wiesz przecież, że nie będę tu długo.

- Będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu na rozmowy, zobaczysz.

Tak upłynął nam poranek, a po południu Toby wrócił do domu. Byłam właśnie w pokoju i wieszalałam swoje rzeczy w szafie, gdy usłyszałam stukot kopyt jego konia.

Podeszłam do okna. Elsie też musiała go usłyszeć, gdyż wyszła mu na spotkanie i teraz oboje szli wolno w stronę domu. Znowu mieli takie poważne miny, podobnie jak dzień rano, gdy zaniepokoiły mnie kookaburry.

Zawahali się na chwilę i przystanęli, pogrążeni w poważnej rozmowie. Zawołałam ich. Popatrzyli w górę i wyraz ich twarzy uległ raptownej zmianie. Teraz oboje się uśmiechali, ale miałam wrażenie, że ich uśmiech jest wymuszony. Ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że chyba nie wszystko układa się pomyślnie, mimo że Toby i Elsie chcieliby, abym w to wierzyła. Niemal spodziewałam się, że usłyszę szyderczy śmiech przedrzeźniaczy, ale ptaki po śniadaniu gdzieś odleciały.

Zeszedłam na dół.

- Widzę, że spędziłyście udany poranek, oglądając dom - powiedział Toby.

- O tak, to było bardzo ciekawe.

Elsie odezwała się:

- Słuchaj, kochanie, Toby chciałby z tobą pomówić. - Popatrzyła na niego niemal nagłaco i dodała: - Najlepiej porozmawiajcie od razu. Idźcie do salonu, tam nikt nie będzie wam przeszkadzał.

Wydawało mi się, że Toby jest raczej niechętny tej propozycji, jednak pod wpływem Elsie w końcu ustąpił.

- No dobrze, chodźmy, Carmel.

Weszliśmy do saloniku i Elsie zostawiła nas samych. Popatrzyłam na Toby'ego z niepokojem. Najwyraźniej nie wszystko układało się dobrze.

- Muszę ci coś powiedzieć, Carmel - zaczął Toby

j umilkł. Spoglądałam na niego pytająco. Toby'emu nigdy nie brakowało słów.

- Domyślam się, że coś musiało zająć - powiedziałam. - Oboje wyglądacie zupełnie inaczej.

- To trudna decyzja.

- Jaka decyzja?

- Widzisz, Carmel, sytuacja w domu się zmieniła.

- W domu?

- W Commonwood House. Chodzi o doktora.

- Co się stało?

- Nie będzie żył.

- Chcesz powiedzieć, że doktor umrze? - zapytałam głupio.

- Miał wiele trosk... i to dlatego. Estella i Adelina zamieszkają na stałe z Florence. Henry też, oczywiście. Tak więc widzisz...

- Nie wrócę już do Commonwood House, czy tak?

- Na to wygląda.

- Ale czy doktor jest bardzo chory? Skąd można wiedzieć, że umrze? Może mu się polepszy?

Toby spoglądał gdzieś nad moją głową. Nigdy go takim nie widziałam.

- Widzisz - powiedział - musimy się zastanowić, co zrobić z tobą.

- Czy panna Carson będzie z Adelina i Estellą?

- Nic nie wiem o pannie Carson, ale nie wydaje mi się.

Wiem tylko, że Adelina i Estella idą do Florence, która zajmie się ich wychowaniem.

- Natomiast dla mnie nie ma tam miejsca, czy tak?

Toby wyglądał, jakby mu lekko ulżyło.

- Problem w tym - mówił dalej - że nie mam w Anglii prawdziwego domu, a jedynie wynajęte mieszkanie. Zresztą i tak przez większą część roku jestem na morzu. Sama więc widzisz, jaki mamy kłopot.

Poczułam się niepewnie, gdyż Toby najwyraźniej był bardzo zatroskany. Musiał wyczuć moją obawę, gdyż mocno objął mnie ramieniem.

- Nie ma powodu do zmartwienia. Gdy ja jestem w pobliżu, nie musisz się niczym przejmować.

Mocno przywarłam do niego.

- Wiem.
- Jesteś moją małą dziewczynką i będę się tobą opiekował, tak że naprawdę nie ma się czym martwić. Nie będziesz musiała iść do Florence.

- Wiem. Zresztą ona by mnie nie chciała.
- Ale musimy się zastanowić naprawdę poważnie, co dalej.

- O tak. Elsie wie o wszystkim, prawda?

Przytaknęła.

- Tak. Pomoże nam znaleźć jakieś rozwiązanie. Była zdania, że nie powinienem niczego przed tobą ukrywać, tylko powiedzieć ci wszystko od razu.

- Co więc masz mi powiedzieć?

- Nie mogę zabrać cię ze sobą do Anglii, ponieważ nie byłoby tam dla ciebie odpowiedniego miejsca. Masz dopiero jedenaście lat i jesteś za mała, by mieszkać sama, podczas gdy ja będę na morzu, o całe mile od domu. Poza tym gdy ta podróż się zakończy, przez najbliższy rok nie będę zawijał do Anglii. Pani Mórz więcej pływa po tej półkuli, a do Sydney zawija częściej niż do jakiegokolwiek innego portu. Będę tu przyjeżdżał bardzo często. Elsie podsunęła mi pewien pomysł, który mnie wydaje się bardzo dobry. Najlepszy, jaki udało nam się wymyślić w tak krótkim czasie. Gdy w przyszłym tygodniu wyruszę w rejs, ty zostaniesz z Elsie, a ja za cztery miesiące będę z powrotem w Sydney.

Popatrzyłam na niego z najwyższym przerażeniem, więc Toby powiedział szybko:

- Wiem, że to dopiero połowa obiecanej ci podróży. Naprawdę nie sądziłem, że wszystko potoczy się w ten sposób. Miałem nadzieję, że do naszego powrotu w Commonwood House wszystko się ułoży, gdy zaś Estella wyjedzie do szkoły, ty pójdziesz w jej ślady. Przecież dla nas najważniejsze jest to, że będziemy ze sobą tak często, jak to tylko będzie możliwe. Czyż nie na tym właśnie zależy nam najbardziej?

Energicznie pokiwałam głową.

- Wiem, że jest to dla ciebie wstrząs. Długo się zastanawialiśmy, jak ci to powiedzieć. Elsie uważała, że nie ma co próbować mydlić ci oczu, że powinnaś dowiedzieć

się o wszystkim jak najszybciej. Jej zdaniem jesteś już zbyt duża, by dać się oszukać. A więc tak przedstawia się nasz plan... mój i Elsie... a teraz także i twój. Elsie możesz zaufać. Ona jest wspaniała. Uważa, że powinnaś zostać tutaj i zamieszkać z nią. Niedaleko stąd jest doskonała pensja z internatem, na której będziesz mogła zdobyć odpowiednie wykształcenie. Pojedziesz tam, a wakacje będziesz spędzać u Elsie. A gdy mój statek zawinie do Sydney, ty i ja będziemy znowu razem.

Cofnął się lekko i popatrzył na mnie badawczo. Potem objął mnie gwałtownie i mocno przytulił.

- Carmel, moje najdroższe dziecko, to jest najlepsze rozwiązanie. Zapewniam cię, że w tych okolicznościach jest to jedyne wyjście.

Byłam zbyt oszołomiona, by to pojąć. Mogłam tylko tulić się do niego i przekonywać samą siebie, że on ciągle jest tutaj ze mną i że zawsze będzie mnie kochał. Ale nasza wspaniała podróż powrotna nie dojdzie do skutku. Niedługo Toby odjedzie i upłynie dużo czasu, zanim znowu go zobaczę. A ten nowy kraj będzie teraz moim domem.

Wszystko to wydarzyło się tak nagle i było tak oszalamiające. Czułam się jak owi skazańcy, deportowani z Anglii do nowego, nieznanego kraju, niepewna, niemogąca wprost uwierzyć, że podobna historia mogła się przydarzyć także i mnie. Ale moja sytuacja była przecież zupełnie inna. Deportowani nie mieli nikogo bliskiego, ja zaś miałam Toby'ego, który mnie kochał, nawet jeśli musiał mnie teraz opuścić. Miałam też Elsie, którą od razu polubiłam.

Myślamy powędrowałam do tej chwili o poranku, kiedy zniemacka usłyszałam szyderczy śmiech przedrzeźniaczy. Wtedy pomyślałam, że ten śmiech brzmi niczym ostrzeżenie. I może rzeczywiście tak należało go traktować.

Życie wydawało się zbyt doskonałe, a przecież rzadko bywa takie.

Potem jednak pomyślałam, że Toby jest moim ojcem i nic nie zmieni tego faktu. Może nie będę go widziała przez długi czas, ale przecież wróci. Naprawdę jest moim ojcem i pozostanie nim na zawsze.

*Sundowner**

Gertie i ja pożegnałyśmy się z koleżankami szkolnymi i z samą szkołą, kończąc tym pożegnaniem kolejny, trwający całe sześć lat etap naszego życia. Wakacje, jakie miały nastąpić po zakończeniu ostatniego semestru, były dla nas czymś więcej niż zwykłymi feriami. Jak co roku znowu pojedę do posiadłości Formanów w Yomaloo, a potem Gertie przyjedzie do mnie do Sydney. Ten schemat powtarzał się przez kilka ostatnich lat.

W marcu przyszłego roku skończę osiemnaście lat. Od czasu, gdy Toby powiedział mi, że nie wrócę do Anglii, upłynął już szmat czasu.

Wtedy wszystko wydarzyło się tak nagle. Długo i starannie układane plany spaliły na panewce, a ja w przeciągu zaledwie kilku dni musiałam pogodzić się z faktem, że moje życie będzie teraz zupełnie inne. Byłam wtedy całkowicie zagubiona, czułam się tak, jakbym nagle dostała się w szpony huraganu, który przeniósł mnie do nowego domu, do nowego kraju. Jednak nigdy nie przestałam być wdzięczna Opatrzności za to, że moimi opiekunami są tak wspaniali ludzie jak Toby i Elsie.

Kiedy Toby zabrał mnie z Anglii w podróż, podczas której odkryłam cudowny, olśniewający świat, wydawało

**Sundowner* - w Australii włączęga przychodzący do sadyby ludzkiej o zachodzie słońca w poszukiwaniu noclegu (przyp. tłum.).

mi się, że moje szczęście będzie trwało wiecznie. Teraz, z perspektywy lat i doświadczenia, mogę tylko uśmiechać się na wspomnienie dziecka, jakim byłam wówczas. Szczęście nigdy nie trwa wiecznie. Pojawia się nieoczekiwanie i dlatego, gdy wreszcie nas spotka, staje się czymś niezmiernie cennym.

Wobec Elsie miałam ogromny dług wdzięczności. Formalnie była moją macochą, ale zachowywała się wobec mnie jak starsza, bardziej doświadczona siostra. W jednej z rzadkich chwil, kiedy ogarnął ją sentymentalny nastrój, zwierzyła mi się, że zawsze pragnęła mieć córkę. W pewien sposób zaspokajałam to pragnienie.

Pamiętnego lutowego dnia na krótko przed moimi jędenastymi urodzinami Toby odplynął na Pani Mórz, zostawiając mnie z Elsie, którą znałam zaledwie tydzień. Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy poszłam na statek, aby się z nim pożegnać, i tego uczucia pustki i opuszczenia, jakie ogarnęło mnie na myśl, że go tak długo nie zobaczę. Toby usiłował zachować pogodę ducha i do pewnego stopnia mu się to udało.

Zapewniał mnie, że przecież niebawem wróci, a wtedy czeka nas mnóstwo wspaniałych wrażeń. Potem stałyśmy na nabrzeżu, patrząc jak Pani Mórz opuszcza port. Toby'ego nie było widać, gdyż musiał być na mostku. Statek oddalał się z wolna. Zobaczyłam, że Elsie także płacze, i to mnie pocieszyło. Otoczyła mnie ramieniem i powiedziała: „Jakoś to wytrzymamy, kochanie, a gdy przyjdziemy tu następnym razem, zobaczymy, jak statek przywozi go nam z powrotem”. Potem wróciłyśmy do domu i pijąc kakao, długo rozmawiałyśmy o Tobym.

Przez następne tygodnie Elsie była dla mnie cudowna. Poświęcała mi całą swoją uwagę. Doskonale rozumiała moje uczucia i dokładała wszelkich starań, aby mnie przekonać, że z nią także jestem bezpieczna. Toby przez krótki czas będzie nieobecny, ale ona zajęła jego miejsce.

Przez cały czas byłyśmy razem. Elsie miała w Sydney wielu przyjaciół. Chodziłyśmy do nich albo oni odwiedzali nas. Zaprzyjaźniłam się z Mabel, która gotowała i prowadziła dom, oraz z pozostałymi domownikami. Chodziłam

do kuchni i przypatrywałam się, jak Mabel zagniata ciasto albo miesza pudding, opowiadając mi jednocześnie o swoim dzieciństwie, spędzonym w niewielkim miasteczku na zachód od Sydney, przy trasie do Melbourne. W domu było siedmioro dzieci, a ona była najstarsza. Chciała rozejrzeć się trochę po świecie - jak sama mówiła - więc wyjechała do miasta. Pracowała to tu, to tam i w końcu - z opinią doskonałej kucharki - trafiła do Elsie.

- Ona jest najlepsza - twierdziła Mabel, zadowolona ze swojego obecnego miejsca, które zajmowała od dawna.

Była też Adelajda, kilka lat starsza od Mabel, i Jane. Wszystkie dzieliły się robotą domową. Nie było żadnej hierarchii, żadnego ustalania, kto jest ważniejszy, a wszyscy wydawali się szczęśliwi.

Jem i Mary wraz z synem Halem zajmowali mieszkanie nad stajniami. Wykonywali cięższe prace domowe i zajmowali się ogrodem. Aglo także zaliczał się do domowników. Ilekroć mnie spotykał, uśmiechał się szeroko. Tak, to był szczęśliwy dom.

Przez to, że był tak odmienny, bez przerwy porównywałam go z Commonwood House. Jak dziwnie musi być tam teraz. Doktor chory, dzieci u ciotki Florence. A co się dzieje z panną Carson? Spodziewałam się, że też była u ciotki Florence, żeby zająć się dziećmi. A może doktor wyzdrowiał i wszyscy wrócili do Commonwood House?

Próbowałam rozmawiać o tym z Elsie, ale ona jakoś nie była zainteresowana tym tematem, co mnie nawet trochę dziwiło, gdyż zwykle bardzo ją zajmowały ludzkie problemy. Ale gdy tylko zaczynałam mówić o Commonwood House, wykorzystywała pierwszy lepszy pretekst, aby zmienić temat.

Bez przerwy ktoś nas odwiedzał. Czasami zdarzało się, że goście przychodzili bez uprzedzenia, ale ilekroć ich wizyta wypadła w porze posiłku, zasiadali z nami do stołu. Niektórzy przyjeżdżali z daleka i często zostawali na kilka dni.

Jednym z częstszych gości był Joe Lester, bardzo zaprzyjaźniony z Elsie. Był to wysoki spokojny mężczyzna, który odnosił się do mnie z wielką serdecznością i, po-

dobnie jak Toby, często opowiadał mi o tych czasach, kiedy Australia była kolonią karną. Joe miał farmę kilka mil od Sydney, którą prowadził wspólnie ze swoim bratankiem. Elsie i ja często ich odwiedzaliśmy.

W jakieś dwa tygodnie po odjeździe Toby'ego, Elsie poruszyła problem szkoły.

- Wszyscy muszą chodzić do szkoły - oznajmiła - i ciebie, kochanie, także to dotyczy. Nie mamy tutaj takich szkół jak w Anglii, ale słyszałam o jednej, podobno bardzo dobrej. Znajduje się między Sydney i Melbourne i zastanawiam się...

- Miałam iść do szkoły z Estellą, ale potem ona wyjechała do ciotki Florence.

- Tutaj też będziesz miała przyjaciółki - wtrąciła Elsie szybko. - Australijczycy są bardzo otwarci i przyjaźni. Powiem ci, co zrobimy. Wybierzemy się tam któregoś dnia i zobaczymy, czy ta szkoła nam się spodoba, a potem zdecydujemy, czy cię tam umieścić. Toby uważa, że powinnaś prowadzić taki sam tryb życia jak w Anglii. Zresztą my wszyscy żyjemy tu jak w domu. W środku upalnego lata przyrządzamy tradycyjny obiad bożonarodzeniowy z gorącymi daniami. Nie pójdziesz do szkoły wcześniej niż we wrześniu, bo skoro w Anglii rok szkolny zaczyna się we wrześniu, to u nas także. Tak więc nie musimy się spieszyć.

Byłam bardzo podniecona, gdy przyszedł list od Gertie. Formanowie kupili posiadłość w Yomaloo, około dziesięć mil od Sydney.

Odpisałam Gertie od razu. Była zdumiona, gdy się dowiedziała, że ciągle jestem w Sydney. Nie spodziewała się, że tak prędko otrzyma odpowiedź, ponieważ sądziła, że jej list będzie musiał powędrować aż do Anglii. W wyniku naszej korespondencji, gdy Gertie i jej matka przyjechały do Sydney, przyszły nas odwiedzić.

Wytłumaczyłam im, że okoliczności się zmieniły i zostaję w Australii. Gertie była zachwycona, a pani Forman oświadczyła, że gdy tylko się urządzi, koniecznie muszę ich odwiedzić. Uśmiealiśmy się, wspominając naszą podróż. Spotkałam też Jimmy'ego, na którego obecnie mówiono James i który wciąż jeszcze czerwił się na każdą wzmiankę o przygodzie w Suezie.

To było bardzo szczęśliwe spotkanie.

Oczywiście w pewnym momencie rozmowa zesłała na szkołę. Ponieważ Formanowie też chcieli umieścić Gertie na pensji, postanowiłyśmy, że wybierzemy tę samą szkołę.

A potem nadszedł dzień, gdy wrócił Toby. Nigdy nie zapomniałam chwili wyczekiwania w porcie, a potem widoku Toby'ego schodzącego po trapie. Chwytał mnie w objęcia i trzymał tak mocno, jakby nigdy nie miał zamiaru mnie puścić.

Opowiedział mi, że doktor Marline umarł. Był bardzo przygnębiony. Domyśliłam się, że mówienie o tym sprawia mu ból, więc nawet nie pytałam o to wszystko, o co miałam wielką ochotę go zapytać. Toby dodał, że Estella i Adelina ciągle są u ciotki Florence i że zostaną u niej już na stałe. Nie miał natomiast pojęcia, co się stało z panną Carson.

Powiedział też, że dla mnie najkorzystniej będzie zostać w Australii, gdyż wtedy będziemy widywać się znacznie częściej. Poza tym Elsie i ja zaprzyjaźniłyśmy się tak bardzo.

Cały ten plan w ustach Toby'ego nie brzmiał właściwie źle. Fakt, że Formanowie mieszkali w pobliżu, też był szczęśliwym zrządzeniem losu. Podczas pamiętnej podróży Gertie i ja zostałyśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Tak więc wszystko zdawało się doskonale układać.

Popłynęłam z Tobym do Nowej Gwinei i z powrotem. Była to krótka podróż, trwająca zaledwie trzy tygodnie, ale pocieszałam się, że nie jest to nasza ostatnia wyprawa. Niestety, podczas całego pobytu w szkole jeszcze tylko raz udało mi się z nim popłynąć, gdyż szkoła kolidowała z terminami rejsów.

Szkoła wyjątkowo mnie zaabsorbowała i kolejne lata mijały mi bardzo szybko.

A teraz Gertie i ja przestałyśmy wreszcie być dziećmi. Czujemy się dojrzałe i było to bardzo podniecające uczucie. Dni szkolne się skończyły. Byłyśmy dorosłe.

* * *

Ten powrót do domu różnił się od poprzednich; był bardziej uroczysty i ceremonialny. Jechałyśmy dylżan-

sem, wraz z innymi dziewczętami mieszkającymi w pobliżu Sydney. Gertie wysiadała w Yomaloo. Jak zwykle obiecałyśmy sobie solennie, że wkrótce się spotkamy. Jak co roku miałam spędzić część wakacji u Formanów, potem zaś Gertie miała odwiedzić mnie w Sydney. Elsie wyczekiwała mnie niecierpliwie.

- Mój Boże! - zawołała z widocznym wzruszeniem. - Wyrosłaś na prawdziwą młodą damę.

Za nią na ganku stali Mabel, Adelajda, Jane i Aglo.

Uroczyście zaprowadzono mnie do domu. Mabel zapowiedziała, że na lunch będzie dorada (moja ulubiona ryba), która na pewno wystygnie, jeśli zaczniemy teraz gadać. Później będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu na plotki.

Podczas posiłku rozmawiałyśmy o moim ostatnim semestrze w szkole i o wszystkim, co wydarzyło się w tym czasie w domu. Potem, gdy już zostałam tylko z Elsie, ta powiedziała:

- Wiesz, myślałam, żeby zorganizować przyjęcie, na przykład na Boże Narodzenie... dla ciebie i może dla Gertie. W salonie urządzimy salę balową. Jeśli wyniesie się krzesła i inne graty, będzie tam wystarczająco dużo miejsca do tańca. Wynajmiemy orkiestrę. Będzie to zupełnie niczym bal debiutantek... podobny do tych idiotycznych balików, jakie urządzają w kraju, chociaż u nas obejdzicie się bez tych wszystkich głupstw jak stroiki z piór i dworski dyg przed królową. Musimy zaprosić jakichś młodych mężczyzn. Joe nie jest już młody, ale jego bratanek i chłopcy McGillów są w odpowiednim wieku. Są też Barnumowie i Culverowie... i oczywiście James Forman. Tak, myślę, że zbierzemy odpowiednią liczbę młodych ludzi.

Milczałam przez moment, a Elsie ciągnęła z zapalem.

- Wchodzisz w życie i trzeba, abyś zaczęła je poznawać. Musisz zostać „wprowadzona w świat”, jak się to ładnie nazywa. Gdybyś była teraz w domu, czekałoby cię to samo.

Przelotnie pomyślałam o Estelli i Adelinie. Estella ma już dziewiętnaście lat, a Henry skończył dwadzieścia jeden. Adelina jest jeszcze starsza. Co teraz porabiają?

Ostatnio coraz rzadziej ich wspominałam. To dziwne, jak ludzie, którzy niegdyś stanowili istotną część naszego życia, powoli oddalają się w niepamięć, stając się mniej wyraźni niż postacie ze snu. Elsie mówiła dalej.

- Domyślałam się, że na taką okazję będziesz chciała mieć nową suknię. Może czerwoną albo niebieską, czy też w twoim ulubionym kolorze fiołkoworóżowym... w każdym razie coś jasnego. Mamy jeszcze dużo czasu. Kupimy odpowiedni materiał i zaniemiemy go do starej Sally Cadell. Ona zawsze chętnie przyjmuje nową robotę. Pewnie za tydzień lub dwa wybierzesz się z wizytą do Formanów. Gdy wrócisz, zaczniemy przygotowywać nasze przyjęcie. Będzie z tym trochę roboty.

Umilkła i opuściła wzrok, a po kilku sekundach popatrzyła mi prosto w oczy i uśmiechnęła się.

- Najlepszą wiadomość zostawiłam na koniec, gdyż pomyślałam sobie, że gdy ją usłyszysz, nie będziesz miała głowy do niczego innego. Tobi przyjeżdża w grudniu, a dokładnie w samą wigilię Bożego Narodzenia.

Padłyśmy sobie w objęcia.

- To wspaniała nowina, prawda? Te święta będą zupełnie wyjątkowe, sama zobaczysz.

- To cudownie! - wykrzyknęłam. - To naprawdę cudownie.

Siedziałyśmy w milczeniu, z oczami rozjaśnionymi radością, rozważając w duchu te wszystkie oszałamiające perspektywy. Elsie była dla mnie bardzo dobra. Znowu pomyślałam o Commonwood House. Jakże inaczej było tutaj, gdzie Elsie i Tobi starali się zrobić wszystko, żebym była szczęśliwa. Poczulałam wzruszenie. Teraz nie jestem już związana terminami zajęć szkolnych i będę mogła popłynąć z Tobym w rejs. Wszystko zapowiadało się wspaniale.

Nie potrafiłyśmy rozmawiać o niczym innym, tylko o tym szczęśliwym zrzączeniu losu, dzięki któremu Tobi wróci do domu akurat na Boże Narodzenie. Oczywiście kiedykolwiek by przyjechał, cieszyłybyśmy się tak samo. Rozprawałyśmy z ożywieniem.

Następnego dnia poszłam do stajni przywitać się ze Starlightem, moim ulubionym koniem. On też ucieszył

się na mój widok. Hal powiedział, że Starlight bardzo za mną tęsknił, ale wiedział, że muszę chodzić do szkoły, więc nie miał mi za złe, że go zaniedbywałam.

Starlight potwierdził jego słowa, trącąc mnie nosem.

- Pokazuje panience, jak bardzo jest zadowolony, że panienka wróciła do domu - mówił dalej Hal. - Założę się, że on wie, że szkoła się skończyła i teraz panienka będzie już stale w domu.

Elsie i ja siedziałyśmy w naszym ulubionym zakątku w ogrodzie, rozmawiając o różnych drobiazgach, ale nasze myśli nieustannie krążyły wokół bliskiego powrotu Toby'ego. Opowiedziałam jej, jak Sarah Minster pokonała mnie podczas zawodów w skokach, że ukończyłam kurs angielskiego z pierwszą lokatą, natomiast z trudem prześliznęłam się przez matematykę. Elsie odwdzięczyła mi się opowieścią o tym, jak to koń jej okulał osiem mil od domu i musiała spędzić noc u Jenningsów.

Nagle powiedziała:

- Sądzę, że osiedlisz się tu na stałe i staniesz się jedną z nas, Carmel. Czy myślałaś kiedyś o powrocie do domu?

Znowu w mojej pamięci zaczęły odzywać obrazy z przeszłości. Doktor Marline w pokoju szkolnym, Adelina szlochająca rozpaczliwie w pokoju matki, panna Carson wychodząca stamtąd i mdlejąca w holu.

- Gertie i ja często rozmawiałyśmy na ten temat - powiedziałam. - Jej ciotka mieszka w Londynie i Gertie chce do niej pojechać któregoś dnia.

- Dla niektórych Anglia na zawsze pozostanie domem - przyznała Elsie. - Nie potrafią zapomnieć. Inni znowu nie chcą oglądać jej nigdy więcej.

- To chyba zależy od tego, co człowieka tutaj spotyka.

Elsie sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej.

- Ale ty chyba byłaś szczęśliwa, prawda?

- Bardzo. Mam ciebie i Toby'ego... czasami.

Pokiwała głową.

- Więc może wyjdiesz za mąż i osiedzisz tu na stałe.

- Wyjść za mąż? Za kogo?

- Te sprawy spoczywają w rękach Opatrzności, jak się to ładnie mówi. Przecież mamy tu w pobliżu kilku młodych

mężczyzn. Niektórzy są bardzo mili. Na przykład bratanek Joego, William. Jest odrobinę nieśmiały, ale odkąd przyjechał do Joego, zaczął powoli wychodzić ze swojej skorupy. Joe mówi, że chłopak jest dla niego wielką pomocą na farmie. Musi się jeszcze trochę poduczyć, ale ma pieniądze i stać go będzie na własny kawałek ziemi. Mieszka w sąsiedztwie i będziemy go często widywać. Ma zamiar odwiedzić nas wkrótce wraz z Joem.

- No przecież nie wybiera się kogoś na męża tylko dlatego, że mieszka w sąsiedztwie.

- Jakoś się to przecież musi zacząć. Jak inaczej masz zamiar poznać ludzi? Myślę też, że James Forman bardzo cię lubi.

- James Forman! Zapominasz o tej historii, kiedy zgubił nas w Suezie. Zdaje się, że ciągle robi sobie wyrzuty z tego powodu.

- Był wtedy zaledwie chłopcem. Przecież nie możesz wiecznie mieć mu tego za złe.

- Ja nie, natomiast myślę, że on sam ma to sobie za złe. Zawsze jest trochę zawstydzony w mojej obecności.

Elsie uśmiechnęła się.

- Biedny chłopak. Pewnie chciał wyglądać w twoich oczach jak bohater, podjeżdżający z paradą i wciągający cię na statek po drabince sznurowej.

- Tymczasem ta rola przypadła doktorowi Emmersonowi.

- James to bardzo miły chłopak. Lubię go, a co ważniejsze, wydaje mi się, że on darzy cię wielką sympatią.

Po tej rozmowie zaczęłam częściej myśleć o Jamesie Formanie.

* * *

Gertie, James i ja leżeliśmy rozciągnięci wygodnie na trawie, nad brzegiem strumienia Wanda's Creek, płynącego wzdłuż granicy posiadłości Formanów. Nasze spętane konie pasły się w pobliżu. Wracaliśmy właśnie od Jensenów, mieszkających kilka mil od Yomaloo.

Niepisane prawo nakazywało, by w razie potrzeby sąsiedzi udzielali sobie wzajemnie pomocy. Jack Jensen skaleczył się w nogę, pracując przy nowym ogrodzeniu

i gdy tylko wiadomość o tym wypadku dotarła do Yomaloo, James postanowił pojechać do Jensenów i zobaczyć, czy nie potrzebują pomocy. Gertie i ja pojechałyśmy z nim, na wypadek gdyby potrzebna była także pomoc w domu, gdyż Jensenowie nie mieli nikogo poza córką Mildred.

James dokończył stawiania płotu i teraz wracaliśmy do domu, przekąsiwszy uprzednio coś niecoś u Jensenów. Ujechaliśmy już kawał drogi, ale ciągle mieliśmy do przebycia kilka mil, więc zdecydowaliśmy się na krótki odpoczynek nad strumieniem. James wyjął z torby przytroczonej przy siodle butelkę wina domowej roboty, rozlał wino do kubków i podał nam. Zawsze woził ze sobą zapas wina, bowiem w czasie jazdy często miał ochotę się czymś pokrzepić, a miejsca, w których można było dostać coś do picia czy do zjedzenia spotykało się rzadko. Dopiero przy takiej okazji człowiek naprawdę zdawał sobie sprawę, jak rozległy i słabo zaludniony był to kraj.

Odpoczynek w łagodnym wrześnieowym słońcu był bardzo kojący. Za kilka tygodni miała się rozpocząć fala upałów. Leżeliśmy na trawie, gawędząc leniwie.

Gertie zastanawiała się, co będzie robiła teraz, gdy już skończyła szkołę.

- W domu czeka na ciebie mnóstwo pracy - zauważył James. - Mama potrzebuje pomocy.

- Gdyby udało mi się uzbierać trochę pieniędzy, pojechalabym z wizytą do ciotki Beatrice.

- Jechać do domu! - wykrzyknął James.

- Właśnie - powiedziała Gertie.

- Tylko z wizytą - wtrąciłam.

Gertie zawahała się.

- Ona cierpi na nostalgię - powiedział James. - Zawsze o tym wiedziałem. Wystarczy posłuchać, w jaki sposób mówi o domu. A ty, Carmel? Co ty masz zamiar zrobić?

- To zależy od tego, gdzie będzie „ktoś”.

Oczywiście wiedzieli, że mam na myśli Toby'ego.

Wcześniej już dowiedzieli się, że jest on moim ojcem, a nie wujem, jak im mówiłam podczas podróży. Ale ani James, ani Gertie nie interesowali się zbytnio takimi sprawami. Pod

tym względem bardzo różnili się ode mnie. Mnie zawsze interesowały wszelkie szczegóły.

- James jest zakochany w Australii, prawda, James? - powiedziała Gertie.

- Nasza ojczyzna jest teraz tutaj. Ja tak uważam. Przyjechaliśmy tu i rozpoczęliśmy nowe życie.

- I ty masz zamiar spędzić je tutaj... gospodarując na waszej ziemi - zaczęłam.

- Nie - odparł James zdecydowanie. - W żadnym wypadku. Wiem, czego pragnę. Będę poszukiwał opali. Tu jest odpowiednia okolica. Niedawno znaleziono opale w pobliżu miejscowości Lightning Ridge. Opale są tutaj, czekają na odkrywcę.

Nagle przypomniała mi się oderwana scena z przeszłości. Pijemy herbatę w saloniku w Commonwood House, a Lucian Crompton opowiada nam o opalach.

- To dlaczego ci wszyscy, którzy ich poszukują, nie wezmą ich sobie po prostu? - zapytała Gertie.

- Nie bądź idiotką, siostrze. Najpierw trzeba je znaleźć. I to właśnie mam zamiar robić. Podjąłem decyzję.

- Gdyby znajdowało się je tak łatwo, jak ci się wydaje, Australia byłaby pełna milionerów.

- A jednak ja je znajdę - powtórzył James.

- A co z tobą, Carmel? - zapytała Gertie. - Jakie masz plany?

- Ja będę pływać razem z ojcem.

- Przecież nie ma kobiet marynarzy.

- Są stewardesy.

- Takie stanowisko z pewnością by cię nie satysfakcjonowało. Byłoby poniżej twojej godności, skoro twój ojciec jest kapitanem. Możesz po prostu pływać z nim dla przyjemności.

- Wyjeżdżam zaraz po Bożym Narodzeniu - powiedział James. - Tata też jest zdania, że powinienem spróbować i zobaczyć, czy zapał mi nie minie. Kiedyś zaszedł do nas pewien wędrowiec i opowiadał o poszukiwaniu opali. Wybyłyście wtedy w szkole. Przegadaliśmy prawie całą noc. Mówił o kopaniu w starych korytach wodnych, przetrząsaniu wyrobisk, o środkach ostrożności, jakie należy zachować, grzebiąc w szlamie. Najpiękniejsze okazy opali

pochodzą właśnie z Australii. Poszukiwacze mieszkają w pobliżu złóż, w osadach składających się przeważnie z baraków. Oczywiście w sobotę wieczorem zawsze odbywa się wielkie party. Tańczą, śpiewają stare pieśni, te same, które śpiewali w domu, czasami pieką prosiaka i wszyscy zasiadają do wspólnej uczyty. To wspaniałe życie i człowiek zawsze ma nadzieję na... Mówiąc to, popatrzył na mnie.

- To brzmi ekscytująco - przyznałam.

- Na pewno by ci się spodobało - powiedział James. - Wyobraź sobie chwilę, kiedy wśród szlamu i śmieci widzisz nagle wspaniałą kamień. Jest jeden bardzo słynny opał... jaśniejący niczym wschód słońca. Potrafisz wyobrazić sobie coś takiego?

- Posłuchaj tylko, jaki poetyczny nastrój ogarnął naszego Jamesa - zażartowała Gertie. - Zawsze go to bierze, ilekroć zaczyna opowiadać o opalach. Czy to ten sam włóczęga, który opowiadał ci o opalach, ukradł złoty zegarek mamy?

- Nie - w głosie Jamesa brzmiała uraza - to nie był ten sam.

- Opowiedz Carmel o tym złodzieju. Zawrócił ci w głowie różnymi historiami, a potem zabrał, co chciał, i szybko się ulotnił.

- To zdarzyło się tylko raz - powiedział James, zwracając się do mnie. - Jak wiesz, w Australii różni trampowie podczas swoich wędrówek szukają miejsc, gdzie mogliby się pokrzepić i przemocować. Zgodnie z niepisaną tradycją nie mogą przyjść na farmę, dopóki słońce nie znajdzie się zupełnie nisko nad horyzontem, tuż przed zachodem. Wtedy nie wolno odmówić im noclegu, gdyż byłoby to wbrew zwyczajowi, tak samo jak wbrew zwyczajowi byłoby, gdyby wcześniej pytali o nocleg.

- Nie wiedziałam, że istnieje taki protokół w tej materii.

- O tak. Dlatego właśnie nazywa się ich sundownerami* - wytłumaczyła mi Gertie. - Ten przyszedł do nas akurat wtedy, gdy ojciec wyjechał. Zastanawiam się, czy tata by go przejrzał.

*Sundown (ang.) - zachód słońca.

- Na pewno nie - powiedział James zdecydowanie. - Wyglądał zupełnie zwyczajnie.

- Tyle tylko, że poszukując złota, przeżył tyle wspaniałych przygód, że już dawno powinien zostać milionerem. James niemal wychodził ze skóry, aby mu dogodzić. Nakarmiliśmy go, zaoferowaliśmy mu nocleg, a rankiem, zanim ktokolwiek z domowników zdążył wstać, nasz sundowner ulotnił się z udźcem jagnięcym przeznaczonym na powitalny obiad dla taty i złotym zegarkiem mamy.

- Nigdy nie słyszałem, aby takie przypadki zdarzały się wcześniej - powiedział James. - Ci włóczędzy też mają swój honor.

Gertie wzruszyła ramionami i odwróciła się do mnie.

- A ja bym chciała pojechać do domu, do ciotki Beatrice.

* * *

W dwa dni później pan Forman polecił Jamesowi pojechać do Jensenów i sprawdzić, jak się czuje Jack i czy nie potrzebuje pomocy. James zaproponował, abym mu towarzyszyła, a ja z przyjemnością przystałam na tę wycieczkę.

Tak więc wybraliśmy się we dwójkę. Jack Jensen miał się o wiele lepiej i powiedział, że da sobie radę. Po lunchu wyruszyliśmy w drogę powrotną.

To była bardzo przyjemna przejażdżka. James coraz bardziej mi się podobał. Traktował mnie z wielką galanterią, często podkreślając, że bardzo się cieszy z mojej wizyty. Poprosiłam, aby opowiedział mi o swoich planach, gdyż wiedziałam, jak chętnie wraca do tego tematu. James zaczął się unosić nad urodą opali, podczas gdy ja myślami ponownie przeniosłam się do Commonwood House. Słyszałam głos Luciana opowiadającego nam o opalach tamtego pamiętnego dnia. Lucian robił to z takim samym entuzjazmem jak obecnie James.

Z trudem powróciłam do terażniejszości. James mówił właśnie, że w domu ma kilka książek poświęconych opalom. Usiłowałam słuchać go z uwagą, ale nie potrafiłam całkowicie oderwać się od przeszłości.

Potem James oświadczył, że pora już zbierać się do drogi. Podczas jazdy śpiewał mi pieśni, które – jak twierdził

- śpiewają poszukiwacze opali, gdy w sobotnie wieczory zbierają się na wspólne biesiady. Okazało się, że większość z nich to koledy! W pamięci utkwiła mi ta o odchodzącym starym i nadchodzącym nowym roku.

James miał dobry tenor, a kiedy śpiewał, wydawało mi się, że w jego głosie słyszę nutkę nostalgii.

*Widzę twarze najbliższych i rodzinny mój dom,
Zbocza dolin, starą Anglię kochaną.
Płynię dźwięk po dolinie, bije kościelny dzwon,
Gra melodię sercu tak dobrze znaną.
Święta noc grzech pokona, święta noc przegna mrok,
Płonie ogień w kominie, sypiąc skrami.
Na dźwięk dzwonów odejdzie w ciemną noc stary rok
I rok nowy wnet przywita się z nami.*

- Pewnego dnia - ciągnął James - kiedy już znajdę najpiękniejszy opał Australii i zdobędę fortunę, wrócę do Anglii. Kupię dom, może jakąś starą rezydencję, najlepiej na wsi. Bardzo bym chciał, aby to się spełniło, a ty, Carmel?

- To brzmi wspaniale - przyznałam.

Owszem, w marzeniach także widziałam siebie w wiejskim angielskim domu, ale nie z Jamesem, tylko z Tobym, gdy skończy wreszcie z pływaniem. O zmierzchu siadalibyśmy we dwoje i Toby opowiadałby mi o swoich przygodach na morzu.

Głos Jamesa wyrwał mnie z zadumy.

- Przypuszczam, że większość z nas tęskni za Anglią. Gertie przeżywa to najboleśniej, ona nigdy nie przestała myśleć o powrocie. Tak, sądzę, że to jest najwłaściwsze... kiedy już człowiek osiągnie wszystko to... po co wyruszył w drogę. - W zamyśleniu popatrzył przed siebie.

Ponieważ po drodze zamarudziliśmy trochę, dom ukazał się naszym oczom tuż przed zachodem słońca. Pani Forman będzie zadowolona. Nie lubiła, gdy pozostawaliśmy na dworze o zmroku.

Ostatnie jardy przebyliśmy galopem. Byliśmy już niemal pod domem, gdy James gwałtownie ściągnął cugle.

Pan Forman szedł przez podwórze, rozmawiając z jakimś mężczyzną w rozpiętej koszuli i podartych, wyświechtanych spodniach. Zauważyłam, że mężczyzna ma ze sobą manierkę, bez której wędrowcy nigdy nie poruszali się po interiorze.

James wydał okrzyk zdumienia:

- Nie, to nie może być!

Pan Forman i obcy odwrócili się w naszą stronę.

- To on! - zawołał James gniewnie. - Czego tutaj szukasz?

Obcy mężczyzna i pan Forman patrzyli na niego w zdumieniu.

- To on - powtórzył James. - To ten złodziej. Czy masz ze sobą zegarek, który ukradłeś?

- James! - zaczął pan Forman.

- Mówię ci, że to złodziej. Co za tupet! Żeby wrócić tutaj...

James zsiadł z konia i gniewnie zbliżył się do sundownera.

- Mogłeś zgolić brodę, ale i tak poznałbym cię wszędzie.

Mężczyzna stał bez ruchu, udając, że nie wie, o co chodzi.

- Słuchaj, zabieraj się stąd i to szybko!

- James - wtrącił pan Forman - czy jesteś pewien? To przecież sundowner, więc...

- Jestem pewien. Usiłowałem zmienić powierzchowność, ale jest w nim coś bardzo charakterystycznego, tak że od razu go rozpoznałem. Wyłudziłby od nas kolejny posiłek i nocleg, a rankiem by zniknął, znowu coś kradnąc.

- Słuchaj, młody człowieku - wyrzucił z siebie obcy - nigdy przedtem cię nie widziałem i nie mam pojęcia, o czym mówisz.

James groźnie postąpił krok do przodu. Pan Forman usiłował go zatrzymać. Akurat nadszedł jeden z aborygenów mieszkających w Yomaloo.

- Znasz tego człowieka? - zapytał go James.

- Broda precz - brzmiała odpowiedź.

- Ten sam człowiek, tylko bez brody, tak? - upewnił się James.

Aborygen przytaknął.

- Człowiek-złodziej. Zabrać zegarek pani.
- Ty brudny czarnuchu! - wykrzyknął sundowner.
- Wynos się - syknął James - zanim dobioreę ci się do skóry. Przedtem jednak oddaj zegarek.

Twarz mężczyzny wykrzywił brzydki grymas.

- Odpędzasz mnie, tak? Dobrze, zapamiętam to sobie.

Wracaj, skąd przybyłeś. Niech przekleństwo spadnie na twoją ziemię.

Odwrócił się i zabrał do odejścia.

James chciał biec za nim, ale ojciec go powstrzymał.

- Tak będzie lepiej - powiedział. - Nie ma sensu wdawać się w bijatykę.
- On ma zegarek.
- I tak byś go nie odzyskał. Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś?
- Nie, on jest przecież bardzo charakterystyczny. Zresztą aborygen też go rozpoznał. Z takimi należy postępować zdecydowanie. Nie wolno dopuścić do tego, by kradli bezkarnie. Następnym razem dobrze się zastanowi, zanim złoży nam wizytę.
- Nie lubię odmawiać sundownerom - powiedział pan Forman. - Niepisane prawo tego kraju mówi, że każdy wędrowiec powinien otrzymać posiłek i nocleg.
- Ale nie złodziej - sprzeciwił się James. - Jak mógłbyś wpuścić do swojego domu człowieka, który już raz zachował się nieuczciwie?
- Masz rację, synu, ale nie mogę odżalować, że przytrafiło nam się coś takiego.
- Zapomnij już o tym - powiedział James. Pan Forman zwrócił się do mnie.
- A ty co o tym sądzisz, Carmel?
- Bałam się, że James rzuci się na niego.
- Byłem tego bliski - przyznał James. - Chodź, rozsiodłamy konie. Umieram z głodu, a ty?

* * *

Atmosfera przy kolacji była ponura. Nieprzyjemne wydarzenie z nieuczciwym sundownerem zwarzyło wszystkim humory. Pan Forman nie mógł zapomnieć o tym, że zwyczaj

tego kraju nakazuje traktować wszystkich wędrowców jak gości.

Jak zwykle po całym dniu spędzonym na świeżym powietrzu, idąc spać, odczuwałam wielkie znużenie. Była chyba trzecia w nocy, gdy obudził mnie jakiś hałas. Pokój rozświetlała czerwona luna.

Wyskoczyłam z łóżka i podbiegłam do okna. Zabudowania gospodarcze stały w ogniu. Na szczęście wzniesiono je w pewnej odległości od domu. Ludzie biegli przez trawniki, pokrzykując na siebie. Nie widziałam dokładnie, ale wydawało mi się, że dostrzegam wśród nich Jamesa i jego ojca.

Pośpiesznie narzuciłam na siebie ubranie i wybiegłam na schody. Cały dom był na nogach. Zobaczyłam Gertie, przerażoną i bladą.

- Co się stało? - zapytałam.

- Pożar! - zawołała.

Wybiegłyśmy na dwór.

Przez chwilę patrzyłam wstrząśnięta. Budynki były jedną ścianą ognia. Na szczęście płomienie nie zdążyły ogarnąć stajen.

- Chodź - powiedziała Gertie i obie pobiegłyśmy w stronę płonących zabudowań.

* * *

Ogień udało się opanować dopiero nad ranem.

Siedzieliśmy w kuchni, pijąc herbatę przygotowaną przez panią Forman. Mężczyźni rozmawiali o szkodach wyrządzonych przez pożar. Formanowie byli bardzo przygnębieni i nigdy nie widziałam takiego gniewu i rozgoryczenia na twarzy Jamesa jak teraz. Owoce wielu lat pracy poszły z dymem w przeciagu jednej nocy.

Byli zbyt oszołomieni, by wiele mówić. To miało nadejść później. Pani Forman wydawała się rada, że ma czym zająć ręce, pan Forman zaś siedział w milczeniu, z głęboko pobrużdżonym czołem.

Gdy tylko rozwidniło się na dobre, pan Forman i James poszli na pogorzelsko obejrzeć zniszczenia, ale i bez tego wiedzieliśmy, że straty będą ogromne, tak że nie za skoczył nas wynik oględzin.

Gdy wrócili, pan Forman powiedział:

- Kompletna ruina. Nie wiem, co teraz zrobimy.
- Poradzimy sobie, zobaczysz - odparł James. - Przez jakiś czas trzeba będzie zaciskać pasa, ale damy sobie radę.

Czułam się zbędna w tym domu. Nie należałam przecież do rodziny i pewnie byłam im teraz tylko zawadą. Powinnam wyjechać, skoro w żaden sposób nie mogłam im pomóc.

- Absolutnie nie jesteś zawadą - powiedziała Gertie - ale w obecnej sytuacji nie będziesz tu miała żadnych rozrywek. Może więc rzeczywiście wróc teraz do Sydney, a przyjedziesz znowu, gdy już trochę uporamy się z tym wszystkim.

Uznałam, że tak będzie najlepiej. James postanowił mnie odwiedzić. Z dala od rodziny łatwiej mu było mówić o tragedii, jaka ich dotknęła.

- Wiesz, oczywiście, kto to zrobił.
- Sądzisz, że to ten sundowner?
- Niech ja go tylko dostanę w swoje ręce!
- Nie, James - powiedziałam. - Od karania jest prawo. Poza tym nie możesz być zupełnie pewny.

- Któż by inny? Doskonale wiedział, gdzie podłożyć ogień, by dobrze się rozpalilo, zanim ktoś zauważy pożar. To z całą pewnością było podpalenie. On żywił do nas urazę. Był tutaj, prawda? To łajdak. Myślę, że ojciec żałuje, że nie pozwoliliśmy mu przenocować. Porównuje teraz stratę złotego zegarka z tym, co obecnie straciliśmy.

- Nie mogłeś pozwolić mu przenocować.
- Nie jestem pewien. Czy wiesz, jak ja się teraz czuję? Bo to przecież moja wina.

- Nie, James - powiedziałam. - Sam wiesz, że to nie ma sensu. Za bardzo się przejmujesz. Czasami wydaje mi się, że ciągle jeszcze masz do siebie żal o to, co wydarzyło się w Suezie.

- Bo wtedy też się nie popisałem. Bóg jedyny wie, co mogłoby się z wami stać.

- Ale dałyśmy sobie radę. Tak samo i wy dacie sobie radę teraz.

- Tak, z pewnością. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Będziemy musieli zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Wiele straciliśmy. Pewnie upłynie rok albo i więcej, zanim uda nam się to odrobić.

- To była straszna podłość.

- Gdybym go tak złapał!

- Bardzo dobrze, że do tego nie doszło. To nie byłoby dobre. Jakoś z tego wybrniecie, ty, twoja siostra i rodzice. Nie należycie do tych, którzy dają się pokonać przeciwnościom.

- Mam nadzieję. Wiesz, że marzyłem o tym, aby udać się do Lightning Ridge. Teraz nie mogę. Rozumiesz to chyba.

Skinęłam głowę.

- Miałem zamiar wyruszyć po Nowym Roku.

- Och James, tak mi przykro. Wiem, ile to dla ciebie znaczyło.

- Carmel, ja nie chcę być farmerem. Nigdy nie chciałem. Nie widzę siebie do końca życia w tym kraju. Początkowo sądziłem, że się przyzwyczaję... opuściłem Anglię, ta cała zmiana... wszystko to wydaje się takie ekscytujące, gdy jest się młodym. Pociągały mnie tutejsze możliwości, złoto... opale. Najpierw myślałem o szukaniu złota, ale potem zafascynowały mnie opale. To było moje marzenie. Myślałem, że kiedyś je urzeczywistnię. Ale teraz... teraz...

- James, przecież to tylko chwilowe opóźnienie. Za rok czy dwa odbudujecie gospodarstwo, a wówczas będziesz mógł odejść i próbować szczęścia.

- Pocieszyłaś mnie trochę.

- Cieszę się, że mi się udało.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Gdy naszym oczom ukazały się zabudowania portowe, James zapytał:

- Carmel, czy prędko nas znowu odwiedzisz?

- Tak. Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. A ty nie zapomnij, że idą święta. Nie możesz sprawić zawodu Elsie. Tyle serca włożyła w to przyjęcie dla mnie i dla Gertie.

Z tymi słowami rozstaliśmy się.

* * *

Elsie chciała usłyszeć ze wszystkimi szczegółami o tragedii, jaka dotknęła Formanów.

- James miał rację - powiedziała. - Oczywiście, że nie powinni udzielać gościny temu włóczędze. Co za tragedia. Mam nadzieję, że tego opryszka spotka zasłużona kara.

- Pan Forman robi sobie wyrzuty, że pogwałcił niepisane prawo nakazujące przyjąć pod swój dach wędrowców przychodzących do domu o zachodzie słońca. Gertie też jest zdania, że odmówienie noclegu nawet nikczemnikowi mogło spowodować nieszczęście.

Elsie roześmiała się pogardliwie.

- Bzdura. Niepisane prawo nie dotyczy łajdaków, za pewniam cię. Tutejsi ludzie zlinczowaliby go za to podpalenie. Doprawdy, Formanowie nie powinni żałować, że go odprawili. Ale to, co im zrobił, to rzeczywiście podłość. Żal mi ich. Pracowali bardzo ciężko. A teraz cały dorobek przepadł w ciągu jednej nocy. Cóż, zastanówmy się, w jaki sposób możemy im pomóc. A gdybyśmy tak zaprosiły tu Gertie, o ile oczywiście może teraz wyrwać się z domu? Ale przecież nie będzie im wielką pomocą przy wznoszeniu nowych budynków gospodarczych. Może chciałaby przyjechać do nas na jakiś czas?

Widząc, jak bardzo jestem wzburzona, Elsie zmieniła temat, pragnąc, bym zajęła czymś umysł i oderwała się od rozpamiętywania tamtej okropnej nocy. Najwyraźniej uznała, że najlepszym lekarstwem będzie skoncentrowanie się na nadchodzącym balu.

- To będzie najwspanialsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek widziano w tych stronach, i wszyscy z pewnością będą się znakomicie bawili. Oczywiście jest jeszcze mnóstwo pracy, ale wszystko musi wypaść jak najlepiej, jedzenie, tańce, odpowiednio dobrane towarzystwo. A przede wszystkim będzie Toby. Nie urządzimy przyjęcia, dopóki on nie przyjedzie.

- Może uda nam się jakoś rozweselić Formanów. Biedny James, bardzo mi go żal. - Opowiedziałam Elsie, że James marzył o poszukiwaniu opali.

- To dobry chłopak - stwierdziła Elsie. - Szalenie go lubię.

- Jest bardzo wrażliwy - powiedziałam. - Czy wiesz, że on ciągle jeszcze ma wyrzuty sumienia z powodu tamtej

historii w Suezii? Teraz znalazł sobie nowy powód do zadreczenia się. Mówi, że lepiej byłoby, gdyby tamten człowiek został na noc, nawet gdyby miał ich obrabować.

- Słusznie uczynił, wyrzucając go z domu - prychnęła Elsie.

- Tak, ale teraz z tego powodu nie może jechać do Lightning Ridge szukać szczęścia.

- Być może wcale nie zrobiłby tam majątku. Na każdego, kto dorobi się fortuny na opalach, przypada tysiąc rozczarowanych. Tak więc na dłuższą metę może się okazać, że to, co się stało, będzie dla niego korzystne. Życie bywa pełne zaskakujących zwrotów i zło może czasami przemienić się w coś dobrego, w coś, co okaże się błogosławieństwem, szczęście zaś może się okazać katastrofą.

- Nie sądzisz chyba, że Formanowie mogą patrzeć na to w ten sposób?

- Oczywiście, że nie. To można ocenić dopiero z perspektywy czasu. Oczywiście, postaramy się im pomóc, jak tylko będziemy potrafiły. Ale porozmawiajmy teraz o czymś weselszym. Nasze przyjęcie musi być zapieczętowane na ostatni guzik, zwłaszcza że w tym czasie przyjeżdża Toby. Myślę, że urządzimy je zaraz po świętach. Nie ma sensu spraszać gości jeszcze przed Wigilią. Lepiej poczekać na powrót Toby'ego. Co o tym sądzisz?

Myślałam nie tyle o przyjęciu, ile o tym, że Toby będzie z nami. Bez względu na to, co się wydarzyło, nie mogłam czuć się nieszczęśliwa, myśląc o jego rychłym przyjeździe.

Zdradzieckie morze

Widząc statek wpływający do portu, pomyślałam, że żaden inny widok nie jest w stanie sprawić mi większej radości. Toby wrócił do domu.

Zeszliśmy na nabrzeże. Jak zwykle trzeba było jeszcze trochę poczekać, gdyż podczas zawijania do portu Toby miał na głowie mnóstwo spraw, których musiał dopilnować. Wiedziałam jednak, że gdy tylko będzie wolny, zaraz do nas dołączy.

Wreszcie nastąpił ten wyczekiwany moment i oto Toby stał przed nami, zupełnie niezmieniony, a jego oczy wypatrywały mnie niecierpliwie, podobnie jak moje wypatrywały jego. Potem był krótki uścisk, wzajemne upewnienie się, że znowu jesteśmy razem, i śmiech pokrywający wzruszenie, zbyt cenne, by je okazywać publicznie.

Ramię w ramię schodziliśmy po trapie. Elsie przyglądała się nam z rozbawieniem w oczach, cierpliwie czekając, kiedy przyjdzie kolej na nią. Nigdy nie dała nam do zrozumienia, że ma żal do Toby'ego z powodu pozostawienia jej na drugim planie.

Myślę, że na swój sposób bardzo go kochała. Ich związek stanowił dla mnie tajemnicę. Zawsze się przekomarzali i żartowali ze sobą, ale bez wątpienia łączyło ich głębokie wzajemne przywiązanie.

Wracaliśmy do domu, gdzie - zgodnie z zapowiedzią Elsie - czekał już przygotowany tłusty cielec, a Mabel dostałaby szafu, gdybyśmy nie pojawili się na czas, by mu oddać sprawiedliwość.

To było wspaniałe Boże Narodzenie, ponieważ Toby był w domu.

Boże Narodzenie w Australii, tak różne od świąt w Commonwood House, nigdy nie przestawało mnie zdumiewać. Mimo upalnego lata podawano tu pieczonego indyka na gorąco i pudding z płonącymi rodzynkami, a świąteczna uczta odbywała się pod palącymi promieniami słońca.

Toby powiedział do Elsie:

- Urządzasz dokładnie takie same święta jak w Anglii, mimo że nigdy tam nie byłaś.

- Boże Narodzenie nie byłoby prawdziwym Bożym Narodzeniem, gdyby nie cała ta parada - przyznała.

Same święta minęły spokojnie w porównaniu z wielką uroczystością zaplanowaną na następny dzień. Mnie przyniosły one wiele radości. Jedynymi gośćmi byli Joe Lester i jego bratanek William, ale ja uważałam ich prawie za członków rodziny. Toby zabawiał nas opowiadaniem o swoich morskich przygodach; miał ogromny zapas najrozmaitszych historii, a jego opowiadania były zawsze niezwykle sugestywne.

Powiedział, że tym razem przybył do Sydney na krótko, że od razu w pierwszym dniu nowego roku wyrusza na wyspy z ładunkiem kopry, co mu zajmie około miesiąca. A potem wraca do Sydney na parę dni, zanim wyruszy w kolejny rejs na wyspy. Tu uśmiechnął się do mnie i dodał:

- Teraz, gdy jesteś młodą światową panią bez żadnych specjalnych obowiązków, przyszło mi na myśl, że może zechciałabyś towarzyszyć mi w tej podróży.

Przez chwilę spoglądałam na niego z niedowierzaniem, a potem zerwałam się na równe nogi. Toby zrobił to samo i padliśmy sobie w objęcia.

- Wiedziałem, że sprawi ci to przyjemność, i chciałem ogłosić mój plan dopiero przy puddingu, ale nie mogłem się już doczekać.

- Jak mógłbyś być tak okrutny i ukrywać to przede mną tak długo?

- Och, czasami Tobi potrafi być prawdziwym sadystą - powiedziała Elsie. - Chodź, Joe, napelnij kieliszki. Wypijemy za powodzenie tej wyprawy.

To było wspaniałe Boże Narodzenie, najwspanialsze w całym moim życiu, ponieważ Tobi był z nami, a wkrótce miałam popłynąć z nim w rejs.

Następnego dnia w domu zapanował prawdziwy rozgardiasz. Cały ranek spędziliśmy na przygotowaniach. Salon, pozbawiony większości mebli, miał służyć jako sala balowa. Elsie była bardzo dumna ze swojej - jak to nazywała - orkiestry, złożonej z pianisty i dwóch skrzypków, usadowionych w kącie pokoju, wśród donic z ozdobnymi roślinami. Szklane drzwi wiodące na trawnik były otwarte na oścież. Pomyślałam, że z powodu upału większość gości będzie pewnie tańczyć na trawniku.

Przyjęcie zapowiadało się znakomicie i wszyscy byli w wyśmienitych humorach. Tak jak przypuszczałam, tańce szybko przeniosły się z salonu do ogrodu.

Tego wieczoru odbyłam długą rozmowę z Jamesem. Było mi go żal. Pracował teraz ciężko na farmie i wiedziałam, jak bardzo jest rozczarowany, że przygoda z poszukiwaniem opali musi zejść na drugi plan. Moje własne szczęście sprawiało, że szczególnie mu współczułam.

Sama poruszyłam ten temat, tak bardzo leżący mu na sercu, gdyż wiedziałam, że chciałby o tym pomówić.

- Jestem stanowczo zdecydowany wyruszyć na poszukiwania - powiedział. - Wiem, że większość ludzi sądzi, że mi się nie uda. Wiem także, że dla wielu poszukiwaczy taka przygoda kończy się rozczarowaniem. Ja jednak wierzę, że w moim wypadku będzie inaczej. Carmel, czy uważasz mnie za głupca?

- Oczywiście, że nie. Myślę, że skoro tak czujesz, to rzeczywiście powinieneś spróbować.

- Moja dewiza brzmi, że jeśli ktoś postanowił osiągnąć w życiu sukces, z pewnością mu się powiedzie.

- Uważam, że to bardzo dobra maksyma.

- Wiedziałem, że się ze mną zgodzisz. Gertie oczywi-

ście uważa mnie za głupca, podobnie jak reszta rodziny, ale ja wiem...

- Musisz spróbować i udowodnić im, że się mylą.
- Jak dobrze mi się z tobą rozmawia, Carmel. A czy ty nie chciałabyś wyruszyć na poszukiwanie opali?

- Ja? Nigdy o tym nie myślałam.
- To wspaniała przygoda.
- Mogę to sobie wyobrazić.
- A gdybyśmy tak pojechali razem?
- Co takiego!?
- Nie bądź taka zdumiona. Dlaczego nie? Gdybyśmy się tak pobrali?

Zamurowało mnie. James pośpiesznie mówił dalej:

- Nie jesteśmy już dziećmi. Wiele czasu spędziliśmy razem i doskonale się rozumiemy. Bardzo cię lubię, zawsze cię lubiłem. Proszę, nie przypominaj mi tylko o Suezie.

- Nie miałam zamiaru.
- Wiesz, że ciągle nie potrafię sobie tego wybaczyć.
- Nie wracajmy do tego po raz kolejny. Byliśmy wtedy dziećmi.

- To było coś okropnego. Powinnaś była usłyszeć kazanie, jakie wypalił nam kapitan. Nigdy tego nie zapomnę.

Roześmiałam się.

- Nie znaczy to, że musisz teraz proponować mi małżeństwo w ramach rekompensaty. Myślę, że jesteś zbyt niecierpliwy. Dlatego, że rozumiem twoje plany i marzenia związane z opalami i że oboje jesteśmy tutaj, gdzie nie ma zbyt wielu dziewcząt, pomiędzy którymi mógłbyś dokonać wyboru... Bardzo się lubimy i w końcu większość ludzi kiedyś idzie do ołtarza... Cóż, to nie są dostateczne powody do zawarcia małżeństwa.

- Carmel, przecież ja naprawdę darzę cię wielką sympatią, i prawdą jest też, że doskonale się rozumiemy.

- Czy uważasz, że to wystarczy? Zaabsorbowany kłopotami na farmie, nie przemyślałeś wszystkiego do końca. Najlepiej będzie, jeśli odłożymy ten temat na jakiś czas.

James rozpromienił się.

- Jak ty wszystko doskonale rozumiesz - powiedział. -

Może masz rację. To wszystko naprawdę dało mi w kość. Moje plany wzięły w łeb. Za kilka tygodni miałem być już w drodze, a tak będę tu tkwił całymi miesiącami.

- To szybko zleci, James.
- Ale nadal będziemy przyjaciółmi?
- Oczywiście.

Siedzieliśmy w półmroku, wsłuchani w dźwięki skrzypiec dochodzące z salonu.

* * *

Przyjęcie udało się wspaniale. Elsie chodziła dumna jak paw. Potem Toby odjechał, a ja nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o zbliżającym się rejsie. Od czasu do czasu jednak wracałam myślami do rozmowy z Jamesem.

Dla mnie jego propozycja była całkowitym zaskoczeniem. James działał pod wpływem nastroju chwili. Mam wyjść za niego i udać się z nim na poszukiwanie opali! Biedny James. Był boleśnie zawiedziony, że musi chwilowo zrezygnować ze swoich planów, zaś ja okazałam mu więcej współczucia niż jego rodzona siostra. Ale to doprawdy żaden powód do małżeństwa. Kiedy już otrząśnie się z przygnębienia i zacznie poszukiwać swoich kamieni, będzie mi wdzięczny za to, że nie byłam tak impulsywna jak on.

W każdym razie więcej już nie rozmawialiśmy na ten temat i wydaje mi się, że James także doszedł do wniosku, że jego propozycja była cokolwiek pochopna.

A potem z wielką radością zaokrętowałam się na Panią Mórz.

Toby powiedział:

- Właściwie powinna się teraz nazywać Stara Pani Mórz. Czy wiesz, że liczy sobie już trzydzieści pięć lat? Większość statków w jej wieku myślałaby raczej o przejściu w stan spoczynku, ale ta staruszka jest jeszcze pełna wigoru. Najwspanialszy statek, jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się żeglować. Bardzo ją kocham. Jak wiesz, czasami bywam sentymentalny.

Postanowiłam cieszyć się każdą chwilą tej podróży. Elsie odprowadziła nas do portu i stała na nabrzeżu, machając mi

na pożegnanie, gdyż Toby, jak zwykle podczas wychodzenia i wchodzenia do portu, był na mostku z oficerami pełniącymi wachtę.

A potem znalazłam się w dobrze znanej kabinie, a Toby pokazał mi na mapie obrany kurs. Czułam się bardzo szczęśliwa.

Dni upływały szybko. Każdego ranka budziłam się z radosnym uczuciem, że znowu jestem na statku, i przez chwilę leżałam na swojej koi, rozmyślając o przyjemnościach nadchodzącego dnia.

Zwłaszcza jeden wieczór utkwił mi w pamięci. Jego wspomnienie będzie mi towarzyszyło do końca moich dni. Upał już zelżał, powietrze było chłodne i balsamiczne. Siedziałam z Tobym na pokładzie, wpatrując się w Krzyż Południa. Toby odezwał się nagle:

- Wkrótce przyjdzie mi rozstać się z morzem.

- To będzie cudowne, gdyż przestaniesz mnie opuszczać na tak długo.

- I co będziemy wówczas robić? Kupimy sobie mały domek? Czy będziesz się mną opiekowała na stare lata?

- Oczywiście, że tak.

- Pewnie zechcesz mnie rozpieszczać. Bardzo lubię być rozpieszczany, więc proszę, rób to, Carmel.

- Nie jestem tego taka pewna. Ale będę się starała robić wszystko dla twojego dobra.

- Boże drogi, zawsze obawiałem się ludzi, którzy robią coś dla dobra innych. Najczęściej oznacza to coś niemilego.

A propos, życzę sobie sześciorga wnucząt.

- To sporo.

- Zawsze byłem zachłanny. Widzisz, nie jestem już taki młody. Ty też nie jesteś już małą dziewczynką. Trzeba myśleć o przyszłości. Pewnego dnia wyjdiesz za mąż.

Od razu pomyślałam o Jamesie.

- Właściwie zupełnie niedawno otrzymałam pewną propozycję - powiedziałam.

Toby od razu się ożywił.

- To znaczy, że ktoś poprosił cię o rękę? Kto taki?

- James Forman.

Toby odprężył się i uśmiechnął.

- Właściwie nie jest to dla mnie żadnym zaskocze-

niem - powiedział. - Elsie wspominała mi, że szykuje się coś podobnego.

- Naprawdę? Mnie to kompletnie zaskoczyło.

- Bo nie zdajesz sobie sprawy ze swojego uwodzicielskiego uroku.

- Myślę, że przyszło mu to do głowy pod wpływem chwilowego nastroju. Zdawało się dobrze pasować do jego planów.

- Jest zdecydowany wydobywać opale. Całkowicie go pochłonęła ta idea.

- Po prostu chciał, aby mu ktoś towarzyszył.

- Mogę to zrozumieć. Połowa mężczyzn w Australii marzy o zrobieniu fortuny za pomocą łopaty. To szybki sposób dorobienia się majątku, pod warunkiem, że się powiedzie. Czasami rzeczywiście się udaje. A co ty sądzisz o Jamesie?

- Jakoś nie potrafiłam myśleć poważnie o tej propozycji.

- Rozumiem. Biedny James, będzie bardzo rozczarowany. To przyjęcie, które urządziła Elsie, dało mi do myślenia. W domu zaczęłabyś teraz „bywać”. Będziemy musieli pomyśleć o czymś podobnym tutaj.

- Ale tu przecież nie ma gdzie bywać. Nie ma tu żadnych balów ani przyjęć... poza tym zorganizowanym przez Elsie.

- Trzeba będzie się rozejrzeć. Chcę tylko twojego dobra, Carmel.

- Wiem. Ty i Elsie zawsze staraliście się jak najlepiej.

- Lubię myśleć, że nie byłem takim najgorszym ojcem.

- Mówiłam ci już wiele razy, że byłeś najlepszym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić.

- Przede wszystkim pragnę twojego szczęścia.

- Chciałabym zawsze być taka szczęśliwa jak w tej chwili.

Przez moment siedzieliśmy w milczeniu. Potem Toby powiedział:

- Coś wymyślimy, żeby zawsze być razem.

- Tego właśnie pragnę - zapewniłam go.

Toby w dobrze mi znany i tak charakterystyczny dla niego sposób zaczął roztaczać przede mną wizję przyszło-

ści. Teraz będę z nim pływała możliwie jak najczęściej. Na szczęście szkoła nie stoi już na przeszkodzie. A gdy pożegna się z morzem, zamieszkamy razem. Sydney to przepiękne miasto. Czy ja też jestem tego zdania? Elsie w pewnością będzie chciała mieć nas w pobliżu, tak by mogła mieć nas na oku. Kupimy sobie domek. Potem zmarszczył czoło i zapytał nagle:

- A co myślisz o powrocie do Anglii? W końcu wyjechałaś stamtąd raczej nieoczekiwanie.

Powędrowałam myślami w przeszłość. Przed moimi oczami znowu zamajaczył Commonwood House. Adelina stojąca w oknie i wypatrująca dylizansu pocztowego, który przywiezie pannę Carson, Estella paradująca z miną „wcale się nie boję”, mającą zamaskować jej strach. Wszystko to było zamglone, odległe, nierealne. Teraz z pewnością wygląda tam inaczej.

Toby nie czekał na moją odpowiedź, tylko mówił dalej:

- Nie, to chyba nie byłby dobry pomysł, wracać do Anglii. Możemy zamieszkać w Sydney. Znajdziemy sobie domek w samym porcie, gdzie będziemy mogli przyglądać się statkom. Tak będzie najlepiej.

- Brzmi to wspaniale.

- A co do Anglii... to przecież było bardzo dawno temu, prawda?

- Byłoby dziwnie wracać teraz do Commonwood House.

- O nie, nie do Commonwood House. Tam wszystko się teraz zmieniło. - Zmarszczył czoło. - Nie, nie, domek w porcie to jednak najlepsze rozwiązanie. Albo - gdybyśmy jednak zdecydowali się na powrót, bo przecież ojczyzna ma w sobie jakąś siłę przyciągającą - to wymarzyłem sobie Devon. Gdzieś na wybrzeżu, tam gdzie urodził się wielki Drake. Jakieś miejsce w pobliżu Hoe. Albo w Kornwalii. Jeszcze się namyślimy.

- To będzie cudownie, wybierać miejsce dla nas obojga.

- Carmel, przykro mi. To mogło być zupełnie inaczej. Na początku... dom, kochający rodzice.

- Mam swojego rodzica.

- Myślałem o twojej matce. Ona też chciała zatrzymać cię przy sobie. Cóż, wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Uważała, że tak będzie dla ciebie najlepiej.

- To samo mówiła panna Carson.

- Panna... ? Ach, myślisz o...

- Powiedziała mi to wkrótce po przybyciu do Commonwealth House. Zastanawiam się, co się z nią stało. To była bardzo miła osoba.

- Skąd możemy to wiedzieć? - powiedział Toby. - Przecież to było tak dawno temu.

Przez kilka chwil siedział w milczeniu, marszcząc brwi i spoglądając przed siebie. Potem powiedział:

- Widziałem się niedawno z twoją matką. Chciała usłyszeć wszystko o tobie.

- Widziałeś ją w Anglii?

- Tak. Byłoby dobrze, gdybyście mogły się spotkać któregoś dnia. Może kiedyś dojdzie do tego. Właściwie dlaczego nie?

- Pamiętam bardzo dobrze tamto spotkanie w wozie Rosie Perrin.

- Tak, Rosaleen opowiadała mi o nim. Była tobą zachwycona.

- To musi być dziwne, spotkać swoją córkę po raz pierwszy, gdy jest już dorosła.

- Dziwniejsze rzeczy zdarzają się w życiu. Ale przed nami cały świat stoi teraz otworem, Carmel.

Skinęłam głową w rozmarzeniu.

Nigdy nie zapomnę tamtej cudownej nocy. Od owej chwili często mam wrażenie, że może niebezpiecznie jest być tak szczęśliwą, jak ja byłam wtedy, gdyż idealne szczęście nigdy nie trwa wiecznie.

* * *

W dwa dni później wylądowaliśmy na wyspie Mahoo. Obudziłam się wcześniej i wyjrzałam przez bulaj. Oto przed moimi oczami rozciągała się samotna wyspa - soczyście zielona, otoczona idealnie przezroczystą wodą. Korony palm chwiały się kołysane łagodną bryzą, przy plaży wznosił się rząd chatek tubylców, a ich małe łódeczki, czy też raczej czółna, kręciły się wokół statku.

Toby powiedział, że Pani Mórz ma za dużą wyporność, by przybić do samej wyspy, zatem musimy zakotwiczyć gdzieś o pół mili od brzegu i użyć szalup. Najpierw przevezie się ładunek, a potem przyjdzie kolej na nas.

Przyglądałam się wyładunkowi. Toby przyłączył się do mnie na moment.

- Zejdziemy razem na ląd. Odbędzie się tam uroczysta ceremonia. Ja i wódz wymienimy pocałunek nosów, a potem przedstawię mu ciebie. Spodoba ci się to.

- To bardzo interesujące. Czasami myślę, że jestem bardzo szczęśliwa, mając ojca kapitana. Iluż ludzi miało możliwość tak podróżować po świecie?

Toby pocałował mnie w czubek nosa.

- Do tej pory niewiele zwiedziłaś - powiedział. - Chwilowo muszę cię opuścić. Chciałem po prostu zamienić z tobą słówko.

Tak, byłam bardzo szczęśliwa.

* * *

Na ląd popłynęliśmy w piątkę - ja, Toby, pierwszy oficer i dwaj marynarze. Gdy szalupa zaryła się w piasek, wysiedliśmy, brodząc w wodzie sięgającej do kostek. Natychmiast otoczyła nas gromadka nagich dzieci, wykrzykujących coś piskliwymi głosikami.

W ten sposób witały nas na wyspie.

Dwaj rośli mężczyźni wystąpili naprzód i zarzucili nam na szyje wieńce z kwiatów. Toby zasalutował w podziękowaniu, a dzieci zaczęły radośnie tańczyć wokół nas.

Mężczyźni, którzy obdarowali nas kwiatami, wzięli nas w środek. Torsy mieli nagie, a ich biodra okrywały przepaski ze skór zwierzęcych i piór barwionych na czerwono i niebiesko. Włosy sterczały im sztywno wokół głowy, a na poszczególne pasma mieli nanizane ozdoby z kości. W rękach dzierżyli włócznie i gdyby nie kwiaty i roześmiane dzieci, czułabym się jak więzień. Toby zerknął na mnie i uspokajająco skinął głową.

- To jest zwykłe powitanie - powiedział. - Wielokrotnie przez to przechodziłem. Uważają mnie tu za przyjaiciela. Teraz przedstawią nas wielkiemu wodzowi.

Otoczeni gromadką rozbawionych dzieci wspinaliśmy się na łagodne wzniesienie, gdzie na wielkiej polanie miała się odbyć ceremonia powitalna.

Od razu dostrzegłam wodza. Siedział na podwyższeniu przypominającym wyglądem tron, ozdobionym kwiatami i skórami zwierząt. Szczyt tronu zdobiła szkaradna maska, z ustami wykrzywionymi w okropnym grymasie. Rozmiarami przekraczała znacznie głowę wodza, który był potężnym mężczyzną. Na ramiona miał zarzucony płaszcz z piór - zielonych, niebieskich i czerwonych. Po obu stronach tronu stali dwaj wysocy mężczyźni z włóczniami.

Toby podszedł do wodza i skłonił się. Ten pochylił głowę, ale nie ruszył się z miejsca. Toby powiedział kilka słów. Jeden z tubylców, którzy przywieśli nas tutaj, także przemówił. Wódz słuchał z uwagą. Potem podniósł się z miejsca; okrycie z piór opadło z jego ramion, obnażając nagi tors, lśniący niczym mahoń. Toby podszedł do wodza, który objął go za ramiona i zbliżył twarz do jego twarzy. To właśnie Toby nazwał pocałunkiem nosów. Obaj zamienili kilka słów, a potem Toby odwrócił się do mnie i wyciągnął rękę.

Spoglądałam w przepastne czarne oczy wodza, który musiał się mocno pochylić, by nasze twarze znalazły się na jednym poziomie. Gdy położył rękę na moim ramieniu i zatopił wzrok w moich oczach, przez moment poczułam, jakby jakaś siła usiłowała mnie wyrwać z otaczającego świata i wepchnąć w przepastną, tajemną otchłań. To było niesamowite wrażenie. Nos wodza dotknął mojego i przez kilka sekund poruszał się łagodnie. Potem byłam wolna.

A więc naprawdę całują się nosami, przemknęło mi przez myśl. I znowu poczułam się normalnie.

Posadzono nas koło wodza i Toby dał znak marynarzom, by wystąpili naprzód, prezentując skrzynie przyniesione ze statku. Otworzyli je, pokazując przeznaczone dla wodza podarki. Dzieci podeszły bliżej i zewsząd słyhać było okrzyki radości i zdumienia. Były to głównie różnego rodzaju ozdoby i wszyscy, nie wyłączając wodza, oglądali je z zachwytem. Największy podziw wzbudziła ustna harmo-

nijka. Gdy Toby zagrał na niej kilka dźwięków, tłum nie posiadał się z radości.

Prezenty były oczywiście dowodami przyjaźni i jako takie musiały zostać odwzajemnione. Uroczysta prezentacja zaczęła się, gdy wódz założył naszyjnik z kości na szyję Toby'ego. Potem przyszła kolej na mnie, gdyż byłam córką kapitana i należały mi się honory.

Wódz osobiście założył mi naszyjnik i przez chwilę jego ciemne, przepastne oczy zagłębiły się w moich, jakby chciały odczytać moje myśli. Miałam nadzieję, że nie potrafi tego dokonać i że nie będziemy znowu całowali się nosami. Jednakże wódz ponownie dotknął mojego nosa i trzymając rękę na moim ramieniu, długo spoglądał mi w oczy, zanim mnie wreszcie uwolnił.

Potem zajęliśmy nasze miejsca i wódz przedstawił Toby'emu swoich wojowników. Kilku z nich zaprezentowało nam swoje tańce, polegające głównie na mocnym uderzaniu stopami o ziemię i wydawaniu głośnych okrzyków, które - jak sądziłam - były okrzykami wojennymi. Byłam zadowolona, że jesteśmy przyjaciółmi, a nie wrogami.

Ceremonia wlokła się w nieskończoność. Panował ogromny upał. Dopiero o zachodzie słońca wróciliśmy wreszcie na statek.

Tego wieczoru siedzieliśmy na pokładzie, spoglądając w stronę wyspy. Z oddali słychać było odgłosy bębnow.

- Raczej męcząca impreza - zauważył Toby.
- Było bardzo gorąco i to wszystko było takie niezwykle.
- Te wyspy są dość podobne do siebie i ceremonie prawie się nie różnią. Oczywiście musimy być ostrożni w stosunkach z tubylcami. Niewiele potrzeba, by doszło do jakiegoś nieporozumienia. Jesteśmy dla nich zupełnie odmienni, podobnie jak oni dla nas. Te organki to był strzał w dziesiątkę, prawda?

Roześmiałam się na to wspomnienie.

- Najbardziej podobały mi się dzieci - powiedziałam.
- Były takie rozradowane i wcale nie usiłowały tego ukrywać.

Toby także się uśmiechnął.

- Odplywamy jutro o północy. Akurat będzie odplyw.

Do tego czasu zdążymy załatwić wszystkie sprawy, które nas tu przygnały.

- To była wspaniała podróż. Z niechęcią myślę, że się wkrótce zakończy.

- Po tej przyjadą następne. Nawiasem mówiąc, jutro czeka nas kolejna ceremonia, uroczystość picia kerewee. Tak się nazywa ich plemienny napój, który uważają za święty napitek. Fakt, że chcą dopuścić nas do oglądania, jak się go sporządza, świadczy, że uważają nas za przyjaciół. Podczas uroczystości nasza przyjaźń zostanie przypieczętowana.

- Myślę, że jeśli ktoś w każdej chwili spodziewa się ataku wroga, co - jak przypuszczam - niejednokrotnie miało miejsce w przeszłości, chce się upewnić co do przyjaciół.

- To prawda. Dlatego też ich tańce prezentują bohaterskie czyny wojenne. Napój kerewee sporządza się z całym ceremoniałem, w obecności samego wodza. A potem puchar - w rzeczywistości jest to ogromne naczynie - krąży z rąk do rąk i wszyscy z niego piją.

- Czy my też będziemy musieli to pić?

- Obawiam się, że tak. Nie miej takiej przerażonej miny. Wystarczy, jeśli tylko umoczysz usta. Tylko zrób to tak, aby przypadkiem nikt nie zauważył, że nie pijesz. Byłaby to dla nich straszna obraza, rodzaj świętokradztwa, które według ich wierzeń, sprowadziłoby na nich nieszczęście, zemstę bogów i tym podobne.

- Jakiego rodzaju zemstę?

- Nie wiem, ponieważ nigdy nie słyszałem, by ktoś kiedykolwiek odważył się ją sprowokować. Ale naprawdę nie przerażaj się. To zupełnie proste, bylebyś tylko nie pokazała im, że nie masz zamiaru tego pić.

- Z iloma najdziwniejszymi obyczajami musiałeś się spotykać podczas swoich podróży.

- Rzeczywiście widziałem w życiu to i owo.

Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że jestem bardzo szczęśliwa, mogąc dzielić z nim życie.

* * *

Upał był nie do zniesienia. Już ponad godzinę siedzieliśmy z Tobym po obu stronach wodza. Wojownicy skończy-

li właśnie rytualne tańce, a teraz miał nastąpić kolejny etap ceremonii. Jeden z tubylców, siedząc w kucki, zaczął rozniecać ogień, pocierając o siebie dwa kamienie. Na środku ogniska postawiono ogromne naczynie i wrzucono do niego rozmaite składniki w wielkich ilościach. Podczas mieszania tubylcy zawodzili żałośnie. W końcu mikstura była gotowa.

Przelano napój do mniejszego naczynia, z którego wszyscy mieli pić, a które teraz postawiono przed wodzem. Nagle ktoś w tłumie wydał głośny okrzyk. Dzieci zaczęły płakać i przestraszone pobiegły szukać schronienia w ramionach matek. Popatrzyłam na Toby'ego, który ledwo dostrzegalnie skinął głową, jakby zapewniając mnie, że to wszystko należy do rytuału i nie ma się czego obawiać.

Z tłumu wyłonił się mężczyzna, dorównujący wzrostem wodzowi. Na głowie miał ogromną, przerażającą maskę. Nowo przybyły wystąpił naprzód i stanął przed wodzem. Gestykulował gwałtownie, wyprężając ciało w niesamowity sposób i błyskając zębami. Teraz patrzył wprost na Toby'ego, który wyglądał na poruszonego i nawet odsunął się nieznacznie.

Pomyślałam sobie, że to musi być ów czarownik, o którym tyle słyszałam od Toby'ego. Toby opowiadał, że miejscowi czarownicy zdają się mieć władzę nad życiem i śmiercią i gdy przepowiedzą komuś śmierć, ten człowiek umiera.

- Zupełnie tego nie rozumiem - mówił Toby - ale to prawda. Niektórzy twierdzą, że to autosugestia. „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło naszym filozofom”*. Coś w tym musi być.

Przypomniałam sobie teraz tamtą rozmowę. Z pewnością w czarowniku było coś niesamowitego.

Prężąc się dziwacznie, czarownik powiedział coś wodzowi. W tłumie zapadła nagle cisza. Miałam wrażenie, że scena, jakiej jesteśmy teraz świadkami, nie stanowi części rytuału. Czarownik przeżył się i wyginał, ręką wskazywał na niebo i wydawał dziwne jęki. A potem, ku

*Wiliam Szekspir, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

mojemu przerażeniu, zwrócił się wprost do Toby'ego. podszedł blisko i kołyszac całym ciałem wskazywał niebo.

Potem odwrócił się, gwałtownym ruchem chwycił naczynie z kerewee i zaczął pić. Następnie odjął puchar od ust i potrząsnął głową; krople płynu spływały mu po podbródku. Wreszcie ostrożnie postawił naczynie u stóp wodza i usiadł obok Toby'ego.

Rozpoczęła się ceremonia picia. Dwaj tubylcy podali naczynie wodzowi, który wznosił w górę ręce w geście błogosławieństwa. Pochyliwszy głowę, pociągnął potężny łyk, a następnie przekazał naczynie Toby'emu, który w tej próbie spał się bardzo dobrze. Z piersi zebranych wyrwało się głębokie westchnienie, gdy naczynie z kerewee wróciło do rąk wodza. Ten wypił kolejny łyk i wręczył je mnie.

Biorąc puchar do ręki, omal go nie upuściłam i niewielka kropla płynu spłynęła na moją sukienkę. Zapadła martwa cisza. Pospieszenie podniosłam naczynie do ust. Trzymałam je tak, by nikt nie widział, ile naprawdę wypiałam. Wargi miałam mokre od płynu i kilkakrotnie udałam, że przełykam. Potem odebrano mi naczynie i ceremonia toczyła się dalej.

Ale dopiero gdy opróżniony puchar postawiono u stóp wodza i rozpoczęły się tańce, poczułam ulgę.

Czarownik - o ile ten mężczyzna rzeczywiście był czarownikiem - zerwał się gwałtownie i zaczął zataczać kręgi wokół wodza. Potem z twarzą zwróconą ku niebu zaczął krążyć wokół Toby'ego. Potrząsał głową, wykrzykiwał coś i wił się jak w konwulsjach. Gdy Toby wstał, jeszcze raz potrząsnął głową i uniósł w górę ramiona. Nie mogłam pojąć, co usiłuje mu w ten sposób przekazać. Wódz zdawał się popierać czarownika, a wszyscy wokół zaczęli coś pomrukiwać i potrząsać głowami.

Nadal nie rozumiałam, o co chodzi. W nagłym błysku przecucia pomyślałam, że usiłują nas powstrzymać od powrotu na statek. Zdaje się, że oficerowie też poczuli się niepewnie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wiedziałam że Toby'emu pilno już na statek. Wreszcie podniósł się, ujmując

mnie za ramię. Oficerowie także wstali z miejsc i zaczęliśmy iść w stronę wybrzeża. Wódz kroczył obok nas, przez cały czas potrząsając głową, jakby przeciwko czemuś protestował. Toby mocno ścisnął moje ramię.

W końcu dotarliśmy do łodzi. Toby pomógł mi wsiąść i sam wskoczył do środka. Oficerowie poszli za naszym przykładem. Była nas zaledwie garstka, my i sześciu oficerów, tak że tubylcy mogli nas z łatwością zatrzymać, ale oni tylko stali i smutno potrząsali głowami, patrząc, jak odpływamy.

- O co chodziło? - zapytałam Toby'ego, gdy już odbiliśmy od brzegu.

- Usiłowali przeszkodzić nam odpłynąć - odparł.

- Przecież z łatwością mogli nas zatrzymać. Nie wyglądali na wrogo nastawionych.

- Byli jak najdalsi od wrogich zamiarów. Chcieli, abyśmy ich uważali za przyjaciół. To miało coś wspólnego z tym starcem.

- Masz na myśli czarownika?

- Tak. On uważa, że nie powinniśmy odpływać. Widział... widział jakieś znaki na niebie. Uważa, że powinniśmy pozostać do jutra. Tubylcy nie mają poczucia czasu i wszędzie widzą jakieś złe znaki.

- To bardzo miłe z ich strony, że tak się o nas troszczyli.

- Są naszymi przyjaciółmi. Czy nie dałem im organków? Może demonstrowali w ten sposób swoją gościnność, dając nam do zrozumienia, że zasmuca ich nasz odjazd i chcieliby, abyśmy zostali trochę dłużej. Albo też wbili sobie coś do głowy. Niewykluczone, że to miało jakiś związek z faktem, że omal nie upuściłaś naczynia z kerewee.

- Bardzo się wystraszyłam.

- Wcale się nie dziwię. Nigdy nie słyszałem, aby kiedykolwiek przedtem miał miejsce podobny wypadek. Moje dziecko, powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, że trzymasz w ręku świętość.

- Właśnie dlatego byłam taka zdenerwowana.

- No cóż, nasza mała przejażdżka dobiega końca. Przez najbliższy czas nie będzie żadnych świętych ceremonii.

- To było bardzo interesujące, ale w pewnej chwili naprawdę się wystraszyłam, że nie pozwolą nam odpłynąć.
- Ale teraz jesteśmy cali i bezpieczni na naszej Pani Mórz. Czy ona nie jest piękna?
- Kochasz ten statek, prawda?
- Kocham. Ale jeszcze bardziej kocham moją córkę.
- Odpłynęliśmy dokładnie o północy.

* * *

Nad ranem wiatr przybrał na sile. Raz czy dwa obudziło mnie huśtanie statku i przez jakiś czas leżałam wsłuchana w trzeszczenie masztów. Tym razem Pani Mórz zdawała się protestować dość gwałtownie.

W ciągu dnia trochę się uciszyło, ale nadal było bardzo wietrznie, a silna fala nie pozwalała wychodzić na pokład. Gdy zapadł wieczór, pogoda znowu się pogorszyła. Z Tobym nie widziałam się przez cały dzień, ale przecież miałam już na tyle doświadczenia, żeby wiedzieć, że w takich warunkach kapitan osobiście przejmuje dowodzenie, nie poruczając wachty żadnemu z oficerów.

Położyłam się wcześniej, ale nie mogłam zasnąć; od czasu do czasu tylko zapadałam w lekką drzemkę. Kołysanie przybierało na sile. Tropikalne sztormy potrafią być bardzo gwałtowne i teraz właśnie znaleźliśmy się w sercu jednego z nich. Zastanawiałam się, czy jesteśmy dość blisko jakiegoś portu, gdzie moglibyśmy się schronić, i czy Toby będzie próbował tam zawinąć.

Spałam już, gdy obudził mnie dźwięk okrętowego dzwonu. Wiedziałam, co to oznacza. Statek był w niebezpieczeństwie. Znałam instrukcję postępowania w podobnych okolicznościach. Należało ubrać się ciepło, wziąć kamizelkę ratunkową i wyjść na najbliższy pokład.

Niezdarnie naciągałam na siebie ubranie. Gdybym tylko mogła być przy Tobym, myślałam. Muszę odnaleźć Toby'ego.

Ale przecież Toby jest na mostku, a tam nie ma dla mnie miejsca. To nic, Toby z pewnością pragnie, abym była przy nim. Muszę go odnaleźć.

Drżącymi palcami zapięłam płaszcz i zawiązałam szal na głowie. Niełatwo było utrzymać równowagę. Otworzyłam

drzwi kabiny i wypadłam na korytarz. Wszędzie panował ogłuszający hałas, słychać było jakieś trzaski, jakby cały statek rozpadał się na kawałki. Zataczając się od ściany do ściany, posuwałam się korytarzem. Statek wydał mi się teraz zupełnie inny i z trudem rozpoznawałam znane mi miejsca. Drogę blokowały połamane meble i inne sprzęty. Zewsząd słyszałam krzyki ludzi.

Muszę odnaleźć Toby'ego.

Mozolnie pokonywałam schody. Poczułam gwałtowny podmuch wiatru. Byłam w pobliżu pokładu. Uprzednio były tu drzwi, ale teraz gdzieś zniknęły. Chwiejnym krokiem przesuwałam się po pokładzie. Nie spodziewałam się, że wiatr będzie wiał z taką siłą. Złapał mnie i pchał do przodu, by potem raptownie rzucić w przeciwnym kierunku. Upadłam i z najwyższym trudem podniosłam się na nogi. Stać prosto było niepodobieństwem. Kurczowo przytrzymałam się relingu. Statek zmienił się nie do poznania. Gdzie ja jestem? Wszystko wyglądało teraz jakoś inaczej.

Byłam oszołomiona i przerażona, jednak przez cały czas nie opuszczała mnie jedna myśl. Muszę odnaleźć Toby'ego. Musimy być razem.

Próbowałam się uspokoić. Pójdę tędy, choć wszystko wydaje mi się obce. Muszę dotrzeć do mostku. Toby z pewnością tam jest, dowodzi okrętem. Muszę znaleźć się przy nim.

Postąpiłam kilka kroków naprzód. Teraz wszędzie wokół mnie znajdowali się ludzie. Opuszczano szalupy, te same szalupy, które jeszcze niedawno przewiozły nas na wyspę.

Nagle statek przechylił się gwałtownie. Zaczęłam się zsuwać z pokładu... Słyszałam czyjś krzyk. Usiłowałam się podnieść, ale nie potrafiłam się poruszyć.

Hałas był ogłuszający. Ludzie krzyczeli głośno.

Ktoś podniósł mnie do góry.

- Toby - powiedziałam - Toby.

* * *

Znajdowałam się w łodzi. Było mi niewygodnie. Czulałam ból w nodze. Siedziałam po jednej stronie wodza, po drugiej

zaś siedział Toby. Kiwał na mnie i mówił: „Nie pozwól, aby zauważyli, że nie pijesz”.

Łódź kołysała się na fali. Ktoś przytknął mi do ust naczynie. Wypiłam posłusznie. Napój był piekący.

Usłyszałam głos Toby'ego: „Commonwood House nie będzie już takie jak dawniej”.

Potem kołysanie, kołysanie łodzi i niepamięć.

Byłam na statku. Czulałam znajome kołysanie. I cisza. Teraz już pamiętałam. Najpierw był sztorm, ale teraz wszystko jest w porządku. Leżałam w łóżku i ktoś pochylał się nade mną, ale byłam zbyt zmęczona, by otworzyć oczy.

Po jakimś czasie przemogłam się jednak i podniosłam powieki. Wiedziałam z całą pewnością, że jestem na statku, ale to nie była Pani Mórz. Ciągle odczuwałam ból w nodze. Usiłowałam się poruszyć, ale nie potrafiłam. Na nodze miałam opatrunek.

Pojawiła się kobieta w stroju pielęgniarki. Zawołałam ją.

- O, widzę, że odzyskałaś przytomność - powiedziała.
- Gdzie ja jestem?
- Na Królowej Wysp.
- Ale...
- Wyciągnęliśmy cię. Jesteś bezpieczna. Masz skaleczoną nogę, ale wszystko będzie dobrze.
- Co... co się stało?
- Teraz odpoczywaj. Później porozmawiamy o wszystkim.

-Ale...

Odeszła.

Jak ja się tutaj znalazłam? Byłam zbyt zmęczona, by zebrać myśli. Przecież płynęłam Panią Mórz. Co ona powiedziała? Królowa Wysp? Nie... to było zbyt nieoczekiwane, a ja czulałam takie zmęczenie...

Moje myśli odpłynęły gdzieś daleko. Byłam w ogrodzie w Commonwood House. Pani Marline krzyczała na Adelinę, a panna Carson usiłowała ją uspokoić. Potem znalazłam się w lesie. Zingara siedziała na stopniach wozu. „Jestem twoja matką” - mówiła.

Usiłowałam powrócić do rzeczywistości. Jestem na statku, ale nie na Pani Mórz. W takim razie gdzie jest statek Toby'ego? I gdzie jest sam Toby?

- No jak - powiedziała pielęgniarka - lepiej teraz? Skinęłam głową.
- To najważniejsze. Noga nie jest poważnie zraniona i wszystko będzie dobrze. Przeżyłaś szok.
- Co się stało? - zapytałam.
- Pogoda była paskudna. Na tych wodach często zdarzają się podobne sztormy. Wyłowiliśmy cię. Teraz płyniemy do Sydney. Masz tam rodzinę, prawda?
- A statek? A Pani Mórz?
- Przecież to już było próchno ledwo trzymające się kupy. Przypuszczalnie będzie dochodzenie w tej sprawie. Nie mogłam pojąć, o czym ona mówi.
- Ale nie bój się - ciągnęła pielęgniarka - teraz jesteś bezpieczna. Byłaś jedną z tych szczęśliwych osób. Jedną z tych szczęśliwych osób. Bezskutecznie szukałam w myśli właściwych słów. Może byłam zbyt przerażona, aby wymówić je głośno?
- Co... co się stało?
- Poszła na dno... a wraz z nią wiele istnień ludzkich.
- A kapitan?
- Kapitan zawsze musi pozostać na statku do końca, prawda?

* * *

W końcu lekarz okrętowy powiedział mi prawdę. Wiedział, że Toby był moim ojcem i rozmawiał ze mną bardzo łagodnie.

Wziął mnie za rękę.

- Widzisz, był bardzo gwałtowny sztorm. Od czasu do czasu na tych wodach trafiają się podobne. Statek po prostu nie wytrzymał. Zatonął, a wraz z nim wiele osób. Dam ci środek nasenny. Potrzebujesz teraz wiele snu.

Straciłam go. Moje szczęście. Moje sny, moje marzenia o przyszłości... wszystko stracone. Stary, zdezelowany statek i bezlitosne morze zabrały mi wszystko.

Utraciłam kogoś, kogo kochałam nade wszystko. Nie czułam teraz niczego poza zupełną pustką.

Echa przeszłości

W Sydney czekała na mnie Elsie. Zbołałe i nieszczęśliwe, mocno przywarłyśmy do siebie. Drogę do domu odbyłyśmy niemal w całkowitym milczeniu. Elsie zapytała jedynie o moją nogę. Na szczęście miałam tylko kilka skaleczeń i siniaków, natomiast sama kość nie była naruszona. Głównie cierpiałam z powodu szoku i wyczerpania.

W domu czekały jak zawsze Mabel, Adelajda i Jane, ale atmosfera szczęścia i zadowolenia ulotniła się bezpowrotnie. Cały dom był przepełniony smutkiem.

Pierwszego wieczoru ani Elsie, ani ja nie potrafiłyśmy nawet mówić o Tobym. Jediną pociechą w bólu stanowiło dla nas to, że rozumiemy wzajemnie nasze uczucia. Toby odszedł z naszego życia bezpowrotnie i wiedziałyśmy, że nic nam go nie zastąpi.

Całą noc spędziłam bezsennie, rozpamiętując wydarzenia z przeszłości. Toby stanowił treść mojego życia i gdy go zabrakło, nic mi już nie pozostało.

Gdybyśmy nie wypłynęli na morze tamtej nocy... Gdyby tylko to... gdyby tylko tamto...; jakże często takie spóźnione refleksje po tragedii stają się już tylko daremnym krzykiem prawdziwej rozpacz. Myślałam o ceremonii na wyspie, podczas której tubylcy usiłowali nas zatrzymać. Stary mądry czarownik wiedział, że Toby'emu grozi niebezpieczeństwo. Może rzeczywiście był obdarzony jakąś tajemną siłą i potrafił przewidywać przyszłość? Całe swoje życie

spędził na wyspie i z pewnością doskonale znał się na pogodzie. Mógł dostrzec oznaki nadciągającego sztormu. Ostrzegaliśmy nas, nalegał, abyśmy nie odpływali. Gdybyśmy tylko posłuchali jego rady. Gdybyśmy tylko... gdybyśmy tylko...

Na podobnych rozmyślaniach minęła mi cała noc. Wreszcie nadszedł poranek. W perspektywie miałam kolejny posępny dzień, posępny, ponieważ Toby'ego nie było z nami, a świadomość, że nigdy więcej go nie ujrzę, przytłaczała mnie bolesnym brzemieniem.

Dopiero po kilku dniach, spędzonych w podobny sposób, poczuliśmy nagle, że wreszcie potrafimy rozmawiać o Tobym. Elsie przypomniała sobie różne historie z jego życia, a ja słuchałam, potem zaś ja opowiadałam jej o wszystkim, co z nim przeżyłam.

Pewnego dnia powiedziała do mnie:

- Carmel, chyba sama rozumiesz, że tak dalej być nie może. Pomyśl, jak Toby śmiałyby się teraz z nas, gdyby był tutaj. Spotkało nas to szczęście, że znałyśmy go dobrze i że opromienił nasze życie. Ale kiedy coś się skończy i wiadomo, że nigdy już nie wróci, choćby człowiek nie wiem jak tego pragnął, należy się pogodzić ze stratą. Musimy się jakoś przemóc.

- Masz rację - odparłam. - Ale jak?

- Nad tym właśnie musimy się zastanowić. Mamy przecież przyjaciół, dobrych przyjaciół.

Elsie miała słuszność. Formanowie już od dłuższego czasu starali się nas rozweselić. James i Gertie odwiedzali nas bardzo często, a Joe Lester niemal od nas nie wychodził. Wszyscy przyjaciele dokładali wszelkich starań, by nam pomóc. Ciągłe ktoś zapraszał nas do siebie albo przychodził z wizytą.

Pewnego dnia Gertie oznajmiła:

- Dostałam list od ciotki Beatrice, która pragnie, abym przyjechała ją odwiedzić.

- Masz na myśli tę ciotkę w Anglii?

Przytaknęła.

- Gdy byłam małą, przepadałyśmy za sobą. Ciotka nie ma własnych dzieci i wyobrażała sobie, że jestem jej rodzoną córką. Regularnie pisujemy do siebie. Myślę, że teraz, kiedy już uporaliśmy się z większością problemów,

moi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym pojechała na jakiś czas do Anglii.

- To brzmi ekscytująco.

- Prawda? Jedź ze mną.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

- Dlaczego nie? Nie możesz do końca życia chodzić z nosem spuszczoneym na kwintę.

- Z nosem na kwintę? - powtórzyłam.

- Nie jesteś już taka jak dawniej. Rozumiem, że to było okropne przeżycie, i wiem, jak bardzo się kochaliście, ale przecież nie możesz wiecznie pielęgnować żaloby.

- Wrócić do domu - szepnęłam.

- Mój ojciec mówi, że skoro tak mi na tym zależy, to najlepiej będzie, jeśli rzeczywiście pojedę. Obiecał zapłacić za podróż i dać mi pewną kwotę na utrzymanie u ciotki. Ty nie musisz się martwić takimi kwestiami. Jesteś teraz niezależna.

Gertie miała rację. Toby zostawił mi większość swojego majątku i nie była to mała suma. Elsie też zaopatrzył. Nagle uświadomiłam sobie, że jeśli tylko zechcę, mogę podróżować. Gertie spoglądała na mnie z uwagą.

- I jak?

- Nie myślałam o powrocie do domu.

- Więc zastanów się nad tym teraz. To pomysł mamy, żebyś pojechała za mną. Jej zdaniem dobrze by ci to zrobiło. Wyszłabyś trochę ze swojej skorupy. Nigdy nie poczujesz się lepiej, jeśli będziesz tylko siedziała i rozpamiętywała. A więc co sądzisz o powrocie do Anglii?

- Naprawdę się nad tym nie zastanawiałam.

- Bo ty przez ostatnie miesiące myślałaś wyłącznie o sobie.

Gertie już w dzieciństwie potrafiła być boleśnie szczera i zawsze mówiła wszystko prosto z mostu, nawet jeśli prawda była brutalna. Pod tym względem nic się nie zmieniła. Teraz mówiła dalej:

- Cały problem w tym, że całkowicie zamknęłaś się w sobie. Miałaś tragiczne przejścia i teraz nie pozwalasz o tym zapomnieć ani sobie, ani nikomu innemu. - Nagle położyła mi rękę na ramieniu. - Przepraszam, nie powinienam była tego mówić.

- Ależ nie - odparłam - to przecież prawda.
- Ktoś powiedział o tobie, że uczysz swoje kłopoty pływać, zamiast pozwolić im utonąć.

Milczałam, Gertie zaś po krótkiej przerwie dodała:

- Moim zdaniem powinnaś to rozważyć.

W domu opowiedziałam o wszystkim Elsie. Wiedziała, że myśl o moim wyjeździe nie będzie jej miła. Elsie wysłuchała mnie z uwagą.

- Do ciotki Gertie - powiedziała. - No cóż, wiele sły-
szaliśmy o tej ciotce. Spodziewałam się, że Gertie kiedyś do
niej pojedzie. A więc podjęła decyzję. Wydaje mi się, że
dobrze by ci zrobiło, gdybyś się z nią wybrała.

- Naprawdę?

- Kiedy człowieka spotyka tragedia, najlepsza jest
całkowita zmiana otoczenia. Ty zaakceptowałaś żałobę jako
coś trwałego. To był wstrząs, prawdziwe nieszczęście. Toby
znaczył dla ciebie bardzo wiele, kochałaś go. Nigdy go nie
zapomnimy, ale nie możemy też pozwolić, aby jego odejście
zaciążyło nad całym naszym życiem. Jestem pewna, że
gdyby żył, powiedziałby to samo. Przecież nie musisz
decydować się od razu. Ale powinnaś zastanowić się nad tą
propozycją.

- Byłoby mi przykro, gdybyś została sama.

- Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Oczywiście, że
chciałabym mieć cię przy sobie. Jesteś dla mnie jak córka.
Ale masz własne życie, a tutaj... Powinnaś zacząć spotykać
ludzi... nowych ludzi. Tak naprawdę to powinnaś pojechać
do Anglii. Coś jeszcze chcę ci powiedzieć. Nie martw się o
mnie. Nie będę całkiem sama i opuszczona, więc nie musisz
zostawać, żeby się mną opiekować. Zamierzam wyjść za
mąż.

- Elsie!

- Tak. Joe i ja przyjaźnimy się od tak dawna. Toby za-
wsze powtarzał: „Mądrzej byś zrobiła, gdybyś wyszła za
Joego. On byłby o wiele lepszym mężem niż ja”. W pewnym
sensie miał rację. Ale... ale to nie byłoby to samo. Teraz
wszystko się skończyło i Joe i ja mamy zamiar się pobrać.
Joe pragnął tego już od dawna. Ja także tego chcę. Tak więc
nie będę samotna.

Początkowo nie posiadałam się ze zdumienia, ale później przysłała refleksja. Właściwie dlaczego nie? Może Gertie miała rację, twierdząc, że ostatnimi czasy byłam zajęta wyłącznie sobą. Joe był wiernym, oddanym przyjacielem i bez wątpienia kochał Elsie. Przyszło mi do głowy, że Toby uznałby taką sytuację za zabawną, i uśmiechnęłam się po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Elsie otoczyła mnie ramieniem i mocno przygarnęła do siebie.

- Ty także musisz otrząsnąć się z żałoby - powiedziała. Od tej chwili zaczęłam serio rozważać myśl o powrocie do domu.

* * *

Wreszcie udało mi się wyrwać z depresji, w której tkwiłam przez tyle miesięcy. Gertie zaraziła mnie swoim entuzjazmem. Od wyjazdu dzieliło nas jeszcze trochę czasu. Idąc za radą Elsie postanowiłyśmy odłożyć podróż do następnego roku i pojawić się w Anglii wraz z wiosną.

Między Gertie a ciotką Beatrice trwała wymiana listów. Ciotka mieszkała ze swoim mężem, wujem Haroldem, w dzielnicy Kensington. Gertie opowiadała mi o swoich wizytach u wujostwa.

- W ich domu panuje prawdziwie rodzinna atmosfera. Kiedy się pobierali, pragnęli mieć całą gromadkę dzieci. Gdy wyjeżdżaliśmy do Australii, ciągle jeszcze nie tracili nadziei, że ich marzenie się ziści. Nasza decyzja o emigracji bardzo ich przygnębiła. James i ja często ich odwiedzaliśmy, a oni zawsze się cieszyli, że mają dzieci w domu.

- Myślisz, że nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym się u nich zatrzymała?

- Oczywiście, że nie. A jeśli nie będzie ci to odpowiadało, możesz zamieszkać, gdzie tylko zechcesz. Nie musisz przecież martwić się o pieniądze.

- To się nawet układa dość pomyślnie.

- Pomyślnie! To jest wręcz idealne rozwiązanie. Polubisz ciotkę Bee, sama zobaczysz.

- Mam nadzieję, że ona także mnie polubi.

- Na pewno. To znaczy, o ile skończysz z tą wieczną

żałobą. Nikt cię nie polubi, jeśli nadal będziesz się z nią obnosiła. Pamiętaj, że na tym świecie są jeszcze inni ludzie.

Tak, bez wątpienia Gertie była dla mnie wielką pociechą.

Perspektywa bliskiego wyjazdu Gertie zasmuciła trochę Formanów. Skoro korzeniami tak silnie tkwiła w Anglii, mogła nie chcieć stamtąd wrócić. Co więcej, James także miał opuścić dom rodzinny i udać się na poszukiwanie opali. Na farmie wszystko układało się pomyślnie, więc mógł jechać z czystym sumieniem.

Widywałam go teraz dość często. Nie był zachwycony moimi planami.

- Ale ty wrócisz, prawda? - upewniał się.

- Nie planuję pozostać - odparłam.

- Możesz zmienić zdanie, gdy już znajdziesz się w Anglii.

- Jakoś nie wydaje mi się to prawdopodobne.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zapomnieć o wszystkim i wybrać się ze mną?

- Moim zdaniem, nie byłoby to dobre rozwiązanie ani dla mnie, ani dla ciebie, James.

- Moja propozycja jest ciągle aktualna.

- Dziękuję.

- Wiesz, to zabawne. Całe nasze życie kompletnie się teraz odmieni.

- Gertie zawsze prorokowała, że tak się stanie.

- Jeśli nie wrócisz, przyjadę po ciebie. Tylko najpierw zdobędę fortunę, by móc ci ją ofiarować.

- Nie pragnę fortuny.

- Wiem, ale mimo to przyjemnie byłoby ją posiadać. Nie zapomnisz o mnie?

- Nie, nigdy. I dziękuję, że jesteś dla mnie taki wyrozumiały.

- Jestem idealnym pocieszycielem, powinnaś mieć to stale na uwadze.

- Będę pamiętała.

Gertie i ja byłyśmy teraz nieustannie razem. Robiliśmy zakupy, układałyśmy najróżniejsze plany i wreszcie w odpowiednim czasie zarezerwowałyśmy miejsca na Gwieździe Oceanów.

Elsie martwiła się, jak zniosę podróż okrętem. Obawiała się, iż szok przeżyty podczas tamtej katastrofy może sprawić, że nie będę w stanie postawić stopy na pokładzie. Nie miałam podobnych obaw. Gdy wspomniałam Gertie, że na morzu będę się czuła bliżej Toby'ego, odparła energicznie:

- Co za nonsens. Nawet nie mów o tym nikomu, bo jeszcze ludzie pomyślą, że brak ci piątej klepki. Mam ochotę popłynąć z tobą i nie życzę sobie, aby Toby towarzyszył nam przez całą drogę.

To było brutalnie powiedziane, ale wiedziałam, że Gertie pragnie mojego dobra.

- Mam tu plan Gwiazdy Oceanów. Boże, jakież to piękny statek! Patrz, dokładnie w tym miejscu jest nasza kabina - dodała łagodnie.

* * *

Termin odjazdu przypadał na koniec stycznia. Elsie i Joe wzięli ślub zaraz po Bożym Narodzeniu i po cichej ceremonii Joe sprowadził się do domu Elsie. Cieszyło mnie to, gdyż wiedziałam, że pragnął ożenić się z nią już od bardzo dawna. Elsie także była zadowolona.

Bratanek Joego, William, który zawsze marzył o własnym kawałku ziemi, przejął farmę Joego, zostawiając mu część udziałów. Mieszkając w pobliżu, Joe zawsze mógł służyć Williamowi radą i pomocą. Wraz z Elsie byli częstymi gośćmi na farmie. Tak więc sprawy ułożyły się ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

Formanowie, Elsie i Joe przyszli do portu nas pożegnać. Była to wzruszająca scena i nawet Gertie miała łzy w oczach. Przez krótką chwilę sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała, czy to było mądre posunięcie zdecydować się na tę podróż - ale moment wahania szybko minął.

James mocno uściśnął moją dłoń i przypomniał mi, że koniecznie muszę wrócić.

- I to szybko, bo inaczej przyjadę po ciebie - dodał.

Potwierdziłam obietnicę i pocałowaliśmy się na pożegnanie.

Statek odbił od nabrzeża, a my długo jeszcze stałyśmy na pokładzie, machając chusteczkami. Nie mogłam się

uwolnić od wspomnień. Myślałam o tamtym dniu, kiedy przybyłam do Sydney na Pani Mórz i czułam się taka szczęśliwa, bo Toby był wtedy ze mną.

Gertie, odgadując, co się dzieje w mojej głowie, zapędziła mnie do kabiny. Na swój praktyczny sposób zaczęła komenderować, którą koję mam zająć i która część szafy będzie przeznaczona na moje rzeczy.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że choć wiele drobiazgów będzie mi przypominało przeszłość, muszę jednak przestać nieustannie do niej wracać. Muszę skierować myśli ku przyszłości, ku nowemu.

Życie na statku nie było dla mnie niczym niezwykłym. Ogólne reguły są wszędzie takie same, ale ponieważ nie ma dwóch takich samych statków, stąd i tryb życia na każdym z nich różni się wieloma szczegółami. Kapitan okazał się bardzo sympatyczny. Znał Toby'ego i gdy się dowiedział, kim jestem i że byłam na Pani Mórz w chwili katastrofy, zaczął mnie darzyć szczególnymi względami.

Dość szybko uświadomiłam sobie, że postąpiłam słusznie, decydując się na tę podróż. Podniecona powrotem do domu, zaczynałam nabierać dystansu do tragedii, jaką mnie dotknęła, i powoli przyzwyczajając się do życia bez Toby'ego. Nawet wmawiałam sobie, że Toby spogląda na mnie z góry, wspomagając i nalegając, bym nadal postępowała nowo obraną drogą. To pomagało. Ale chwilami, i to było nie do uniknięcia, ogarniały mnie bolesne wspomnienia.

Byłoby mi łatwiej, gdybyśmy nie płynęli niemal tym samym kursem co wtedy do Australii. Staralam się jednak o tym nie myśleć. Gertie była mi bardzo pomocna. Jej czujne oczy spoczywały na mnie bez przerwy. Bardzo mnie wzruszały jej starania, by jak najbardziej uprzyjemnić mi podróż.

Myślę, że stopniowo zaczęłam odzyskiwać równowagę. Miałyśmy bardzo miłych towarzyszy podróży, a pogoda wyraźnie nam sprzyjała. Staraliśmy się uczestniczyć we wszystkich wycieczkach na ląd. Historia o naszej dawnej przygodzie w Suezie obiegała cały statek i po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nawet dramatyczne przejścia mogą z czasem nabrać charakteru zabawnych historyjek.

W każdym razie było dużo śmiechu z dwóch małych dziewczynek, wspinających się po drabince sznurowej na pokład statku.

- Widocznie tak już było pisane, że w Suezie zawsze musi nam się coś przytrafić - zauważyła Gertie.

Gdy bowiem wsiadałyśmy do szalupy przed powrotem na statek, zauważyłam mężczyznę, który wydawał mi się znajomy. Przyjrzałam mu się bliżej. I nagle go rozpoznałam.

- Doktorze Emmerson! - zawołałam.

Gertie znalazła się obok mnie.

- To on! - wykrzyknęła. - Akurat w tym mieście.

Doktor przyglądał nam się bezradnie. Był wyraźnie zakłopotany. Bądź co bądź jedenastoletnie dziewczynki bardziej się zmieniają w przeciągu kilku lat niż dorośli mężczyźni. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła. Roześmiał się.

- Carmel i Gertie... czy to naprawdę wy?

- Tak, to my! - zawołałyśmy unisono.

- Zgubione w Suezie - powiedział. - To była dopiero przygoda, dostarczyć was na pokład.

- Za pomocą drabinki sznurowej - zachichotała Gertie.

- Ale udało się nam. Podróżujecie Gwiazdą Oceanów?

- Tak. Wracamy do domu.

Płynąc szalupą, dzieliliśmy się wiadomościami o sobie. Doktor spędził w Suezie ostatnie dwa tygodnie na konsultacjach z tutejszymi lekarzami. W Londynie miał gabinet na Harley Street i współpracował z jednym ze szpitali.

- Kiedy widzieliśmy się poprzednio - powiedział -jechałem na praktykę do szpitala w Suezie. Po powrocie do Anglii otworzyłem własny gabinet.

- Czy często odwiedza pan Suez? - zapytałam.

- Nie, teraz już nie. To była tylko krótka wizyta; miałem wykład na jednym z nowych wydziałów.

- Jakie to dziwne, że wracamy tym samym statkiem.

- Czasami w życiu zdarzają się podobne zbiegi okoliczności.

Od tego spotkania podróż nabrała innego charakteru. Wiele czasu spędzałyśmy teraz z doktorem, który wyraźnie szukał mojego towarzystwa. Początkowo Gertie najczęściej przebywała z nami, wkrótce jednak poznała Bernarda Raglanda, jednego z pasażerów, który wsiadł na statek

w Suezie. On i Gertie od razu zapalali do siebie sympatią. Ragland interesował się architekturą średniowieczną i pracował w jednym z londyńskich muzeów. Dotychczas zagadnienia architektury nie były szczególnie bliskie Gertie, teraz jednak zaczęły ją nagle żywo obchodzić.

Doktor Emmerson słyszał o zatonięciu Pani Mórz i doskonale pojmował, czym była dla mnie strata Toby'ego tak że mogłam z nim rozmawiać zupełnie otwarcie. Spędzaliśmy długie godziny, przesiadując razem na pokładzie i te rozmowy przynosiły mi wielką ulgę. Doktor opowiadał mi o swoim życiu, karierze i o swojej pracy w Suezie. Mówił o biedzie, z jaką się spotykał, o cierpieniu. Jego opowiadania bardziej niż namowy innych osób sprawiły, że oderwałam myśli od tragedii, jaka mnie dotknęła. Gertie miała rację, twierdząc, że zbyt wiele uwagi poświęcam rozpamiętywaniu moich osobistych nieszczęść.

Kiedy teraz, po latach, wracam myślami do tej podróży, muszę przyznać, że obfitowała ona w różne wydarzenia i w żadnym wypadku nie można jej było nazwać monotonną.

Morze obeszło się z nami wyjątkowo łagodnie, nawet w tych rejonach, w których zwykle bywa bardzo kapryśne. Podróż upływała spokojnie. Zawarliśmy znajomość z wieloma bardzo sympatycznymi pasażerami. Z niektórymi umówiliśmy się nawet, że będziemy podtrzymywać kontakty, chociaż w głębi duszy byliśmy przekonane, że jest to nierealne. Z pozoru podróż była taka sama jak wiele innych, jednak okazała się bardzo ważna nie tylko dla mnie, lecz i dla Gertie.

Gdy tylko w towarzystwie doktora Emmersona, Gertie i Bernarda Raglanda zstąpiłam na ląd, doznałam wrażenia, że oto przekraczam jakąś bardzo ważną barierę, cezurę oddzielającą mnie od przeszłości.

W porcie czekali na nas ciotka Beatrice i wuj Harold. Gertie rzuciła się w ramiona ciotki.

- Jesteś nareszcie! - powtarzała ciotka, pulchna, wysoka kobieta z rumieńcami na okrągłej twarzy. Wuj Harold był szczerzy i niższy od niej. Stał obok żony, lekko zakłopotany, ale na swój sposób cieszył się na równi z nią.

- To jest Carmel - przedstawiła mnie Gertie. - Słyszeliście o niej. - To jest pan Bernard Ragland - dodała z dumą,

a ciotka Beatrice uścisnęła serdecznie dłoń Bernarda. Wuj Harold uczynił to samo. - A to jest doktor Emmerson.

- Miło mi pana poznać - powiedziała ciotka Beatrice.

- Co za wspaniałe uczucie, być znowu w domu — oznajmiła Gertie.

Ciotka Beatrice i wuj Harold wymienili zadowolone spojrzenia, które wyraźnie sugerowały, że ich zdaniem Gertie nigdy nie powinna była wyjeżdżać i że słusznie uczyniła, wracając.

W chwilę później Gertie i ja odeszłyśmy z wujostwem, a doktor Emmerson i Bernard Ragland udali się każdy w swoją stronę. Oczywiście przedtem obiecali, że wkrótce nas odwiedzą. Przez całą drogę do Kensington ciotce Beatrice i Gertie nie zamykały się usta, podczas gdy wuj Harold i ja siedzieliśmy w milczeniu, uśmiechając się tylko i słuchając ich rozmowy.

* * *

Pierwsze tygodnie w Londynie obfitowały w wydarzenia, więc czas upływał bardzo szybko. Zdarzały się dłuższe okresy, kiedy nie myślałam wcale o Tobym, i nagle uświadomiłam sobie, że jeśli tylko zechcę, potrafię z zainteresowaniem uczestniczyć w tym, co dzieje się wokół mnie.

Ciotka Beatrice i wuj Harold, czyli państwo Hyson, okazali się niezwykle gościnni, a ich dom bardzo wygodny i przytulny. Jestem pewna, że byłiby wspaniałymi, kochającymi rodzicami. Uwielbiali Gertie i najwyraźniej cieszyli się jej obecnością w domu. Mnie również przyjęli z otwartymi ramionami.

Ich dom usytuowany był przy skwerze, którego centrum stanowił duży, starannie utrzymany ogród, przeznaczony do użytku mieszkańców posesji okalających skwer. Klucz od bramy zawsze wisiał przy tylnych drzwiach. Korzystałam z niego często. Wychodziłam do ogrodu i siadałam na ławce, rozkoszując się spokojem panującym pod drzewami o rozłożystych koronach, poprzez które prześwitywały szczyty okolicznych domów, stojących niczym wartownicy strzegący ciszy i bezpieczeństwa tego miejsca.

Dom Hysonów był bardzo przestronny. Na ostatnim piętrze urządzone pokoje dla dzieci, które nigdy nie przyszły

na świat. Teraz oddano je do użytku Gertie i mnie Gertie pamiętała te pomieszczenia z czasów, gdy razem z Jamesem przyjeżdżali tu w odwiedzinach. Jeden z pokoi wypełniony był różnymi zabawkami; w przepastnej szafie leżały strzałki, warcaby, szachy, chińczyk, rozmaite układanki i wiele innych gier. Mogłoby się здаwać, że takie dowody niespełnionych pragnień będą sprawiały przygnębiające wrażenie, jednak w Hysonach było coś takiego, co kazało zapomnieć o współczuciu. Uczucie rozgoryczenia było im najzupełniej obce. A teraz, gdy mieli Gertie i mnie, wyglądali na bardzo szczęśliwych.

- Stanowią uroczą parę - powiedziała Gertie. - Był to dla nich szok, kiedy moi rodzice zdecydowali się wyemigrować do Australii. No, ale teraz wróciłam i cieszę się z tego. Naprawdę z wujostwa można brać przykład, nie uważasz? - dodała znacząco, a ja musiałam się roześmiać, gdyż wiedziałam, że jest to uwaga głównie pod moim adresem. Doszłam do wniosku, że dobrze jest czasami popatrzeć na siebie oczami innych.

Hysonowie lubili przyjmować, a obecność Gertie i mnie dała im ku temu niejedną okazję. Mieli kilka dużych pokoi, odpowiednich do podejmowania gości, i postanowili zrobić z nich użytek. Nie upłynął nawet tydzień od naszego przyjazdu, gdy doktor Emerson - który, jak sobie przypomniałam, miał na imię Lawrence - i Bernard Ragland zostali zaproszeni na obiad.

Spędziliśmy razem bardzo miły wieczór. Po raz kolejny została opowiedziana historia o naszym cudownym ocaleniu w Suezie, chociaż byłam pewna, że Gertie już dawno opisała ją w swoich listach. Gertie jak urzeczona słuchała wykładu Bernarda Raglanda o różnicach między architekturą romańską a gotycką i o tym, jak w początkach czternastego wieku budowniczowie, nieusatysfakcjonowani prostotą architektury, zaczęli dążyć do większej ozdobności. Byłam zdumiona, widząc moją przyjaciółkę tak poważną.

Oho - pomyślałam - Gertie się zakochała.

Lawrence - jak nazywałam w myślach doktora Emersona - nie opowiadał wiele o swojej pracy. Pewnie dlatego, że choroby skóry nie stanowiły odpowiedniego tematu do rozmowy przy stole.

Z coraz większym zainteresowaniem obserwowałam zażyłość między Gertie a Bernardem Raglandem. Ciotkę i wuja też nurtowała ciekawość. Pewnego dnia, gdy Gertie gdzieś wyszła, ciotka Beatrice poruszyła ten temat.

- Co o tym sądzisz, Carmel? Wydaje mi się, że Gertie bardzo się zaprzyjaźniła z tym miłym panem Bernardem.

Przytaknęłam.

- I co? - drążyła ciotka.

- Ich znajomość nie trwa przecież długo.

- Ale na statku jest zupełnie inaczej niż w normalnym życiu - powiedziała ciotka, robiąc znaczącą minę, chociaż byłam gotowa się założyć, że nigdy nie postawiła stopy na pokładzie statku. - Bardziej romantycznie - dorzuciła. - Zastanawiam się... - urwała, podnosząc w górę ramiona. Domyślałam się, że w wyobraźni widzi już siebie czyniącą przygotowania do wesela i młodą parę wprowadzającą się do miłego, niewielkiego domku w sąsiedztwie. Pokój dziecięcy... ciotka Beatrice zawsze w pobliżu... gotowa w każdej chwili pomóc niedoświadczonej matce...

Trochę mną to wstrząsnęło, ale Gertie chyba rzeczywiście była zakochana. Dawniej konwersację o układach draperii albo o wyższości kamienia nad cegłą potraktowałyby z najwyższą pogardą, zaś obecnie te tematy zdawały się ją wręcz fascynować.

Lawrence także był częstym gościem i chwilami zastanawiałam się, czy ciotka Beatrice snuje podobne przypuszczenia także i na nasz temat. Dochodziłam jednak do wniosku, że chyba nie, gdyż Lawrence był znacznie starszy ode mnie; dawno przekroczył już trzydziestkę, podczas gdy Bernard miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Czasami chodziliśmy z Lawrence'em do ogrodu i tam siedząc na ławce, prowadziliśmy długie rozmowy. Pewnego dnia poruszył temat katastrofy.

- Wiesz, Carmel często o tym myślałem. To był dla ciebie szok, prawda? Tak bardzo go kochałaś.

Skinęłam głową.

- Może wolałabyś o tym nie mówić?

- Nie... nie. Nie mam nic przeciwko rozmowie z panem.

- Carmel, musisz zacząć żyć na nowo.

- Gertie ciągle mi to powtarza. Jest dla mnie bardzo dobra.

- Nie możesz zapamiętywać się w bólu. Toby także by nie chciał, abyś to robiła. Miał taką pogodną naturę. Z pewnością pragnąłby, abyś pozostała sobą.

- Gertie uważa, że gdy ktoś bez reszty oddaje się smutkowi, utrudnia życie nie tylko sobie samemu, ale i innym. Muszę z tym wreszcie skończyć.

- I tak zachowujesz się lepiej, odkąd przyjechałaś tutaj.

- Wiem.

- Tamto to przeszłość. Nie zmienisz jej w żaden sposób. Musisz zapomnieć.

- Wiem. Ale jak to zrobić?

- Musisz zacząć nowe życie.

- Staram się.

- Jeśli tylko mogę ci pomóc...

Uśmiechnęłam się.

- O tak, pan to potrafi. Już raz pan to udowodnił.

- Niezapomniana przygoda w Suezie - powiedział z lekkim grymasem.

- Był pan naszym wybawcą. Biedny James, nie może zapomnieć, że się wówczas nie popisał.

- Biedny James, który zawiódł wasze zaufanie.

- Mówiłam panu, że James pragnie zdobyć fortunę, poszukując opali?

Zaczęliśmy rozmawiać o warunkach życia w Australii i znowu z pewnym zdumieniem przyłapałam się na tym, że potrafię na dłuższy czas zapomnieć o swoim nieszczęściu.

* * *

W miesiąc po naszym przyjeździe do Londynu Gertie zaręczyła się z Bernardem Raglandem.

- Tak szybko - zauważyłam.

- Szybko? Co masz na myśli? Cały czas byliśmy razem na statku i teraz jeszcze miesiąc tutaj. Tobie może się to wydawać szybko, natomiast dla mnie jest to romantyczne.

- Jesteś szczęśliwa?

- Nad życie.

- Och Gertie, to wspaniałe.

- O tak. Coś musi tkwić w tym Suezie, coś znaczącego dla nas.

- Raczej dla ciebie.

- Jakże się cieszę, że płynęliśmy akurat Gwiazdą Oceanów. Wyobraź sobie tylko, że gdybyśmy tak wybrały inny statek, nigdy nie poznałabym Bernarda.

- To rzeczywiście wspaniale. Pomyśl, ilu rzeczy nauczyłeś się o architekturze, dawnej i nowej.

Roześmiałyśmy się i Gertie powiedziała:

- Musisz być moją druhną.

- Och Gertie, już się nie mogę doczekać.

- To dziwne, ale ja też.

Tego wieczoru Gertie przyszła do mojego pokoju. Opowiadała mi o Bernardzie, o tym, że ma doskonałe kwalifikacje, że jego praca jest niezmiernie ceniona, a w ogóle to otwiera się przed nim wspaniała przyszłość.

- Och Carmel, jestem z niego taka dumna.

- Powoli stajesz się nie do zniesienia - powiedziałam i obie zaczęłyśmy chichotać, jak dawniej, gdy płynęłyśmy Panią Mórz.

Ciotkę Beatrice i wuja Harolda też ogarnęło podniecenie. Bez przerwy rozmawiali o zaręczynach. A gdzie to młodzi zamieszkają? Kensington to bardzo odpowiednia dzielnica. Na Marbrock Square, zaraz za rogiem, są takie urocze niewielkie domki. Wiedziałam, że ciotka Beatrice już planuje urządzenie domu, zwłaszcza zaś pokoju dziecięcego. Jej dawne marzenie miało się wreszcie urzeczywistnić, chociaż w nieco innej postaci, ale jednak. Oczywiście dom musi mieć ogród - ogród jest naprawdę niezbędny, gdy w domu są dzieci.

Bernard chciał przedstawić Gertie swojej rodzinie, mieszkającej w hrabstwie Kent. Jego rodzice zaprosili Gertie na weekend. Ciotka Beatrice uznała, że byłoby „miło”, gdybym pojechała z nimi. Wyobrażała sobie, że będę kimś w rodzaju przyzwoitki. Czasami przejawiała dość staroświeckie poglądy. Myślałam, że Gertie odniesie się z pogardą do tego projektu, tymczasem ku mojemu zdumieniu, zyskał on w jej oczach pełną aprobatę.

- Twoja obecność doda mi otuchy - powiedziała. - Po za tym może będzie potrzebowała twojej rady.

Nie posiadałam się ze zdumienia. Zakochana Gertie bynajmniej nie przypominała młodej, pewnej siebie kobiety, jaką była przedtem. Teraz była nerwowa i pełna obaw, czy aby na pewno zrobi dobre wrażenie na swojej przyszłej rodzinie.

- Widzę, że wyobrażasz ich sobie jako brylanty bez skazy, skoro stworzyli boskiego Bernarda - zauważyłam.

- Chciałabym, aby mnie polubili - przyznała.

Spodobało mi się takie odwrócenie ról. Teraz ja udzielałam rad i rozaczałam opiekę nad Gertie.

Razem z Bernardem miałyśmy wyjechać w piątek po południu pociągiem z Charing Cross do Kentu, gdzie mieszkali Raglandowie. Przedtem odbyło się wiele dyskusji na temat, co ze sobą zabrać. Gertie trzy razy przepakowywała swoją walizkę. Radziłam jej, aby przestała się tak denerwować. Oczywiście, że ją polubią, a nawet jeśli nie, to co z tego. Bernard ją lubi, bo przecież w przeciwnym wypadku nie poprosiłby jej o rękę.

Wreszcie znalazłyśmy się w pociągu, który miał nas zawieźć do Maidstone. Bernard powiedział, że na stacji będzie na nas czekał powóz. Jego rodzice bardzo już wyglądali spotkania z nami.

Siedziałam w kącie przedziału i przypatrując się Gertie i Bernardowi, rozmyślałam, że szczęście, jakie ich spotkało, musi być czymś wspaniałym. Od czasu do czasu spoglądałam na uciekający za oknem krajobraz.

I nagle...

Pociąg wjechał na niewielką stacyjkę. Spojrzałam na zaokrąglone litery, jakimi wypisano jej nazwę, i w tym momencie przeszłość wróciła do mnie z całą siłą.

EASENTREE.

Znałam tę nazwę. Byłam tu już kiedyś. Pamiętałam to dokładnie.

Niania Gilroy mówiąca:

„No chodź, Estello. Zabrałaś wszystko? Żebyś mi tylko nie zostawiła czegoś w przedziale. Zastanawiam się, czy Tom Yardley nie zapomni po nas przyjechać”.

Nieczęsto się zdarzało, byśmy podróżowały pociągiem. Tamtego dnia niania zabrała nas do Londynu, by kupić nam buty, których nie można było dostać w miejscowym

sklepie. Easentree było najbliższą stacją w pobliżu Commonwealth House.

Pociąg ruszył, a ja ciągle siedziałam jak odurzona. Myśłami przebywałam w przeszłości. Commonwealth House, pani Marline unieszczęśliwiająca wszystkich dookoła, doktor próbujący udawać, że wszystko jest w porządku, panna Carson... Co się stało z panną Carson?

- Obudź się. Prawie zasnęłaś. Jesteśmy niemal na miejscu - zawołała Gertie, wyrывая mnie z tych rozmyślań.

Weekend okazał się sukcesem. Raglandowie bynajmniej nie byli groźni i równie gorąco pragnęli polubić swoją przyszłą synową, jak ona pragnęła zdobyć ich sympatię. W tych okolicznościach nie mogło się to nie udać.

Oczywiście, inni członkowie rodziny też chcieli poznać wybrankę Bernarda, więc zjechali tłumnie na spotkanie rodzinne.

Przez cały weekend nie mogłam się uwolnić od wspomnień. Obrazy z Commonwealth House nasuwały się same i coraz bardziej rosło we mnie pragnienie, żeby znowu zobaczyć ten dom. Kto w nim teraz mieszka? A gdybym tam pojechała?

W domu z pewnością mieszka ktoś obcy. Rodzina wyjechała. Doktor Marline umarł, a dziewczęta i Henry przeprowadzili się do ciotki Florence, która przecież była także moją ciotką. Żałowałam, że Toby nie opowiedział mi więcej szczegółów, ale był raczej powściągliwy, mówiąc o swojej rodzinie, do której w końcu ja także należałam.

Oczami wyobraźni widziałam siebie idącą ścieżką, zbliżającą się do znajomych drzwi, wspinającą się na palce, by dosięgnąć kołatki. Chociaż teraz nie będę musiała stawać na palcach; przecież urosłam od tamtego czasu.

Przepowiadałam sobie, jak się to odbędzie.

„Mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko temu. Przejżdżałam tędy, a że kiedyś dawno mieszkałam w tym domu, więc pomyślałam sobie, że... ”.

Dlaczego nie? Przecież ludzie robią takie rzeczy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Rozważałam to przez cały weekend, podczas gdy Gertie upajała się sympatią swoich przyszłych teściów, i zanim

nasza wizyta dobiegła końca, podjęłam decyzję, że pojedę do Easentree, skąd wezmę powóz, tak jak to robiłyśmy z nianią Gilroy. Oczywiście nie mogę kazać zawieźć się prosto do Commonwood House, żeby nie wyglądało, że przyjechałam specjalnie. Nie, zatrzymam się w miasteczku. Tam przecież jest gospoda. Jak się nazywała? Pod Ogołonym Jeleniem. Estella i ja często żartowałyśmy sobie z tej nazwy. „A czegoż oni się spodziewają? Jelenia z brodą?”. Jakbym teraz słyszała jej głos.

Tak było przez cały weekend. Niemal bez przerwy towarzyszyły mi głosy z przeszłości.

Wezmę bryczkę pocztową, przenocuję w hotelu, a stamtąd przespaceruję się do Commonwood House.

Podjęłam decyzję.

* * *

Oczywiście ciotka Beatrice i wuj Harold z niecierpliwością wyczekiwali sprawozdania z naszej wizyty.

- Musimy zaprosić Bernarda i jego rodziców na weekend - zawyrokowała ciotka. - I musimy też zacząć się rozglądać za jakimś domem. Znalezienie naprawdę odpowiedniego domu zajmie więcej czasu, niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim musi być położony we właściwej dzielnicy.

Ponieważ szczęśliwa para zdecydowała się na krótki okres narzeczeństwa, nie było powodu zwlekać z poszukiwaniami.

Gertie była zbyt zajęta własnym szczęściem, by zauważyć, że oprócz spraw związanych z jej ślubem absorbuje mnie jeszcze coś innego. Mówiła wyłącznie o sobie. Napisała też do rodziców.

- Z pewnością nie będą zachwyceni, ponieważ to oznacza, że zamieszkam w Anglii, podczas gdy oni pozostaną tam. Bernard twierdzi, że od czasu do czasu będzie my mogli ich odwiedzać. On ma długie urlopy i może je kumulować. Mama i tata mogliby przyjechać do nas... jeśli tylko zdołają się wyrwać. Nie będzie tak źle. A co do ciebie, Carmel, to też nie chcę, żebyś tak od razu wracała do Australii. Masz zostać tutaj i zobaczyć, jak sobie radzę jako mężatka.

- Przecież nie mogę na stałe zamieszkać u twojej ciotki i wuja.

- Ależ oni bardzo cię lubią. Poza tym czym ty się właściwie martwisz? Możesz mieszkać, gdzie ci się żywnie podoba. Może ty też wyjdiesz za mąż?

- Niczym nie różnisz się od większości ludzi. Skoro sama wpadłaś w pułapkę, chciałabyś, aby inni też się w niej znaleźli.

- Nie bądź cyniczna, bo to do ciebie nie pasuje. To nie jest żadna pułapka. Najwyraźniej nie wiesz, co to naprawdę znaczy. To najlepsza rzecz, jaka może się przytrafić człowiekowi.

- Mam nadzieję, że później też nie przestaniesz w to wierzyć.

- Pomówmy teraz rozsądnie. Ciotka Bee nalega, żebym obejrzała pewien dom na Brier Road. Umówiła mnie na następny wtorek. Pójdiesz z nami?

- Właściwie w następny wtorek wybieram się z wizytą.

- Do kogoś, kogo dawniej znałaś?

- Taaak.

- Akurat w przyszły wtorek?

-Tak.

- Przełóż to na inny dzień, a pojedę z tobą. -Myślę, że powinnam najpierw pojechać sama... pierwsza wizyta... rozumiesz?

- Oczywiście.

Byłam zadowolona z takiego rozwiązania. Gertie nigdy nie interesowała się zbyt sprawami innych, a już zwłaszcza teraz, kiedy jej własne pochłaniały ją bez reszty.

Tak więc postanowiłam, że w następny wtorek przystąpię do działania.

* * *

Zajechałam do Easentree. Miałam szczęście. Karetka pocztowa nadal kursowała i niebawem znalazłam się w gosposzcie Pod Ogołonym Jeleniem.

Ruszyłam spacerem w dół zbocza. Po drodze przyglądałam się sklepom przy głównej ulicy miasteczka. Sklepek z pasmanterią należący do panny Patten ciągle był czynny, podobnie jak poczta, rzeźnik i piekarz. Szybkim krokiem

schodziłam ze wzgórza i mniej więcej po piętnastu minutach marszu zobaczyłam błonia i las.

Serce zabiło mi mocniej. Powtarzałam w myślach, co miałam powiedzieć. Brzmiało to fałszywie.

„Właśnie przechodziłam tędy i pomyślałam sobie, że nie będą państwo mieli nic przeciwko temu. Naturalna ciekawość. Mieszkałam w tym domu do czasu, gdy jako dziesięcioletnie dziecko wyjechałam do Australii. Niedawno wróciłam”.

Na błoniach nie spotkałam żywej duszy. Dalej był stawek i ławeczka, a jeszcze dalej dom... częściowo ukryty za krzewami, obecnie całkiem zdziczałymi. W czasach mojego dzieciństwa cała posiadłość była utrzymana znacznie porządniej.

Zbliżałam się powoli, zdumiona oznakami zaniedbania.

Byłam już przy bramie. Pchnęłam ją i ruszyłam w stronę domu. Zatrzymałam się, wodząc dookoła osłupiałym wzrokiem. To był Commonwood House, ale jakże zmieniony! Ramy okienne były zmurszałe, w kilku brakowało szyb. Mur był wyszczerbiony, dach zapadł się częściowo.

Commonwood House był ruiną. Spoglądałam nań z niedowierzaniem. Dom wyglądał ponuro i odstręczająco.

W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się i uciec. Ale przecież nie mogłam tego zrobić. Musiałam się dowiedzieć, co tu właściwie zaszło. Dlaczego po śmierci doktora dom nie został sprzedany? Dlaczego praktyczna ciotka Florence i jej mąż - bo wyobrażałam sobie, że musi mieć męża - dopuścili do tego, by dobrze utrzymana posiadłość zmieniła się w bezwartościową ruinę?

Poczułam nagłe przygnębienie. Zupełnie nie spodziewałam się takiego widoku. Coś jednak ciągnęło mnie do środka. Postąpiłam bliżej.

Stałam teraz przed frontowymi drzwiami. Wszystkie okna na parterze były powybijane, a zamek w drzwiach wejściowych wyłamany. Popchnęłam drzwi. Ustąpiły z przeraźliwym skrzypieniem, jakby przeciwko czemuś protestowały.

Weszłam do holu, poprzedzającego salonik i sypialnię pani Marline, skąd oszklone drzwi prowadziły na taras. Serce biło mi jak szalone. Wydawało mi się, że jakiś głos

mnie ostrzega, bym nie zapuszczała się dalej. W tym domu kryło się coś niesamowitego. Nie był to Commonwealth House, który dobrze znałam. Ale dlaczego doprowadzono go do takiego stanu? Muszę stąd odejść, zapomnieć o wszystkim. Dom należy do przeszłości i najlepiej będzie przestać o nim myśleć. Co dobrego mogę osiągnąć, usiłując wskrzesić przeszłość? To przecież oczywiste, co tutaj zaszło. Dzieci się wyprowadziły, wszyscy domownicy albo zmarli, albo rozproszyli się po świecie i z jakiegoś powodu posiadłość popadła w ruinę.

Wracam do miasta, przekonywałam samą siebie. Zjedz lunch Pod Ogolonym Jeleniem i zapytaj o środek lokomocji na stację. A potem zapomnij o przeszłości i o Commonwealth House. To już minęło, skończyło się raz na zawsze.

A jednak nie potrafiłam się oprzeć pokusie. Tylko jeden krok w głąb holu. Jeszcze tylko kilka chwil, żeby znowu poczuć atmosferę tamtych dni... przypomnieć sobie uczucie, że nie należę do rodziny, że jestem kimś obcym, przygarniętym z łaski, ponieważ doktor miał miękkie serce... jeszcze raz doświadczyć wrażenia, że jestem niechcianym dzieckiem, które wkrótce będzie kochane i rozpieszczane przez najwspanialszego człowieka na świecie.

Postąpiłam kilka kroków po wytartym dywanie, niegdyś brązowym z niebieskim wzorem, obecnie brudnym i postrzępionym, z niemal całkowicie zatartym ornamentem. Jakiś insekt wędrujący po podłodze przyprowadził mnie o mocniejsze bicie serca.

Otworzyłam drzwi i zajrzałam do pokoju. Przypomniałam sobie, kiedy ostatni raz widziałam to wnętrze. Nieprzytomna ze strachu Adelina, besztająca ją pani Marline i panna Carson stojąca w drzwiach.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak żywo te wszystkie obrazy z przeszłości zapadły mi w pamięć.

Drzwi do ogrodu były zamknięte, ale przez szybę mogłam dostrzec, jak bardzo jest zapuszczony. Ile razy przesiadywałam tam, podsłuchując rozmowy, usiłując z fragmentów podchwyconych zdań odtworzyć, co właściwie dzieje się w tym ponurym domu.

Odwrociłam się ku schodom i choć zdawałam sobie sprawę, że to może być niebezpieczne, zaczęłam wchodzić

na górę. Stałam na podeście, w pobliżu pokoju, który doktor zajmował razem z panią Marline, zanim uległa wypadkowi. Teraz pokój był pusty. Spojrzałam w górę schodów. Jak tu cicho, jak inaczej. W myślach ciągle słyszałam szepty. Niania Gilroy, pani Barton, pielęgniarka okręgową... zamykające drzwi kuchni, dzielące się sekretami.

Nagle do moich uszu dobiegł jakiś dźwięk. Serce zabiło mi mocno. Szept dochodził z pokoju na dole. Wyraźnie słyszałam czyjeś głosy. Głosy duchów zamieszkujących pusty dom.

Nigdy nie byłam obdarzona nadmiernie wybujałą wyobraźnią, ale od chwili, gdy postawiłam stopę w tym domu, miałam wrażenie, że otacza mnie aura niesamowitości i grozy. Może we wszystkich opuszczonych domostwach panuje podobna atmosfera? Może domy przesiąkają charakterami ludzi, którzy je zamieszkiwali przez całe lata? Nic dziwnego, że ten niezwykle nastrój podziałał na moją wyobraźnię, skoro znałam dawnych mieszkańców i współuczestniczyłam w tajemniczych wypadkach, jakie się tu rozegrały.

Usłyszałam lekkie kroki na schodach i teraz nie miałam już żadnych wątpliwości. Nie byłam sama w tym domu.

I znowu doszedł mnie świszczący szept.

Znajdowałam się w dawnej sypialni państwa Marline. Stałam zupełnie spokojnie. Czego się spodziewałam? Czy wyobrażałam sobie, że zaraz ukaże mi się duch pani Marline i zapyta mnie, co tutaj robię? Jakie mam prawo przebywać tu teraz... czy jakie prawo miałam dawniej? Tak, jestem dzieckiem jej brata i dlatego pozwolono mi zostać. Ale pani Marline powiedziałaaby, że ludzie nie mają prawa płodzić nieślubnych dzieci i że dzieci muszą odpokutować za swoje pochodzenie.

Kroki na schodach zbliżały się. Tak, bez wątpienia oprócz mnie w tym domu był jeszcze ktoś. Przywarłam do ściany, kroki się przybliżyły. Ktokolwiek nadchodził, był już bardzo blisko.

Nagle kroki się zatrzymały. Wyraźnie słyszałam czyjś oddech, a potem drzwi zaczęły się uchylać.

Zamarłam bez ruchu. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale widok małego chłopca podziałał na mnie uspokajająco.

Chłopiec nie był sam. Za nim stał drugi, jeszcze mniejszy.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Domyśliłam się, że chłopiec jest tak samo zdumiony moją obecnością jak ja jego widokiem.

Wreszcie chłopiec odezwał się lękliwie:

- Czy ty jesteś duchem?
- Nie - odparłam. - A ty?

Z nagłą wesołością wrzucił ramionami. Drugi chłopiec wysunął się zza jego pleców i zaczął mi się przyglądać. Pierwszy pytał dalej:

- Co tutaj robisz?
- A ty? - odpowiedziałam pytaniem.
- Przyglądam się.
- Ja też.
- Tu straszy, wiesz o tym?
- W tym domu?
- Wszędzie. W domu i w ogrodzie. To jest naprawdę nawiedzony dom, prawda, Will?

Will przytaknął z powagą.

- Mieszkasz w pobliżu? - indagowałam. Skinął głową, wskazując w kierunku błoni.
- Dlaczego ten dom jest taki zrujnowany? - pytałam.
- Bo tu straszy.
- Ale dlaczego straszy?
- Bo tu są duchy.
- Dlaczego są tu duchy?
- Żeby straszyć, to przecież jasne.

Zaczęłam się zastanawiać, w jakim wieku mogą być obaj chłopcy. Starszy miał nie więcej niż osiem lat, a ten drugi był najwyżej o rok młodszy. Gdy stąd wyjeżdżałam, byli w kołysce albo w ogóle nie przyszli jeszcze na świat.

- Znaliście ludzi, którzy tu mieszkali?
- Tylko duchy.

Wiedziałam, że wiele się od nich nie dowiem.

- Nie wolno nam tu przychodzić - zdradził mi młodszy.
- To on mnie namówił - powiedział starszy.
- Moja mama mówi, że ten dom może się zawalić i wtedy człowiek zostanie pogrzebany razem z duchami.

- Tu jest niebezpiecznie - powiedział drugi chłopiec Cały czas mówią, że w końcu go zburzą.

- I postawią nowy dom? - zapytałam.

- Kto by chciał tutaj mieszkać?

- Dlaczego nie?

Chłopcy popatrzyli na mnie ze zdumieniem, a starszy z nich powiedział:

- Bo tu straszny.

Czułam, że jestem im winna wyjaśnienie, co tutaj robię.

- Przechodziłam tędy... i zainteresował mnie ten dom...

- Musimy już iść. Wkrótce będzie obiad. Mama zawsze krzyczy, gdy się spóźniamy - przerwał młodszy, obdarzając mnie rozczarowanym spojrzeniem. - Myśleliśmy, że pani okaże się duchem, a nie zwykłą osobą.

- Wcale ci nie jest przykro - wtrącił starszy. - Jesteś zadowolony. Trząśłeś portkami ze strachu.

- Nieprawda, nie bałem się.

- A właśnie, że tak.

Zbiegli w dół, a ich głosy pobrzmiwały echem wśród ścian.

- Nie bałem się.

- A właśnie, że się bałeś.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ich biegnących przez trawnik.

Zeszłam na dół i opuściłam dom. Popatrzyłam w kierunku błoni. W pobliżu nie było nikogo.

To przeżycie zasiało we mnie niepokój. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że w domu kryje się coś tajemniczego i groźnego. Gdy wyszłam, poczułam nagłą ulgę. Za nic w świecie nie weszłabym tam po raz drugi. Chciałam odejść stąd natychmiast i zapomnieć o wszystkim.

Żadnych dalszych poszukiwań. Spodziewałam się, że Grange stoi tak jak stało, ale nie miałam zamiaru tego sprawdzać.

Skierowałam się ponownie ku wzgórzom, w stronę miasteczka. Zjem lekki posiłek Pod Ogolonym Jeleniem a potem udam się na stację i wrócę do Londynu.

Miałam właśnie przejść przez ulicę tuż przed gospodą, gdy pojawił się przede mną jeździec na koniu. Koń był

narowisty i dosłownie w chwili, gdy miałam zrobić krok na jezdnię, zaczął tańczyć na tylnych nogach. Jakiś mężczyzna, który także zamierzał przejść na drugą stronę, zatrzymał się w pół kroku i stanął obok mnie. Oboje przypatrywaliśmy się koniowi.

- Co za bestia - odezwał się mężczyzna. Jego głos wy dał mi się znajomy.

Odwrociłam się, by przyjrzeć mu się bliżej, i poznałam go od razu. To był Lucian Crompton.

- Lucian! - zawołałam.

Przez chwilę spoglądał na mnie ze zdumieniem. W jego oczach pojawił się błysk przypomnienia.

- Carmel!

Przez moment obserwowaliśmy się wzajemnie, w końcu Lucian powiedział:

- Co za niespodzianka. Skąd się tutaj znalazłaś, tak nagle, po tylu latach?

- Przyjechałam na jeden dzień z Londynu, a właściwie z Australii.

- Naprawdę? Co za spotkanie, jaki szczęśliwy traf.

Wspomnienia napływały do mnie całą falą. Tym razem przyjemne wspomnienia. Pamiętałam, jak znalazł mój medalion, jak kazał zreperować ogniwo w łańcuszku, jaki miły był zawsze dla mnie.

Radość z naszego spotkania była wzajemna.

- Musimy porozmawiać - powiedział Lucian. - Co masz teraz w planie? Powiedziałaś, że przyjechałaś tu na jeden dzień. - Popatrzył na zegarek. - Zbliża się pora lunchu. Dokąd teraz słaś?

- Chciałam zjeść lunch, a potem złapać pociąg powrotny.

- Więc może zjedlibyśmy razem? Chętnie usłyszę, co porabiałaś przez te wszystkie lata.

Jeździec już dawno zniknął nam z oczu i mogliśmy przejść na drugą stronę. Lucian skierował swe kroki Pod Ogolonego Jelenia.

Znano go tu dobrze, więc szybko dostaliśmy stolik na dwie osoby. Teraz, gdy siedziałam naprzeciw niego, widziałam, że się zmienił. Nie był już tym radosnym beztro-skim chłopcem, jakiego pamiętałam z dzieciństwa. Nawet

gdy się uśmiechał, na jego twarzy znać było napięcie. Obliczyłam szybko, że musi mieć teraz dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, wyglądał jednak na więcej. Tak zmienił się z pewnością. Ja pewnie też.

Jakby czytając w moich myślach, powiedział:

- Nic się nie zmieniłaś, Carmel. Po prostu urosłaś. Jedynie w pierwszym momencie cię nie rozpoznałem.

- Powiedz mi, co się z tobą działo.

- Mój ojciec zmarł trzy lata temu... zupełnie nieoczekiwanie. Musiałem przejąć majątek.

- Jesteś więc bardzo zajęty.

Skinął głową.

- Przykro mi z powodu twojego ojca - powiedziałam. - To musiał być dla ciebie szok. A jak twoja matka?

- Matka czuje się zupełnie dobrze. Camilla wyszła za mąż i mieszka w Midlands. Ma syna. - Umilkł na chwilę, a potem wyrzucił z siebie. - Ja mam córkę, dwuletnią.

- A więc jesteś żonaty.

- Byłem.

- Och... jak mi przykro...

- Moja żona umarła w porożu.

Nic dziwnego, że tak się zmienił. Najpierw śmierć ojca, potem żony, pomyślałam.

- A ty... wyszłaś za mąż? - zapytał.

- Och nie, dopiero niedawno skończyłam szkołę.

- Powiedz mi coś o sobie. Wyjechałaś tak nagle. Wszystko się rozpadło, prawda?

- Wiedziałaś, że kapitan Sinclair był moim ojcem?

- Słyszałem takie pogłoski.

- No więc wyjechałam z nim. Portem macierzystym jego statku było Sydney, dlatego ojciec zdecydował, że w tych okolicznościach najlepiej dla mnie będzie zostać w Australii.

- Tak, przypuszczam, że tak.

- No więc zamieszkałam w Sydney... a potem ojciec zginął. Poszedł na dno razem ze statkiem.

Lucian nie słyszał o tej katastrofie, więc opowiedziałam mu o wszystkim w krótkich słowach, ale nie potrafiłam do końca ukryć moich uczuć.

- Pamiętam, że zawsze go lubiałaś. To musiało być dla ciebie okropne... - Uśmiechnął się do mnie z czułością

chwytającą za serce. - Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu trzeba się z tym pogodzić, nie ma innego wyjścia.

Myślami wróciłam do dawnych czasów, kiedy Lucian tak doskonale rozumiał, jak może czuć się ktoś, kto do nikogo nie należy.

- To wszystko spadło na mnie tak nagle - powiedziałam.
- Teraz wydaje mi się to wręcz nierealne. Pojechałam do Australii z kapitanem Sinclairem, który w czasie podróży wyznał mi, że jestem jego córką. Czułam się tak, jakby urzeczywistniło się moje największe marzenie.

- Byłaś szczęśliwa w Australii?

- O tak, bardzo.

- I byłaś tam przez te wszystkie lata? A teraz przyjechałaś z wizytą do domu?

- Wiesz, dosłownie wstrząsnął mną widok Commonwealth House. Przecież to był taki przyjemny dom. Sądziłam, że go sprzedadzą.

- Próbowali, ale nikt nie chciał go kupić.

- Dlaczego?

- Dom, w którym popełniono morderstwo?

- Morderstwo?

Lucian popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Nie wiedziałaś o tym? Gazety rozpisywały się na ten temat. Ludzie też nie rozmawiali o niczym innym. Do dzisiaj wspominają tę historię.

- Morderstwo - powtórzyłam.

- No tak, ty przecież wyjechałaś, zanim ta sprawa wyszła na jaw. Może właśnie dlatego twój ojciec... tak, tak sądzę. W gazetach australijskich pewnie o tym nie pisano.

- Powiedz mi, co się stało.

- No więc odbyła się rozprawa i wtedy wszystko wyszło na jaw. Nie mogli potem sprzedać posiadłości, gdyż nikt nie chciał kupić domu należącego do człowieka, którego powieszono za morderstwo.

Szok dosłownie mnie sparaliżował. Lucian mówił dalej:

- Nie wiedziałaś, że doktor Marline został uznany za winnego? Guwernantka też była w to zamieszana, ale ją uniewinniono. Spodziewała się dziecka. Niektórzy twierdzili, że to ją uratowało. Zresztą nie było wystarczających

dowodów przeciwko niej. Znalazł się ktoś... zdaje się, że jakiś pisarz, który wszczął kampanię o jej ulaskawienie.

- Doktor Marline - szepnęłam. - Panna Carson. Trudno mi w to uwierzyć. Doktor Marline nigdy nie zamordowałby nikogo... nawet swojej żony.

- Miał swoich obrońców. Cieszył się doskonałą opinią. Podkreślano, że był pełen poświęcenia dla pacjentów. Wielu z nich wyrażało się o nim z uznaniem. - Popatrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy i przez moment pomyślałam, że pragnie, abym zaakceptowała winę doktora. - Miał motyw - ciągnął. - Żona zatruwała mu życie, a on pragnął poślubić pannę Carson, która spodziewała się jego dziecka. Trudno o silniejszy motyw.

- Mimo wszystko nie potrafię w to uwierzyć. Panna Carson była taka dobra. Wszyscy ją kochaliśmy. Uczyniła więcej dla Adeliny niż ktokolwiek inny.

- Bywa, że człowiek jest doprowadzony do ostateczności. Tak musiało być w przypadku doktora. Tak, z pewnością tak było.

- Żałuję, że dowiedziałam się o tym wszystkim. Myślałam, że doktor po prostu umarł, a rodzina rozproszyła się po świecie. Przez te wszystkie lata nie miałam o niczym pojęcia.

- Widocznie twój ojciec uważał, że będzie lepiej, jeśli się nie dowiesz.

- Byłeś tu przez cały czas, gdy to się działo?

- Byłem w internacie. Henry opuścił szkołę i przeniósł się do ciotki. Nie wiedziałem o niczym, dopóki cała sprawa się nie zakończyła. Doktor nie żył, a dzieci wyjechały.

Milczeliśmy przez chwilę, potem Lucian odezwał się ponownie.

- Myślę, że twój ojciec postąpił słusznie. Gdybyś nie wróciła, nigdy byś się o tym nie dowiedziała. Widzę, że wywarło to na tobie wielkie wrażenie. Pewnie przeczuwał, że tak zareagujesz.

- To była przecież moja rodzina - powiedziałam. - Pani Marline była siostrą mojego ojca... moją ciotką. Widocznie ojciec doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli nie dowiem się o niczym, skoro jestem z nimi spokrewniona.

- Jestem przekonany, że tym się właśnie kierował.

przykro mi, że tak to przeżywasz. A miało to być miłe spotkanie starych przyjaciół.

- Bardzo się cieszę, że cię spotkałam, Lucianie.
- Ja też. Opowiedz mi o Australii.

Przy kawie i ciastkach gawędziliśmy na różne tematy, ale moje myśli ciągle krążyły wokół tragedii Marline'ów. Jestem pewna, że Lucian myślał o tym samym.

Opowiedziałam mu o Elsie i o tym, jaka była dla mnie dobra. Powiedziałam mu też, że gdy Toby zmarł, poślubiła swojego dobrego przyjaciela Joego Lestera, co było dla mnie wielką ulgą, gdyż mogłam wyjechać bez wyrzutów sumienia.

- Ale nie zamierzasz wracać do Australii, prawda? - zapytał.

- Nie teraz. Może później.

- Czy jest tam coś... albo ktoś... dla kogo chciałabyś wrócić?

- Moja przyjaciółka Gertie przyjechała ze mną. Jesteśmy dla siebie jak siostry. Razem chodziłyśmy do szkoły. Jestem w wielkiej przyjaźni z jej bratem, a właściwie z całą rodziną. Razem płynęliśmy do Australii, dokąd Formanowie wyemigrowali.

Opowiedziałam mu o Formanach, o tym jak kupili posiadłość niedaleko Sydney, a nawet o epizodzie z sun-downerem i jego konsekwencjach. Lucian był tym bardzo zainteresowany i chciał usłyszeć więcej o Jamesie.

- James jest bardzo ambitny. Pragnie zrobić majątek na opalach... albo może na złocie. Myślę, że najbardziej fascynują go opale. Bardzo piękne okazy spotyka się w miejscu zwanym Lightning Ridge. Zdaniem Jamesa stamtąd pochodzą najwspanialsze opale na świecie.

Lucian wpatrywał się w filiżankę z kawą.

- Tak, opale to fascynujące kamienie - powiedział powoli. - Mnie też niegdyś pasjonowały. Mają wspaniałe kolory.

- Zdaje się, że związane są z nimi pewne przesady. Mówi się, że opale przynoszą nieszczęście.

- Ta opinia wzięła się stąd, że są bardzo kruche - powiedział Lucian.

- Byłoby absurdem twierdzić, że kamień może przynieść pecha - zauważyłam.

- Właśnie - potwierdził Lucian zdecydowanie.

I znowu myślami przeniosłam się w przeszłość, do Commonwood House. Nie było w tym nic dziwnego. Obrazy z dzieciństwa często nawiedzały moją wyobraźnię, teraz zaś byłam tak blisko miejsca, gdzie się to wszystko rozegrało. Widziałam Adelinę siedzącą na podłodze w sypialni matki, z zawartością szufladki rozsypaną dookoła. „Chciałam tylko pokazać Lucianowi pierścionek z opalem”.

- Co się stało? - zapytał Lucian.

- Och... zamyśliłam się. Nie mogę uwolnić się od myśli o tym, co wydarzyło się w Commonwood House. Bez przerwy to do mnie wraca. Była taka scena, na krótko przed śmiercią pani Marline. Ty byłeś wtedy u nas i opowiadałeś o opalach. Potem wyszliście gdzieś z Henrym, a Adelina - biedna Adelina - poszła do sypialni matki po pierścionek z opalem, który chciała ci pokazać, i rozsypała zawartość szufladki. Właśnie to sobie przypomniałam.

Lucian siedział, nie podnosząc oczu.

- Biedna Adelina - powiedział w końcu.

- Pani Marline bardzo się rozzłościła. Adelina zawsze się jej bała. Panna Carson usiłowała ją uspokoić, po czym zemdłała. Myślę, że większość domowników wiedziała, co się dzieje. Ja błędziłam jak we mgle. Znałam niektóre fakty, ale nie rozumiałam ich prawdziwego znaczenia.

- Nie ma sensu rozgrzebywać wszystkiego na nowo - powiedział Lucian. - Sprawa jest skończona. Cokolwiek byśmy teraz zrobili, nie zmienimy niczego.

- Wiem. Nie miałam zamiaru powracać do tego tematu, ale wtedy także rozmawialiśmy o opalach przynoszących nieszczęście... a zaraz potem pani Marline umarła.

- Mówiłem ci, że wszystko wskazywało na doktora. To straszne, ale to już przeszłość. Powiedz mi lepiej, co się stało z Jamesem.

- Gdy opuszczałam Australię, był jeszcze w domu, ale wkrótce miał zamiar wyjechać. Zrobiłby to wcześniej, gdyby nie ten sundowner.

- Czy mam zamówić likier, byśmy mogli wypić za powodzenie Jamesa?

Odmówiłam i rozmawialiśmy dalej, choć moje myśli ciągle krążyły wokół tragedii w Commonwood House. By-

ła jeszcze jedna sprawa, o której chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, mianowicie małżeństwo Luciana. Czułam jednak, że on nie chce poruszać tego tematu.

Jego zachowanie stanowiło dla mnie zagadkę. Wyglądał, jakby autentycznie cieszył się z naszego spotkania, momentami jednak odnosiłam wrażenie, że jest lekko zaniepokojony. Czy ten niepokój objawiał się wtedy, gdy rozmawialiśmy o wydarzeniach w Commonwood House?

Wspomniałam o zbliżającym się ślubie Gertie.

- A więc z pewnością zostaniesz tu przez jakiś czas - powiedział Lucian. - Często bywam w Londynie, więc może moglibyśmy się spotkać. Daj mi swój adres. Przypuszczam, że zatrzymasz się tam na dłużej.

- Jeszcze nie zdecydowałam, co będę robić. Wujostwo Gertie to bardzo gościnni ludzie, ale przecież nie mogę wiecznie siedzieć im na karku. Myślę w każdym razie, że będą chcieli, abym została do wesela. Zobaczę.

Zapisałam mu adres, a on starannie złożył kartkę i schował ją do portfela. Potem zamówił dla mnie dorożkę i odwiózł mnie na stację. Gdy pociąg oddalał się z wolna, Lucian stał na peronie, z kapeluszem w rękę, spoglądając za mną z wyrazem zadumy. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie.

Oparłam się o poduszki, rozmyślając o tym dziwnym dniu. Opustoszały dom, szokujące odkrycie i wreszcie Lucian. Oczywiście przeżył wielką tragedię. Na mnie jednak sprawiał wrażenie człowieka, który skrywa jakąś tajemnicę. Zastanawiałam się, czego mogła ona dotyczyć.

Ostrzeżenie

Dom na Brier Road nie uzyskał aprobaty ciotki Bee - mówiła Gertie. - Myślę, że dlatego, iż jest za mało pokoi dziecięcych. Wystarczyłyby najwyżej dla dwójki, podczas gdy ciotka ma nadzieję co najmniej na dziesięciuro. A jak tam twoja wizyta? Udała się?

Zawahałam się.

- Czyli się nie udała - skwitowała Gertie. - To częsty błąd, oczekiwać, że dawni przyjaciele będą tacy sami jak w chwili rozstania. Wiem, podczas pożegnania przyrzeka się nawzajem wieczną przyjaźń, ale pamięć szybko się ulatnia i z dawnego uczucia nic najczęściej nie pozostaje. Droga ciotka Bee całą swoją energię skierowała teraz na poszukiwanie odpowiedniego domu.

Nie mogłam przestać myśleć o wizycie w Commonwealth House. A może byłoby lepiej, gdybym nie pojechała? Nie byłam pewna. Odkrycie było rzeczywiście okropne, ale nie chciałam pozostawać w nieświadomości, a poza tym naprawdę ucieszyłam się ze spotkania z Lucianem.

Dawniej bardzo go lubiłam, był jednym z moich bohaterów. Ale jako dziecko zawsze obdarzałam nadmiernym uczuciem tych, którzy okazywali mi sympatię. Była to normalna reakcja, skoro niania Gilroy nieustannie dawała mi do zrozumienia, że jestem kimś zupełnie bez znaczenia, a Estella często popierała ją w tym względzie.

Zastanawiałam się, czy go jeszcze zobaczę. Zapisał sobie mój adres i wydawał się cieszyć na dalsze spotkania ale jakże często ludzie zapominają o podobnych obietnicach, gdy tylko dana osoba zniknie im z oczu.

Gdy analizowałam nasze spotkanie, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że aczkolwiek mój widok sprawił mu przyjemność, to jednak fakt, że przyjechałam odwiedzić Commonwood House, w pewien sposób go zaniepokoił. Domyślałam się, że miało to jakiś związek z wydarzeniami w tym domu. Moja wizyta przypomniała mu o sprawach, o których najlepiej było zapomnieć.

Ciotka Beatrice zaprosiła na obiad Lawrence'a Emmersona. Jej zamiary nietrudno było przejrzeć. Uradowana zaręczynami Gertie, gorąco pragnęła, by mnie spotkał podobnie szczęśliwy los. Doktor Emerson był oddanym przyjacielem i - co musiała zauważyć - darzył mnie sympatią. Może był trochę za stary, ale pod każdym innym względem był odpowiednim kandydatem, a w końcu nie można oczekiwać, że każdy trafi tak idealnie, jak się to udało Gertie.

Miałam tylko nadzieję, że doktor Emerson nie zdaje sobie sprawy, jakie myśli krążą po głowie ciotki Beatrice.

Podczas obiadu nie mieliśmy okazji, aby ze sobą dłużej porozmawiać, ale w kilka dni później doktor zaprosił mnie na lunch i gdy tylko usiedliśmy, powiedział:

- Widzę, że dręczy cię jakiś problem.

Ciągle jeszcze przeżywałam swoją wyprawę do Easentree, nie przypuszczałam jednak, że aż tak bardzo uzeńtrzniam swoje uczucia.

Opowiedziałam o wizycie w Commonwood House. Doktor słyszał o morderstwie, chociaż w czasie, gdy się wydarzyło, przebywał za granicą.

- Ofiarą była siostra kapitana - powiedział. - Znałem twojego ojca od lat, często pływaliśmy tym samym statkiem. Interesowałem się trochę tą historią, jako że dotyczyła jego rodziny. Sprawa wydawała się zupełnie jasna.

- Nie mogę w to uwierzyć. Doktor Marline nie byłby w stanie nikogo zamordować.

- No tak, ty go dobrze znałaś. Zawsze trudno jest uwie-

rzyć w winę kogoś, kogo znamy. Ale dowody nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Nie... coś musiało w tym tkwić... podobnie z panną Carson.

Doktor wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że bardzo się tym przejęłaś. To przecież było tak dawno, że...

- Myśl, że człowiek tak łagodny i serdeczny został powieszony... Nie mogę się z tym pogodzić.

- Spróbuj przestać o tym myśleć. Ta sprawa jest już zamknięta.

- Ale ja znałam ich wszystkich tak dobrze. Dzieliłam z nimi życie, mieszkałam w tym domu...

- Myślę, że twój ojciec postąpił bardzo mądrze. Gdybyś usłyszała zeznania, zrozumiałabyś, że nie było żadnych wątpliwości. Może ci być trudno zaakceptować tę prawdę, ale wina była bezsporna.

- Przecież to jest potworne. Mieszkałam w tym domu przez całe miesiące... zanim... Czułam, że coś się dzieje, ale nie wiedziałam co. Błądziłam w ciemnościach.

- O tak, pasje, namiętności, te uczucia niedostępne są umysłowi dziecka. Ale to już skończone. Teraz nie powinnaś cierpieć z tego powodu.

- Nie potrafię zapomnieć Commonwood House. Wspomnienia tego domu często zjawiały się w mojej pamięci, żywe, niepokojące. Dosłownie miałam wrażenie, jakbym na powrót się w nim znalazła.

- Sytuacja była pełna napięcia, a ty - wówczas niewinne dziecko - tkwiłaś w samym centrum. Takie historie wcale nie należą do rzadkości. Nieszczęśliwe małżeństwo, żona inwalidka obdarzona niezdolnym charakterem, atrakcyjna guwernantka. Klasyczny wstęp do tego, co nastąpiło później, jak powiedziała by moja siostra, która pasjonuje się kryminologią. Napisała książkę o przestępstwach i motywach skłaniających zupełnie normalnych ludzi do popełnienia zbrodni. Musisz poznać kiedyś Dorothy. Chciałbym zaprosić ciebie, twoją przyjaciółkę Gertie i państwa Hysonów na obiad któregoś dnia. Byłem ich gościem i jestem im winien rewanż.

- Na pewno będą zachwyceni.

- Dorothy pytała mnie nie dalej jak wczoraj, kiedy mam zamiar to uczynić. Bardzo by chciała cię poznać.

* * *

Wkrótce wszyscy zostaliśmy zaproszeni do domu Lawrence'a w Chelsea. Był to jeden z tych czterokondygnacyjnych tarasowych domów ciągnących się w pobliżu rzeki.

Dorothy przywitała mnie z zainteresowaniem.

- Wiele słyszałam o tobie od Lawrence'a - powiedziała.

- Jego opowieść zawierała oczywiście słynny dramatyczny epizod, kiedy to pospieszył nam na ratunek w Suezie - odparłam.

- O tak. To dopiero była przygoda.

Dorothy była niska, drobna i sprawiała wrażenie ogromnie delikatnej. Nic bardziej mylącego. W rzeczywistości była jedną z najenergiczniejszych osób, jakie znałam. Interesowało ją wszystko, co działo się dookoła, ale wkrótce przekonałam się, że centrum jej zainteresowań stanowił brat. Była bardzo gadatliwa i zaraz opowiedziała mi, że przez wiele lat opiekowała się matką inwalidką, gdyż ojciec zmarł, gdy Dorothy miała szesnaście lat. Lawrence był od niej młodszy o osiem lat. Mieszkali na wsi, ale Lawrence ze względu na swój zawód miał także niewielkie mieszkanie w Londynie. Po śmierci matki przenieśli się do Londynu i Dorothy bez reszty poświęciła się bratu.

- Jestem wiejską dziewczyną - mówiła - i kocham wieś. - Wzruszyła ramionami. - Mieszkamy w Londynie ze względu na pracę Lawrence'a, ale mamy też domek w Surrey. To jest w miarę blisko i w razie konieczności Lawrence może szybko wrócić do Londynu. To tylko krótka jazda pociągiem. Często spędzamy tam weekendy i mamy tam wielu przyjaciół. W ten sposób odpoczywamy od miasta, zwłaszcza Lawrence, który tak ciężko pracuje. W Londynie domem zajmuje się Tess. Jest wspólniakiem. Była z nami jeszcze za życia matki. Natomiast w Surrey zatrudniam pewną parę małżeńską. Mieszkają w domku na terenie posiadłości. No, posiadłość to za duże

słowo, powiedzmy, że na końcu ogrodu. To znakomite rozwiązanie.

- Doskonale to wszystko zaplanowałaś - zauważyłam.

- To moje zajęcie. Praca pochłania Lawrence'a bez reszty. Jego zawód stawia ogromne wymagania. Potrzebuje wypoczynku, a ja dbam o to, aby go otrzymywał.

- Szczęściarz z niego.

Dorothy jakby lekko posmutniała.

- Pewnego dnia pewnie się ożeni. Będzie z niego do skończył mąż.

- Powiedział mi, że interesujesz się kryminologią.

- Tylko po amatorsku, oczywiście.

- Podobno napisałaś książkę.

- Tak, o historii zbrodni. Opisałam w niej ludzi, którzy prowadzili zupełnie normalne życie i nagle - zupełnie nieoczekiwanie - popełnili morderstwo.

- Czy Lawrence powiedział ci może o moich związkach z rodziną Marline'ów?

- O tak, Lawrence mówi mi niemal wszystko. Sprawa Marline'ów wzbudzała swego czasu wiele emocji, ale wynik był znany od samego początku.

- Lawrence twierdzi, że nazwałaś ją zupełnie klasycznym przypadkiem.

- Bo tak było. Ta kobieta była okropna. Wszyscy świadkowie byli zgodni co do tego. Nikt nie powiedział o niej dobrego słowa, nawet pielęgniarka okręgowa, która tak bardzo występowała przeciwko gubernantce, o wiele bardziej niż przeciwko samemu doktorowi. Tak, w czasie procesu ta sprawa budziła powszechne zainteresowanie, ale jak mówiłam, było wiele podobnych do niej.

- Dlatego też był to taki klasyczny przypadek - zauważyłam.

- Tak. Wiedziałam, że przyjaciel Lawrence'a, kapitan Sinclair, był spokrewniony z rodziną Marline'ów. On i Lawrence często pływali razem i właśnie dlatego Lawrence tak interesował się procesem. Kapitan Sinclair był naprawdę uroczym człowiekiem. Spotkałam go raz. - Położyła dłoń na mojej ręce. - To musiało być dla ciebie okropne. Ponieważ znałam twojego ojca, ta sprawa była dla mnie podwójnie interesująca. Gdyby nie ta znajomość,

nie poświęciłabym jej tyle uwagi, gdyż to było zupełnie klasyczne morderstwo.

- Ale ja wychowałam się w tym domu i absolutnie nie mogę uwierzyć, by doktor Marline był mordercą.

- To zupełnie naturalna reakcja. Mordercy to niekoniecznie zwykli kryminaliści. Jeśli ktoś zostanie doprowadzony do ostateczności... Gdybyś poznała dowody, zrozumiałabyś... - Zawahała się. - Właśnie sobie przypomniałam, że zbierałam wycinki prasowe, żeby pokazać je Lawrence'owi, gdy wróci do domu. Poszukam ich dla ciebie.

Z poczuciem winy popatrzyła w stronę Hysonów. Pomysślałam, że zastanawia się teraz, czy bardzo ich zaniedbuje.

Gdy po obiedzie piliśmy kawę w salonie, Lawrence powiedział do mnie:

- Zdaje się, że znalazłyście wspólny język z Dorothy.
- Bardzo mi się spodobała.
- Cieszę się. Zawsze się mną opiekowała.
- Opowiadała mi o tym. Doskonale ułożyliście sobie życie.

- To zasługa Dorothy. Jest urodzoną organizatorką. Dzięki niej żyjemy tak wygodnie. Widzę, że cię polubiła. Dorothy bardzo silnie odczuwa sympatie i antypatie.

Dorothy zbliżyła się do nas. Lawrence podszedł do Gertie i Hysonów. Słyszałam, że rozmawiają o Australii. Dorothy powiedziała do mnie:

- Teraz, gdy już się poznałyśmy, musisz nas częściej odwiedzać. Byłoby bardzo miło, gdybyś mogła spędzić z nami weekend na wsi.

- Z prawdziwą przyjemnością.
- Czy twoi przyjaciele nie będą mieli nic przeciwko temu?

- Ależ z pewnością nie. Szczerze mówiąc, czasami wydaje mi się, że nadużywam ich gościnności. Mieszkam u nich, bo Gertie jest moją przyjaciółką, ale chwilami myślę, że powinienam znaleźć sobie własny kątek.

- Nie planujesz w najbliższym czasie wrócić do Australii?

- Nie, jeszcze nie. Myślę, że pozwolę, aby sprawy po-

toczyły się własnym biegiem. Czuję się taka zdezorientowana. Odkąd mój ojciec zmarł... Dorothy poklepała mnie po ręce.

- Musimy porozmawiać - powiedziała. - Na przykład w ten weekend. Będziemy miały mnóstwo czasu. Powiem ci, co zrobimy. Poszukam tych wycinków prasowych o sprawie Marline'ów. Sama się przekonasz, że sprawa została zamknięta, zanim jeszcze zdążyła się na dobre rozpocząć. Zrozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Jestem bardzo ciekawa.

- Dobrze. Pomówię z Lawrence'em. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Zdaje mi się, że im szybciej się spotkamy, tym bardziej przypadnie mu to do gustu.

* * *

Zaproszenie przyszło zaraz następnego dnia, ku wielkiemu rozbawieniu Gertie.

- Muszę powiedzieć, że zwyciężyłaś na całej linii. Lawrence to prawdziwy skarb. Czego musiałaś dokonać, to oczarować Siostrę Dorothy. Ciężki orzech do zgryzienia, jak powiadają, ale udało ci się za pierwszym podejściem. Moim zdaniem Lawrence uzyska jej błogosławieństwo. No więc cała naprzód!

- O czym ty mówisz?

- Po co pytasz, skoro sama wiesz. Lawrence nie jest już młody i Siostra Dorothy musiała dojść do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby się ustatkował, pod warunkiem że znajdzie właściwą osobę, czyli taką, która będzie jej odpowiadała. Ciebie zdaje się zaaprobować. A że Lawrence cię ubóstwia, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jakże by mógł teraz przeciwstawić się wyborowi Siostry Dorothy?

- To przecież śmieszne - powiedziałam.

- Muszę napisać do Jamesa i powiedzieć mu, aby szybko coś przedsięwziął. Ma rywala.

- Proszę, nie rób tego.

Gertie wybuchnęła śmiechem.

- Żartowałam tylko. Ale ty już powoli zaczynasz dostrzegać światełko w tunelu. Moim zdaniem on jest dla ciebie za stary, a poza tym pewnie nie chciałabyś przejść

pod kuratelę Dorothy. Tak więc nie spiesz się za bardzo. Ale zawsze to miło mieć kogoś w zanadru.

- Na twoim miejscu zatroszczyłabym się raczej o własne sprawy małżeńskie.

Gertie szeroko otworzyła oczy.

- Czy wydaje ci się, że tego nie robię? Do tej pory byłaś zdania, że nie troszczę się o nic innego. - Zarzuciła mi ręce na szyję. - Przecież żartuję. Jestem szczęśliwa, że masz Lawrence'a, nawet jeśli pozostaje on pod pantoflem Wielkiej Siostry. Jest miły, lubię go. Tak naprawdę, to nie miałabym nic przeciwko waszemu małżeństwu. Przynajmniej zostałabyś w Anglii. Wiesz, jak bardzo cię lubię. Nienawidzę myśli, że mogłabyś wrócić do Australii, nawet gdybyś w przyszłości miała zostać moją bratową. Wolę mieć cię tutaj jako przyjaciółkę niż jako bratową gdzieś na końcu świata.

- Mówisz głupstwa - powiedziałam.

W odpowiedzi Gertie uściskała mnie jeszcze raz.

Po tej rozmowie zaczęłam myśleć o Lawrence. Wiedziałam, że darzy mnie szczególną sympatią, poza tym prawdą też było, co Gertie powiedziała o Dorothy. Wszystko to było bardzo podniecające. Myślę, że każdemu człowiekowi świadomość, że jest lubiany, sprawia dużą przyjemność.

W każdym razie na myśl o zbliżającym się weekendzie czułam miłe podniecenie.

* * *

Określenie „domek” z pewnością było mylące. Był to dom z ogrodem - niezbyt wielki, ale z dużymi, przestronnymi pokojami. Ogród okazał się uroczy. Na jednym jego końcu stał niewielki, piętrowy domek, w którym mieszkali Tom i Mary Bure'owie, opiekujący się posiadłością. Wybudowano go, jak się domyślałam, w początkach wieku, gdyż odznaczał się georgiańskim wdziękiem i urokiem. W ogóle cała posiadłość była przepiękna i nie dziwiło mnie wcale, że Dorothy tak ją lubi.

Prowadzona była wyśmienicie - jak należało się tego spodziewać po Dorothy - i po raz kolejny pomyślałam, że Lawrence jest szczęściarzem, mając taką siostrę. Nawet

jeśli chwilami bywała zbyt opiekuńcza, to przecież stale miała na uwadze jego dobro. Byłam pewna, że Lawrence to docenia.

Dom położony był w pobliżu miasteczka Cranston. Dorothy pojechała wcześniej, by przygotować wszystko na moje przyjęcie. Dostałam uroczą sypialnię z widokiem na ogród i przygotowałam się na spędzenie miłego weekendu, powtarzając sobie, że ponowne spotkanie Lawrence'a Emmersona było bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Rodzeństwo z dumą oprowadziło mnie po swoich włościach. Po obiedzie spędziliśmy uroczy wieczór na pogawędce w ogrodzie. Następnego ranka pojechaliśmy z Dorothy do miasteczka. Wstąpiłyśmy do kilku sklepików, gdzie Dorothy przedstawiła mnie swoim znajomym. Najwidoczniej była tu dobrze znana. Wszyscy byli wobec mnie bardzo uprzejmi i z prawdziwą przyjemnością zanurzyłam się w tę sielską atmosferę.

Lawrence udał się na spotkanie z przyjacielem, z którym się umówił, zanim jeszcze postanowiono, że przyjadę na weekend. Dorothy szepnęła do mnie, że będzie to znakomita okazja, żeby pokazać mi wycinki, o których rozmawialiśmy wcześniej.

Wybrałyśmy zacienione miejsce w ogrodzie, z dala od strumienia przepływającego przez posiadłość.

- Inaczej nie opędziłabyś się od komarów - wyjaśniła Dorothy, sadowiąc mnie w wygodnym fotelu na trawniku pod rozłożystym dębem i wręczając mi wycinki.

- Herbata będzie o czwartej - powiedziała. - Wypijemy ją tutaj, na powietrzu. Tu jest mnóstwo cienia. A teraz zostawiam cię samą.

Wycinki były wklejone do albumu, tak że można je było wygodnie przeglądać. Zagłębiłam się w lekturze i oto przeszłość wróciła do mnie tak żywa, jakbym nagle znalazła się z powrotem w Commonwood House i czuła narastające napięcie i atmosferę zagrożenia. Tyle że teraz wiedziałam, czym się to miało skończyć.

Przedemną leżały sprawozdania prasowe z procesu. Dokładnie pamiętałam rozmowy o zbliżającej się rozprawie. Niemal słyszałam głos niani Gilroy: „Nie mam zamiaru

niczego ukrywać. W podobnej sytuacji nie wolno tego robić".

Po przesłuchaniu u koronera doktor Marline i panna Carson zostali aresztowani, a w trzy tygodnie później rozpoczął się proces. Gazety drukowały fragmenty wstępnej mowy prokuratora, pana Lamsona, w której przedstawił on główne wydarzenia. Większość z nich była mi oczywiście znana. Pani Marline miała wypadek na polowaniu, w wyniku którego została przykuta do wózka inwalidzkiego. W domu pojawiła się panna Kitty Carson jako guwernantka do trzech dziewczynek. Między doktorem a guwernantką związał się romans, o którym pani Marline dowiedziała się, gdy wyszło na jaw, że guwernantka spodziewa się dziecka. Niemal natychmiast po tym odkryciu pani Marline zmarła w wyniku przedawkowania środków przeciwbólowych przepisanych jej przez doktora Everesta.

Wszystko to wyglądało na klasyczny przykład morderstwa, jak się wyraziła Dorothy.

Uważnie czytałam protokoły zeznań. Najbardziej obciążające - jak z góry przypuszczałam - złożyła niania Gilroy.

Tak, była świadoma, że między doktorem a panną Carson „coś się szykuje”. Pani Barton i Annie Logan także o tym wiedziały.

„Dziękuję, siostró Gilroy. Tamte osoby same złożyły zeznania”.

Wyobrażałam sobie nianię, kiwającą głową z zadowoleniem, usatysfakcjonowaną, że moralna ohyda została obnażona, a sprawiedliwości stało się zadość.

„Wróćmy do tamtego dnia, siostró Gilroy. Proszę dokładnie opowiedzieć sądowi przebieg wydarzeń”.

I niania Gilroy przedstawiła swoją wersję zajść. Mówiła, jak doszło do awantury, ponieważ Adelina została przyłapana w sypialni matki, jak pani Marline na nią narzyczała, na co weszła panna Carson i stanęła w obronie Adeliny. Pani Marline powiedziała guwernantce, że ją zwalnia, a wtedy panna Carson zemdłała. Annie Logan zbadała ją i wówczas stało się jasne, co jej dolega. Zresztą dla nikogo nie było to niespodzianką, bo i tak wszyscy wiedzieli, co się święci.

Na świadka powołano Annie Logan.

Owszem, badała pannę Carson. Nie ulegało wątpliwości, że jest w ciąży.

Następnie przyszła kolej na kucharkę. Pani Barton potwierdziła wszystko, co mówiła niania Gilroy, choć jej zeznania były nieco bardziej stonowane.

Nie było wątpliwości, że doktor Marline i panna Carson mieli romans, o czym wiedział cały dom.

Po pani Barton zeznawał Tom Yardley.

Tak, to on znalazł panią Marline martwą. Zamurowało go wtedy z wrażenia. Owszem, wiedział, co się wyprawia w domu.

Na podstawie tego, co sam zaobserwował, czy też na podstawie tego, co mu mówiły niania Gilroy i pani Barton?

W tym momencie Tom Yardley wyglądał na skonfundowanego, jak skomentowała gazeta. Mogłam go sobie wyobrazić, drapiącego się po głowie, jakby sądził, że w ten sposób odpowiedź sama mu się nasunie.

„Znałem nieboszczkę - powiedział w końcu. - To był prawdziwy smok. Zatrzymała mu życie...”.

Przerwano mu i kazano odpowiedzieć na pytanie.

Widziałam teraz jasno, że niania Gilroy i inni swoimi zeznaniami dopomogli w wysłaniu doktora Marline na szubienicę, aczkolwiek musiałam przyznać, że to, co mówili, było zgodne z prawdą, choć zostało przedstawione w tak obrzydliwy sposób.

Sekcja wykazała bez cienia wątpliwości, że pani Marline zmarła w wyniku przedawkowania środka przepisanego jej przez doktora Everesta.

Na podstawie tych wszystkich dowodów doktor został skazany. Jednak chociaż z zeznań niani Gilroy można by odnieść wrażenie, że doktor był rozpustnym uwodzicielem, panna Carson kobietą rozwiązłą, a pani Marline biedną, oszukiwaną żoną, nic z tego, co powiedziała, nie mogło być określone jako ewidentne kłamstwo. Była to po prostu jej wersja tego, co się wydarzyło.

Wśród dowodów znalazły się też listy.

Panna Carson opuściła na tydzień Commonwealth House, mówiąc, że jedzie w odwiedziny do przyjaciół.

W rzeczywistości udała się do Manley, około dwudziestu mil od Commonwood, gdzie zamieszkała w hotelu Pod Wino-rosłą. Podczas pobytu w Manley poszła do lekarza, który potwierdził ciążę. W tym czasie otrzymała dwa listy od doktora Marline. Odnaleziono je w czasie rewizji towa-rzyszącej aresztowaniu.

Jeśli ktoś pragnął jeszcze potwierdzenia winy doktora, znalazł je w tych listach.

Listy odczytano w sądzie.

Moja najdroższa Kitty.

*Jakże wyglądam Twojego powrotu. Bez Ciebie jest tu tak pusto. Kochanie, nie rób sobie wyrzutów. Coś wymyślę. Co-
kolwiek się stanie, zawsze będziemy razem, a jeśli rzeczywi-
ście spodziewasz się dziecka, będzie ono naszym błogosła-
wieństwem.*

*Nie obwiniaj się o nic i nie mów, że nie powinnaś była
przyjeżdżać do Commonwood House. Bez Ciebie moje życie
byłoby przekleństwem. Odkąd się pojawiłaś, zaznałem ta-
kiego szczęścia, o jakim nigdy nie sądziłem, by mogło się
stać moim udziałem. Jestem zdecydowany nie poddawać się.
Cokolwiek trzeba zrobić, zrobimy to.*

Zaufaj mi, najdroższa.

*Twój na wieki
Edward*

Był jeszcze drugi list, bardzo podobny, także mówiący o jego gorącej miłości, o szczęściu, jakie wniosła w jego życie i o jego determinacji, by usunąć wszystkie przeszkody, jakie mogłyby stanąć im na drodze.

Jakie uczucia musiały nimi targać, gdy te listy odczy-tywano w sądzie, jaki koszmar musieli przeżywać podczas tej rozprawy, w której stawką było ich życie?

Listy były wzruszające i byłam nimi głęboko poruszona. Biedny, biedny doktor Marline i biedna panna Carson. On zmarł w hańbie, ona musiała znosić hańbę dalszego życia.

Popatrzyłam na zegarek. Wpół do czwartej. Przez dłuż-szą chwilę siedziałam pogrążona w myślach. Wśród wy-cinków znalazła się też krótka wzmianka o tym, co nastą-

piło później. Nie było dostatecznych dowodów, by skazać Kitty Carson, a fakt, że spodziewała się dziecka, przemawiał za tym - co podkreślała prasa - by nie skończyła na szubienicy.

Zastanawiałam się, co się z nią stało.

Dorothy przyszła do mnie do ogrodu.

- Przeczytałaś wszystko? - zapytała.

- Tak.

- Sprawa jest jasna.

- Przypuszczam, że tak powiedziałyby większość ludzi.

-A ty?

- Wszystko przemawia za jego winą. Ale, widzisz, ja go znałam.

- Wiem, co teraz czujesz. Nie możesz uwierzyć, by on mógł być mordercą. O sprawie Marline'ów pisał Jefferson Craig. Jego książka jest pasjonująca. Po jej przeczytaniu napisałam do niego list z wyrazami uznania. Otrzymałam bardzo miłą odpowiedź.

- Co się stało z panną Carson?

- Zdaje mi się, że on się nią zajął. Często pomagał ludziom, gdy ktoś szczególnie go zainteresował. Domagał się jej uwolnienia. Słyszałam, że wiele jej pomógł.

- Często się zastanawiam, jak potoczyły się jej dalsze losy.

- Tego nigdy się nie dowiemy, ale teraz przynajmniej mogłaś się przekonać, że ta sprawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Spodziewam się, że większość ludzi byłaby tego zdania.

Dorothy roześmiała się i poklepała mnie po ręce.

- Nie podoba ci się ten werdykt, prawda? Jaka szkoda, że tamta kobieta nie umarła śmiercią naturalną, bo wtedy kochankowie mogliby się spokojnie pobrać i żyć szczęśliwie jak wiele małżeństw. Tak, szkoda, że życie nie ułożyło im się w taki właśnie sposób. Czasami los po trafi się okazać łaskawszy. Zobacz, wrócił Lawrence. Na pewno będzie chciał herbaty.

* * *

W pobliżu znajdowały się stajnie, gdzie można było wypożyczyć konie pod wierzch, więc Lawrence i ja wybraliśmy się na przejażdżkę konną. Jeździłam teraz zupełnie dobrze i Lawrence skomplementował moje umiejętności.

- W Australii dużo jeździłam konno - powiedziałam.
- Chyba nie myślisz jeszcze o powrocie?
- Nie od razu.
- W przyszłości?
- Kto wie? Wszystko wydaje mi się takie niepewne.
- Co za szczęście, że wybraliśmy ten sam statek. Gdyby nie to, moglibyśmy się nigdy więcej nie spotkać.
- To prawda. Ale takie jest życie. Wiele zależy od przypadku.

Lawrence pokazał mi okolicę, z przepiękną, słynącą szeroko doliną i ruinami zamku. Uwiązaliśmy konie i wspięliśmy się na mury. Oparci o parapet, podziwialiśmy wspaniały widok.

- Trudno byłoby znaleźć piękniejsze miejsce - powiedział Lawrence. - Oczywiście to Dorothy je odkryła. Uważała, że musimy mieć domek na wsi, gdzie będziemy przyjeżdżać na odpoczynek.

Pomyślałam, że Dorothy zawsze ma rację.

- Zdaje się, że doszłyście do porozumienia - mówił dalej z uśmiechem. - Dorothy zwykle nie akceptuje ludzi tak łatwo.

- Cieszę się - powiedziałam.
- Ja także - odparł Lawrence, uśmiechając się, i zaraz dodał: - Odwiedzisz nas wkrótce, prawda?
- Jeśli ty i Dorothy mnie zaprosicie - odparłam.

* * *

W niedzielę wieczorem Lawrence odwiózł mnie do Kensington.

Gertie płonęła z ciekawości.

- I jak tam było? Pełny sukces?
- O tak.
- Przeszłaś przez wszystkie testy Dorothy?
- Nie było żadnych testów. Pewnie je przeszłam, zanim jeszcze tam pojechałam.

- No tak, inaczej w ogóle by cię nie zaproszono. A teraz posłuchaj. Jesteś po prostu rozchwytywana. Prawdziwa z ciebie *femme fatale*, choć dotychczas starannie to ukrywałaś.

- Czy tylko dlatego, że zostałam zaproszona na weekend?

- O nie, wyciągasz przedwczesne wnioski. Ty wyjechałaś, a tymczasem tu zaszły nowe wydarzenia.

- Co masz na myśli?

- Inni też rozbijali się za tobą.

- Inni?

- No dobrze, jeden, ale czy to nie wystarczy? Wysoki, przystojny, z gatunku tych silnych, pełnych energii mężczyzn. Zostawił bilet wizytowy. Posiadacz tytułu. Moja droga Carmel, bardzo tajemnicza z ciebie osoba.

- O czym ty mówisz?

- No więc to było tak. W sobotę rano, kiedy ty wyjechałaś uwodzić czarującego Lawrence'a i jego siostrę, zabrzmiał dzwonek u drzwi, za drzwiami zaś stał bardzo interesujący pan. Annie dostała zawrotu głowy na jego widok, a powinnaś była zobaczyć ciotkę Bee... Możesz sobie wyobrazić, jak jej umysł zaczął pracować.

„Zdaje się, że panna Carmel Sinclair mieszka u państwa”.

„O tak”, odparła ciotka Bee, momentalnie podbita jego urokiem. „Jestem jej przyjacielem - ciągnął ów dżentelmen.

- Czy byłoby możliwe, bym się z nią zobaczył?”. „Z pewnością byłoby to możliwe, gdyby tylko była w domu - odparła ciotka Bee. - Tak się jednak złożyło, że Carmel pojechała na weekend do przyjaciół”.

Ciotka twierdzi, że ten pan był bardzo rozczarowany. Od razu też zdobył jej serce. Uważa, że otacza go aura romantyzmu, gdy zaś zobaczyła jego nazwisko na bilecie wizytowym, wpadła w ekstazę. Teraz musisz mi powiedzieć, kim jest ów sir Lucian Crompton. Widzę po twojej twarzy, że go znasz, więc nie próbuj zaprzeczać.

- Nie miałam zamiaru. Oczywiście, że go znam. Zapomniałam, że po śmierci ojca odziedziczył tytuł.

- Nigdy o nim nie wspominałaś.

- Dlaczego miałam to robić? Znałam go dawno temu, zanim wyjechałam do Australii. Widziałam się też z nim niedawno.

- Czy to jego odwiedzałaś?
- Niezupełnie, ale spotkałam go przypadkiem podczas tej wizyty.

- I nic mi nie powiedziałaś! - zawołała Gertie z wyrzutem.

- Nie było o czym opowiadać.

- Dałaś mi do zrozumienia, że tamta wizyta była nieudana. Tymczasem nie minęło wiele czasu, a on przybył tu we własnej osobie. Moim zdaniem wizyta była bardzo udana.

- Może masz rację - powiedziałam.

- W każdym razie zostawił liścik dla ciebie. Napisał go tutaj. Zaraz ci przyniosę.

Gertie przyniosła mi list, który zabrałam do swojego pokoju, żeby go tam przeczytać. Gertie uśmiechała się szelmowsko i nie próbowała iść za mną.

Lucian pisał:

Droga Carmel.

Nasze spotkanie sprawiło mi ogromną radość. Jestem dzisiaj w mieście, więc pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem lunch, ale Twoi przyjaciele powiedzieli mi, że wyjechałaś na weekend. Byłem bardzo rozczarowany, że nie mogłem Cię zobaczyć.

Będę w Londynie w środę. Znam przyjemną restaurację, do której często zachodzę. To Logan na Talbrook Street, boczna Piccadilly. Gdybyś mogła się tam ze mną spotkać, byłbym zachwycony. Będę czekał na Ciebie i mam nadzieję, że dotrzymasz mi towarzystwa.

Lucian

Uśmiechałam się, składając list Luciana. Czułam miłe podniecenie. To było cudowne uczucie, znowu interesować się światem.

* * *

Siedziałam naprzeciw Luciana w restauracji Logana. Wiedziałam już, dlaczego uczynił takie wrażenie na ciotce Beatrice. Chociaż nie był może aż tak przystojny, jak utrzymywała Gertie, z pewnością miał bardzo dystyngowany

wygląd. Teraz przypominał mi raczej chłopca, którego znałam dawno temu, niż mężczyznę spotkanego przed kilkoma dniami w Easentree. Wyraźnie ucieszył się na mój widok.

- Byłbym bardzo zawiedziony, gdybyś nie przyszła - powiedział.

- Wspaniale jest odnowić dawną znajomość.

- Musimy nadrobić te wszystkie lata. Co będziesz jadła?

Gdy już złożyliśmy zamówienie i przyniesiono nam dania, Lucian raz jeszcze powtórzył, że jest niezmiernie rad z tego szczęśliwego trafu, który pozwolił nam spotkać się w Easentree przy przechodzeniu przez jezdnię.

- W podobny sposób natknęłam się na znajomego, u którego spędzałam ostatni weekend. Przypadek zrzucił, że wracał z Egiptu tym samym statkiem co ja. Poznałam go podczas mojej pierwszej podróży, jeszcze z ojcem. Życie pełne jest takich niespodzianek.

- Natomiast jeśli nie spotka nas podobnie szczęśliwy traf, pocieszające jest to, że nawet nie wiemy, co nas ominęło. Jak ci się udał weekend?

Zaczęłam opowiadać.

- Miejscowość jest urocza. Lawrence Emerson ma wspaniałą energiczną siostrę, która troszczy się o wszystko.

Lucian okazał wielkie zainteresowanie Emmersonami, tak więc po raz nie wiem który musiałam opowiadać historię cudownego uratowania nas w Suezie.

- Ciągle wydaje mi się to czymś nadzwyczajnym - za kończyłam. - Czy ty wierzysz w cuda? W cuda płynące z wiary?

Lucian popatrzył na mnie pytająco.

Opowiedziałam mu, jak zaczęłyśmy się modlić na środku drogi i jak w chwilę później naszym oczom ukazał się doktor Emerson i zaprowadził nas do portu, tak że zdążyłyśmy dosłownie w ostatnim momencie, chociaż musiałyśmy się wspinać po drabince sznurowej.

- Cóż - odparł Lucian - słyszałem, że wiara potrafi przynosić góry. W porównaniu z tym wyczyn szarmanckiego doktora, który pospieszył wam na ratunek, nie wydaje mi się czymś niezwykłym.

- Dla nas był to cud. Chyba każdemu zdarzają się takie momenty, których nie zapomni do końca życia. Dla mnie Suez był właśnie jednym z nich.

Lucian nagle spowaźniał.

- Doskonale to rozumiem - powiedział.

Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że chce mi opowiedzieć o jakimś znaczącym wydarzeniu ze swojego życia, ale nie uczynił tego.

- Spodziewam się - mówił dalej - że doktor jawił ci się jako bohater, niczym święty Jerzy pokonujący smoka, sir Galahad, Parsifal czy ktoś podobny.

- Gertie i ja jeszcze długo potem wyrażaliśmy się o nim z najwyższym poważaniem.

- Nadal to czynicie?

- Gertie nie potrafi nikogo traktować z poważaniem, nawet własnego narzeczonego.

- A ty?

- Ja zawsze będę mu wdzięczna za to, co dla nas uczynił tamtego dnia.

- Opowiedz mi jeszcze o twojej wizycie na wsi i o tej mądrej siostrze.

Opowiadałam w entuzjazmem, podczas gdy Lucian słuchał z uwagą. Wreszcie powiedział:

- Musisz przyjechać na weekend do Grange. Zobaczmy, czy mogę konkurować z Emmersonami.

Przypomniały mi się dawne podwieczorki w Grange, w których uczestniczyłam razem z Estellą, Adeliną i Henrym i poczułam lekki niepokój na myśl, że mogłabym znowu się tam znaleźć.

- Przyjedź koniecznie - mówił Lucian. - Moja matka chciałaby cię zobaczyć. Pamiętaj cię. Opowiedziałem jej o naszym spotkaniu w Easentree. Camilla też się ucieszy. Może uda jej się wyrwać z domu i przyjechać. Co ty na to?

- To bardzo miłe z twojej strony.

- Obiecuję ci, że nie będziemy się wypuszczać w kierunku Commonwood House - powiedział szybko. - Zresztą ze ścieżki, którą jeżdżę konno, zupełnie nie widać domu. Krzewy pozarastały wszystko.

- Nie myślałam o tym. Zastanawiałam się raczej, czy twoja rodzina naprawdę życzy sobie mojej wizyty.

W oczach Luciana pojawiło się nieme pytanie.

- Po tym, co wydarzyło się w Commonwealth House.

- To, co się tam wydarzyło, nie miało nic wspólnego z tobą. A zresztą nawet gdyby było inaczej, to co z tego.

- Doktor był moim wujem. Niektórzy wolą unikać ludzi mających powiązania z tak gorszącymi wypadkami.

- Moja droga Carmel, a jakie to ma dla nas znaczenie? Tamta historia jest już zamknięta. Upłynęły przecież lata.

- Czy myślisz, że ludzie mnie rozpoznają? Mam na myśli sąsiadów.

- Nie sądzę. Przecież byłaś zaledwie dzieckiem, gdy to się wydarzyło. No tak, znowu wracamy do tego nieszczęsnego tematu. Słuchaj: było, minęło, zapomnij - powiedział Lucian porywczo. -. Nie pozwól, żeby ta historia stała się twoją obsesją. Choćbyśmy się nie wiem jak starali, przeszłości nic nie zmieni.

- Masz rację. Przyjadę z przyjemnością. Będzie mi miło zobaczyć znowu Camillę. Jeśli twoja matka się zgadza...

- Będzie zachwycona. Sama mi to powiedziała.

- W takim razie bardzo dziękuję, Lucianie.

- Co powiesz na przyszły weekend?

- Ten termin doskonale mi odpowiada.

- No więc jesteśmy umówieni. Napiszę jeszcze do ciebie, żeby to potwierdzić.

I tak się rozstaliśmy.

Wróciłam do domu w stanie przyjemnego podniecenia. Myślałam o zgubionym w dzieciństwie naszyjniku, w którym Lucian kazał zreperować łańcuszek. Nadal przechowywałam ten naszyjnik. Wróciwszy do domu, wyjęłam go z pudełka i trzymałam w ręku, rozmyślając o tamtym dniu przed wielu laty, gdy po raz pierwszy spotkałam Luciana.

Uśmiechałam się, odkładając naszyjnik do pudełka z pozytywką grającą „Boże, zachowaj królową”.

* * *

Obecnie Grange wywarło na mnie mniej imponujące wrażenie niż w czasach dzieciństwa. Ciągle jednak była

to wspinała budowla z wieżami z szarego kamienia przy bramie wjazdowej.

Lucian, który wyjechał po mnie na stację powozikiem zaprzężonym w kucyka, przywitał mnie serdecznie.

- Wiesz, ciągle odczuwałem taki dziecinny strach, że coś przeskodzi ci w przyjeździe.

- Och nie, przecież byłam zdecydowana.

- Dobrze jest znowu cię widzieć. Camilla nie posiadała się z radości, słysząc, że przyjeżdżasz.

Z pewnością było to ciepłe powitanie. Wjechaliśmy w sklepioną bramę, za którą rozciągał się trawnik, gdzie po raz pierwszy zjedliśmy razem podwieczorek; teraz stała tam Camilla, zupełnie niepodobna do dziewczynki, którą niegdyś znałam. Obecnie była tęgą kobietą, wyraźnie zadowoloną ze swojego losu. Ujęła mnie za rękę.

- Nie mogłam wprost uwierzyć, gdy Lucian powiedział mi, że cię spotkał. To wspaniale, że wróciłaś.

Zaprowadzili mnie do holu. Pamiętałam go dobrze. Przychodziłam tu na herbatę, niepewna, zdenerwowana, czując się jak intruz. Dopiero gdy w holu pojawiał się Lucian, ogarniało mnie przyjemne uczucie, że ja także tutaj należę. Jak go wtedy ubóstwiałam.

- Lepiej chodźmy od razu do mamy - powiedział Lucian. - Nie może się już doczekać, żeby cię zobaczyć.

Wprost nie mogłam w to uwierzyć. Dawniej lady Crompton nie wykazywała najmniejszego zainteresowania moją osobą.

Zaprowadzili mnie do pokoju zwanego słonecznym, gdyż dzięki licznym oknom zawsze był pełen słońca. Przy jednym z okien siedziała lady Crompton. Zbliżyłam się do niej, prowadzona przez Luciana z jednej, a Camillę z drugiej strony. Lady Crompton wyciągnęła do mnie rękę.

- Jak miło cię widzieć, moja droga - zaczęła. - Lucian wspominał mi o waszym spotkaniu. Słyszałam, że wróciłaś z Australii. Musisz mi o tym opowiedzieć. Camilla, przynieś krzesło, tak by Carmel mogła usiąść koło mnie. Mój słuch nie jest ostatnio najlepszy, a z powodu reumatyzmu ledwo mogę się poruszać. A ty jak się czujesz? Wyglądasz znakomicie.

Zauważyłam, że wygląda starzej, niżby to usprawiedliwiały lata. Najpierw straciła męża, potem przyszła śmierć synowej, żony Luciana. Z pewnością był to dla niej cios.

- Czy mam zadzwonić, żeby podano herbatę, mamó? - zapytała Camilla.

- Tak, proszę, kochanie. - Odwróciła się do mnie. - A więc przyjechałaś z wizytą z Australii.

Rozmawialiśmy o Australii i o tym, jak w czasie powrotu do Anglii przyjaciółka, z którą wspólnie podróżowałam, poznała narzeczonego, którego niebawem miała poślubić.

Podano herbatę.

- Tyle się tu wydarzyło - mówiła lady Crompton. - Przykro mi było słyszeć o śmierci twojego ojca. Lucian opowiedział mi o tej katastrofie. Kapitan Sinclair był czarującym człowiekiem. Przyszedł kiedyś z wizytą do Grange i dobrze go pamiętam. To takie smutne. Myślę, że Camilla zdążyła ci już opowiedzieć, że wyprowadziła się od nas, i o swoim słodkim, małym Jeremym.

- Nie było ku temu okazji, mamó - odparła Camilla. - Lucian powiedział, że bardzo chcesz zobaczyć Carmel, więc od razu przyprowadziliśmy ją do ciebie.

Lady Crompton z ożywieniem rozprawiła o wnuku. Wyraziła też ubolewanie, że Camilla nie przywiozła go ze sobą.

-To tylko weekend, mamó - oponowała Camilla. -, Niania znakomicie daje sobie radę, poza tym nie lubi, gdy Jeremy gdzieś wyjeżdża. Twierdzi, że jest potem bardzo rozdrażniony. Ja wpadłam tylko na dwa dni, żeby zobaczyć się z Carmel.

Spodziewałam się, że w tym momencie lady Crompton wspomni też o wnuczce, ale ku mojemu zdumieniu nie padło na ten temat ani jedno słowo. Miałam nadzieję, że poznam ją podczas weekendu.

Po herbacie Camilla zaprowadziła mnie do przeznaczonego dla mnie pokoju.

- Będziesz spała na drugim piętrze - powiedziała. - Z okna rozciąga się bardzo ładny widok.

Otworzyła drzwi i moim oczom ukazał się okazały pokój i łożo z baldachimem, którego zasłony były kolorystycznie dobrane do pościeli.

- Jaki uroczy! - zawołałam.
- Zupełnie jak z dawnych czasów - powiedziała Camilla. - Obawiam się, że całe Grange jest takie.
- Cóż, to stary dom z tradycjami - odparłam. - Ja uważam, że jest wspaniała.
- Pod warunkiem, że przeszłość nie panoszy się za bardzo. Mój obecny dom jest całkowicie nowoczesny. Mieszkam w Midlands. Geoff ma zakład ceramiczny, co jest solą w oku mojej matki. Oczywiście wolałaby, żebym poślubiła księcia. Ale uwielbia Jeremy'ego i gdy tylko pojawił się na świecie, od razu była wniebowzięta.
- To musi być dla niej wielka radość, mieć wnuki - zauważyłam. - Oboje podarowaliście jej po jednym.
- O tak. Mój Jeremy jest słodki.
- A dziewczynka? - zapytałam.
- Ach tak... Bridget. Skończyła już dwa lata.
- To musiało być okropne, gdy...
- Masz na myśli jej matkę? Tak, oczywiście. - Wyrzała przez okno. - Zobacz, na tym trawniku urządzaliśmy czasami podwieczorki. Przychodziłaś wtedy do nas. Czy wiesz, co się dzieje z Estellą, Henrym i tą... no tą lekko upośledzoną?
- Adeliną. Nie, nie mam pojęcia, gdzie się teraz obracają.
Camilla popatrzyła na mnie z powagą.
- To była okropna historia - powiedziała. - Po prostu zniknęli, a ty razem z nimi. Cóż, dawne czasy. Zostawiam cię teraz, żebyś się mogła w spokoju rozpakować. Co chciałabyś robić przed obiadem? Jadamy o ósmej. Zresztą Lucian coś pewnie dla ciebie przygotował. Bardzo się ucieszył, gdy zgodziłaś się do nas przyjechać.

* * *

Weekend w Grange okazał się niezapomniany. Było mi bardzo przyjemnie, że lady Crompton przyjęła mnie tak ciepło. Camilla była nadzwyczaj serdeczna, a bardziej uważającego gospodarza niż Lucian trudno byłoby sobie wyobrazić.

Godzinami jeździliśmy konno i zwiedziłam okolicę znacznie lepiej niż wówczas, gdy tu mieszkałam.

W sobotę zjedliśmy lunch w starym, malowniczym zajeździe, odkrytym przez Luciana. Śmiałyśmy się i żartowaliśmy i już zaczęłam podejrzewać, że owa aura melancholii, otaczająca Luciana podczas naszego spotkania w Easentree, była tylko wytworem mojej wyobraźni. Lucian był dokładnie taki sam, jakim go pamiętałam. Mówił mi o Grange i o swoich dzierżawcach, ja opowiadałam o Australii, o Elsie i o Formanach. Dzieliliśmy się wrażeniami z tych wszystkich lat, które przyszło nam spędzić z dala od siebie.

Do tej pory nie widziałam jeszcze jego córki, chociaż słyszałam wiele o synu Camilli, którego nawet nie było w Grange. Taka powściągliwość wydała mi się osobiwa.

W końcu jednak udało mi się czegoś dowiedzieć na jej temat.

Było późne popołudnie i wróciłam właśnie do Grange po bardzo przyjemnej konnej przejażdżce z Lucianem. Stałam przy oknie, przyglądając się Camilli idącej przez trawnik. Na mój widok pomachała ręką.

- Jaki piękny dzień! - zawołała. - Zejdz na dół, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Zeszłam i usiadłyśmy na ogrodowych fotelach, ustawionych w cieniu drzewa.

- Przyjemnie spędziłaś dzień? - zapytała Camilla.

- O tak. Pojechaliśmy do Bluff King Hal. Wiesz, gdzie to jest?

- Pewnie. To jedno z ulubionych miejsc Luciana. Widziałam, że będzie chciał ci je pokazać.

- Camillo - zapytałam - co się dzieje z małą Bridget? Zdaje się, że tak ma na imię?

- Przebywa w pokoju dziecięcym z Jeminą Cray.

- To jej niania?

- Tak. Jemina opiekuje się nią.

- Nie widziałam jej jeszcze i właśnie się zastanawiałam...

- Chciałabyś ją zobaczyć?

- Tak.

- Nie myśleliśmy... widzisz... Jemina Cray... Ona jest bardzo surowa.

- Tak?

- To jest trudne do wytłumaczenia. Małżeństwo Luciana... nie było udane. Myślę, że ułożyłoby się lepiej, gdyby nie Jemina Cray.

- Kto to jest ta Jemina?

- Była pokojówką Laury, żony Luciana, a przedtem jej nianią. Lucian i Laura pobrali się w wielkim pośpiechu. Ja w tym czasie byłam już zamężna i rzadko przyjeżdżałam do Grange. To działo się mniej więcej trzy lata temu. Nie znałam dobrze Laury. Prawie zaraz po ślubie okazało się, że będzie miała dziecko. Często chorowała. Zawsze miałam wrażenie, że Lucian zapędził się w ślepią uliczkę. A potem Laura umarła. Jemina zachowuje się tak, jakby obwiniała Luciana o jej śmierć. W każdym razie jeśli chcesz zobaczyć Bridget, zaprowadzę cię na górę. O tej porze Jemina zwykle wychodzi. Dziecko zostaje wtedy pod opieką dziewczyny z wioski.

Czułam, że za pozornie lekkim tonem Camilli kryje się jakaś tajemnica.

Weszliśmy po schodach na najwyższe piętro, gdzie znajdował się staroświecki pokój dziecięcy z tradycyjną wielką komodą, koniem na biegunach w jednym kącie oraz tablicą i sztalugami w drugim. Na krześle siedziała młoda opiekunka, a na podłodze, otoczona klockami układanki, bawiła się mała dziewczynka.

- O, to ty, Mary - powiedziała Camilla. - Tak właśnie myślałam. Panna Cray jeszcze nie wróciła?

- Nie, proszę pani, jeszcze nie.

- Jak tam panienka Bridget?

Dziecko na dźwięk swojego imienia podniosło głowę.

- Ja - powiedziało, śmiejąc się - ja, to ja.

Camilla wzięła Bridget na kolana.

- Powoli stajesz się dużą dziewczynką - powiedziała.

Bridget potrząsnęła główką.

- O której godzinie wraca panna Cray? - spytała Camilla.

- Powinna wrócić za jakieś pół godziny, proszę pani. Camilla odprężyła się wyraźnie. Popatrzyła na podłogę.

- Nie dokończyłaś swojego obrazka, Bridget - powiedział.

Poszczególne klocki układanki składały się na obraz konia. Na razie brakowało mu jeszcze głowy i ogona. Bridget zsunęła się z kolan Camilli i uknęła przy klockach. Podniosła ten z ogonem i usiłowała go umieścić w miejscu, gdzie powinna być głowa.

Przykucnęłam przy niej, podniosłam obrazek z głową i umieściłam klocek na właściwym miejscu.

Bridget nie posiadała się z zachwytu, widząc, że obrazek pasuje. Złapała klocek z ogonem i położyła go na ostatnim pustym miejscu. Z satysfakcją popatrzyła na ukończone dzieło, a potem odwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem. Zakotyła się na piętach i zaklaskała w ręce. Zrobiłam to samo, a Bridget zaniosła się śmiechem. Potem wstała, ujęła mnie za rękę i podprowadziła do konia na bieżniach, pokazując mi gestem, że chce się kołysać. Podniosłam ją, posadziłam na siodle i lekkim pchnięciem wprowadziłam konia w ruch. Bridget śmiała się z zachwytem.

- Jeszcze, jeszcze! - wołała.

Popychałam konia, spoglądając na jej delikatne, jedwabiste włoski i myślałam: więc to jest córka Luciana. Jest urocza. Dlaczego on w ogóle o niej nie mówi?

Nagle poczułam jakiś ruch za plecami i odwróciłam się. Do pokoju weszła kobieta.

Spoglądała na mnie z nieukrywaną wrogością. Była wysoka i szczupła, miała małe, blisko osadzone oczy. Było w niej coś odpychającego i to nie tylko z powodu niechęci, jaką wyraźnie przejawiała wobec mnie. Młoda opiekunka skurczyła się ze strachu. Wyglądała jak osoba przyłapaną na gorącym uczynku.

- Patrz, Mina, patrz! - wołała Bridget. - Jeszcze, jeszcze!

Kobieta zbliżyła się do konia.

- Za wysoko, skarbie - powiedziała. - Tak wysoko możesz się kołysać tylko wtedy, gdy Mina jest przy tobie.

- To nie jest niebezpieczne - powiedziałam z urazą w głosie. - Przecież uważałam na nią.

- To jest Jemina Cray, opiekunka Bridget - przedstawiła mi ją Camilla.

- Miło mi panią poznać - powiedziałam chłodno.

- Jemino, panna Sinclair chciała zobaczyć Bridget. Od pierwszego wejrzenia przypadły sobie do gustu.

- Nie lubię, gdy Bridget zanadto się rozbryka przed pójściem spać. Ma potem złe sny.

Nie mogłam się powstrzymać.

- Nie sędzę, aby chwila zabawy miała jej zaszkodzić. Bardzo jej się podobała ta jazda.

- Myślę, że powinniśmy już pójść - odezwała się Camilla.

- Co za dziwna kobieta - powiedziałam, gdy znalazłyśmy się na dole. - Bardzo nieprzyjemna.

- To właśnie jest Jemina Cray. Zawsze tak się zachowuje, gdy chodzi o Bridget.

- Zdaje się, że ma bardzo wysokie mniemanie o sobie. Jakie właściwie stanowisko zajmuje w Grange?

- Jest kimś w rodzaju niani.

- Natomiast zachowuje się tak, jakby była panią domu.

- Panią dziecięcego pokoju jest z całą pewnością.

- Ależ lady Crompton pewnie na to nie zezwała.

- Moja matka absolutnie nie wtrąca się do pokoju dziecięcego.

- Przecież Bridget jest jej wnuczką.

Camilla milczała przez chwilę. Potem powiedziała: -Ten cały układ jest taki... dziwny. To prawdziwe nieszczęście. Zupełnie nie rozumiem Luciana. Normalnie potrafił świetnie wszystkim zarządzać.

- To rzeczywiście dość niezwykła sytuacja - przyznałam. - Bridget jest uroczą dziewczynką, a wydaje się skazana wyłącznie na tę okropną kobietę.

- Wobec Bridget Jemina nie jest okropna. Uwielbia małą, a dziecko też bardzo ją kocha. - Zawahała się. - Faktem jest, że małżeństwo Luciana nie było udane. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż on sam. Ten związek kompletnie go odmienił. Pamiętasz, jaki był pełen życia, gdy byliśmy mali? A potem... ta historia. Wszystko było takie niespodziewane. Ożenił się zupełnie nagle, a ona zaraz potem spodziewała się dziecka. Nie chciała go. Myślę, że była przerażona. To ona sprowadziła tu Jemine. Jemina należy do tego typu opiekunek, które gdy są już za stare, by

spełniać obowiązki niańki zostają kimś w rodzaju pokojowej i zaufanej powiernicy jednocześnie. Wiesz, taki prawdziwy anioł stróż. Są zazdrosne i nienawidzą każdego, kto odważyłby się zbliżyć do ich najdroższych podopiecznych. Gdy Laura umarła, Jemina całe swoje uczucie przelała na Bridget. Nas wszystkich nienawidzi, a już najbardziej Luciana. Zachowuje się tak, jakby uważała, że zamordował Laurę.

- Dlaczego, na Boga, ją trzymacie?

- To samo powtarzałam matce już mnóstwo razy. Mama mówi, że Laura powierzyła Jeminie opiekę nad dzieckiem, pragnąc, by Jemina stała się dla małej tym, kim była dla niej. Przysięga na łożu śmierci, prawdziwy melodramat. Laura była trochę histeryczna. Była jedną z tych słabych, wiecznie szukających wsparcia istot, którymi trzeba się bez końca opiekować, bo inaczej mdleją albo zgoła umierają, a potem przychodzą cię straszyć do końca życia.

- Ale Lucian z pewnością...

- Lucian o niczym innym nie marzy, tylko zapomnieć o tym, że swego czasu okazał się takim głupcem i poślubił tę kobietę. Myślę, że Bridget przypomina mu Laurę. Tak więc Jemina przesiaduje z dzieckiem na górze, a my prawie ich nie widzimy.

- Jakie to osobliwe.

- Większość ludzi zachowuje się osobliwie, jak sama pewnie wiesz. Czasami to właśnie wydaje mi się naturalne. Tak to wszystko wygląda. Jemina jest bardzo sprawna i nikt nie mógłby zaopiekować się Bridget z większym oddaniem. Zamieniłaby się w smoka zięjącego ogniem, gdyby ktoś próbował skrzywdzić małą. Myślę, że z czasem wszystko jakoś się ułoży.

Tej nocy leżałam bezsennie w moim łożu z baldachimem, rozmyślając o małżeństwie Luciana i Laury. Zdaniem Camilli Laura była bezwolną istotą, podporządkowaną „ziewającej ogniem” Jeminie. Dlaczego więc się z nią ożenił? Trudno było wyobrazić sobie Luciana w chwili słabości decydującego się na postąpienie wbrew własnej woli.

Obecność Jeminy sprawiła, że poczułam się nieswojo. Co Camilla powiedziała? Zachowuje się tak, jakby

uważała, że zamordował Laurę. Kto? Lucian? W całej tej historii było coś tajemniczego. Nie myliłam się, kiedy podczas naszego pierwszego spotkania wyczułam, że Luciana gnębi jakaś troska. Bardzo się zmienił. Takie małżeństwo zmieniałoby każdego. Chętnie bym się dowiedziała, co naprawdę myśli o swoim małżeństwie i o dziecku. Poczulałam niezrozumiałą tkliwość. Dawniej, w moich dziecięcych wyobrażeniach, Lucian wydawał mi się taki silny, wręcz nie do pokonania. Teraz okazało się, że jest wrażliwy i łatwo go zranić. Słusznie przypuszczałam, że zaszło coś, co go odmieniło.

Bardzo pragnęłam poznać jego prawdziwe uczucia.

Może właśnie dlatego moje myśli ciągle były nim zajęte.

* * *

Tygodnie mijały, a ja ciągle mieszkalam u Hysonów. Miałam już wyrzuty sumienia z tego powodu, ale gdy tylko napomknęłam o wyjeździe, Gertie zaczęła gwałtownie protestować, a ciotka Beatrice i wuj Harold przyłączyli się do niej.

- Ależ kochanie, przecież bardzo by nam ciebie brakowało - powiedziała ciotka, a Gertie dodała:

- Potrzebuję cię. Trzeba urządzić dom i do tego jeszcze te wszystkie przygotowania weselne. Poza tym nie możesz zamieszkać w jakimś podłym hoteliku.

Ja także nie miałam ochoty się wyprowadzać. Czułam się teraz o wiele lepiej, choć jeszcze do niedawna nie przypuszczałam, by taka poprawa była w ogóle możliwa. Jednak nawet najgłębsza rozpacz z czasem przycicha, a nowe wydarzenia stopniowo zacierają pamięć o przeszłości. Tyle przecież działo się wokół mnie. Życie znów stało się zajmujące. Nawet Gertie, zaabsorbowana zbliżającym się ślubem, znalazła czas, by zainteresować się moimi sprawami. Z rozbawieniem czyniła rozmaite uwagi o dwóch strzałach w moim kołczanie, a nawet trzech, jeśli wziąć pod uwagę biednego Jamesa, poszukującego teraz opali gdzieś na pustkowiu. Domagała się też, abym opowiedziała jej ze szczegółami o wizycie w Grange. Uczyniłam to, nie wspominając jednak o istnieniu Bridget i tej osobliwej

Jeminy Cray. To byłoby zbyt wiele dla wybujałej wyobraźni Gertie, która - jestem gotowa się założyć - od razu zaczęłaby układać cały melodramat.

Szczególnie zainteresował ją Lucian, który w jej oczach stanowił idealne ucieleśnienie romantycznego bohatera. Ale nie zapomniała też o szlachetnym doktorze Emmersonie, który jej zdaniem byłby dla mnie doskonałym mężem, acz może niezbyt ekscytującym. Siostra Dorothy roztoczyłaby nade mną opiekuńcze skrzydła, robiąc wszystko dla mojego dobra. Nieważne, czy bym to lubiła, czy nie, wszystko, co zaakceptowałaby Dorothy, byłoby dla mnie najważniejsze.

Rozważała też inną możliwość, mianowicie taką, że wrócę do Australii i poślubię Jamesa. Wówczas albo zostanę milionerką, albo też resztę życia spędzę w namiocie, gdzieś w interiorze, poszukując opali. To drugie, jak się Gertie obawiała, było bardziej prawdopodobne.

- Popatrz, ile dróg się przed tobą otwiera - mówiła. - Zdecyduj się na jedną z nich.

Roześmiałam się.

- Jedyna, jaka jest dla mnie otwarta, to te pola opalowe. Ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby James tymczasem znalazł sobie żonę.

Gertie westchnęła i zrobiła znaczącą minę - minę kobiety doświadczonej, pouczającej niewinną dziewczynę.

Cokolwiek przyszłość miała mi przynieść, odczuwałam lekki smutek na myśl, że mogę utracić Gertie. Była taką wierną przyjaciółką.

Emmersonowie kilkakrotnie zaprosili mnie do siebie i coraz bardziej zaprzyjaźniałam się z Dorothy. Była czarującą towarzyszką, żywo interesującą się wieloma dziedzinami, głównie muzyką i sztuką. Często miewała bilety na rozmaite koncerty i wystawy i gdy Lawrence był zajęty pracą, chodziliśmy we dwie.

Często jeździłam też do Grange, tak że czas miałam wypełniony.

Gertie i ciotka Beatrice wybrały wreszcie dom i teraz omawiano sprawę jego umeblowania oraz samego wesela. Gertie napisała do rodziców, że ona i Bernard planują wybrać się do Australii za dwa lata.

- Może pojechałabyś z nami? - powiedziała do mnie.

Pod wpływem licznych aluzji, jakich nie szczędzono mi w domu w Kensington, w końcu sama zaczęłam się zastanawiać, jakież to zamiary mają wobec mnie moi dwaj przyjaciele - Lucian i Lawrence.

Dorothy niejednokrotnie dawała mi do zrozumienia, że jej zdaniem najwyższy czas, by Lawrence się ożenił. Byłam przekonana, że uważa mnie za godną jej brata bardziej niż jakąkolwiek inną kandydatkę. Skoro zaś tak uważała, teraz należało uczynić wszystko, by sam Lawrence również doszedł do tego wniosku.

Może nie było to fair wobec Lawrence'a. On rzeczywiście był bardzo zapracowany i siłą rzeczy pewne decyzje pozostawiał siostrze. Ale małżeństwo to poważna sprawa i o wyborze żony z pewnością będzie decydował samodzielnie. Siostra mogła wybierać mu potrawy czy materiał na garnitur, lecz przecież nie żonę.

Wobec mnie był bardzo opiekuńczy. Myślę, że ciągle widział we mnie małą dziewczynkę, zgubioną w obcym mieście. Lubił przebywać w moim towarzystwie i opowiadać mi o swojej pracy i o swoich aspiracjach. Praca bardzo go pochłaniała. W pożyciu małżeńskim z nim nie byłoby żadnych niespodzianek, choć oczywiście nigdy nie można z góry wykluczyć różnych nieprzewidzianych zdarzeń. Tak, małżeństwo z Lawrence'em Emmersonem i *menage a trois* z moją oddaną przyjaciółką Dorothy oznaczało życie w spokoju i dostatku.

Być może zgodziłabym się na to... gdyby nie Lucian.

Byłam niemal pewna jego uczuć do mnie i wierzyłam, że pewnego dnia, w odpowiednim momencie, gdy będzie miał więcej czasu, aby to sobie przemyśleć, poprosi mnie o rękę. Wiedziałam, że mnie lubi. Czasami jego dłoń spoczywała na moim ramieniu o jedną chwilę za długo. Z pewnością go pociągałam. Ale nie rozumiałam go tak dobrze, jak rozumiałam Lawrence'a. Czasami potrafił być bardzo wesoły i beztroski. Podczas weekendów w Grange zaczęłam poznawać go lepiej. Umiał być dowcipny i zajmujący. Jako towarzysz był uroczy. Lubiłam objeżdżać z nim posiadłość. Dzierżawcy odnosili się do niego z wielkim szacunkiem. Nie potrafiłam wyobrazić sobie Luciana pod pantoflem siostry.

Zresztą Camilla nie była typem dominującym; poza tym całkowicie pochłaniały ją własne sprawy.

Tak więc często myślałam o Lawrensie, natomiast myśl o Lucianie nie opuszczała mnie nigdy.

* * *

Dostałam dwa listy z Australii, jeden od Elsie, a drugi od Jamesa. Elsie pisała:

Moja droga Carmel,

Jak Ci się wiedzie tam w domu? Powinnaś była widzieć to podniecenie, gdy doszła nas wieść o zaręczynach Gertie. Jej matka mówi, że z listów Gertie przebija szczęście. Czytałam im też Twoje listy. Wszystko wskazuje na to, że Gertie trafiła bardzo dobrze.

Biedni Formanowie. Oczywiście cieszą się bardzo ze szczęścia Gertie, ale ich radość jest zaprawiona odrobiną smutku. To zrozumiałe. Miały to być wakacje, tymczasem, jak widać, opuściła ich już na zawsze. Gertie zapowiada, że przyjedzie z mężem w odwiedziny do Australii, więc tym się pocieszają. A w dodatku James wyruszył poszukiwać opali. No cóż, takie jest życie. Dzięki Bogu, że przynajmniej jakoś odrobili straty po tym okropnym nieszczęściu, jakie ich spotkało.

Co za traf, że spotkałaś na statku doktora Emmersona. Z Twoich opisów wydaje się bardzo przyjemnym człowiekiem. Cieszę się, że Ty i jego siostra tak się zaprzyjaźniłyście.

Wygląda na to, że wam, dziewczętom, wszystko dobrze się ułożyło. Twoje listy są teraz o wiele pogodniejsze. Naprawdę nie miało sensu siedzieć i pogrążyć się w rozpacz. Dobrze wiedziałam, że potrzebna Ci jest całkowita zmiana otoczenia. Gertie pisze, że dobrze się bawisz.

U nas wszystko po staremu. Cieszę się, że mam Joego. Doskonale się rozumiemy. Siedzi teraz w ogrodzie i czeka, aż do niego dołączy. Port wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przybyłaś tu po raz pierwszy. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Kookaburry są dzisiaj wyjątkowo hałaśliwe. Zawsze je lubiłaś, pamiętasz? Gdy usłyszałaś je po raz pierwszy, zastanawiałaś się, z czego się tak śmieją.

Kochanie, ciesz się życiem i baw się dobrze. Tego właśnie potrzebujesz. Tęsknię za Tobą i kiedy wrócisz, urządzimy wielkie przyjęcie na Twoje powitanie. Ale to Ty decydujesz i przede wszystkim pamiętaj o jednym - masz być szczęśliwa. Tobi zawsze pragnął tego dla Ciebie i ja także.

Wiele miłości od Joego i ode mnie

Elsie

Przez kilka minut siedziałam, myśląc o Elsie i o tym, jak szczęśliwie się dla mnie złożyło, że Tobi przywiózł mnie do jej domu.

Potem otworzyłam list od Jamesa.

Kochana Carmel!

Jak Ci się powodzi?

U nas wiele zamieszania z powodu ślubu Gertie. Szkoda, że rodzina nie będzie mogła być obecna. Według Gertie ten gość, za którego wychodzi, to prawdziwy dar z nieba. Miejsmy nadzieję, że to prawda.

Ja wyjechałem, tak jak zapowiadałem wcześniej. Farmę doprowadziliśmy do porządku i ojciec pozwolił mi jechać. Dobrze wiedział, że nie zaznam spokoju, dopóki przynajmniej nie popróbuję.

Tak więc znalazłem się tutaj. Nawet nie potrafię Ci opisać, jak tu jest wspaniale. Jestem pewien, że Ty też byłabyś zachwycona. Atmosfera jest niepowtarzalna. Poszukiwacze (niektórzy z nich przybyli tu z rodzinami) nie rozmawiają o niczym innym, tylko o opalach; to znaczy, podczas tych rzadkich chwil, kiedy nie pracują. Najczęściej jednak spędzają czas wyłącznie na robocie.

Upały mocno dają się we znaki. W starych ciekach wodnych i w zaroślach aż się roi od much i moskitów. Prawdziwa plaga. Poszukiwaczy jest wielu, choć większość z nich to amatorzy. Robota fascynująca, jednak potrafi przynieść także bolesne rozczarowania. Czasami wydaje ci się, że znalazłeś coś wspaniałego, a potem się okazuje, że to zwykły śmieć.

Praca jest naprawdę ciężka. Mieszkamy w czymś w rodzaju osiedla złożonego z baraków. Namioty, naprędce skłcone domki, trudności z wodą. Niektórzy twierdzą, że woda

jest tu równie cenna jak opale. To może dać Ci pewne wyobrażenie o naszych warunkach. W sobotnie wieczory najczęściej odbywa się zabawa. Są tańce, śpiewy, rozmaite żarty. Każdy opowiada o swoich przeżyciach, oczywiście odpowiednio je koloryzując, jak się zapewne domyślasz. W ostatnią sobotę upiekliśmy prosiaka, a do tego placki.

To twarde życie, ale warte zachodu, zwłaszcza w tych momentach, gdy napotykasz wartościowy kamień. Do tej pory znalazłem dwa zupełnie przyzwoite okazy. To nie jest źle jak na początkującego.

A teraz coś, co Cię zainteresuje. Pamiętasz tego starego sundownera? Pojawił się tutaj. Nie, żeby pracować, to go zupełnie nie interesowało. Trochę poszperał, trochę się pokręcił to tu, to tam, sprawdzając, czy znajdzie coś, na czym mógłby położyć łapę. Potem znaleziono go martwego, nieopodal obozowiska. Wyglądał, jakby stoczył z kimś walkę.

Moje położenie nie było zbyt przyjemne. Niektórzy słyszeli o podpaleniu i zaczęli spoglądać na mnie z ukosa, co było dość zrozumiałe. Wyobrażali sobie, że nie puściłem mu płazem krzywdy, jaką wyrządził mojej rodzinie.

Wszystko to jest dosyć tajemnicze. Przypuszczam, że ktoś go przyłapał na kradzieży i załatwił podczas bójkki. Są tu i tacy, którzy nie zawahaliby się przed podobnym rozwiązaniem. W każdym razie znaleziono go za obozem... martwego.

Oczywiście było w związku z tym wiele pytań i widziałem, że wszyscy spoglądają na mnie. Ale ten gość naraził się niemal wszystkim w obozie. Zabójcy nie wykryto i w końcu zaprzestano dalszych poszukiwań. Przy zwłokach znaleziono kilka niewielkich opali, ale nikt się do nich nie przyznał. To oczywiste, że ten łotrzyk ukradł je komuś. W końcu spotkało go to, na co zasłużył. Sprawiedliwość dopadła go nawet tutaj.

Tak więc wygląda moje życie. Możesz powiedzieć, że jest surowe. Ale wyobraź sobie radość, gdy nagle znajdujesz opal, ukrywający się w jakiejś dziurze czy rozpadlinie. Czy to nie cud, że z połączenia wody, piasku i kilku innych elementów powstają czasami kamienie tak wielkiej urody? Wybacz mi. Gdy tylko wsiądę na mojego ulubionego konika, nie potrafię się powstrzymać.

A teraz serio. Carmel, czekam na Twój powrót. Pragnę odnaleźć bezcenny kamień, który zapewni przyszłość Tobie i mnie. Czekam na wspaniałe życie. Wreszcie okupię swoją winę, że zostawiłem Cię na pastwę losu w tym okropnym Suezie, i zmyję z siebie piętno hańby. Jak Ci się podoba ta dramatyczna deklaracja?

Wiem, że ja i Ty jesteśmy sobie przeznaczeni. Muszę tylko odnaleźć ten kamień, który zadziwi cały świat, i zdobyć forszę. Potem nie będę czekał ani chwili dłużej. Spakuję rzeczy i wsiądę na pierwszy statek płynący do Anglii.

Odpisz mi szybko.

Twój kochający Cię milioner in spe,

James

Wypuściłam list z dłoni. James objawił się w nim jak żywy. Drogi James. Zastanawiałam się, czy uda mu się urzeczywistnić swoje marzenia. A jeśli naprawdę przyjedzie do Anglii? Był bardzo uparty i jak raz coś sobie postanowił, nie ustępował z obranej drogi. Z jakim wyrzeczeniem znosił obecne trudy i niewygody.

Potem pomyślałam o sundownerze i o tym, jak gwałtownie zareagował James, gdy włóczęga ośmielił się wrócić na farmę. Nie patyczkując się, wyrzucił go za drzwi. Skutki okazały się straszne.

A jeśli James natknął się na niego w obozie? Później ten człowiek został zabity. Miał okropną reputację. Wiedziałam, jak gwałtowna potrafi być reakcja Jamesa.

Czy to możliwe? Czy doszło między nimi do walki?

Czy James napisał mi prawdę?

I wtedy, nie wiem z jakiego powodu, pomyślałam nagle o Lucianie.

* * *

Weekend spędziłam u Emmersonów na wsi. Dorothy i ja pojechaliśmy tam już w piątek po południu.

- Zawsze tak się cieszę na koniec tygodnia - mówiła Dorothy. - Czasami wydaje mi się, że lubię to miejsce właśnie dlatego, że nie przebywam tu tak często, jak bym chciała.

- To chyba niemożliwe, abyś przeniosła się tu na stałe, prawda?

- O nie, praca trzyma Lawrence'a w Londynie.
- Ale przecież w mieście też zatroszczono by się o niego.
Jestem pewna, że mogłabyś spędzać więcej czasu na wsi.
- Wiem, że ma opiekę w Londynie, ale wolę być na miejscu, aby się o tym upewnić.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Lawrence z pewnością to docenia.

Dorothy zamyśliła się.

- Lawrence to najlepszy człowiek na świecie. Ale przecież tobie nie muszę tego mówić.

Czasami zastanawiałam się, jak by zareagowała, gdyby Lawrence rzeczywiście się ożenił. To przecież zmieniłoby zasadniczo jej sytuację. Z drugiej jednak strony byłam pewna, że gdyby uznała, iż będzie to dla jego dobra, odsunęłaby na bok wszelkie inne względy. Przypuszczałam, że chętnie widziałaby mnie w roli jego żony, i wydawało mi się, że wyraźnie czegoś się spodziewa po tym weekendzie. Zastanawiałam się, czy między bratem a siostrą istnieje coś w rodzaju telepatii, czy też może dyskutowali ten problem między sobą. To ostatnie wydawało mi się jednak mało prawdopodobne.

Zaplanowaliśmy z Lawrensem, że wybierzemy się na przejażdżkę konną i zatrzymamy się na lunch gdzieś po drodze.

- Domyślam się, że chce ci pokazać swój kolejny ulubiony zajazd - powiedziała Dorothy.

Zaproponowałam jej, aby pojechała z nami, ale Dorothy oświadczyła, że nie ma czasu. Obiecała wyszukać rozmaite rzeczy na wentę kościelną i odwiedzić je do pani Wantage, a także pomóc jej przy wypisywaniu karteczek z cenami.

Tak więc wyruszyliśmy we dwoje. Pojechaliliśmy do ruin zamku, które stanowiły ulubiony cel naszych wypraw. Spętaliśmy konie i wspięliśmy się na szczątki dawnych fortyfikacji.

Lawrence nie zastanawiał się długo i gdy tylko usiedliśmy, przeszedł od razu do sedna.

- Carmel, wiem, że jestem o kilka lat starszy od ciebie, ale wydaję mi się, że darzysz mnie pewną sympatią

i Dorothy także. - Wyrwał pojedyncze źdźbło trawy i przypatrując mu się z uwagą ciągnął: - Doskonale rozumiemy się we troje, prawda? Nigdy przedtem nie byłem tak szczęśliwy, jak podczas tych weekendów. Carmel, ja cię kocham. Wiem, że znamy się od niedawna, ale przecież łączy nas jeszcze tamta przygoda w Suezie.

Właściwie jego słowa nie były dla mnie zaskoczeniem, ale mimo to poczułam się zakłopotana. Zawahałam się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Lawrence mówił dalej.

- Moglibyśmy pobrać się niebawem... jak tylko będziesz gotowa. Mamy dom w Londynie i ten domek na wsi.

- Lawrence - powiedziała szybko - nie chcę wychodzić za mąż... jeszcze nie teraz. Odkąd wróciłam, wydarzyło się tyle nowego i wszystko dzieje się tak szybko...

- Oczywiście. Rozumiem to. Potrzebujesz czasu, to jasne. Rzeczywiście nie ma pośpiechu. Ale nie chciałbym, abyś wróciła do Australii i zapomniała o nas.

- Tego na pewno nie zrobię, zapewniam cię. Ale chciałabym, aby między nami było tak, jak jest teraz... przez pewien czas.

- Oczywiście. Przecież jest nam bardzo dobrze. Ale czy ten pomysł nie wydaje ci się absurdalny? Mój wiek...

- Lawrence - zawołałam - twój wiek nie ma najmniejszego znaczenia. W końcu różnica lat między nami nie jest wcale duża. To dlatego, że ja... nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa.

- Rozumiem. Ja odnoszę wrażenie, jakbym znał cię już od dawna. Twój ojciec i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi na długo przedtem, zanim cię poznałem. Wiele o tobie opowiadał. Był bardzo dumny ze swojej córki. Potem spotkaliśmy się na statku i przydarzyła nam się tamta przygoda w Suezie. Dlatego mnie nasza znajomość wcale nie wydaje się krótka.

- Ty i Dorothy byliście dla mnie bardzo dobrzy. Nie potrafię nawet wyrazić, ile wam zawdzięczam. Czulałam się wówczas taka przygnębiona i nieszczęśliwa, a ty okazałeś się dla mnie prawdziwą podporą. Gościliście mnie tak często, jesteście moimi przyjaciółmi.

Lawrence mocno uściskał moją dłoń.

- Z czasem przewyciężysz ból. Nigdy do końca, ale twoja rozpacz nie będzie tak intensywna. Już jest lepiej, prawda?

- Jestem szczęśliwa, mając tylu przyjaciół. Elsie, Gertie, Hysonowie, ty i Dorothy.

- To dla nas wielka radość, że możemy ci pomóc. Oboje bardzo cię kochamy, Carmel.

- Dziękuję ci, Lawrence. Ja także was kocham. Ale widzisz... małżeństwo to wielka decyzja. To coś, o czym muszę pomyśleć. Jestem taka oszołomiona.

- Oczywiście, oczywiście. Odłożmy na razie ten temat. Zapytam cię ponownie za jakiś czas, gdy już będziesz lepiej wiedziała, co naprawdę czujesz.

Ujął mnie za rękę i pomógł mi się podnieść. Gdy sta-
nęłam przy nim, pocałował mnie w policzek.

- Och, Lawrence - powiedziałam - dziękuję ci. Jesteś dla mnie taki dobry. Wiem, że byłabym szczęśliwa z tobą... i z Dorothy... ale...

- Rozumiem.

Wziął mnie pod ramię i wróciliśmy do koni.

Lunch zjedliśmy w starym zajeździe, nad którego historią Lawrence rozwodził się z wielkim zapałem, a następnie wróciliśmy do domu.

Dorothy już na nas czekała. Byłam pewna, że wiedziała, jaką propozycję złożył mi Lawrence. Wyczuwałam, że teraz czeka na oświadczenie z naszej strony i jest rozczarowana, że to nie nastąpiło.

* * *

Przygotowania do ślubu Gertie szły pełną parą. Gertie i ciotka Beatrice wybrały wreszcie dom i teraz były zajęte jego meblowaniem. Dom, oddalony nie więcej niż dziesięć minut drogi od posiadłości Hysonów, stał przy wąskiej, ocienionej drzewami uliczce i miał niewielki, ale przyjemny ogród i odpowiedni pokój dziecięcy.

Często byłam proszona o pomoc w wyborze jakiegoś mebla albo o opinię w jakiejś kwestii i muszę przyznać, że mnie także udzieliło się ogólne podniecenie.

Wiele myślałam o propozycji Lawrence'a, uśmiechając się na to wspomnienie. Pamiętałam każde jego słowo.

Były to dokładnie takie oświadczyzny, jakich należało się po nim spodziewać - eleganckie w formie i pełne godności; brak w nich natomiast było prawdziwego żaru i namiętności. To było bardzo charakterystyczne dla Lawrence'a.

Zastanawiałam się nad jego propozycją zupełnie poważnie. Nie chciałam wracać do Australii. Mojego świata nie stanowiły opalowe złoża Lightning Ridge i tym podobne miejsca. Mimo całej miłości do Elsie, podświadomie zawsze czułam, że moim domem jest Anglia. Gdyby żył Toby, nie byłoby dla mnie ważne, gdzie mieszkam. Mogłabym mieszkać w każdym wybranym przez niego miejscu. Może to była dla mnie wskazówka. Pragnęłam przebywać tam, gdzie jest osoba, którą kocham. Gdybym kochała Jamesa na tyle, by go poślubić, byłoby dla mnie bez znaczenia, gdzie będziemy mieszkali.

Ponownie otrzymałam zaproszenie od Luciana i znowu poczułam znajomy dreszcz podniecenia, jaki towarzyszył każdemu oczekiwaniu na wizytę w Grange.

Lucian ciągle stanowił dla mnie zagadkę. Dziwny ponury nastrój, który czasami go ogarniał, nawiedzał go teraz coraz rzadziej. Będąc w Grange, nabrałam zwyczaju odwiedzać Bridget, która nieodmiennie cieszyła się na mój widok, podczas gdy Jemina Cray bynajmniej nie podzielała jej entuzjazmu. Nieraz spotykałam Bridget w ogrodzie w towarzystwie Mary i bawiłam się z nią przez chwilę. Podczas tych zabaw Mary z niepokojem rozglądała się na wszystkie strony, co mnie nieco drażniło. Co za dziwna sytuacja. Dlaczego nie miałabym bawić się z tym dzieckiem? Sama Bridget była najzupełniej normalną dziewczynką. Wiedziałam, dlaczego Mary tak trwożnie rozgląda się na boki; obawiała się, że możemy zostać przyłapane przez Jeminę Cray.

Spakowałam walizkę i wyruszyłam w drogę, pełna radosnych oczekiwań, jakie ogarniały mnie przed każdą wizytą w Grange.

Lucian jak zwykle czekał na stacji. Lady Crompton witała mnie jeszcze wylewniej niż podczas pierwszej wizyty. Myślę, że cieszyła się, mając gościa którego nie trzeba było traktować z całym ceremoniałem. Uraczyła mnie

wyczerpującą opowieścią o swoich dolegliwościach reumatycznych, które nie pozwalały jej prowadzić tak czynnego życia, do jakiego była przyzwyczajona. Uwielbiała rozprawić na ten temat, ja zaś okazałam się wdzięczną słuchaczką. Lubiła też słuchać moich opowiadań o Australii i o innych miejscach, które odwiedziłam z Tobym.

Lucianowi też było miło, że lady Crompton tak sobie upodobała moje towarzystwo.

- Moja matka nie z każdym tak łatwo dochodzi do po rozumienia - zauważył z uśmiechem.

Kilkakrotnie do Grange przyjechała też Camilla, z którą byliśmy teraz w wielkiej przyjaźni. Opowiedziała mi, że życie w Grange bardzo się zmieniło przez ostatnie lata.

- Kiedy żył ojciec, wiele przyjmowaliśmy - mówiła. - Lucian zdaje się nie podzielać upodobań papy. A tak na prawdę to wszystko się zmieniło, odkąd się ożenił.

W sobotę Lucian i ja wybraliśmy się na przejażdżkę konną. Lucian musiał odwiedzić kilku dzierżawców w okolicy. Miałam wrażenie, że cieszy się, że mu towarzyszę. Zaczęłam już poznawać niektórych jego pracowników i dzierżawców.

Nie wiem, czy tylko mi się wydawało, czy też rzeczywiście tak było, ale miałam wrażenie, że tu i ówdzie dostrzegam znaczące spojrzenia. Cóż, widząc mężczyznę i kobietę wyraźnie czerpiących przyjemność ze swojego towarzystwa, ludzie często zaczynają snuć rozmaite przypuszczenia na ich temat. Być może niektórzy z napotkanych farmerów rzeczywiście zastanawiali się, czy zostaną następną lady Crompton. A może po prostu wymyśliłam sobie to wszystko, gdyż po doświadczeniach z Jamesem i Lawrence'em wydawało mi się, że każdy mężczyzna, który okazał mi przyjaźń, od razu mi się oświadczy. Jakże często wszyscy sądzą, że jeśli jakiś młody mężczyzna nie jest żonaty, to z pewnością pragnie się ożenić. Tymczasem najczęściej wcale tak nie jest. Gdy ktoś już raz się sparzył, z pewnością dmucha teraz na zimne i nie spieszy się do popełnienia tego samego błędu po raz drugi. Wyobrażam sobie, jak w tej sytuacji czuł się Lucian, i muszę przyznać,

że te wszystkie znaczące spojrzenia mocno mnie deprymowały.

Wróciliśmy do Grange. Lucian zeskoczył z konia i pomógł mi zsiąść. Uśmiechnął się do mnie i chwycił mnie za ręce. Przez chwilę milczeliśmy. Nie mogłam do końca odgadnąć uczuć kryjących się w jego spojrzeniu, ale z pewnością były bardzo serdeczne.

Lucian powiedział:

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że wróciłaś, Carmel.

- Ja też się cieszę.

Tuż za sobą usłyszałam czyjeś kroki. Spojrzałam ponad ramieniem Luciana. Jemina Cray szła wzdłuż stajen, kierując się w stronę domu.

* * *

Tego wieczoru, na krótko przed obiadem, poszłam na górę do Bridget.

Gdy tylko weszłam do pokoju, Bridget natychmiast podbiegła do mnie i, jak to miała w zwyczaju, pieszczotliwie objęła mnie za kolana. Oczywiście chciała, żebym usiadła wraz z nią na podłodze i bawiła się układanką z obrazkami przedstawiającymi świnki, krowy, owce i kozy. Bridget bardzo je lubiła. Była czarującym dzieckiem. Po raz kolejny zachodziłam w głowę, dlaczego Lucian nigdy o niej nie mówi. Cóż, miała tę zagadkową Jeminę, do której była szczerze przywiązana i która darzyła ją równie gorącym uczuciem.

Podczas naszej zabawy weszła Jemina. Wiedziałam, że zaraz znajdzie jakąś wymówkę, aby oddzielić mnie od dziecka. Zdecydowanie nie odpowiadała jej moja przyjaźń z Bridget. Tymczasem ku mojemu zdumieniu Jemina odezwała się przymilnie:

- Dobry wieczór, panno Sinclair. Chciałabym zamienić z panią kilka słów.

- Ależ oczywiście - powiedziałam.

- Mary, zabierz panienkę Bridget do sypialni, niech tam wypije mleko. Przynieś jej, tylko żeby nie było za gorące.

Mary spojrzała na zegar ścienny. I ona, i ja wiedziałyśmy, że na mleko dla Bridget jest jeszcze za wcześnie.

- Rób, co ci każę - powiedziała Jemina tonem, którego nie sposób było nie posłuchać, i Mary zaczęła gotować się do wyjścia.

- Nie, nie - zaczęła protestować Bridget.

- Tak, kotku - powiedziała Jemina łagodnie. - Idź z Mary, wypijesz mleczko.

Mary zabrała ciągle protestującą Bridget. Bardzo mi pochlebiało, że dziewczynka nie chce odejść, ale jednocześnie byłam ciekawa, co też Jemina ma mi do powiedzenia.

- A więc panno Sinclair - zaczęła, gdy tylko zostałyśmy same - chciałabym powiedzieć pani coś, co jest przeznaczone wyłącznie dla pani uszu. Nie uważam za słuszne i właściwe, by pozostawała pani w nieświadomości.

- Ale o co chodzi? - zapytałam.

- Pewne rzeczy wyglądają w rzeczywistości zupełnie inaczej, niż się na pozór wydaje.

- Istotnie, wiem o tym.

Jemina zbliżyła twarz do mojej twarzy, robiąc przebiegłą minę. Oczy miała małe i blisko osadzone. Pomyślałam, że wygląda jak czarownica.

- Pani jest młodą, szlachetną damą i doprawdy nie zasługuje pani na to, by ją oszukiwano.

- Jest to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła - odparłam. - Niech więc mnie pani objaśni, co ma pani na myśli.

Skinęła głową.

- Jest tylko jedna kobieta, która powinna być tutaj i która byłaby... gdyby nie to, co jej uczyniono. Jeśli ktoś myśli o zajęciu jej miejsca, powinien się dobrze zastanowić, zanim zdecyduje się na ten krok.

Poczułam, że się czerwienię.

- Nie rozumiem, do czego pani zmierza, panno Cray.

- Doskonale pani rozumie - odparła sucho. - Mówię to, aby uświadomić pani pewne rzeczy. Dla pani własnego dobra. Ona weszła do tego domu jako młoda mężatka, a nie minął nawet rok, gdy była martwa. Zanim się tu sprowadziła, była młodym beztroskim stworzeniem.

- Pani mówi o... ?

- O mojej panience Laurze.

- Wydawało mi się, że zmarła, wydając na świat dziecko.
- Biedna myszka, nigdy nie powinna była przez to przechodzić. On o tym wiedział... i zmusił ją do tego. Chciał mieć dziecko... najlepiej syna. Całe to bezsensowne gadanie o ciągłości rodu. Laura wiedziała, że to dla niej niebezpieczne. Ja także wiedziałam, ale tak musiało być. Aż przykro było na nią patrzeć. Była przerażona. Powiedziała do mnie: „Jemina, gdy mnie zabraknie, zostaniesz tu i zaopiekujesz się moim dzieciątkiem, tak jak się opiekowałaś mną”. Dałam jej słowo, że to uczynię. Och, to było takie okrutne, takie nikczemne.

- To bardzo smutne, że umarła, ale czasami los tak decyduje.

Twarz Jeminy stężała.

- Można by to nazwać morderstwem.
- Panno Cray! - zawołałam - nie może pani insynuować niczego podobnego. To zupełnie fałszywe rozumowanie. To przecież naturalne, że gdy ludzie się pobierają, przychodzą na świat dzieci.

- On wiedział o tym równie dobrze jak ona. Ale tak musiało być. Och, on dobrze wiedział. Dla mnie jest to jak morderstwo. Nie przekona mnie pani. On jest właśnie taki... Uważam, że wszyscy powinni się o tym dowiedzieć. - Wstała i dodała rzeczowym tonem: - Muszę teraz zajrzeć do Bridget. Do Mary nie można mieć zaufania.

Odwróciła się w stronę drzwi. Zawołałam za nią:

- Proszę wrócić, panno Cray. Chcę pani coś powie dzieć.

Jemina odwróciła się w drzwiach.

- Ja już swoje powiedziałam. Dobrze wiem, co tu się wydarzyło. Widziałam to na własne oczy i wiem dokładnie, jak się to odbyło.

Jej twarz była wykrzywiona odrazą i nienawiścią, nienawiścią do Luciana.

Ona jest szalona, powiedziałam do siebie, ale w głębi duszy byłam bardzo poruszona.

* * *

Nie potrafiłam uwolnić się od myśli o Jeminie. Wciąż powracały do mnie jej słowa, a przed oczami miałam jej

twarz, wykrzywioną nienawiścią, gdy mówiła o morderstwie.

Ostrzegała mnie. Widziała mnie z Lucianem przy stajniach. Morderstwo, powiedziała. Oskarżała Luciana, że to z jego winy Laura zmarła w połogu. Ostrzegała mnie, abym się z nim nie wiązała. Jej zdaniem Lucian wiedział, że Laura była niezdolna do rodzenia dzieci, a mimo to nalegał. Taki mężczyzna, według Jeminy, jest zdolny do wszystkiego, nawet do morderstwa, byle tylko osiągnąć swój cel.

Ta kobieta musi być szalona, pomyślałam. Gdy mówiła o śmierci Laury, w jej oczach czaił się obłęd. Dlaczego została w Grange? Z powodu przysięgi złożonej Laurze, która przeczuwała, że umrze? Wszystko to brzmiało nadzwyczaj melodramatycznie i nie wierzyłam ani jednemu jej słowu. Jemina reagowała bardzo emocjonalnie. Całe swoje życie z poświęceniem opiekowała się Laurą i po jej zgonie obwinała innych za jej śmierć, głównego winowajcy upatrując w Lucianie. Ja byłam dla niej kimś zupełnie obcym, ale ponieważ obawiała się, że Lucian mógłby poprosić mnie o rękę, ostrzegła mnie, czy też udawała, że ma taki cel. Przy tym była zazdrosna o moją przyjaźń z jej podopieczną. Nie chciała mnie tutaj. W pewnym sensie było to zrozumiałe.

Morderstwo, powiedziała. To oskarżenie było absurdalne. A jednak użyła tego słowa i teraz nie dawało mi ono spokoju. Postanowiłam przy pierwszej nadarzającej się okazji porozmawiać z Lucianem. Następnego dnia rano, gdy pokazywał mi coś w ogrodzie, poruszyłam dręczący mnie temat.

- Lucianie - zaczęłam - nigdy nie mówisz o Bridget. To takie słodkie maleństwo. Zaznajomiłam się z nią i bardzo się polubiłyśmy.

- Nie znam się specjalnie na dzieciach.

- Wiele czasu spędza ze swoją opiekunką.

- Najczęściej dzieci spędzają większość czasu ze swoimi opiekunkami.

- Ale czasami wydaje mi się, że ty i lady Crompton le-dwo zauważacie jej obecność.

- Naprawdę? Widocznie zaniedbuję swoje obowiązki.

Człowiek niechętnie wspomina swoje porażki. Mam na myśli moje małżeństwo. Od samego początku było pomyłką. Urodziło się dziecko, a Laura umarła. To wszystko. Nawet gdyby los zdecydował inaczej, nie byłoby wcale lepiej.

- Gdyby Bridget była chłopcem... - zaczęłam.

Twarz mu pociemniała.

- Może lepiej, że jest tak, jak jest. Ale to już skończone. To był błąd. Niewiele ich popełniłem w swoim życiu, ale ten był największy. Miałem zamiar opowiedzieć ci o tym wszystkim, ale jakoś nie mogłem się przemóc. To taki przygnębiający temat.

- Była bardzo młoda, gdy umarła.

- Miała osiemnaście lat. Wszystko potoczyło się tak szybko. Laura nie lubiła Grange. Twierdziła, że dom jest stary, pełen duchów i cieni z przeszłości i że te duchy nie życzą sobie jej obecności. Życie w Grange bardzo różniło się od tego, jakie знаła do tej pory. Jej ojciec dorobił się majątku na węglu. Laura nie potrafiła dostosować się do zwyczajów panujących w rodzinie takiej jak moja. A poza tym spodziewała się dziecka. Była tym przerażona, jakby przeczuwała, że umrze. Żyła w śmiertelnym strachu, a ta kobieta jej nie opuszczała.

- Masz na myśli Jeminę Cray?

Skinął głową.

- Tak. Tylko ona potrafiła ją uspokoić. To był okropny okres dla nas wszystkich.

- Ale Bridget jest urocza. Myślałam raczej, że będzie pociechą dla ciebie i lady Crompton.

- Zawsze jest z nią ta kobieta.

- Ona jest bardzo dziwna.

- Jest bardzo dobra dla dziecka. Dla Bridget zrobiłaby wszystko.

- Nigdy nie myślałeś o zatrudnieniu innej niani?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że chcieliśmy. Ale ona obiecała Laurze. W tych okolicznościach najlepiej było pozwolić jej zostać. Tak więc zaliczyliśmy Jeminę Cray do stałego inwentarza. Ale pomówmy o czymś weselszym. Musisz nas wkrótce znowu odwiedzić.

- Przecież jeszcze nie skończyłam obecnej wizyty.
- Wiem, ale nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, ilekroć tu jesteś. Moja matka uważa, że powinniśmy więcej przyjmować. Obecnie nie czuje się na tyle dobrze, by dbać o takie rzeczy, ale kiedyś sprawiało jej to wielką przyjemność. W sąsiedztwie mieszka wiele interesujących osób, począwszy od tradycyjnych ziemiańskich typów po różnego rodzaju ekscentryków. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, ile radości sprawia mi każda twoja wizyta. A mojej matce także.

- A ty przyjedziesz na ślub Gertie, czy tak?

- Oczywiście, nie mógłbym inaczej.

A jednak mimo naszej rozmowy nie opuszczała mnie myśl o Jeminie Cray.

Castle Folly

Gertie zdecydowała, że ciotka Beatrice i wuj Harold powinni wydać proszony obiad.

- Będzie Bernard, Lawrence Emmerson i jego *alter ego* Dorothy, ty, ja i romantyczny Lucian. Myślę, że to dobry pomysł. Ostatnio tyle bywałaś... te wszystkie weekendy... W końcu jesteś naszym gościem i musimy się jakoś zrewanżować. Niedługo będziemy całkowicie pochłonięci przygotowaniami do wesela, więc lepiej urządzmy to od razu.

Ciotka Beatrice zapaliła się do tego pomysłu, chociaż chwilami ogarniała ją wątpliwość.

- Ale czy nasz dom jest odpowiednio wytworny? - pytała. - Dla Emmersonów to wystarczy, ale dla sir Luciana?

Zapewniłam ją, że w tym względzie nie ma się czego obawiać.

Gertie doszła do wniosku, że obiad będzie bardziej odpowiedni niż lunch. Lunch to jednak nie to samo, twierdziła. Z Emmersonami nie było problemu, gdyż mieszkali w pobliżu, ale co z mieszkającym na wsi Lucianem? Nie mogliśmy go przecież przenocować.

Powiedziałam, że Lucian przenocuje w hotelu. Zawsze to robił, ilekroć przyjeżdżał do Londynu, więc nie ma przeszkód, żeby go zaprosić.

Zaproszenia zostały rozesłane i przyjęte. Lucian potwierdził, że przenocuje w hotelu Walden w Mayfair, jak to zwykł czynić poprzednio. Zresztą i tak wybierał się do Londynu w interesach i postanowił połączyć obie okazje. Tak więc wszystko ułożyło się ku ogólnemu zadowoleniu.

Gertie była w siódmym niebie. Wszystko sprawiło jej radość i wprost nie posiadała się ze szczęścia. Wkrótce miała zostać panią Ragland. Dom był niemal wykończony i w ogóle przyszłość przedstawiała się w różowych barwach. Jedyne, czego potrzebowała, by jej szczęście było zupełne, to widzieć mnie w podobnej sytuacji. Kochana Gertie, wierna przyjaciółka.

Wraz z ciotką Beatrice niemal bez przerwy omawiały zbliżające się przyjęcie. Jakie kwiaty zamówić do dekoracji stołu? Wyciągnęły najlepszą porcelanę, używaną tylko przy szczególnie uroczystych okazjach, i wyczyściły meble na wysoki połysk.

- Dorothy może to spostrzeże - skomentowałam - ale inni z pewnością nie.

Nareszcie nadszedł wielki dzień. Wypiliśmy aperitify w salonie, a potem zasiedliśmy do stołu. Rozmowa była bardzo ożywiona. Lawrence opowiedział kilka anegdot ze szpitala, Lucian z zapałem rozprawił o życiu na wsi. Wszyscy przyłączyli się do rozmowy i nawet wuj Harold miał coś do powiedzenia, podczas gdy ciotka Beatrice bacznym okiem śledziła kolejność pojawiania się potraw, pełna obaw, że coś mogłoby pójść nie tak jak trzeba.

Zupełnie niepotrzebnie się denerwowała, bo wszystko przebiegało zgodnie z planem, goście zaś byli tak zainteresowani rozmową, że nawet gdyby przydarzyło się jakieś potknięcie, i tak by tego nie zauważyli.

Gdy po skończonym posiłku przeszliśmy na kawę do salonu, Dorothy zaczęła opowiadać o książce, którą czytała ostatnio.

- Nikt by nie podejrzewał, że moją siostrę mogą interesować tak okrutne tematy, prawda? - powiedział Lawrence. - Zawsze pasjonowała się zbrodnią.

- Wiem, że nawet napisała książkę na ten temat - wtrąciłam. - Pożyczyła mi ją i uważam, że jest bardzo zajmująca.

- Zainspirował mnie przypadek Jamesona - powiedziała Dorothy. - Pewnie słyszeli państwo o tej sprawie. To wydarzyło się wiele lat temu. Martin Jameson wyszukiwał bogate kobiety, żenił się z nimi, a gdy już zapisały mu swój majątek, po prostu je mordował. Co ciekawe, ten człowiek był czarujący w obejściu i nikt nie podejrzewał, by mógł być zdolny do podobnej nikczemności, dzięki czemu mógł z powodzeniem uprawiać swój proceder przez długi czas.

- Z pewnością wykorzystywał swój urok osobisty do realizacji tych niecznych zamierzeń - zauważył Lucian.

- Owszem, ale z jego strony to wcale nie była poza. On naprawdę był ujmujący; pomógł wielu ludziom, którzy później zeznawali na jego korzyść. Był ogólnie szanowany. Tymczasem zaś łowił posażne kobiety, żenił się z nimi i później je mordował. Aż do egzekucji nie przestał być uprzejmy i czarujący.

- Jednak mimo to musiał mieć skłonności do okrucieństwa - powiedział Lawrence. - Poza tym nie zapominaj, że robił to dla pieniędzy.

- Każdy morderca zasługuje na stryczek - wtrącił Bernard.

- Myślę, że Dorothy chciała zrozumieć tego człowieka, wnikać w jego psychikę - objaśnił Lawrence. - Szukała odpowiedzi na pytanie, co sprawiło, że mimo swojego łagodnego charakteru został mordercą.

- To chyba jasne - powiedział wuj Harold. - Chęć zysku.

- Dlatego też został powieszony - dodała Gertie. - Każdy, kto popełni zbrodnię, zasługuje na stryczek. - Popatrzyła na Bernarda. - A zwłaszcza mąż, który zamorduje swoją żonę.

- Słucham pilnie przez cały czas - powiedział Bernard.

- Mam nadzieję, że nie sądzisz, by to, co posiadam, było warte morderstwa - rzuciła Gertie.

- Zobaczymy, najpierw muszę przyjrzeć się bliżej twojemu majątkowi.

Dorothy nie zamierzała dopuścić do tego, by żarty zakochanych miały zakłócić tak poważny temat.

- Studiowanie podobnych przypadków bywa niezmiernie pouczające - powiedziała. - Pozwala lepiej zrozumieć ludzi, a natura ludzka to fascynujący temat. Przypomniał mi się inny przypadek, o którym czytałam ostatnio. W miejscowości Cranley Wood w Yorkshire została zastrzelona młoda dziewczyna. To wydarzyło się dobrych kilka lat temu. Istnieje możliwość, że powieszono za ten czyn zupełnie niewinnego człowieka.

Lucian pochylił się do przodu.

- Nie słyszałem o tym przypadku - powiedział.

- Nie był specjalnie głośny. Większość ludzi uważała, że człowiek, który przyznał się do winy, był szalony.

- Proszę nam o tym opowiedzieć - powiedział Lucian.

- Jestem pewien, że nikt nie powstrzymałoby Dorothy od tego - wtrącił Lawrence. - Wsiadła na swojego ulubionego konika.

- Morderstwa są takie interesujące - dodała Gertie.

- A więc wracając do tamtego przypadku - mówiła Dorothy - Marion Jackson, córka farmera, była zaręczona z Tomem Ecclesem z sąsiedztwa, także gospodarującym na kawałku ziemi. W tej samej okolicy mieszkał drobny posiadacz ziemski, znany kobieciarz i hulaka. Dłuższy czas przebywał za granicą, a gdy wrócił, zaczął siać spustoszenie w sercach wiejskich dziewcząt. Jedną z jego ofiar była właśnie Marion. Nie była to jakaś niezwykła historia. Marion została uwiedziona i zaszła w ciążę. Usiłowała wmówić Tomowi Ecclesowi, że to jego dziecko. Między nią a narzeczonym doszło w lesie do sprzeczki, którą ktoś podsłuchał. Tom, odkrywszy, że dziecko nie jest jego, zmusił Marion do wyznania, kto jest ojcem. Tego samego popołudnia Marion została znaleziona w lesie z przestrzelonym sercem.

- Z pewnością zrobił to ten narzeczony - powiedziała Gertie. - Musiał być wściekły.

- To rozumiałe - dodał Bernard.

- Tak powszechnie sądzono - ciągnęła Dorothy. - Wszczęto dochodzenie. Broń, z której padł strzał, to był bardzo popularny typ strzelby. Tom Eccles miał taką, podobnie ojciec Marion i wielu farmerów w sąsiedztwie.

- A ten uwodziciel? - zapytała ciotka Beatrice.

- Prawdopodobnie też. Strzał słyszało wielu świadków. Tom Eccles nie miał alibi na krytyczny okres. W każdym razie świadkowie zeznali, że podczas wcześniejszej kłótni użył słów: „zabiję cię za to” i był w stanie najwyższego wzburzenia. Proces nie trwał długo. Wszystko przemawiało za tym, że Tom Eccles ogarnięty szaleńczą zazdrością zastrzelił Marion Jackson. Uznano go winnym i powieszono. Działo się to ponad dwadzieścia lat temu. Mogliby państwo powiedzieć, że była to najzwyczajniejsza w świecie zbrodnia, jakich przecież nie brakuje.

- Zbrodnia nigdy nie jest zwyczajna - sprzeciwił się wuj Harold.

Dorothy odwróciła się ku niemu.

- Ma pan rację. Dlatego też zajmowanie się tym tematem jest takie fascynujące. Tak jak mówiłam, cała historia wydarzyła się dawno temu. Popelniono morderstwo, człowiek został powieszony. Czy kiedykolwiek zastana wiali się państwo nad tym, że ktoś mógł zostać skazany na zbrodnię, której nie popełnił, aczkolwiek wszystkie okoliczności wskazywały na jego winę?

- Owszem - powiedział Lucian cicho.

Dorothy pokiwała głową w jego kierunku.

- To właśnie tak mnie zafrapowało w omawianym przypadku. Pięć lat temu, a więc w piętnaście lat po skazaniu Toma Ecclesa, pewien człowiek napisał list do gazety. Leżał już na łożu śmierci i - jak się zdaje - od długiego czasu dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie mógł wykluczyć, że zamordował Marion Jackson, mimo że nie znał jej wcale, ba, nigdy jej nawet nie widział na oczy.

- Jakże więc mógł ją zamordować? - wykrzyknęła Ger-tie.

- To było bardzo dziwne... ale możliwe. Człowiek ten nazywał się David Crane. W dniu, w którym zginęła Marion, był w tamtym lesie, strzelając do gołębi, co stanowiło jego hobby. Crane mieszkał w Devonshire, wakacje zaś spędzał w Yorkshire, wędrując po okolicy. Czasami zatrzymywał się na noc w gospodach, a czasami, gdy tylko pogoda na to pozwalała, sypiał pod gołym niebem. Strzelał do lisów, królików, gołębi, słowem, do wszystkiego, co tylko nawinęło mu się pod lufę. Tym razem celował do gołębia. Spuszczał,

ale nie przejął się tym. Dopiero później zorientował się, że działo się to w tym samym miejscu, w którym zginęła Marion. Ta myśl nie dawała mu spokoju. W kilka lat później wrócił w tamte lasy. Dowiedział się, gdzie dokładnie znaleziono ciało, i wtedy doszedł do wniosku, że być może to jego strzał pozbawił Marion życia. Ostatnie słowa Toma Ecclesa brzmiały: „Przysięgam na Boga, że nie zabiłem Marion”. David Crane nie mógł o tym zapomnieć. Ustawicznie wracał w tamte strony. Odwiedził ojca Toma Ecclesa i rozmawiał z nim o morderstwie. Staruszek niezłomnie wierzył, że syn był niewinny. Przecież przysięgł, że w chwili, gdy padł fatalny strzał, nie było go w lesie, chociaż nie potrafił tego udowodnić. Prawdą jest, że posiadał strzelbę tego samego typu jak ta, z której strzelano, ale podobnymi dysponowali niemal wszyscy okoliczni wieśniacy. „Tom nigdy by nie umarł z kłamstwem na ustach” - powtarzał jego ojciec z przekonaniem. Davida Crane'a zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia.

Wszyscy słuchaliśmy w napięciu. Dorothy wsiadła na swojego ulubionego konika i wiedziała, czym przykuć uwagę słuchaczy.

- I co w końcu zrobił w tej sprawie? - zapytał Lucian.
- Na krótko przed śmiercią napisał ten list.
- Czekał aż do tego czasu?
- Prawdopodobnie uważał, że nawet gdyby wcześniej wyznał całą prawdę, Tomowi Ecclesowi i tak by to już nie pomogło.
- Tak - powiedział Lucian z powagą - nic więcej nie mógł zrobić.
- Życie z takim obciążeniem musiało być potworne - zauważył Lawrence.
- Mogę zrozumieć jego uczucia - powiedział Lucian. - Tak, rozumiem je doskonale.
- Wyobraźmy sobie normalnego człowieka, zadającego sobie pytanie: „Czy jestem zabójcą?” - powiedziała Dorothy.
- Musiało go to dręczyć przez całe lata - ciągnął Lucian - skoro z powodu jego uczynku został powieszony niewinny człowiek.

- Właśnie - kontynuowała Dorothy. - Biedak nie wiedział, co ma zrobić. Obawiał się wystąpić publicznie przyznając się do zabójstwa, zwłaszcza iż zdawał sobie sprawę, że Tomowi Ecclesowi i tak to już nie pomoże.

- Postąpił słusznie. Odgrzebywanie tamtej sprawy nie miało sensu - powiedział Lucian.

- Pozwoliłoby oczyścić imię Toma Ecclesa - zauważyła Dorothy.

- Ten już nie żył - odparł Lucian.

- Pozostawała jego rodzina - wtrącił Lawrence. - Na przykład stary ojciec. To żadna przyjemność mieć w rodzinie mordercę, zwłaszcza zaś takiego, który został powieszony. To plama na honorze.

- W każdym razie David Crane wyznał wszystko dopiero na łożu śmierci - mówiła dalej Dorothy. - Dopiero wówczas napisał ten list do gazety, uspokajając tym swoje sumienie.

- Przecież nie mógł być pewien, że to z jego strzelby padł ów fatalny strzał - powiedział Lawrence.

- Dokładnie tak. W tym właśnie tkwił cały problem. To była zaledwie jedna z możliwości, a przecież tak naprawdę to nikt nie znał prawdziwego przebiegu wypadków.

- Przypuszczam, że tego typu historie zdarzały się i wcześniej - zauważył Lucian.

- O, z pewnością - odparła Dorothy - chociaż ja nigdy nie słyszałam o podobnej sprawie.

- W takim przypadku mielibyśmy do czynienia z nie-umyślnym spowodowaniem śmierci.

- Wszystko to jest niezmiernie interesujące - zakończył Lawrence. - Teraz widzą państwo, dlaczego Dorothy tak się tym pasjonuje.

Ta dyskusja nieco popsuła nastrój. Domyślałam się, że wszyscy myśleli teraz o tym biednym człowieku powieszonym za zbrodnię, której prawdopodobnie nie popełnił.

Gdy goście się rozeszli, państwo Hysonowie, Gertie i ja usiedliśmy razem w salonie.

- Cóż, cioteczko Bee - powiedziała Gertie - możesz so bie pogratulować niezwykle udanego przyjęcia.

- Trochę się obawiałam sir Luciana - zachichotała ciotka Beatrice - ale okazał się bardzo bezpośredni.

- Doskonale dobrałaś gości, moja ty dyplomatko - dorzuciła Gertie. - Dorothy była znakomita, prawda? Ta wie, jak przykuć uwagę słuchaczy.

- Mój Boże, ależ sir Lucian zainteresował się tym morderstwem - powiedziała ciotka Beatrice. - Wcale nie mniej niż każdy z nas.

W tydzień po przyjęciu, ku mojemu zdumieniu, przyszedł list od lady Crompton.

Droga Carmel,

W przyszłym tygodniu Lucian musi wyjechać na kilka dni. Sprawiłabyś mi wielką przyjemność, gdybyś zechciała mnie wtedy odwiedzić. Rozmowa z Tobą to taka radość dla mnie, a Lucian zawsze Cię monopolizuje, ilekroć jest w domu podczas Twoich odwiedzin. Pomyślałam sobie, że jeśli Ci to odpowiada, mogłybyśmy spędzić razem kilka spokojnych dni. Zawsze bardzo mnie cieszą Twoje wizyty. Od czasu, gdy choroba uczyniła mnie niesprawną, czuję się taka samotna. Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mogła przyjechać, ale proszę, nie wahaj się powiedzieć nie, jeśli moja propozycja Ci nie odpowiada.

Isabel Crompton

Byłam zaintrygowana tym pomysłem, więc odpowiedziałam twierdząco. Gertie była rozbawiona.

- To oznacza jedną z dwóch rzeczy - prorokowała. - Albo otrzymasz matczyne błogosławieństwo, albo też zostanie ci powierzona jakaś okropna tajemnica, rodzaj ostrzeżenia, abyś trzymała się z daleka od tego domu.

- Nie bądź taka melodramatyczna, bo to śmieszne - odparłam. - Po prostu stara, samotna kobieta pragnie jakiejś odmiany.

- To dopiero zabawne. Życie jest doprawdy ekscytujące.

- Zwłaszcza dla tych, którzy niebawem będą brali ślub.

- A także dla tych, którzy mają trójkę wielbicieli.

Ze stacji odebrał mnie jeden ze stajennych. Zajechaliśmy do Grange, gdzie jak zwykle czekało mnie serdeczne przywitanie.

- Lucian tak się ucieszył, kiedy się dowiedział, że przyjeżdżasz. Żałował, że nie może zostać w domu. Opowiadał mi o uroczym przyjęciu, wydanym przez twoich przyjaciół. Jakże żałuję, że nie mogłam w nim uczestniczyć.

- Tak, wieczór upłynął nam bardzo przyjemnie. Jestem niezmiernie wdzięczna państwu Hysonom, że urządzili przyjęcie dla moich przyjaciół.

- Lucian mówił mi o doktorze i jego pełnej temperamencie siostrze. Zdaje się, że to twoi dobrzy znajomi.

- O tak, doktor przyjaźnił się jeszcze z moim ojcem, a teraz, wracając z Australii, spotkałam go znowu.

- Tak, Lucian wspominał o tym.

Później tego samego wieczoru zaczęła mi opowiadać o małżeństwie Luciana.

- To było takie niefortunne. Zupełnie niepodobne do Luciana. Ta dziewczyna absolutnie nie była dla niego odpowiednia. Oczywiście była bardzo ładna. Myślę, że to go musiało zauroczyć. Mężczyźni często bywają strasznymi głupcami. Od samego początku, gdy tylko weszła do tego domu, wiedziałam, że ten związek nie będzie udany. Bardzo bym pragnęła, żeby ożenił się po raz drugi, lepiej. Nasze nazwisko rodowe liczy sobie ponad trzysta lat. To do czegoś zobowiązuje.

- Gdyby Bridget była chłopcem... - zaczęłam.

- Raczej jestem zadowolona, że nim nie jest. Z taką matką...

- Wydaje mi się bardzo mądrą i rozkoszną dziewczynką.

- Dzieci potrafią być rozkoszne. Jestem naprawdę zadowolona, że jest dziewczynką. Nie chciałabym, aby dziecko tej kobiety miało odziedziczyć Grange. Zastanawiam się nawet, czy to jest dziecko Luciana.

- Co panią skłania do podobnych przypuszczeń?

- Nie wiem. Od samego początku wszystko przebiegało w ogromnym pośpiechu, zupełnie nie tak, jak powinno być. Nie wydaje mi się, aby ją kochał. W jakiś sposób zapędził

się w ślepią uliczkę. To był okropny okres i bardzo cierpiałam z tego powodu.

- Może pani nie chce mówić na ten temat, lady Crompton?

- Nie, moje drogie dziecko, chciałabym, abyś wiedziała. On nigdy jej nie kochał. Są pewne sprawy, których nie potrafię pojąć. W tamtych czasach Lucian był bardzo skryty. Nigdy przedtem tak się nie zachowywał. Jako chłopiec był zawsze szczerzy i otwarty. Był taki pogodny. Z łatwością radził sobie ze wszystkimi problemami. A potem coś go nagle odmieniło. Stał się zmienny w nastrojach... introwertyczny, refleksyjny... jakby czymś się dręczył. Jestem szczęśliwa, że upodobał sobie twoje towarzystwo.

- Miło mi to słyszeć. Ja także go lubię.

- A ten twój przyjaciel, ten doktor... ?

- Lawrence Emmerson?

- Ten, który ma taką mądrą siostrę. Lucian sporo o nim myśli. Wcale nie jestem pewna, czy go lubi, czy nie. Doktor jest kawalerem, prawda?

-Tak.

-Przystojny, z pozycją... zdominowany przez siostrę. Czy tak to wygląda?

- Może niezupełnie zdominowany. Są sobie bardzo oddani, a ona troszczy się o niego i poświęca mu się bez reszty. To bardzo silna osobowość. W każdej sytuacji potrafi powiedzieć, jak jej zdaniem należy postąpić i w większości wypadków ma rację. Ma bardzo praktyczny umysł i jest naprawdę wspaniała.

- I oni oboje są twoimi przyjaciółmi?

- Bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Tak dobrymi jak Lucian i ja?

- Tak, tak myślę. Bardzo trudno jest robić takie porównania.

- Lucian to dobry człowiek, wiesz chyba sama. Jego małżeństwo nie było udane. Podobne historie nie pozostają bez wpływu na charakter. Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, niż gdybym znowu mogła widzieć go szczęśliwym. Powinien być szczęśliwy. On potrafi cieszyć się szczęściem. Ale ta fatalna historia ciągnie się za nim.

Chciałabym, aby zerwał z przeszłością. To jednak jest niezmiernie trudne. Są przecież... konsekwencje.

- Ma pani na myśli Bridget?
- Nie tyle Bridget, ile tamtą kobietę.
- Jeminę Cray?

Lady Crompton skinęła głową.

- Tak. Jak długo ona u nas pozostanie, tak długo nie-
możliwe będzie zerwanie z przeszłością. Jej obecność bez
przerwy przypomina nam o tamtym...

- To naturalne. Ale przecież to jest pani dom i gdyby
pani kazała jej odejść, musiałaby to uczynić.

- Ja bym ją zwolniła natychmiast, ale Lucian nie chce
nawet o tym słyszeć.

- Dlaczego?

- Bo ona obiecała Laurze, że tu zostanie. Tym trzyma go
w szachu, nawet jeśli nie wspomina o tym często. Mówiłam
już Lucianowi: „Słuchaj, Laura umarła, a dziecko jest pod
naszą opieką. Po cóż trzymać jeszcze tę nieszczęsną
Jeminę?”. Ale on mi wtedy odpowiada, że takie było
życzenie Laury. Tym sposobem nie możemy się jej pozbyć.
Nie znoszę jej, ale z powodu owego przyrzeczenia danego
na łożu śmierci...

- Dziecku jest niezmiernie oddana, a Bridget też bardzo
ją lubi.

- W to nie wątpię. Mimo wszystko... - Dotknęła mojej
dłoni. - Między nami mówiąc, wydaje mi się, że ty i ja
potrafiłybyśmy jakoś temu zaradzić.

Popatrzyłam na nią zdziwiona. Lady Crompton uśmie-
chała się promiennie. Wiedziałam, że gdyby Lucian poprosił
mnie o rękę, lady Crompton zaakceptowałaby to całym
sercem.

* * *

Cały następny ranek spędziłyśmy razem. Lady Crompton
nie czyniła już dalszych uwag na temat małżeństwa Luciana.
Pokazywała mi rozmaite makaty i gobeliny, które haftowała
własnoręcznie, zanim ta praca stała się zbyt nużąca dla jej
oczu. Po południu jednak złapał ją atak reumatyzmu, tak że
musiała pójść do łóżka i położyć się na kilka godzin.
Zatroszczyła się, czy znajdzie sobie jakieś zajęcie.

Odpowiedziałam, że tak, i postanowiłam wybrać się na spacer.

Nogi same poniosły mnie w stronę Commonwealth House. Po raz pierwszy, odkąd zaczęłam przyjeżdżać do Grange, znalazłam się na dworze bez Luciana. W przeciwnym razie pewnie już wcześniej ogarnęłaby mnie nieodparta pokusa, by jeszcze raz popatrzeć na tamten dom. Wreszcie miałam okazję.

I oto stał teraz przede mną... ponury i opuszczony, a przecież jakże znajomy. Jego widok wzbudził we mnie mieszane uczucia.

Omiń go po prostu, upominałam samą siebie. Cóż do brego cię tu spotka, jeśli podejdziesz bliżej? Będzie ci tylko przykro. Ale gdy się zbliżyłam, odruchowo skręciłam ku bramie. Tylko jedno krótkie spojrzenie, obiecywałam sobie, a potem natychmiast stąd odejdę.

Szłam podjazdem. Dom był ledwo widoczny spoza rozróżnionych krzewów. Wokół panowała tajemnicza atmosfera, jaka zawsze towarzyszy opuszczonym domostwom. Wyobrażałam sobie, że zza powybijanych okien śledzą mnie czyjeś oczy. Oczy ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali - pani Marline, panny Carson i biednego doktora.

Wracaj, powtarzałam sobie. Jaki był sens tu przychodzić? Ale wbrew sobie zbliżałam się w stronę domu. Byłam już przy drzwiach, wiszących na połamanych zawiasach. Popchnęłam je lekko, ale zrezygnowałam z wejścia. Zamiast tego zaczęłam obchodzić dom dookoła. Ściany pokrywały liszaje wilgoci, szyby znaczyły smugi brudu. Do kogo należał teraz ten dom? Do Henry'ego? Dlaczego pozwolił, by doprowadzono go do takiego stanu? I gdzie był teraz Henry? Lucian nie miał pojęcia. Chłopcy stracili się z oczu, gdy Henry pojechał razem z siostrami do ciotki Florence.

Byłam teraz w ogrodzie, w miejscu, gdzie Tom Yardley znalazł mnie pod krzewem azaliowym. Obecnie krzew był zwiędnięty, zduszony przez chwasty. Tutaj Tom Yardley zwykł ustawiać fotel pani Marline. Obejrzałam się i popatrzyłam na francuskie okna pokoju, w którym umarła.

Wszystko to było takie przygnębiające. Zrobiłam głupstwo, przychodząc tutaj. Co chciałam przez to osiągnąć?

Skierowałam wzrok w stronę lasów. Nad koronami drzew unosiła się smuga dymu. Cyganie, pomyślałam, w lasach są Cyganie.

Od razu zrobiło mi się raźniej. Muszę sprawdzić, czy to ten sam tabor, co niegdyś. Chciałam uciec od przygnębiającego nastroju, jaki ogarnął mnie na widok domu. Chciałam znowu zobaczyć bawiące się dzieci.

Ogród oddzielony był od lasu żywopłotem. Pamiętałam, że w żywopłocie jest niewielki prześwit, przez który przeciskałam się jako dziecko. Teraz uczyniłam to samo i ruszyłam między drzewami, aż dotarłam do polany, na której stały wozy. Dzieci bawiły się na trawie, kobiety rozsiały się wokoło, wycinając klamerki do bielizny z kawałków drewna. Wszystko wyglądało tak jak niegdyś.

Czy mógł to być ten sam tabor? Słyszałam, że Cyganie zawsze powracają w te same miejsca. Jakże chętnie zobaczyłabym znowu Rosie Perrin i Jake'a.

Podeszłam bliżej. Na stopniach jednego z wozów siedziała kobieta. Wyglądała zupełnie jak Rosie, ale kobiety cygańskie bywają bardzo podobne do siebie.

Dzieci zauważyły mnie pierwsze. Poznałam to po ciszy, jaka nagle zapadła. Obserwowały mnie. Kobiety podniosły głowy znad swoich drewniaków. I nagle usłyszałam dobrze znany mi głos.

- Carmel, Carmel przyszła nas odwiedzić.

Pobiegałam naprzód. To rzeczywiście była Rosie Perrin. Zeszła po schodkach i stanęłyśmy naprzeciw siebie, uśmiechając się.

- Gdzie się podziewałaś, Carmel? - zapytała.

- W Australii - odparłam.

Roześmiała się swoim serdecznym śmiechem, który pamiętałam tak dobrze.

- Chodź do mnie, chodź i opowiedz mi o wszystkim.

Poszłam za nią do wnętrza wozu. Tu też nic się nie zmieniło. Rosie wskazała mi miejsce. Oczy jej błyszczały radością i podnieceniem.

- Wiem, że odjechałaś, gdy tylko zaczęły się te wszystkie kłopoty. Słyszałam o nich. Na Commonwood House spadło prawdziwe nieszczęście.

Opowiedziałam jej o tym, jak Toby wyznał mi, że jest moim ojcem, i o naszym wyjeździe do Australii. Pokiwała głową.

- Nie chciał, abyś była zamieszana w tę historię. Byłaś wtedy dzieckiem. Tamte dzieci też wyjechały.

Mówiłam jej o swoim życiu przez te wszystkie lata, o tym, jak się dowiedziałam, że Zingara jest moją matką, i o wizytach w Grange.

- A czy wy, Cyganie, zawsze przyjeżdżacie w te same okolice? - zapytałam.

Skinęła głową.

- Tak. Ten dom podupadał na naszych oczach. Czymże jest obecnie? Ruiną. Nikt w nim nie zamieszka. Całkiem się rozpadnie... i nic z niego nie pozostanie.

- Ale dlaczego?

- Domy żyją swoim własnym życiem. W Commonwood House wydarzyło się coś okropnego i to wspomnienie jest ciągle żywe. Ilekroć zbliżam się do tego domu, natychmiast to wyczuwam. Zachodzę tam czasami i wtedy do moich uszu dociera coś, jakby westchnienia.

- Westchnienia?

- To wiatr... coś w powietrzu. Ten dom cierpi, jest nieszczęśliwy.

- Przecież to tylko cegły i zaprawa, Rosie.

Potrząsnęła głową.

- My, Cyganie, potrafimy wyczuć podobne nastroje. Taki stan będzie trwał dopóki...

-Tak?

- Dopóki szczęście na nowo w nim nie zagości.

- Pewnie zostanie zburzony do fundamentów, a na jego miejscu stanie nowy dom.

- Który będzie szczęśliwy.

- Commonwood House nigdy nie był szczęśliwym domem, Rosie. Pani Marline nie dopuszczała do tego.

- Ona już nie żyje - powiedziała Rosie. - Pokój jej duszy. Przynosiła nieszczęście swoim życiem i przyniosła je swoją śmiercią. Bardziej żalowano biednego doktora niż jej.

- Nie mogę znieść myśli o nim. Nawet zanim się jeszcze dowiedziałam, co go naprawdę spotkało... przez te wszystkie

lata, kiedy byłam daleko stąd, ciągle o nim myślałam.

- Moje dziecko, wszystko, co wydarzyło się wczoraj, decyduje o naszym dzisiaj. W życiu każdego człowieka przychodzą takie momenty, których nic nie wymaże z pamięci. Ale nasze spotkanie okazało się szczęśliwe, więc cieszymy się nim. Opowiedz mi jeszcze, co się z tobą działo.

Mówiłam jej o podróżach z Tobym, o Elsie, która zastępowała mi matkę, a która w rzeczywistości była żoną Toby'ego, chociaż nie żyli ze sobą jak małżeństwo.

Rosie ze zrozumieniem pokiwała głową.

- To był tego typu człowiek, wiem o tym od Zingary. Był powszechnie kochany. Potrafił wiele dawać i w zamian otrzymywał wiele miłości. Miałaś wspaniałego ojca i wspaniałą matkę, Carmel. Ja tak uważam, chociaż nie wszyscy by się ze mną zgodzili.

- A gdzie jest teraz Zingara?

- Przestała występować. Zrezygnowała z kariery scenicznej. Opowiem jej o naszym spotkaniu. Daj mi swój adres, a ja jej go prześlę. Zingara napisze do ciebie. Jest bardzo mądra i potrafi pisać. Ten dżentelmen ją nauczył. Swego czasu mieszkał z nami, pragnąc poznać nasze zwyczaje. Chciał napisać książkę o Cyganach. Wynajął wóz i przez cały rok wędrował z naszym taborem. Nie mieliśmy nic przeciwko temu. Dobrze płacił i był zabawny. Zainteresowała go Zingara, która miała wówczas może z osiem lat i była najbardziej uroczym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić.

Rosie umilkła na chwilę, uśmiechając się do swoich wspomnień.

- Nauczył ją czytać i pisać. Bardzo jej się to spodobało. Zawsze lubiła wiedzieć więcej niż inni. Czytała i czytała. Potem ten dżentelmen odjechał i napisał swoją książkę, ale nie zapomniał o Zingarze. Namówił pewnego pana, aby zobaczył, jak Zingara tańczy i śpiewa, i tak się to zaczęło. Od czasu do czasu wraca do taboru i odwiedza mnie.

- Jakże bym chciała, by była tu teraz. Czy mogę do niej napisać?

Rosie zastanawiała się przez chwilę.

- Powiem ci, co zrobimy. Zapiszesz mi swój adres, a ja jej go prześlę. Niech Zingara sama zrobi to, co uzna za najlepsze.

- To dobry pomysł. - Wyjęłam ołówek z niewielkiej torebki, którą miałam ze sobą i wyrwałam kartkę z notesu.

- Nazywam się teraz Carmel Sinclair, a nie March - powiedziałam. - Mój ojciec uważał, że powinnam nosić jego nazwisko.

Napisałam adres Hysonów i wręczyłam go Rosie, która schowała kartkę do kieszeni. Potem przyrządziła herbatę ziołową, taką samą, jaką poczęstowała mnie niegdyś. Gawędziłyśmy ze sobą, popijając aromatyczny płyn. Tyle jej miałam do opowiedzenia, a ona ciągle stawiała nowe pytania.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że przecież bardzo długo przebywam już poza domem i lady Crompton może się niepokoić, co się ze mną stało.

* * *

Ślub Gertie miał się odbyć za tydzień i cały dom wypełniły gorączkowe przygotowania. Wszystko zostało zaplanowane aż do najdrobniejszego szczegółu. Po ceremonii i po przyjęciu Gertie i Bernard wyruszali w trzytygodniową podróż poślubną do Florencji. Dom, w którym mieli zamieszkać po powrocie, był już przygotowany i czekał na nich.

Oczywiście Lucian, Lawrence i Dorothy także otrzymali zaproszenia, a oprócz nich wielu przyjaciół państwa Hysonów oraz krewnych i znajomych Bernarda. Ciotka Beatrice już się martwiła, że jej dom nie pomieści takiej liczby gości.

Gertie była w siódmym niebie, a Bernard także sprawiał wrażenie szczęśliwego.

Dwa dni przed tym wielkim wydarzeniem otrzymałam list zaadresowany obcym charakterem pisma. Biorąc kopertę do ręki, poczułam, że serce zaczyna mi szybciej uderzać. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że będzie to list od Zingary.

Nie myliłam się.

*Moja droga Carmel,
Bardzo się ucieszyłam, gdy Rosie dała mi Twój adres. Od dawna się zastanawiałam, co się z tobą dzieje. Jak mogłaś zauważyć z mojego adresu, mieszkam teraz w Yorkshire, w domu zwanym Castle Folly. Nie jest to prawdziwy zamek, zresztą sama zobaczysz, gdy przyjedziesz do mnie w odwiedziny, co, mam nadzieję, nastąpi wkrótce. Oczywiście zostaniesz wtedy na dłużej; podróż z Londynu i z powrotem w ciągu jednego dnia nie miałaby najmniejszego sensu. Napisz mi, kiedy przyjedziesz.*

*Zingara (Nazywam się teraz pani
Blakemore)*

Przeczytałam list ponownie i pomyślałam: Napiszę do niej, nie zwlekając, i ustalimy najszybszy możliwy termin. Oczywiście muszę poczekać do wesela, a potem też nie mogę tak od razu zostawić ciotki Beatrice samej. Z pewnością będzie jej brakowało Gertie, chociaż ta nie wyjeżdża na długo. Ale napiszę zaraz i ustalę termin wizyty. Może w tydzień po ślubie, żeby nie wyjeżdżać bezpośrednio po uroczystości.

Tak też zrobiłam.

* * *

Kolejny list od Zingary był pełen radości. Nie mogła się już doczekać, kiedy mnie zobaczy. Ja także bardzo pragnęłam tego spotkania.

Ślub Gertie odbył się szczęśliwie, bez żadnych gaf i potknięć, których tak obawiała się ciotka Beatrice. Młoda para wyjechała do Florencji, a my wszyscy odczuliśmy pustkę z tego powodu. Zawsze wiedziałam, że obecność Gertie wiele znaczyła dla ciotki Beatrice, ale dopiero po jej wyjeździe uświadomiłam sobie, jak głębokie to było uczucie.

Ciotka zwierzyła mi się, że jest starą, egoistyczną kobietą, ponieważ nie potrafi się oprzeć radości, że los obdarował ją Gertie, podczas gdy zabrał ją rodzonej matce.

- Zawsze doskonale się rozumiałyśmy - mówiła - ale teraz, gdy miałam ją tak blisko, stała się dla mnie niczym

rodzona córka. Ja wygrałam los na loterii, ale myślę też o mojej biednej siostrze.

- Ma jeszcze Jamesa - powiedziałam.

- Nigdy nie przypuszczałam, że wyjadą do Australii na powiewkę. No, za to teraz czeka mnie wyposażenie domu dla młodych, by gdy wrócą, mieli wszystko, co potrzeba. Musisz mi pomóc, Carmel.

- Z przyjemnością, ale najpierw wybieram się w wizytą do Yorkshire. Mieszka tam ktoś, kogo chciałabym odwiedzić.

Nie powiedziałam, że jadę do matki. Tego nie zdradziłam nikomu. Chciałam najpierw porozmawiać z Zingarą, zanim rozgłoszę tę nowinę.

Lucian dziękował mi za odwiedzenie jego matki.

- Mówiła, że sprawiło jej to ogromną przyjemność. To było bardzo miłe z twojej strony.

- Mnie też sprawiło to przyjemność. Była dla mnie czarująca.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- O tylu rzeczach chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział. - Musimy się spotkać... wkrótce.

Pomyślałam, że widocznie atmosfera ślubu tak na niego podziałała. Jego uwaga z pewnością miała swój cel. Może to był wpływ Gertie, która nie szczędziła mi różnych żartobliwych przytyków, ale zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy Lucianowi zależy na mnie na tyle, by poprosić mnie o rękę. Nie byłam pewna ani jego uczuć, ani swoich własnych. Coś mnie wstrzymywało... coś, czego nie rozumiałam. Jakże go uwielbiałam, gdy był chłopcem. Pragnęłam, by pozostał takim jak dawniej, tymczasem on zmienił się tak bardzo. Coś się wydarzyło... Oczywiście to była wina jego małżeństwa. Jak to powiedziała Rosie, nasze wczoraj kształtuje nasze dzisiaj.

Zupełnie inaczej było z Lawrence'em. Miałam poczucie, że dokładnie wiem, co myśli, jak zareaguje na każdą sytuację. Nie było w nim nic tajemniczego.

Dorothy powiedziała:

- W ślubach jest coś wzruszającego. Gertie i Bernard wyglądają na bardzo szczęśliwych.

Obrzuciła mnie wzrokiem pełnym zadumy. Sama z pewnością nie miała nadziei na małżeństwo, ale pragnęła, aby Lawrence się ożenił. Czułam, że chce teraz, aby za moją przyczyną jej marzenie stało się rzeczywistością.

* * *

Gdy przybyłam do Yorkshire, był przepiękny jesienny dzień.

Zingara czekała na mnie na stacji. Zmieniła się nieco od czasu naszego ostatniego spotkania ponad dziesięć lat temu. Teraz sprawiała wrażenie bardziej spokojnej i pogodnej. Włosy nadal miała wspaniale - czarne i lśniące loki, które nosiła wysoko upięte. Ciężkie kreolskie kolczyki zwisały jej z uszu, a czarne oczy były tak samo piękne i błyszczące jak dawniej. Ubrana była w granatowy płaszcz, narzucony na szkarłatną suknię. Jej wygląd zwróciłby uwagę nawet w największym tłumie.

Podeszła do mnie z wyciągniętymi ramionami.

- Moje drogie dziecko. Jestem taka szczęśliwa, że przyjechałaś.

Przyglądała mi się, trzymając mnie na odległość wyciągniętych ramion.

- Wyrosłaś - powiedziała. - Nie jesteś już dzieckiem. A ja... ja jestem starą kobietą.

Roześmiałam się.

- Co za nonsens. Nikt nie nazwałby cię starą kobietą.

- W moim życiu nastąpiło wiele zmian. Nie śpiewam już ani nie tańczę. Ale o tym porozmawiamy później. Tam stoi nasz powozik. Powozę sama i sama przywiozę cię do domu, do Castle Folly.

- Jakże się cieszę, że tu przyjechałam.

- Będziemy miały sobie mnóstwo do opowiadania. Ale najpierw chciałabym ci wyjaśnić kilka spraw. Noszę teraz nazwisko Blakemore i jestem mężatką. Mój mąż jest bardzo stary. Jest właścicielem zamku, chociaż to nie jest prawdziwy zamek. Harriman zawsze marzył o zamku, więc wybudował go sobie. Kupił grunt i postawił na nim ruiny zamku, z wieżami, blankowanym murem, gdzieniegdzie mocno wyszczerbionym, i pozostałościami

dawnej sali bankietowej. Wygląda to bardzo malowniczo. Harriman jest zachwycony. Zawsze pragnął mieć zamek i teraz stał się jego właścicielem.

- To musi być bardzo interesujący człowiek.

- O tak. Dla mnie był bardzo dobry, tak że dałam mu się uprowadzić i zamieszkałam w jego zamku. Na pewno cię polubi i ty też go polubisz.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ ja tego chcę, a on spełnia wszystkie moje życzenia. Ale będziemy jeszcze miały mnóstwo czasu na rozmowy. To cały twój bagaż? Wsiadaj.

Usiadłam obok niej i ruszyliśmy w drogę.

- Zaraz zaczną się wrzosowiska - powiedziała Zingara. - Widziałas kiedyś wrzosowiska Yorkshire? Najwspanialsze miejsce na świecie. Wiatr jest tutaj taki świeży i orzeźwiający. To cudowne uczucie, gdy cię przenika, równie podniecające jak aplauz publiczności. Przynajmniej dla mnie, ale ja przecież jestem Cyganką. Potrzebuję wiatru we włosach. Czasami wyjmuję szpilki z włosów i pozwalam im bujać swobodnie. Ten konwencjonalny strój dzisiaj to tylko na twoją cześć, by przywieźć cię z dworca. Poczekaj, aż się przebiorę.

Roześmiałam się. Bynajmniej nie spodziewałam się, że wizyta u Zingary będzie konwencjonalna i rzeczywiście zapowiadała się niezwykle.

Po dobrym kwadransie jazdy naszym oczom ukazały się wrzosowiska - dzika, otwarta przestrzeń z rozrzuconymi gdzieś potężnymi głazami, na których błyszczały drobne strużki wody. Widok był porywający.

- Jesteśmy na wrzosowiskach - powiedziała Zingara. - Mamy tutaj kilku sąsiadów, ale doprawdy niezbyt wielu. Popatrz tam. Czy widzisz ten ogromny budynek? Poczekaj, aż podjedziemy bliżej. To właśnie Castle Folly.

Teraz mogłam już wyraźnie rozpoznać wszystkie szczegóły, wieże i wieżyczki. Rzeczywiście całość sprawiała wrażenie potężnego, zrujnowanego zamczyska.

Zingara roześmiała się.

- Jeśli nie odziedzyczyłeś żadnej ruiny, wybuduj sobie własną. Co w tym złego?

- Z pewnością nic.

- Budynek mieszkalny w parku wydaje się niepozorny w porównaniu z zamkiem, ale jest bardzo wygodny. Zatrudniamy parę małżeńską, która opiekuje się domem, i tak mieszkamy sobie we dwoje, Harriman i ja. Życie upływa nam bardzo spokojnie. Wcześniej nigdy bym nie przypuszczała, że akurat taki los przypadnie mi w udziale.

Teraz moim oczom ukazał się dom, wzniesiony w połowie stulecia, kiedy georgiańska elegancja ustąpiła ciężkiemu stylowi ery industrialnej. Wyglądał bardzo masywnie. Zbudowano go tak, by mógł stawiać czoło niepogodzie. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić, jak dokuczliwe potrafią być zimy na wrzosowisku. Dom miał w sobie coś solidnego.

- Oto Castle Folly. Na pierwszy rzut oka zdaje się tu nie pasować, dopóki człowiek nie przyjrzy się dokładnie całości.

Zingara podjechała dwukółką pod sam dom. W drzwiach ukazał się mężczyzna.

- To właśnie Tom Arkwright, a to Daisy. Dzień dobry, Daisy. To jest panna Carmel Sinclair. Przyjechała do nas z wizytą. Carmel, przedstawiam ci Toma i Daisy. Bardzo mi pomagają.

Tom, który wyglądał raczej na ponuraka, rozciągnął wargi w bladym uśmiechu.

- Jak się pani miewa, panienko? - przywitała mnie Daisy. Była drobna i sprawiała wrażenie bardzo energicznej. Emanowała z niej wytrwałość i zaradność. - Witamy w Yorkshire.

- To dzięki Tomowi i Daisy całość jakoś się kręci - powiedziała Zingara. - Doprawdy nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

- Przygotowałam kawę i świeże bułeczki - powiedziała Daisy. - Młoda pani z pewnością będzie chciała się posilić po podróży.

- To wspaniale. Chodź, Carmel, spróbujesz bułeczek Daisy i napijesz się kawy, póki gorąca. Potem porwę cię na górę i przedstawię Harrimanowi. Daisy piecze najlepsze bułeczki w całym Yorkshire.

- Niechże pani przestanie, pani Blakemore - zaprotestowała Daisy.

Zingara zaprowadziła mnie do jadalni, gdzie czekał już nakryty stół. Pośrodku piętrzyła się sterta bułeczek, obok stały filiżanki i talerze, dzbanek kawy i dzbanuszek z gorącym mlekiem.

- Trochę się posilimy, a tymczasem Tom wniesie bagaże. Potem pokażę ci twój pokój i poznam cię z Harrimanem.

Gdy za Daisy zamknęły się drzwi, Zingara zniżyła głos.

- Tom i Daisy są wspaniali, ale trzeba się do nich dostosować. Potrafią być opryskliwi. Nie znają się na żartach i jeśli człowiek chce żyć z nimi w zgodzie, nie może zapominać, że są tyle samo warci co inni. Poza tym oczekują od ciebie, że będziesz jadła bez grymaszenia. Obfitością dobrego jedzenia dają ci do zrozumienia, że jesteś mile widzianym gościem. Daisy jest do skonała kucharką, a jej i Tomowi możesz zawierzyć we wszystkim. Ale teraz musisz oddać sprawiedliwość bułeczkom Daisy.

Bułeczki były gorące, delikatne i wyborne w smaku.

- Niezbyt to ciężka próba - dodała Zingara z uśmiechem.

Napiłam się mocnej, gorącej kawy.

- Tom i Daisy są przekonani, że jestem trochę zwariowana - powiedziała Zingara - ale wybaczą mi to.

Opowiedziała mi, jak trafiła do Yorkshire.

- Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że przyjdzie mi tu wylądować. Widzisz, starzeję się. Możesz zaprzeczać, ale jestem już za stara, żeby tańczyć. A ja przede wszystkim byłam tancerką. Śpiew... to był tylko dodatek do tańca. Nie miałam aż tak dobrego głosu. Postanowiłam zejść ze sceny u szczytu sławy. Rozumiesz mnie?

- Tak, oczywiście.

- Harriman był mi bardzo oddany. Miewałam wielu przyjaciół, ale na nim mogłam naprawdę polegać i mogłam mu zaufać. A kiedy człowiek nie jest już młody, zależy mu na zaufaniu. Znałam go od dziecka. Zamieszkał w naszym obozie, bo chciał studiować cygańskie obyczaje. Spędził z nami cały rok i wtedy się zaprzyjaźniliśmy.

- Rosie mi opowiadała.

- Pewnego wieczoru... na scenie... poczułam ból w nodze. Nie mogłam jej podnieść odpowiednio wysoko. Oczywiście nie dałam nic po sobie poznać. To nie był jakiś silny ból, tylko takie strzykanie. Poszłam do lekarza, a on powiedział, że mam nadwężone mięśnie. Jeśli nie będę ich forsowała, wszystko będzie w porządku. Muszę tylko zwolnić tempo. To mi wystarczyło. Powiedziałam do Harrimana: „Nie mam zamiaru czekać, aż mnie wyrzucą”. A on na to: „Rosaleen, musisz wyjść za mnie”. Zawsze nazywał mnie Rosaleen, bo takie jest moje prawdziwe imię. Zingara to tylko pseudonim sceniczny. Spadło to na mnie tak nagle, że nawet nie miałam czasu się zastanowić. Ale Harriman zawsze szybko podejmował decyzje. „Chcę mieć zamek, a że inaczej go nie zdobędę, wobec tego wybuduję go sobie”. „Rosaleen, musisz skończyć z występami i wyjść za mnie”.

- I tak wyszłaś za niego.

- W końcu zrozumiałam, że to słuszna decyzja. Potrzebowałam Harrimana. Byłam załamana. Przez tyle lat przywykłam do występów, do życia pełnego wrażeń. Jakże miałam teraz z tego zrezygnować? Nie chodziło o pieniądze, bo zdołałam trochę zaoszczędzić, ale co miałam robić? Wrócić do Cyganów? Owszem, zawsze chętnie ich odwiedzam i nigdy o nich nie zapomniałam. Ale Harriman powiedział: „Nie, nie byłabyś zadowolona. Przez cały czas tęskniłabyś za teatrem, tak jak przedtem tęskniłaś za Cyganami. Musisz wyjść za mnie i zamieszkać w moim zamku w Yorkshire. Będiesz mogła wędrować po wrzosowiskach i cieszyć się swobodą, jaką mają Cyganie, ale jednocześnie będziesz miała komfort, do jakiego jesteś przyzwyczajona”.

- I tak zrobiłaś.

- Zobaczysz sama, jak nam się ułożyło. Zjadłaś dwie bułeczki, to już coś. Daisy nie będzie zbyt rozczarowana. Teraz pokażę ci twój pokój. Możesz się rozpakować i umyć ręce, a potem pójdziemy do Harrimana.

Pokój był przestronny, z dużymi oknami wychodzącymi na wrzosowisko. Byłam zachwycona widokiem i przepiękną radość. Zingara mnie zafascynowała, a teraz z niecierpliwością wyczekiwałam dalszych rewelacji.

Harriman okazał się kolejną niespodzianką. Później powiedział mi, że skończył siedemdziesiątkę. Był szczupły i wysoki, twarz miał suchą, o orlim profilu. Uścisnął moją dłoń, przypatrując mi się uważnie.

- Nie mogę się podnieść - powiedział. - Prawdziwy wrak ze mnie. Rosaleen wszystko ci opowie.

- To nieprawda - zaprotestowała moja matka. - Po prostu jest trochę słaby w kolanach.

Było oczywiste, że Harriman Blakemore jest niezwykle ciekawym człowiekiem. Już owo szaleństwo z zamkiem było tego dowodem, a im bliżej poznawałam ten niezwykle dom, tym bardziej żądna byłam dalszych odkryć.

Harriman i moja matka byli ludźmi o bardzo żywych umysłach. Mówili bez przerwy. Matka zdumiała mnie rozległą wiedzą w wielu dziedzinach. Domyślałam się, że jest to wynik jej obcowania z Harrimanem. Znali się, odkąd była dzieckiem, a on pojawił się u Cyganów. Powiedział kiedyś, że udał się tam w poszukiwaniu typowych Cyganów, a znalazł Rosaleen, która była niepodobna do nikogo. To on kształcił ją, kształtował jej charakter, uczynił z niej taką kobietę, jaką była teraz. To dzięki niemu poznała swojego impresaria i rozwinęła swój talent. Harriman prowadził ją przez życie.

Był człowiekiem czynu, zajmował się różnymi interesami i wiele podróżował po świecie. Mając pięćdziesiąt lat wycofał się z interesów i całkowicie poświęcił realizacji swoich pragnień. Studiowanie cygańskich obyczajów i napisanie o nich rozprawy było jednym z jego marzeń, a wybudowanie Castle Folly następnym. Teraz jego ciało przestało być aktywne, ale umysł miał żywy jak dawniej.

Powiedział mi, że wiodł wspaniałe życie i że obecnie jest tak samo szczęśliwy jak niegdyś.

- Tak właśnie wygląda życie pełne sukcesów, moja droga Carmel. Prawdziwy sukces polega na zadowoleniu z życia. Czyż nie do tego właśnie wszyscy dążymy? Jakie znaczenie mają rzeczy ulotne? Jedyne, czego pragnie każda istota ludzka, to szczęście. Ale większość z nas po pełni błąd, goniąc za rzeczami mogącymi przynieść zaledwie przelotne zadowolenie. Wiodłem szczęśliwe życie,

a teraz, kiedy jestem stary, mogę podziwiać z okna mój własny zamek. Moje szaleństwo*, jak go nazywają ludzie. Dla mnie jest on sumą moich osiągnięć, moim kolejnym sukcesem. Tak, Carmel, jestem człowiekiem szczęśliwym.

Nie oznaczało to, że opowiadał wyłącznie o sobie. Przeciwnie, żywo obchodziły go sprawy innych ludzi. Zdaniem mojej matki każdy napotkany człowiek budził jego zainteresowanie i o każdym chciał wszystko wiedzieć. Znał wiele szczegółów z życia Daisy i Toma Arkwrightów, które udało mu się od nich wyciągnąć, zapewne ku niemałemu zdumieniu ich samych, jako że żadne z nich nie odznaczało się gadatliwością. Wypytywał mnie o pobyt w Australii, więc opowiedziałam mu różne epizody z życia Formanów, włączając w to przygodę z sundownerem i poszukiwanie opali przez Jamesa.

Pobyt w Castle Folly okazał się tak zajmujący, że chyba po raz pierwszy od śmierci Toby'ego nie pomyślałam o nim ani razu.

Matka pokazała mi wóz cygański, sprowadzony dla niej przez Harrimana.

- Harriman twierdzi, że nigdy naprawdę nie przestanę być Cyganką. Nie zapomnę, że przyszłam na świat w wozie i tam spędziłam dzieciństwo. Mam w sobie krew cygańską. A ty, kochanie, jesteś częścią mnie, więc masz ją także. Czasami odczuwam potrzebę samotności i wówczas przychodzę tutaj. Siadam na stopniach wozu i wsłuchuję się w ciszę. Jestem sama, otoczona wyłącznie przez naturę. A potem wracam do domu, gdzie czeka na mnie Harriman, mój przewodnik i opiekun. Zawsze nim był. I wtedy wiem, że on miał rację. Należę do dwóch światów. To dzięki niemu zachowałam je oba. Żyjąc tylko w jednym z nich nie byłabym w pełni szczęśliwa.

- A teraz jesteś? Przecież twoje obecne życie musi stanowić ogromny kontrast z dniami, kiedy byłaś sławna, kiedy wszyscy o tobie mówili.

Zingara roześmiała się.

**Castle* (ang.) - zamek; *folly* (ang.) - szaleństwo, kaprys, fanazja.

- To nie było aż tak. Mój sukces był o wiele skromniejszy, chociaż oklaskiwano mnie w Londynie, Paryżu i Madrycie. To uderzało do głowy. Ale Harriman ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem przywiązywania zbytnej wagi do przelotnych sukcesów. Bez przerwy mi przypominał, że publiczność bywa kapryśna. Ulubieńcy przychodzą, a potem popadają w zapomnienie, a nie ma nic gorszego, jak być upadłym idolem. Lepiej już wcale nie zaznać sławy. Nauczył mnie, jak traktować tego rodzaju triumfy.

- Musiał być rzeczywiście wspaniałym nauczycielem.

- Błogosławię dzień, w którym zdecydowałem się zamieszkać w naszym obozowisku.

- Myślę, że on także.

- Ale czy nie wydaje ci się to niezwykle? Stary człowiek... i kobieta taka jak ja? Możesz sobie wyobrazić, jaką kobietą byłam. Ale Harriman nie jest stary i nigdy nie będzie. Ma żywy umysł i nigdy nie przestanie mnie zachwycać. A co do mnie, mój poprzedni tryb życia można by określić jako awanturniczy. Wreszcie w wieku czterdziestu pięciu lat ustatkowałam się. Zdecydowałam się na zerwanie ze światowym życiem. Czy to nie zdumiewające? Och Carmel, tyle mamy jeszcze sobie do powiedzenia.

Każdy dzień przynosił coś nowego. Rosaleen - bo tak ją teraz w myślach nazywałam, jako że imię Zingara było imieniem tancerki - miała rację, twierdząc, że mamy sobie mnóstwo do powiedzenia. Należałyśmy do siebie. Byłyśmy matką i córką i gorączkowo usiłowałyśmy nadrobić wszystkie stracone lata.

Wiele spacerowałyśmy. Rosaleen chciała, abym poznała urok wrzosowisk. Podczas naszych przechadzek rozpuszczała włosy i pozwalała im słuwać swobodnie. Często siadałyśmy na jakimś bloku skalnym i pogrążałyśmy się w rozmowie. Czasami odwiedzałyśmy wóz cygański, gdzie Rosaleen częstowała mnie herbatą z ziół, taką samą, jaką przyrządzała Rosie Perrin.

Opowiadała mi o Tobym, a ja ze zdumieniem uświadamiałam sobie, że mogę o nim słuchać, nie czując tego przeszywającego bólu, jaki dawniej mnie ogarniał.

- Był wspaniałym człowiekiem - mówiła. - Kochałam go, a on na swój sposób kochał mnie także. Ktoś taki jak on potrafi kochać wiele osób jednocześnie. Ale największą miłością jego życia była dla niego jego córka. Nie byłam taka młoda, gdy się spotkaliśmy, miałam dwadzieścia trzy lata. Byłam starsza niż ty obecnie i właśnie stawiałam pierwsze kroki na scenie. W owym czasie Harriman odgrywał już sporą rolę w moim życiu, ale nie byliśmy ze sobą tak związani jak obecnie. Zajmował się mną, ale oprócz tego miał jeszcze wiele innych zainteresowań. Wtedy przebywał za granicą. Podczas występów często nachodziły mnie chwile, kiedy tęskniłam za cygańskim życiem, za wędrownkami, z miejsca na miejsce... otwartą przestrzenią, powietrzem, wolnością... Wracałam wtedy do Cyganów. Chyba się domyślasz, że Rosie jest moją matką. Zawsze mnie rozumiała. Była bardzo dumna ze wszystkiego, co robiłam. Myślę, że oceniała moje osiągnięcia znacznie wyżej, niż były one warte w rzeczywistości. Była bardzo szczęśliwa, ilekroć ją odwiedzałam.

- I podczas jednej z wizyt u niej poznałaś Toby'ego.

- Tak. Spotkałam go w lesie. Zaczęliśmy rozmawiać. Od samego początku byliśmy sobą zafascynowani. Ja byłam lekkomyślna, on także. Oboje byliśmy młodzi. Zanurzyć się w związek zrodzony z pożądania było rzeczą zgodną z naszą naturą. Toby nie był moim pierwszym kochankiem; przed nim byli inni mężczyźni, jednak on był niepodobny do żadnego z nich. Zaczęliśmy się spotykać. Traktowaliśmy to jako coś zupełnie naturalnego. Ale Toby nie miał pojęcia o twoim istnieniu; dowiedział się o tym znacznie później, gdy już byłaś bezpieczna w Commonwood House. Twierdził, że ożeniłby się ze mną, niestety miał już żonę w Australii. Często opowiadał mi o Commonwood House. Bardzo współczuł doktorowi. Swoją siostrę nazywał prawdziwą megierą. Kobiety z jego rodziny były takie, praktyczne, pracowite, o niełatwym charakterze. Bardzo lubiłam słuchać o Commonwood House. Wiedziałam, że jest to miejsce dla ciebie, w końcu w pewien sposób tam należałaś. Widywałam doktora wychodzącego z domu, jeżdżącego do pacjentów, czasami widywałam też jego żonę, sztywną i oficjalną,

i dzieci pod opieką niani. Wszyscy bardzo mnie interesowali ze względu na pokrewieństwo z Tobym. Pewnego dnia Toby podarował mi naszyjnik. To był cygański medalion z napisem „Na szczęście” w naszym języku.

- Ciągłe go mam - powiedziałam.

- Wiedziałaś, że doktor go rozpozna, i dlatego założyłam ci go na szyję. Toby mówił mi, że gdy kupował naszyjnik, spotkał doktora, który ostrzegał go, by był ostrożny. Doktor wiedział o naszym romansie. Gdy spodziewałam się dziecka, wróciłam do Rosie. Bardzo chciałam, abyś otrzymała takie wychowanie, jakie należy się dziecku Toby'ego, i wiedziałam, że takie właśnie otrzymasz w Commonwood House. Cóż, resztę znasz.

- Zostawiłaś mnie pod krzewem azaliowym, gdzie znalazł mnie Tom Yardley.

- Patrzyłam z daleka i widziałam, jak cię zabierał do domu. Wiedziałaś, że postąpiłam słusznie. Planowałam, że gdy Toby wróci, wszystko mu opowiem. Zastanawiałam się, jak będzie się czuł jako ojciec. Jak wiesz, był bardzo dumny i szczęśliwy.

- A co ty czułaś, gdy mnie zostawiłaś?

- Miałam złamane serce. Wierzysz mi?

- Tak.

- Chcę, abyś wiedziała, że obserwowałam cię z daleka. Wiedziałaś, że wybrałam dla ciebie właściwy dom. Gdyby cię tam źle potraktowali, zabrałabym cię z powrotem. Wychowałabym cię sama, a Harriman by mi w tym pomógł. Ale wolałam, byś otrzymała tradycyjne wychowanie w Commonwood House. Tam przebywałaś z siostrzenicami i siostrzeńcem Toby'ego, byłaś jedną z nich. Pomyślałam, że to najprostsza droga. Powiedziałam sobie: Będzie wzrastała z córkami doktora i wyrośnie na prawdziwą damę.

Gdy to mówiła, łzy spływały jej po policzkach. Śmiech i łzy przychodziły jej z łatwością, ale czułam, że teraz jest prawdziwie wzruszona. Rosaleen mówiła dalej:

- Wiedziałaś, że Toby sprawuje nad tobą opiekę. Spotkałam się z nim, gdy wrócił do Commonwood House. Był bardzo szczęśliwy. Powiedział, że jesteś uroczym dzieckiem. Był bardzo dumny ze swojej córki i z tego, że

jestem jej matką. Toby zawsze potrafił powiedzieć to, co każdy pragnąłby usłyszeć. Mówiłam, żeby nie rozgłaszać, że masz matkę Cygankę, na co on odparł, że gdybyś mnie znała, byłabyś ze mnie dumna.

Głos jej zadrzał ze wzruszenia. Objęłam ją i otarłam łzy płynące po jej policzkach. Rosaleen uśmiechnęła się.

- A teraz siedzimy na stopniach mojego wozu i rozmawiamy o przeszłości, której przecież się nie odmieni. Teraz jesteśmy razem, a ty jesteś dla mnie kimś najważniejszym na świecie. Tyle jest rzeczy, których pragnęłabym się o tobie dowiedzieć.

Wkrótce rozmawiałyśmy o Jamesie, o jego poszukiwaniach opali i o jego raczej nonszalanckiej propozycji małżeństwa.

- To wartościowy i praktyczny człowiek - powiedziała Rosaleen. - Swoją żonę będzie kochał serdecznie, ale bez namiętności. To też jest dobre... na swój sposób.

Potem opowiedziałam jej o Lawrensie Emmersonie, jak to wiele lat temu wybawił mnie i Gertie z prawdziwej opresji i o naszym ponownym spotkaniu podczas podróży do Anglii.

- To przeznaczenie - zawołała Rosaleen. - Kiedy los zsyła nam podobne znaki, powinniśmy mieć się na baczności.

Chwilami przeobrażała się w prawdziwą Cygankę. Oczy błyszczały jej wówczas niesamowitym blaskiem i zdawały się rzeczywiście widzieć przyszłość.

Roześmiałam się.

- Tak więc Cyganka Rosaleen dopatruje się w tym spotkaniu zrzędzenia losu?

- Opowiedz mi o nim więcej. Podoba mi się ten człowiek, bardzo mi się podoba. A jego siostra? To także dobry człowiek. Zawsze będzie się troszczyła o to, by wśród służby panował porządek, by cały dom prowadzony był jak należy. Dlaczego się uśmiechasz? Ja nie żartuję, to bardzo ważne.

- Uśmiecham się, ponieważ zachowujesz się niczym jasnowidząca. Czy to Rosie nauczyła cię przepowiadać przyszłość?

- Oczywiście. To stanowi część edukacji każdej cygańskiej dziewczyny.

- Ale tak naprawdę chyba w to nie wierzysz.

Zamyśliła się.

- I tak... i nie. Przede wszystkim musisz dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możesz, o osobie, której wróżysz, wydobyć z niej jak najwięcej. Czasami dana osoba zamyka się przed tobą, ale nie zawsze. Wtedy myślisz: „Czego ona pragnie? Co będzie robiła?”. A czasami po prostu zgadujesz. Ale są momenty... wspaniałe chwile... kiedy między wami przeskakuje iskra prawdziwego zrozumienia. Nagłe olśnienie i wtedy wiesz, co nastąpi w przyszłości. Nie potrafię ci wytłumaczyć, na czym to polega, zresztą coś takiego zdarza się niezmiernie rzadko. Może to właśnie jest telepatia? Nie wiem, ale coś w tym jest. Spróbuj porozmawiać na ten temat z Harrimanem. Z pewnością opowie ci o niezmiernym kosmosie, którego nasza ziemia jest zaledwie drobnym ułamkiem. On zna wiele teorii i utrzymuje, że w naturze wszystko jest możliwe. Może od czasu do czasu Cyganie rzeczywiście potrafią zaglądać w przyszłość? Ale opowiedz mi więcej o tym Emmersonie. Czuję do niego ogromną sympatię.

- Może powinnam przyjechać kiedyś z nim, abyś mogła go poznać.

- To byłoby wspaniale. Z nim i z jego siostrą.

- Dla nich byłoby to oczywiste, że zostali zaproszeni wspólnie.

- Naprawdę sądzisz, że jego siostra chciałaby, abyś za niego wyszła?

- Jestem o tym przekonana.

- Nie byłaby zazdrosna o jego uczucia do ciebie?

- Na pewno nie.

- Natomiast ty nie jesteś pewna siebie... swoich uczuć do niego. Tak, ten związek byłby szalenie rozsądny. Doktor z pewnością byłby dobrym mężem, na którym mogłabyś polegać pod każdym względem. Ale między wami nie byłoby tego... jak mam to nazwać?... tego płomienia.

Pomyślałam o Gertie, która z prawdziwym entuzjazmem i radością reagowała na każdą, najbłahszą nawet rzecz, tak uskrzydlała ją szczęście. Rosaleen przypatrywała mi się bacznie, gdy jej o tym opowiadałam.

- Wiem - powiedziała. - Tak właśnie wygląda miłość. Podobna ekstaza nie będzie trwała wiecznie. Jakże by to było możliwe? Ale sama miłość przetrwa, pod warunkiem że się ją odpowiednio pielęgnuje. Tak więc są James i Lawrence.

- Jest jeszcze Lucian - powiedziałam. - Lucian Crompton z Grange.

- Tego Grange w sąsiedztwie Commonwood House? -

Tak.

- On także pragnie cię poślubić?

- Nie mówił mi tego. Ale Gertie i jej ciotka nie potrafią widzieć mężczyzny i kobiety w przyjacielskich stosunkach, żeby od razu nie doszukiwać się w tym jakichś romantycznych skłonności.

- I znalazły ją u ciebie i Luciana?

- Znalazłyby ją u każdego.

- A ty? Co ty czujesz?

Milczałam przez chwilę, podczas gdy Rosaleen obserwowała mnie uważnie.

- Lucian jest bardzo przyjacielski. Spotkałam go, wróciwszy z Anglii. Kiedyś był dla mnie bardzo serdeczny. Ale teraz coś się w nim odmieniło.

Opowiedziałam jej, jak nie mogąc się oprzeć pokusie ponownego zobaczenia Commonwood House pojechałam do Easentree i poszłam do Commonwood, gdzie wystraszyli mnie dwaj chłopcy, i o tym, jak w miasteczku spotkałam Luciana i zjedliśmy razem lunch.

- To bardzo interesujące - powiedziała. - Znowu znak od losu. Nie powinnyśmy zamykać nań oczu. Przecież mogliście się wcale nie spotkać, a wtedy nie spotkałybyś także Rosie i nie siedziałybyśmy teraz razem. Sama widzisz, że to los zdecydował. Zostałyśmy przezeń obdarowane. A teraz opowiedz mi o Lucianie.

Rozmowa z Rosaleen przychodziła mi z łatwością. Moja matka rozumiała wszystko, każdy mój nastrój. Opowiedziałam jej o wielkiej sympatii, jaką darzył mnie w dzieciństwie, i o tym, jak przyjął mnie do swojego kręgu i stał się dla mnie kimś w rodzaju bohatera.

- Kochałaś go wtedy na swój dziecinny sposób.

- Jakże mogłabym go nie kochać? Był przecież chłopcem

z Grange. W oczach pani Marline rodzina Cromptonów była bardzo ważna. Lucian był wysoki, przystojny i silny. Nawet Henry go podziwiał. A jaki dobry był dla mnie. Toby ofiarował mi medalion, który zgubiłam. Lucian nie tylko go znalazł, ale jeszcze kazał zreperować zapięcie i nalegał, abym zjadła z nimi podwieczorek, mimo że niania Gilroy uważała, że nie jestem tego godna. Lucian zawsze starał się, by traktowano mnie tak jak innych. Nic więc dziwnego, że tak go uwielbiałam.

- A potem nie widziałas go przez całe lata, aż do Momentu, gdy ów jeździec na koniu przeszkodził ci, gdy przechodziłaś przez ulicę. To bez wątpienia zrzędzenie losu. Zaczyna mnie intrygować ten Lucian. Ale ty jesteś nim mniej oczarowana niż dawniej.

Milczałam, a ona dodała spokojnie:

- Chociaż całkiem ci to nie przeszło, tak przynajmniej sędzę. Mówiłaś, że się zmienił.

- Dawniej wydawał mi się wolny od wszelkich trosk i zmartwień, doskonale radzący sobie z każdym problemem.

- Rozumiem, prawdziwy bohater. A teraz?

- Teraz coś go dręczy. Był żonaty, ale jego żona zmarła, wydając na świat dziecko. Obecnie dzieckiem opiekuje się stara, zgryźliwa niańka. To wszystko jest bardzo melodramatyczne. Na łożu śmierci żona wymogła na tej niani przysięgę, że zostanie w Grange i zaopiekuje się jej dzieckiem. Tak więc ta kobieta została, chociaż Lucian i jego matka bardzo chcieliby się jej pozbyć. W rozmowie ze mną niania oskarżyła Luciana, że zamordował swoją żonę, a przynajmniej tak mi dała do zrozumienia.

Rosaleen słuchała z uwagą.

- Rozumiem - powiedziała. - Nic dziwnego, że czujesz się niepewnie. Czy ty też jesteś zdania, że to on jest odpowiedzialny za śmierć swojej żony?

- Nie... nie! Nigdy w to nie uwierzę, tak samo jak nie uwierzę, że doktor Marline mógłby być winny morderstwa.

- Masz na myśli tę sprawę w Commonwood House? Z jakimi ty dramatami zetknęłaś się w swoim życiu. No, może nie bezpośrednio, ale w każdym razie otarłaś się o nie. To

bardzo interesujące. Lubisz Luciana. Wyczuwasz, że jest w nim coś szczególnego. Padł na niego cień podejrzania. Lawrence zawsze pozostanie bez skazy. Zastanawiam się, czy James nie przyłożył ręki do usunięcia tego sundownera, ale ty nie darzysz go podobnym uczuciem jak Luciana.

- Myślę, że James pewnie by się przyznał, gdyby był odpowiedzialny za śmierć tego człowieka. Ale może nie? Może uznałby, że powinien raczej siedzieć cicho. Przecież ludzie czasami popełniają morderstwo i udaje im się ująć bezkarnie. Czy myślisz, że ta okropna stara kobieta rzuciła swoje oskarżenie, ponieważ nie chce mnie w Grange? Może rozumuje tak jak Gertie i jej ciotka, że Lucian zechce poprosić mnie o rękę.

- Ale dlaczego miałyby się posunąć do takiego kroku?

- Może się obawiać, że jej pozycja w domu będzie zagrożona. Nowa żona mogłaby nie dbać o jakieś obietnice składane na łożu śmierci. A ta dziewczynka, Bridget, bardzo mnie polubiła.

- Ty zaś usiłujesz przekonać samą siebie, że nie wierzysz tej niani. Uważasz, że kłamie, wynajdujesz powody, dla których to robi. O Lucianie mówisz zupełnie innym tonem niż o Jamesie czy Lawrensie. Tak, to bardzo interesujące. Jakże wiele się dowiedziałam, a dowiem się jeszcze więcej.

Długo jeszcze siedziałyśmy na stopniach wozu, rozmawiając o Lucianie, który wyraźnie opanował jej myśli. Sądzę, że usiłowała przekonać mnie i samą siebie, że to właśnie Lucian jest tym przeznaczonym mi mężczyzną.

* * *

Zwykle obiad przebiegał w niespiesznej atmosferze. Harriman nie tylko potrafił doskonale opowiadać, ale był także znakomitym słuchaczem. Moja osoba zainteresowała go bez wątpienia, gdyż po pierwsze, byłam córką Rosaleen, a po drugie, wzrastałam w domu, w którym popełniono morderstwo.

- Mieszkałaś tam, kiedy dramat narastał - zauważył.

- Ale nie miałam pojęcia o jego konsekwencjach. O wszystkim dowiedziałam się dopiero niedawno.

- To wręcz zdumiewające.
- Toby sądził, że byłoby lepiej, gdyby Carmel nie wiedziała, co się wydarzyło. Dlatego wywiózł ją, zanim jeszcze zaczął się proces. Carmel jest przekonana, że doktor Marline nie był winien tej zbrodni.
- Zawsze tak uważałam - powiedziałam - ale wszyscy twierdzą, że nawet ludzie, po których się tego zupełnie nie spodziewamy, w pewnych okolicznościach są zdolni do popełnienia morderstwa.
- To prawda. Natomiast ty jesteś przekonana, że to niemożliwe.
- Tak. Znałam go. Był to człowiek wielkiej dobroci i łagodności. Wiem, że był bardzo nieszczęśliwy, a potem miał ten romans z panną Carson, ale ciągle nie wierzę, by mógł zabić.
- Miał motyw i były dowody - zauważył Harriman.
- Zdarzają się pomyłki - powiedziała Rosaleen. - Skoro Carmel żywi tak silne przekonanie...
- Była wtedy dzieckiem - odparł Harriman.
- Czasami dzieci dostrzegają pewne rzeczy lepiej od dorosłych - upierała się Rosaleen.
- Chciałabym kiedyś poznać prawdę - wtrąciłam - ale to nie jest możliwe.
- Wszystko jest możliwe - rzekł Harriman.
- To akurat wydaje się nierealne. Doktor Marline nie żyje. Nie może się bronić. Zastanawiam się, co się stało z panną Carson.
- Byłoby interesujące dowiedzieć się tego. Zniknęła, ale w podobnych przypadkach ludzie najczęściej decydują się na taki krok.
- Biedna kobieta - powiedziała Rosaleen. - Wyobrażam sobie, ile musiała wycierpieć. Jej kochanek powieszony za morderstwo, ona sama zagrożona podobnym wyrokiem. W dodatku spodziewała się dziecka. Jak mogło się potoczyć jej dalsze życie?
- Byłoby bardzo pouczające dowiedzieć się, co się z nią stało - stwierdził Harriman.
- Czy sądzi pan, że ona zna odpowiedź na pytanie, czy doktor był winny, czy nie?
- Niewykluczone.

- Och, jakże bym chciała poznać jej dalsze losy - powiedziałam. - Wszyscy ją lubiliśmy. Nie mogę sobie wyobrazić, by mogła być zamieszana w morderstwo, tak samo jak doktor. Oboje byli ostatnimi ludźmi, których mogłabym podejrzewać o podobny czyn.

- Gdzieś przecież musi mieszkać - zauważyła Rosaleen.

- Mogła wyjechać za granicę - odparł Harriman. - Przypuszczam, że pewnie chciała wyjechać możliwie jak najdalej.

- Był pewien kryminolog, który zajmował się sprawą Marline'ów - powiedziałam. - Dorothy Emmerson opowiadała mi o nim. Był przekonany, że panna Carson jest niewinna i walczył o jej uniewinnienie.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam jego nazwiska, choć Dorothy je wymieniała.

Harriman zamyślił się, a potem powiedział:

- Bardzo możliwe, że panna Carson równie chętnie usłyszałaby coś o tobie.

Popatrzyłam na niego.

- Powiedziałaś, że się lubiliście. Gdybyś ją tylko odnalazła, gdyby udało ci się w jakiś sposób nawiązać z nią kontakt, powiedz jej, że jesteś przekonana o niewinności doktora, może wtedy zechciałaby się z tobą spotkać.

Poczułam dreszcz podniecenia. Słodka, łagodna twarz panny Carson stanęła mi nagle przed oczami. Pamiętałam, jak wyglądała, pocieszając Adelinę. Wspólniczka mordercy? Nigdy w to nie uwierzę.

Harriman mówił dalej.

- Ten człowiek, który walczył o jej uniewinnienie, to może być jakaś znana osobistość. Może udałoby ci się zdobyć jego adres i skontaktować się z nim.

Rosaleen spoglądała na nas oczami rozszerzonymi ciekawością.

- Panna Emmerson pewnie będzie pamiętała, jak on się nazywa - powiedziała. - Mówiłaś, że napisała kiedyś do niego list i otrzymała odpowiedź.

- O tak.

- Być może zachowała jego adres.
- O tak - powtórzyłam. - To będzie wspaniale zobaczyć znowu pannę Carson.

* * *

Jeszcze długo rozmawialiśmy po obiedzie. Zdecydowałam, że zwrócę się do Dorothy. Postanowiłam wytłumaczyć jej wszystko. Z pewnością mi pomoże, jeśli tylko będzie mogła. Niewykluczone, że zachowała list tego pisarza. Jeśli tak, spróbuję napisać do niego z zapytaniem, czy mogłabym w jakiś sposób skontaktować się z panną Carson. Z pewnością jej nie zapomniiał. Tak, to była szansa.

Pomysł Harrimana bardzo mnie podekscytował. Do końca mojej wizyty jeszcze kilkakrotnie wracaliśmy do tego tematu. Postanowiłam, że gdy tylko wrócę do domu, natychmiast udam się do Dorothy.

Gdyby nie to, że byłam bardzo ciekawa, czy uda mi się odnaleźć pannę Carson, opuszczałabym Castle Folly z prawdziwym żalem. Musiałam obiecać Rosaleen, że wkrótce przyjadę znowu i że poinformuję ją o dalszych wydarzeniach. Kazała mi pamiętać, że zawsze będę mile widziana w Castle Folly. Zbyt długo byliśmy oddalone od siebie. Musimy się zastanowić nad przyszłością, bo przecież nie mogę wiecznie mieszkać u Hysonów. Jeśli tylko tego pragnę, Castle Folly może stać się moim domem na tak długo, jak długo będę chciała.

Spotkanie w parku

Pani Hyson bardzo się ucieszyła z mojego powrotu. Pytała, jak mi się udała podróż do Yorkshire, ale nie stawiała żadnych krępujących, dociekliwych pytań, za co byłam jej wdzięczna. Widać było, że brakuje jej Gertie i że myślami ciągle jest przy młodej parze.

Zaraz następnego dnia udałam się do Emmersonów. Dorothy na szczęście była w domu, natomiast Lawrence - tak jak przypuszczałam - wyszedł już do pracy. Było mi to na rękę, gdyż czułam, że nie pochwaliliby moich planów. Z pewnością uważaliby, że należy zostawić rzeczy ich własnemu biegowi i nie odgrzebywać przygnębiającej przeszłości.

- Carmel! - zawołała Dorothy na mój widok. - Jak to miło. Kiedy wróciłaś?

- Wczoraj wieczorem.

Jej satysfakcja była aż nadto widoczna. A więc przyszłam do nich od razu po powrocie.

- Minęłaś się z Lawrence'em. Wyszedł jakąś godzinę temu.

- Tak sądziłam, że go już nie będzie.

- Będzie zachwycony, że jesteś już z powrotem. Musisz koniecznie przyjść do nas wkrótce na obiad.

- Dziękuję, Dorothy. Mam ci wiele do opowiedzenia.

- Zamieniam się w słuch.

- Przede wszystkim nie powiedziałam ci, że pojechałam odwiedzić matkę.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Mówiłaś, że przyjaciółkę.

- Ona jest także moją przyjaciółką. Widzisz, to wszystko jest takie niekonwencjonalne. Ojciec powiedział mi, kim jest moja matka. Spotkałam ją kiedyś, jako dziecko, tylko że wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim ona jest dla mnie.

- Wiem coś na ten temat. Lawrence był w wielkiej przyjaźni z twoim ojcem, w czasach gdy jeszcze pływali razem.

- Tak, pamiętam. Moja matka występowała na scenie, a teraz wyszła za mąż za szalenie interesującego człowieka. Mają zamiar zaprosić ciebie i Lawrence'a do Yorkshire. Na pewno ci się spodobają.

Oczy Dorothy pojaśniały. Nic nie sprawiało jej większej radości, jak poznawanie nowych, interesujących ludzi.

- Później opowiem ci o nich, ale teraz chciałabym porozmawiać z tobą o czymś, co naprawdę leży mi na sercu. Kiedy moja matka wędrowała jeszcze z Cyganami, obozowali w lasach w pobliżu Commonwood House. Matka sporo wiedziała o tym domu. Interesowała się nim, ponieważ mój ojciec był spokrewniony z Marline'ami. Rozmawialiśmy o tej tragedii. Harriman Blakemore, mąż mojej matki, jest naprawdę wszechstronnym człowiekiem. Ma ogromną wiedzę, a jego teorie są niezmiernie interesujące. Dyskutowaliśmy też o sprawie Marline'ów. Jak wiesz, jestem przekonana, że nastąpiła jakaś pomyłka sądowa, i absolutnie nie wierzę w winę doktora. Harriman słusznie zauważył, że panna Carson bardziej niż ktokolwiek inny może wiedzieć, co naprawdę zaszło w Commonwood House. Zastanawialiśmy się, co mogło się z nią stać, i doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie żyje gdzieś pod przybranym nazwiskiem. Być może nie miałaby nic przeciwko temu, żebym się z nią skontaktowała; przecież bardzo się lubiliśmy.

- Tak, mów dalej - wtrąciła Dorothy.

- Doszliśmy do wniosku, że nic złego się nie stanie, je-

śli do niej napiszę, że bardzo chciałabym się z nią zobaczyć. Jeśli nie zechce, może po prostu zignorować mój list.

- Jak chcesz do niej dotrzeć?

- Tu właśnie jest problem. Pomyślałam o tobie.

Oczy Dorothy były okrągłe jak spodki.

- Pamiętasz tego człowieka, który walczył o jej uniewinnienie?

- Tak, to Jefferson Craig, znany kryminolog. Od dłuższego czasu nic o nim nie słyszałam. Zdaje się, że zupełnie wycofał się z życia publicznego.

- Pisałaś kiedyś do niego.

- Jego książka zrobiła na mnie wielkie wrażenie i pewnego dnia zebrałam się na odwagę, aby mu o tym napisać.

- A on ci odpisał.

Dorothy przytaknęła.

- Czy jego odpowiedź zawierała adres? - zapytałam.

- Nie pamiętam. Byłam tak podniecona, że w ogóle dostałam list od niego, że nie zwracałam sobie głowy adresem.

- I nie możesz sobie teraz przypomnieć? - powiedziałam rozczarowana.

Dorothy potrząsnęła głową i wybuchnęła śmiechem.

- Chyba nie przypuszczasz, że wyrzuciłam list od Jeffersona Craiga? Przechowuję go wśród moich najcenniejszych pamiątek. Zaraz go przyniosę, żebyśmy nie tkwiły dłużej w niepewności. Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. To było wiele lat temu. W tamtym okresie Jefferson Craig był znaną osobistością, a sprawa Marline'ów uczyniła go jeszcze bardziej popularnym. Natomiast po procesie jakoś o nim ucichło. Adres może się okazać nieaktualny.

- Dorothy, przynieś ten list.

Wróciła po chwili, wymachując kopertą, którą wręczyła mi triumfalnie.

Szanowna Panno Emmerson,

Bardzo dziękuję za list. Fakt, że moja książka podobała się Pani i że zadała sobie Pani tyle trudu, by napisać do

mnie i powiedzieć mi o tym, sprawił mi ogromną przyjemność.

Pozostaję z szacunkiem

Jefferson Craig

Adres brzmiał: *Campion & James, 105 Transcombe Court, Londyn EC 4*

- To pewnie adres jego wydawcy - powiedziała Dorothy - ale nie spuszczaaj nosa na kwintę. Prawdopodobnie są z nim w kontakcie i prześlą mu list, gdziekolwiek się teraz znajduje. Więc napisz do Jeffersona Craiga i załącz list do panny Carson. Włóż oba listy do koperty, zaadresuj do wydawnictwa *Campion & James* i dołącz bilecik z prośbą o przekazanie przesyłki Jeffersonowi Craigowi. To proste.

- O Dorothy, jakże mi pomogłaś.

- Tylko nie obiecuj sobie zbyt wiele. Może z tego nic nie wyjść. Ale kto wie... I nie dziękuj mi. Jestem tak samo podniecona jak ty. Zawsze chciałam się dowiedzieć, co się stało z Kitty Carson.

* * *

Natychmiast napisałam do wydawnictwa *Campion & James*. Dorothy pomogła mi ułożyć list.

Szanowni Państwo,

Ponieważ niezmiernie zależy mi na skontaktowaniu się z panem Jeffersonem Craigem, ośmielam się zwrócić z prośbą o przekazanie mu załączonego listu. W wypadku, gdyby nie było to możliwe, proszę o odesłanie przesyłki na mój adres.

Z góry dziękuję i łączę wyrazy poważania

Carmel Sinclair

Do koperty włożyłam drugi list, zaadresowany do Jeffersona Craiga, w którym tłumaczyłam, że chciałabym nawiązać kontakt z panną Carson. Do tej przesyłki dołączony był list do samej Kitty Carson, w którym napisałam:

Droga panno Carson,

Wierzę, że jeszcze pamięta Pani Carmel. Ja nigdy nie zapomnę, jak dobra była Pani dla nas wszystkich. Być może przypomina Pani sobie także kapitana Sinclaira. Był moim ojcem i zabrał mnie do Australii, skąd wróciłam zupełnie niedawno. Dopiero po powrocie dowiedziałam się, co zaszło w Commonwood House.

Wspominam Panią z wielką sympatią i bardzo bym chciała się z Panią spotkać. Byłabym szczęśliwa, gdyby zgodziła się Pani na to spotkanie, jeśli jednak Pani odmówi, zrozumiem tę decyzję.

Oczekuję z niecierpliwością Pani odpowiedzi.

Pani dawna uczennica,

Carmel Sinclair

PS. Nie nazywam się już March; przyjęłam nazwisko ojca.

Dorothy przeczytała listy kilkakrotnie i w końcu doszłyśmy do wniosku, że lepiej nie uda nam się ich sformułować. Nadałam je na pocztę i od tego momentu rozpoczęła się okres wyczekiwania.

Minął tydzień, a odpowiedzi ciągle nie było. Tłumaczyłam sobie, że to było do przewidzenia. A gdybym to ja była na miejscu Kitty? Gdybym to ja przeszła przez to wszystko, przez co ona musiała przejść? I gdyby wreszcie udało mi się rozpocząć nowe życie, czy rzeczywiście chciałabym wówczas przywoływać z przeszłości wspomnienie cierpienia i udręki?

Czy Champion & James przekazali mój list Craigowi? Prawdopodobnie tak, bo inaczej wróciłby do mnie. Ale czy Jefferson Craig posłał go pannie Carson?

Otrzymałam list od Luciana. Przyjeżdżał na kilka dni do Londynu i proponował mi spotkanie w najbliższy wtorek i lunch u Logana, tam gdzie poprzednio.

Nie widziałam go od czasu mojej wizyty w Castle Folly. Z pewnością będzie mnie pytał o pobyt w Yorkshire. Sama byłam ciekawa, jak zareaguje, gdy się dowie o mojej próbie nawiązania kontaktu z panną Carson. Lawrence z pewnością by tego nie pochwalał. Natychmiast doszedłby do wniosku, że dla kobiety w jej sytuacji jakakolwiek próba nawiązania do przeszłości musi być ogromnie stresująca. Oby się mylił.

Miałam nadzieję, że panna Carson ucieszy się, że wspominam ją z sympatią.

Gdy weszłam do restauracji, Lucian wstał od stolika i przywitał się ze mną. Tym razem nie wyglądał na przygnębionego, przeciwnie, promieniał zadowoleniem. Teraz przypominał chłopca, którego tak dobrze znałam i który w czasach, kiedy wspólnie jadaliliśmy podwieczorki, zawsze nalegał, by mnie traktowano na równi ze wszystkimi.

- Sporo czasu upłynęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy - powiedział.

- Zawsze to powtarzasz.

- Bo zawsze mam takie wrażenie. - Uśmiechnął się do mnie i gdy już zajęliśmy miejsca, dodał: - Znowu byłaś gdzieś z wizytą.

- To była szczególna wizyta.

Opowiedziałam mu o mojej matce, Harrimanie Blake-more i jego zamku.

- Pochodzisz z bardzo interesującego środowiska - zauważył Lucian.

- Z pewnością polubiłbyś moją matkę. Jest niezwykle interesująca i zupełnie niepodobna do innych ludzi. Harriman także jest niepowtarzalny.

- Mam nadzieję, że ich kiedyś poznam.

- Och, musisz. Oni także chcieliby cię poznać. To cudowne, że ją odnalazłam. - Wy tłumaczyłam mu, jak do tego doszło. - To było wtedy, kiedy byłam z wizytą u twojej matki. W lasach spotkałam Rosie Perrin i przez nią skontaktowałam się z Rosaleen... z Zingarą.

- Opowiadaj dalej.

Opowiedziałam mu o wszystkich szczegółach mojej wizyty.

- Najwspanialsze jest to, że mam wreszcie dom. Już mnie dręczyły wyrzuty sumienia, że tak długo mieszkam u Hysonów. Nie chcę przez to powiedzieć, że w jakikolwiek sposób dawali mi do zrozumienia, że mój pobyt u nich przeciąga się ponad miarę. W żadnym wypadku. Przeciwnie, zawsze protestowali, ilekroć napomknęłam o wyjeździe. Ale teraz dom mojej matki stanie się także moim domem. A Harriman jest przecież moim ojczymem.

To daje mi cudowne poczucie pewności i bezpieczeństwa.

- Carmel, już od pewnego czasu chciałbym pomówić z tobą poważnie.

-Tak?

- Bardzo się ucieszyłem, kiedy wróciłaś z Australii. Poczulem się tak, jakbym z powrotem stał się młody. Jaka szkoda, że straciliśmy te wszystkie lata. Powinniśmy byli dorastać razem.

Roześmiałam się.

- Przecież wtedy byłam zaledwie małą dziewczynką. Ty stałeś o wiele wyżej ode mnie. Raczyłeś mnie zauważyć, ponieważ byłam biedną znajdą, a ty miałeś dobre serce. Wiesz, że tak było. Nie byłam nawet tak duża jak Adelina czy Estella.

- To prawda. Ale brakowało mi ciebie, gdy wyjechałaś.

- Podobnie jak Estelli i Henry'ego.

- Inaczej, w tym właśnie problem. Wszystko się zmieniło. W Grange brak jest czegoś. Oczywiście to moja wina. Ten dom powinien pozostać taki, jaki był w czasach mojego dzieciństwa. Myślę, że wszystko dlatego, że popełniłem najbardziej pożałowania godny błąd, jaki tylko człowiek może popełnić. To przeze mnie wszystko się zmieniło, to ja sprowadziłem przekleństwo na ten dom. Ale teraz chciałbym to odwrócić i proszę cię, abyś mi w tym pomogła.

Popatrzyłam na niego z powagą.

- Lepiej powiedz konkretnie, co masz na myśli.

- Pragnę, abyś została moją żoną.

Ogarnęła mnie radość. Od czasu tamtej okropnej nocy, gdy Toby zatonął, a mnie złożono w łodzi ratunkowej, nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Wiedziałam, że częścią mojej duszy pragnę tego małżeństwa i że mojego uczucia do Luciana nie da się porównać z tym, co żywiłam do Jamesa czy Lawrence'a. Lubiłam ich obu, lubiłam z nimi przebywać, natomiast to, co czułam do Luciana, było zupełnie odmienne. Jego obecność była dla mnie źródłem prawdziwej, głębokiej radości. Z drugiej strony przy Jamesie czy Lawrensie zawsze dokładnie wiedziałam, czego mogę

oczekiwać, podczas gdy w Lucianie tkwiło coś, co stanowiło dla mnie zagadkę. Czułam, że skrywa przede mną jakąś tajemnicę. Dlatego też zawahałam się. Lucian wyczuł to natychmiast.

- Nie odpowiada ci moja propozycja? - zapytał.

- Och nie, nie. To nie dlatego, abym cię nie lubiła...

- To brzmi jak klasyczna rekuza: „Bardzo cię lubię, ale...”

"Carmel, powiedz mi prędko, czy jest jakieś „ale”.

- Powiem to, co zamierzałam. Lubię cię, ale...

- Aha - powiedział Lucian - i tu dochodzimy do sedna.

- Po prostu jestem taka zdezorientowana. Tyle się wydarzyło. Zależy mi na tobie... bardzo. Byłeś bohaterem mojego dzieciństwa. Zrozumiem to. Mam nadzieję, że nie przestaniemy się widywać. Nasze spotkania przyniosły mi wiele radości. Uważam jednak, że powinniśmy poznać się lepiej. Nasza przyjaźń w dzieciństwie znaczyła dla mnie bardzo wiele, ale od tego czasu oboje się zmieniliśmy. Tyle rzeczy wydarzyło się w życiu nas obojga. Ważnych rzeczy, które nie pozostały na nas bez wpływu. Kocham cię, ale czasami wydaje mi się, że nie znam cię tak dobrze, jak powinnam znać kogoś, z kim mam połączyć swoje życie.

- Myślisz o moim małżeństwie?

- Myślę, że twoje małżeństwo mogło mieć z tym coś wspólnego.

- Powiem ci o wszystkim. Rozumiem oczywiście twoje uczucia. Bierzesz pod uwagę sytuację w Grange, prawda? Żona, która umarła niemal zaraz po ślubie, dziecko i ta stara wiedźma, jego niania. Opowiem ci całą historię. Od dawna nosiłem się z tym zamiarem i kilkakrotnie już byłem bliski jego urzeczywistnienia. Ale podobnie jak większość ludzi odsuwałem od siebie rzeczy niemiłe i przykre. Oszukiwałem samego siebie, usiłując sobie wmówić, że to wszystko przeszłość, że to się już nie liczy.

Wówczas cała ta historia rozegrała się błyskawicznie. Moi koledzy z uniwersytetu i ja urządziliśmy przyjęcie, na które zaprosiliśmy kilka dziewcząt. Laura była jedną z nich. Upřednio spotkałem ją raz czy dwa razy. Była bardzo młoda i ładna, obdarzona naiwnym urokiem, którym potrafi-

ła czarować. Pamiętam, że wszyscy wypiliśmy wtedy więcej niż powinniśmy. Ja także. Chciałem dorównać innym, być takim jak oni... światowym, pewnym siebie, dorosłym. Wiesz, jacy są mężczyźni. Nie usiłuję się usprawiedliwiać. Byłem taki sam jak wszyscy. Dopiero z wiekiem człowiek uświadamia sobie, że jeden nierozważny krok może zaważyć na całym jego życiu. Pozwól, że nie będę roztrząsał szczegółów tego aktu głupoty. W jakiś czas później Laura przyszła do mnie załamana. Spodziewała się dziecka. Co miała robić? Powiedziała, że ojciec nigdy jej tego nie wybaczy. Zezwolił jej na sezon w Londynie w nadziei, że znajdzie męża. Teraz pozostaje jej tylko jedno wyjście - samobójstwo.

Popatrzyłam na niego z przerażeniem. Lucian mówił dalej.

- Nie wiedziałem wtedy, że z jej strony była to tylko gra. Uwierzyłem jej. Wydawała mi się taka mała i bezradna. - Popatrzył na mnie z powagą. - Wyobraź sobie, jak musi czuć się człowiek odpowiedzialny za czyjąś śmierć. Pomyśl tylko, że musiałabyś spędzić resztę życia obciążona taką świadomością. Jak ty byś się wtedy czuła, Carmel?

- To byłoby więcej, niż potrafiłabym znieść.

- Nie byłem całkowicie przekonany, że to ja jestem odpowiedzialny za jej stan. Właściwie byłem niemal pewien, że nie. Ale Laura była taka zdeterminowana. Jeśli jej nie poślubię, pozostanie jej tylko jedno wyjście. Nie mogłem wziąć tego na swoje sumienie.

- Więc się z nią ożeniłeś.

Skinął głową.

- Pobraliśmy się w wielkim pośpiechu. Jej ojciec wyraził zgodę. Powiedział, że Laura ma pieniądze, a jedyne, czego jeszcze potrzebuje, to tytułu, żeby ozdobił jej nazwisko. Marzyło mu się wielkie wesele, ale musiał się za dowolić cichym ślubem, jedynym, jaki mogliśmy urządzić w tych okolicznościach. Reszta była nie do uniknięcia. Odkryłem, że dziecko nie mogło być moje, że Laura uciekła się do podstępu, pragnąc, abym się z nią ożenił. Jej ojciec nigdy by nie zezwolił, aby poślubiła swojego kochanka, więc wybrała mnie, abym pomógł jej

rozwiązać ten dylemat. Jedynym szczęściem w nieszczęściu było to, że dziecko okazało się dziewczynką. Czulbym się winny, gdyby czyjs bękart miał odziedziczyć dobra mojej rodziny.

- Lucianie, jakże mi przykro. Ileż musiałeś wycierpieć.

- Możesz to sobie wyobrazić, prawda? Moją gorycz, moje rozczarowanie. Na domiar złego Laura sprowadziła do Grange tę Jeminę Cray, która niegdyś była jej nianią, a z czasem stała się jej najbardziej zaufaną powiernicą. Jemina wiedziała o sekretnym romansie Laury z ojcem dziecka, który - jak się później dowiedziałem - był jej dalekim krewnym. Początkowo miała nadzieję, że ojciec Laury zmięknie, gdy się dowie o mającym przyjść na świat dziecku, ale on nie ustąpił. Powiedział, że dziecka należy się pozbyć, oddać je do adopcji zaraz po urodzeniu, a całą sprawę trzymać w sekrecie. Potem Laura zobaczyła swoją szansę... a ja jak głupiec dałem się złapać. Jej ojciec przystał na nasze małżeństwo i zgodził się wszystko jej wybaczyć.

Sądzę, że nie mnie jednemu przydarzyła się podobna historia. Właściwie można by ją potraktować jako swojego rodzaju komedię, tyle że to ja odegrałem w niej rolę błazna, którego tak łatwo dało się wyprowadzić w pole.

- I to wszystko odkryłeś już po ślubie?

- Tak. Laura zamierzała wmówić wszystkim, że dziecko urodziło się przedwcześnie, ale ja dowiedziałem się prawdy. Laura panicznie bała się porodu. Myślę, że dręczyły ją wyrzuty sumienia. Często nienawidzimy tych, których skrzywdziliśmy, gdyż przypominają nam naszą podłość. Wydaje mi się, że takich właśnie uczuć doznawała Laura. Była bardzo niezrównoważona, a jej lęk przed porodem przerodził się w rodzaj obsesji. Była przekonana, że umrze, histeryzowała. W jednym z ataków wyznała mi, że nie jestem ojcem dziecka, że dałem się oszukać. Chełpiła się swoim sprytem, a mnie nazwała głupcem, bo tak łatwo dałem się złapać. Chociaż domyślałem się tego już wcześniej, jej wyznanie mną wstrząsnęło. Od tej chwili zienawidziłem Laurę i powiedziałem jej to. Oczywiście Jemina czuwała w pobliżu, z uchem przyklejonym do

dziurki od klucza. Laura krzyczała: „Umrę, wiem, że umrę”, na co ja odpowiedziałem: „W naszej sytuacji będzie to najlepsze rozwiązanie”. Jemina mnie nienawidzi. Jest przekonana, że gdyby Laura nie wyszła za mnie, jej ojciec w końcu by uległ i zgodził się na małżeństwo z kochankiem. Głęboko w to wierzy. Zaczęła rozpowiadać, że zmusiłem Laurę do macierzyństwa, choć wiedziałem, że nie jest dość silna, by znieść trud porodu, i że zrobiłem to z myślą o potomku. To była kompletna bzdura i ona doskonale o tym wiedziała. Oskarżała mnie nawet o spowodowanie śmierci Laury.

- Jest jedna rzecz, którą powinieneś zrobić natychmiast, mianowicie pozbyć się Jeminy - powiedziałam.

- Przecież opiekuje się dzieckiem.

- Bridget jest najnormalniejszym dzieckiem w świecie. Nie możesz dopuścić do tego, by wychowywała ją ta kobieta.

- Dziecko byłoby niepokieszone, gdyby odeszła.

Pomyślałam, że w istocie mogłoby tak być, skoro nikt oprócz Jeminy nie okazywał jej serca.

- Widzisz, opowiadam ci o tym wszystkim, ponieważ uważasz, że się zmieniłem. Czy teraz dziwisz się temu?

- Nie. Życie na każdym zostawia swoje ślady i wszyscy cierpimy w jakiś sposób.

- Wyobrażam sobie, co dla ciebie oznaczała katastrofa statku i utrata ojca.

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Tak jak ja nie zapomnę mojej tragedii. Carmel, odkąd wróciłaś, zacząłem częściej o tym myśleć. Po tych koszmarnych latach spotkaliśmy się Pod Ogołonym Jeleniem i w tym momencie poczułem, że moje życie się zmieniło. Wydawało mi się, że zaczynam dostrzegać wyjście z tej sytuacji... dzięki tobie. Pomyślałem, że Len Cherry jest znakomitym zarządcą i z powodzeniem może poprowadzić majątek beze mnie. Zatrudniłbym jeszcze drugiego doświadczonego człowieka do pomocy, a sam bym wyjechał. Mamy niewielką posiadłość w Cumberland, z dawną należąca do rodziny. Powiększyłbym ją i zacząłbym nowe życie, zostawiając przeszłość za sobą.

- A co z twoją matką? Co ona by pomyślała? A co z Bridget?

- Moja matka pojechałaby z nami.
- Nie, ona nigdy nie opuści Grange.
- Myślę, że zrozumiałaby.

- To złudzenie. Nie powinieneś opuszczać Grange. Pomyśl, przez ile lat ta posiadłość była zamieszkała przez twoich przodków. Na pewno w ich życiu także zdarzały się kłopoty i tragedie, a jednak potrafili je przetrwać. Twoja żona nie żyje. Wiem, że byłeś nieszczęśliwy, ale tego nie już nie zmienisz. Oszukała cię, ale ona także była nieszczęśliwa. Cierpieliście oboje. Gdyby poślubiła swojego kochanka i została wydziedziczona, może byłaby szczęśliwa. To była jej decyzja, nie twoja. Ty byłeś ofiarą. Nie możesz uciec. Pogardzałbyś sobą, gdybyś to uczynił. Poza tym to nie zdałoby egzaminu. Powinieneś zająć się dzieckiem. Bridget nie ma matki. A gdzie jest jej ojciec? Gdy dorośnie, zacznie stawiać pytania. Wiem, co to znaczy, wzrastać bez rodziców. Przez całe swoje dzieciństwo wzrastałam w przekonaniu, że jestem niechcianym dzieckiem. Nie pozwól, aby to samo spotkało Bridget. Mimo to jestem przekonana, że Jemina musi odejść.

- Widzę, że ty potrafiłabyś zatroszczyć się o wszystko - powiedział Lucian, patrząc na mnie błagalnie. Rzeczywiście nie był już tym niewyciężonym Lucianem z mojego dzieciństwa, którego tak kochałam.

- Teraz wiesz już wszystko - powiedział. - Mam nadzieję, że mną nie pogardzasz.

- Nie potrafiłabym.
- I nie odrzucasz mnie?
- Oczywiście, że nie.
- Czy to znaczy, że jest dla mnie jakaś nadzieja?
- To znaczy, że jest nadzieja dla nas obojga.

* * *

Wyznanie Luciana poruszyło mnie do głębi. Kiedy tak siedział naprzeciw mnie, opowiadając mi historię swojego życia, nagle wydał mi się taki kruchy, bezbronny. Popełnił wielkie głupstwo, ale kto w swoim życiu tego nie uczynił? Teraz doskonale rozumiałam, jak się to stało, że z młodego,

pełnego zapалу i wiary w siebie chłopca stał się ponurym, zgorzkniałym mężczyzną, pełnym pogardy dla samego siebie. Bohater okazał się kolosem na glinianych nogach, ale - o dziwo - teraz żywiłam dla niego jeszcze większą czułość. Może słabą, niepozbawioną wad istotę kocha się mocniej niż niepokonanego bohatera?

Pragnęłam spotykać się z nim częściej. Chciałam zabrać go do Castle Folly. Powinien poznać Rosaleen i Har-rimana, a oni powinni poznać jego. Byłam pewna, że zdaniem Rosaleen jego właśnie powinnam poślubić. A ja sama? Czy tego właśnie chciałam?

Kochałam go. Wierzyłam, że szczerze wyznał prawdę o swoim małżeństwie, a jednak nie opuszczało mnie przekonanie, że jest jeszcze coś, co powinnam poznać, że coś przede mną zataił.

Mówił z taką powagą, tak szczerze i przekonująco. Okazał się słaby, ale jego słabość wynikała ze współczucia do Laury, z chęci uczynienia tego, co właściwe. Nie kochał jej i od początku miał wątpliwości, czy dziecko jest jego, ale gdy zagroziła, że odbierze sobie życie, nie mógł znieść myśli, że byłby odpowiedzialny za jej śmierć.

A teraz jego życie leżało w gruzach i prosił mnie, abym pomogła mu je odbudować.

Były takie chwile, kiedy chciałam pobiec do niego i powiedzieć: „Dobrze, Lucianie, pobierzmy się. Uczynimy Grange szczęśliwym domem dla nas i dla Bridget. Odprawimy Jeminę”. Ale potem przychodził moment wahania. Ciągle nie znałam całej prawdy. Ciągle dręczyło mnie przekonanie, że Lucian nie wyznał mi wszystkiego.

Ostrożność nakazywała mi czekać. A w kilka dni po spotkaniu z Lucianem nadszedł ten list.

* * *

Charakter pisma wydał mi się znajomy, przywoływał wspomnienia pokoju szkolnego w Commonwood House. Wiedziałam, kto napisał ten list. Zabrałam go do swojego pokoju, by przeczytać go w samotności, nie niepokojona przez nikogo. Ręce mi drżały, gdy otwierałam kopertę.

Droga Carmel,

Twój list głęboko mnie poruszył - tak głęboko, że przez dłuższy czas nie potrafiłam się zdobyć na odpowiedź. Stąd ta zwłoka. Oczywiście, że Cię pamiętam. Zastanawiam się, jak mnie odnalazłaś, ale pewnie opowiesz mi o tym, gdy się spotkamy.

Początkowo nie wiedziałam, jak mam postąpić. Widzisz, że wszystkich sił starałam się zapomnieć o wydarzeniach z przeszłości, tymczasem Twój list przywołał je z powrotem. Ale nie sądzę, że nie byłam głęboko wzruszona. Bardzo bym chciała się z Tobą zobaczyć. Może mogłybyśmy się spotkać w jakimś spokojnym, ustronnym miejscu, tylko my dwie. Na przykład gdzieś na mieście, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał.

Skoro mieszkasz teraz w dzielnicy Kensington, przyszedł mi do głowy tamtejszy park. Ja mieszkam w hrabstwie Kent i podróż do Londynu nie stanowi dla mnie najmniejszego problemu. Byłabym w parku Kensington w następną środę, koło dziesiątej. Proponuję spotkanie koło pomnika Alberta. Z pewnością znajdziemy jakiś cichy zakątek, gdzie będziemy mogły spokojnie porozmawiać. Jeśli ten termin Ci nie odpowiada, zaproponuj inny. Napisz do mnie na podany adres.

Carmel, dziękuję Ci, że o mnie pamiętałaś.

Kitty

PS. Noszę teraz nazwisko Craig.

Kilkakrotnie odczytywałam list panny Carson, a potem odpisałam, że będę czekała przy pomniku Alberta w następną środę.

* * *

Było oczywiste, że Kitty nie chce, aby ktokolwiek dowiedział się o naszym spotkaniu. Świetnie rozumiałam pragnienie anonimowości. Ale Dorothy musiałam powiedzieć prawdę. Tyle jej zawdzięczałam. Przede wszystkim gdyby nie ona, nigdy nie dotarłabym do panny Carson, poza tym wiedziałam, że mogę jej zaufać.

- Jakie to ekscytujące! - wykrzyknęła, zobaczywszy list.
- Och, gdybym tak mogła pójść z tobą.

- To jest absolutnie wykluczone - powiedziałam zdecydowanie. - Gdyby zobaczyła, że nie jestem sama, mogłaby po prostu uciec.

Dorothy zrozumiała to od razu.

- Jest teraz panią Craig - powiedziała. - Czyżby wyszła za Jeffersona Craiga? Wielkie nieba, kto by pomyślał.

Postanowiliśmy nie mówić nic Lawrence'owi. Byłam zadowolona, że Dorothy też widzi taką konieczność. Uznałam również za dogodną okoliczność, że Gertie nie wróciła jeszcze z podróży poślubnej. Z pewnością odgadłaby, że coś zaprzęta mój umysł, i nie dałaby mi spokoju, dopóki nie wyciągnęłaby ode mnie, jaki mam problem.

Punktualnie o dziesiątej byłam pod pomnikiem Alberta, do którego z domu miałam zaledwie kilka minut spacerem. Panna Carson nie pojawiła się jeszcze, ale nie byłam zaniepokojona, gdyż wiedziałam, że najczęściej trudno jest wyliczyć co do minuty czas podróży. Upłynęło osiem minut, zanim zobaczyłam ją, spieszącą na miejsce naszego spotkania.

Podeszłam ku niej i przez kilka chwil stałyśmy naprzeciw siebie, aż wreszcie panna Carson wyciągnęła do mnie ręce. Uściskałam ją.

Bardzo się zmieniła. W jej złotych włosach widać było pasma siwizny i nie otaczał jej już ów promienny, nieuchwytny czar, jaki towarzyszył jej dawniej. Nawet gdybym nie znała jej historii, poznałabym od razu, że mam przed sobą kobietę, która przeszła w życiu tragedię.

- Carmel - odezwała się głosem, który tak dobrze pamiętałam - jestem taka szczęśliwa, że cię widzę.

- Ja również. Wiele myślałam o pani i zastanawiałam się, co się z panią dzieje.

Wargi jej zadrżały, a w oczach pojawiły się łzy. Nagle wydała mi się taka jak dawniej. Ale przecież nie mogłyśmy sobie pozwolić na ujawnianie naszych uczuć w miejscu publicznym.

- Chodź, znajdziemy miejsce, gdzie mogłybyśmy usiąść - zaproponowała.

Oddaliśmy się od pomnika i ruszyliśmy w głąb parku.

- Przykro mi, że kazałam ci czekać - powiedziała. - Tak to bywa, gdy jest się skazanym na pociągi.

- Wiem.

Potem umilkłyśmy, gdyż rozmowa o błahostkach wydawała nam się zbyt banalna, a z tym, co naprawdę mia-

łyśmy sobie do powiedzenia, czekałyśmy, aż będziemy mogły usiąść.

Odpowiednią ławkę wybrałam już kilka dni temu. Tuż za klombem kwiatowym rozciągał się szeroki trawnik, przy którym stała samotna ławka. Usiadłyśmy i panna Carson powiedziała:

- A więc, Carmel?
- Och, panno Carson - zaczęłam.
- Mów mi po imieniu. Nie jestem już twoją guwernantką.
- Kitty, powiedz mi, co teraz robisz.
- Prowadzę bardzo spokojne życie.
- Nazywasz się Craig. Czy masz męża? -
Tak.
- Czy możesz o tym mówić?
- Tak, po to tu przyjechałam. Zebrałam się na odwagę i powiedziałam:
 - Dopiero niedawno się dowiedziałam, co się stało w Commonwealth House. Wyjechałam z ojcem.
 - Wiem, że kapitan Sinclair zabrał cię, gdy pozostałe dzieci pojechały do ciotki.
 - Byłam z nim w Australii. Zginął w czasie sztormu, zupełnie niedawno, a ja wróciłam do Anglii i wtedy się dowiedziałam.
 - Tak więc przez te wszystkie lata nie miałaś o niczym pojęcia?
 - Nie. Myślałam, że wszyscy mieszkacie w Commonwealth House.
 - Musiałaś przeżyć szok, gdy poznałaś prawdę.
 - Tak, byłam wstrząśnięta. Może było nietaktem z mojej strony próbować cię odnaleźć. Pomogła mi przyjaciółka, która interesuje się kryminalistyką. Wiedziałam, że pan Craig pomógł ci wówczas, ale to był strzał na ślepo. Moja przyjaciółka dysponowała adresem jego wydawcy i pomyślałam, że może on mógłby przekazać mój list dalej.
 - To tłumaczy wszystko. Carmel, to było...
 - Nie, nie. Rozmowa na ten temat musi być dla ciebie bolesna, nawet po tylu latach.
 - Ależ nie mogę zachowywać się tak nierozsądnie. Przecież przyszłam tu po to, żeby rozmawiać... żeby po-

wiedzieć ci prawdę. Chcę, abys ją znała. Nie mogę znieść myśli, że ty... że tak wielu ludzi uwierzyło. Mam zamiar ci powiedzieć... tak, abys wiedziała, co naprawdę się wydarzyło. Wiesz, jaki los spotkał Edwarda... doktora?

Skinęłam głowę. Przez chwilę Kitty siedziała w milczeniu, niezdolna wymówić ani słowa. Potem nagle wybuchnęła:

- To wszystko nieprawda. To było takie nikczemne. Wyrządzono mu wielką krzywdę. On był niewinny, Carmel. Wiem, że był niewinny.

Uścisnęłam jej rękę.

- Rozumiem, co czujesz - powiedziałam. - Dlatego tak bardzo chciałam się z tobą zobaczyć.

- Jak ktoś mógł uwierzyć, że Edward byłby zdolny do morderstwa? Był najłagodniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. - Głos jej się załamał. - Muszę zachować spokój. Ty i ja zawsze byliśmy przyjaciółkami. Ja wiem, że on był niewinny. Czy mi wierzysz?

- Tak - odparłam z przekonaniem. - Wierzę ci.

- Mam na to tylko jego słowo.

- To wystarczy - powiedziałam.

- Carmel, jestem taka szczęśliwa, że się spotkałyśmy. Ale co to pomoże? Niczego nie da się odwrócić. Nie zaznam spokoju, dopóki cały świat nie dowie się o jego niewinności, choć na dowód mam tylko jego słowa. Kiedy już wiedział, że będzie aresztowany, powiedział do mnie: „Kitty, najdroższa, niebawem zostanę oskarżony o zamordowanie Grace. Wszystko wskazuje na mnie i nie mam możliwości udowodnić, że jestem niewinny. Nie byłem w jej pokoju, nie dotykałem tych lekarstw. Nie wiem nic na ten temat. Wiedz jednak i uwierz mi, proszę, że mówię prawdę. Wszystko inne jest nieważne”. Następnego dnia zostaliśmy aresztowani... oboje.

Milczałyśmy obie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Moja wiara w niewinność doktora została potwierdzona. Dopiero po jakimś czasie byłyśmy w stanie mówić dalej.

- Jestem szczęśliwa, że się spotkałyśmy - powiedziałam.

- Zawsze sądziłam, że doktor był niewinny, a teraz upewniłam się o tym.

- Wyznałby mi prawdę - odparła Kitty. - Nigdy by mnie nie okłamał.

Wyraźnie się uspokoiła. Chyba ją przekonałam, że szczerze wierzę w niewinność doktora.

- Zostaliśmy oskarżeni - mówiła dalej. - Wydarzenia tamtych dni zatarły się w mej pamięci, za co jestem wdzięczna losowi. Niewielu doświadczyło, co znaczy stać przed sądem, walcząc o życie. Doktor miał wrogów. Ta złośliwa starucha, jakże ona triumfowała.

- Masz na myśli nianię Gilroy? - zapytałam. - Nigdy jej nie lubiłam.

- Pani Barton była pod jej wpływem, podobnie jak pielęgniarka okręgowa. Przecież wiedziały, jak okropna była Grace Marline i jak trudno było z nią żyć. Temu nie dało się zaprzeczyć. Były dowody przeciwko Edwardowi. Ale oczywiście najbardziej przemawiały przeciwko niemu uczucia, jakie żywił do mnie. Och, Carmel, pomyśl tylko. Te listy, które do mnie napisał, odczytywane w sądzie... te prywatne, intymne, kochane, przeklęte listy. Głupia byłam, że je zatrzymałam. Znaleziono je podczas rewizji w moim pokoju. Te listy były dla mnie taką pociechą... Skąd miałam wiedzieć? Nie możesz mnie potępiać.

- Potępiać? Chciałabym ci pomóc, gdyby tylko istniał jakiś sposób.

- Musisz mi wybaczyć. Nie powinnam się tak unosić. Ale gdy przypomnę sobie tę podłą kobietę i jej oskarżenia, ogarnia mnie gniew. Nienawidziła mnie od pierwszej chwili, gdy pojawiłam się w tym domu. I pomyśleć, że wiedziała o wszystkim, że wyśmiewała się z nas. Carmel, ja kochałam doktora. Chciałabym, abyś to zrozumiała. Nie było tak, jak to przedstawiono w sądzie. Łączyła nas prawdziwa miłość, taka, z której nie wolno drwić, której nie wolno potępiać. Wierzę, że w swoim życiu spotkasz kiedyś miłość równie głęboką i serdeczną jak nasza. Dla takiej miłości warto żyć... i warto nawet umrzeć. Ale nie w taki sposób, jaki jemu przypadł w udziale.

- Proszę, nie dręcz się już wspomnieniami. Może lepiej nie rozmawiajmy na ten temat.

- Chcę mówić... chcę, żebyś wiedziała. Rozmowa z tobą przynosi mi ulgę, ponieważ ty wierzysz w jego niewinność podobnie jak ja.

- Wierzę. W głębi duszy zawsze byłam o tym przeko-

nana. Pragnęłam dowodu, że się nie mylę... i teraz go otrzymałam... dzięki tobie.

- Dowodu? Ależ masz tylko moje słowo.

- To mi wystarczy. Chciałabym, aby wystarczyło też reszcie świata.

- Postaram się wytłumaczyć ci wszystko spokojnie i w rozsądny sposób - powiedziała Kitty. - Znasz przebieg procesu. Edwarda uznano winnym. Został powieszony. Co do mnie, nie potrafili podjąć decyzji. Spodziewałam się dziecka, a nie wykonuje się wyroków na brzemiennych kobietach. Trwała wielka dyskusja. Jefferson Craig był w sądzie. Muszę ci opowiedzieć o Jeffersonie Craigu. Wiele pisał na temat zbrodni i zbrodniarzy. Od samego początku był przekonany, że Edward jest niewinny. Uważał, że sąd popełnił pomyłkę, i był pewien, że to ktoś inny podał Grace Marline śmiertelną dawkę leku. Wielu domowników jej nienawdziło.

Była też inna możliwość - niewielka, co prawda - że wzięła ją sama, na przykład przez pomyłkę. Odbyła się kolejna rozprawa i w wyniku artykułów Jeffersona, które ukazywały się w prasie, sympatia publiczności zwróciła się ku mnie. Wierzę głęboko, że właśnie dzięki temu zostałam uwolniona. Opuściłam sąd jako wolna kobieta, jednak wciąż otaczała mnie aura podejrzania. Ale Jefferson czuwał. Znalazł mi mieszkanie i zaangażował kobietę, która się mną opiekowała. Odwiedzał mnie od czasu do czasu. Nie była to żadna romantyczna miłość. Byłam dla niego „przypadkiem”. „Przypadki” Jeffersona stanowiły cel jego życia. Moim był szczególnie zafascynowany. Zbliżał się wówczas do siedemdziesiątki.

Nie wiem, jak bym wytrzymała bez niego. Popadłam w głęboką depresję. Dręczyły mnie koszmary. Pragnęłam umrzeć. Jefferson przypomniał mi, że noszę dziecko Edwarda. To on uświadomił mi, że mając dziecko, nie utraciłam Edwarda całkowicie. Później powiedział, że w owym czasie obawiał się, iż mogłabym targnąć się na życie. Jefferson myśli w kategoriach „przypadków”. Mój studiował z ogromnym uporem i zacięciem. Widocznie wydał mu się szczególnie interesujący. Doszedł do wniosku, że potrzebuje jakiegoś zajęcia. Praca miała stać się antidotum na nudę, na brak zainteresowania życiem.

Potrzebowałam pracy. Podziękowałam mu za wszystko, co dla mnie uczynił, ubolewając, że nigdy nie zdołam mu za to odpłacić. Wtedy on odparł, że istnieje sposób, w jaki mogę mu się odwdziżyć. Mogę pomagać pani Garfield.

Pani Garfield była jego sekretarką. Pracowała dla niego przez wiele lat i była mniej więcej w jego wieku. Miała ogromne zrozumienie dla wszystkiego, co robił, ale powoli nawał obowiązków stał się dla niej zbyt uciążliwy. Potrzebowała pomocy.

Jefferson jak zwykle miał rację. Pani Garfield wytłumaczyła mi, na czym będzie polegało moje zajęcie, i w krótkim czasie praca bardzo mnie wciągnęła. Pani Garfield przebywała z Jeffersonem przez tyle lat, że sama zaraziła się jego pasją i była zdecydowana zrobić wszystko, by mu pomóc w tym szczególnym „przypadku”. Dzięki nim obojgu przezwyciężyłam kryzys. Potem przyszło na świat dziecko, dziewczynka. Jest urocza. Nazwałam ją Edwina. Czasami wydaje mi się, że jest w niej coś z Edwarda. Myślę, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby dane mu było ją zobaczyć. Och, Carmel, to wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej.

Zamknęłam jej dłoń w czułym uścisku. Kitty uśmiechnęła się smutno.

- To nie ma sensu, prawda? Życie nigdy nie toczy się tak, jak byśmy tego pragnęli. Pod wieloma względami miałam szczęście. Jefferson okazał się dla mnie wspianiały. Sprawił, że opowiedziałam mu wszystko. Zawsze chciał wiedzieć, co się dzieje w mojej głowie. Odkrył, że najbardziej dręczy mnie problem, jaka będzie przyszłość mojego dziecka. Byłaby Edwiną Carson. Mogłam sobie wyobrazić, co ludzie będą mówili na jej temat. „Carson? To nazwisko z czymś mi się kojarzy. No tak, pamiętasz? Był taki przypadek. On został powieszony, ale jej udało się uniknąć stryczka”. Bałam się tego. Postanowiłam zmienić nazwisko. Nocami leżałam bezsennie, myśląc tylko o tym.

Miesiąc przed narodzeniem Edwiny, Jefferson przyszedł do mnie i powiedział: „Wiem, co cię dręczy. Dziecko nie będzie miało ojca. Musimy temu zaradzić. Ożenię się z tobą i wtedy dziecko będzie zrodzone w małżeństwie. Nikt nie ośmielił się pytać o córkę Jeffersona Craiga”. To był bardzo

szlachetny postępek, ale Jefferson właśnie taki jest. To wielki człowiek. Wiem, że bez przerwy to powtarzam, ale zawdzięczam mu naprawdę wiele. Wzruszenie odebrało jej głos.

- Rzeczywiście musi być wspaniałym człowiekiem i jestem szczęśliwa, że był przy tobie w chwili, gdy go potrzebowałam - powiedziałam.

- W życiu często tak bywa. Człowiek jest samotny i opuszczony i nagle staje się cud. Tak więc zostałam Kitty Craig i urodziłam dziecko. Od tego czasu życie przestało być dla mnie takie okrutne, bym pragnęła od niego uciec. Miałam dziecko, które mnie zawojowało, podobnie jak zawojowało Jeffersona i pannę Garfield.

Czas mijał szybko. Obserwowaliśmy, jak Edwina rośnie... najpierw niemowlę, potem mała dziewczynka. Obecnie ma dziewięć lat. Ileż to lat upłynęło! Nadal pracowałam z panią Garfield i praca coraz bardziej mnie wciągała. Pani Garfield okazała się wspaniałą nauczycielką. Dwa lata temu przeszła na emeryturę. Także Jefferson pracuje obecnie mniej niż dawniej, tak że byłam w stanie całkowicie przejąć jej obowiązki. Twój list, przesłany przez wydawcę, dotarł bezpośrednio do moich rąk.

- Och, Kitty, jak to dobrze, że go napisałam.

- Ja też się z tego cieszę. I jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć. Adelina jest u mnie.

Zdumiałam się.

- Tak - ciągnęła Kitty. - Było to wkrótce po narodzinach Edwiny. Dostałam list przesiany przez wydawcę Jeffersona, podobnie jak twój. Napisała go pani Florence Darrell, ciotka Adeliny.

- Pamiętam ją. Przyjechała do Commonwood House po dzieci.

- Pani Darrell w bardzo uprzejmych słowach zwracała się do mnie z zapytaniem, czy mogłaby mnie odwiedzić. Byłam zdumiona. Spotkałam ją przedtem tylko przelotnie, gdy przyjechała zabrać dzieci. Wówczas sprawiała na mnie wrażenie osoby niezwykle dumnej i wyniosłej, więc nie mogłam się nadziwić, że teraz zwraca się do mnie tak uniżonym tonem, niemal błagając, bym zechciała się z nią spotkać. Jefferson także był zaintrygowany.

Umówiliśmy się i przyjechała do nas. Zaczęła od tego, że odczuła wielką ulgę, usłyszawszy, że szczęśliwie przeszłam przez ten koszmar i jestem teraz panią Craig. Ona, Florence Darrell, zawsze wierzyła w moją niewinność. Potem wyznała, co naprawdę ją do mnie sprowadza. Chodziło o Adelinę. Ona i pan Darrell bardzo się o nią niepokoją. Adelina przez dłuższy czas była bardzo chora. Teraz fizycznie czuje się lepiej, ale jej umysł całkowicie opanował jedno tylko pragnienie. Chce być ze mną. Nie potrafi mówić o niczym innym. Początkowo mieli nadzieję, że to minie, ale z dnia na dzień jest gorzej. Doszło do kilku gwałtownych scen.

„Usiłowaliśmy jej to wytłumaczyć - mówiła - ale ona absolutnie nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie może być z panią. Zasięgaliśmy opinii lekarzy. Radzili, by oddać ją do domu dla umysłowo chorych, ale sama myśl o tym wydała nam się okropna. Pobyt w takim zakładzie absolutnie nie przyniósłby poprawy. Jedno tylko może jej pomóc. Jediną szansą dla Adeliny jest przebywanie z panią. Czy zgodziłaby się pani spróbować? Oczywiście dobrze zapłacimy. Gdyby okazało się to dla pani zbyt wielkim obciążeniem, poszukamy innego rozwiązania. Czy podejmie się pani tej próby? Doktorzy są zdania, że Adelina, z jej dziecinnym umysłem, ma szansę odzyskać pogodę ducha”.

Oczywiście omówiłam wszystko z Jeffersonem. Dla niego Adelina stanowiła kolejny „przypadek”. Był zdecydowany zając się nią. Bardzo chciał się dowiedzieć, jak jej umysł zareaguje na pobyt ze mną. Zapłaty odmówiliśmy zdecydowanie.

- I tak Adelina przyjechała do ciebie.

- Tak. To było mniej więcej siedem lat temu. Bardzo jej to pomogło. Jest teraz zupełnie taka jak dawniej - łagodna i kochająca. Uwielbia Edwinę. Początkowo bałam się zostawiać z nią dziecko i starałam się nigdy tego nie robić. Ale teraz nie muszę na nią uważać. Bardzo się przyjaźnią. Cieszę się, słysząc, jak Adelina chodzi po domu i śpiewa. Pamiętasz, zawsze śpiewała, ilekroć czuła się szczęśliwa.

- To dobrze, że jest z tobą. Była bardzo zrozpaczona, kiedy ty wyjechałaś, a ona musiała pójść do ciotki Florence. Kochała cię od samego początku. Pamiętam jej strach, kiedy

usłyszała, że będzie miała guwernantkę, ale ty okazałaś się dla niej najwspanialszą osobą na świecie.

- Biedna Adelina. Nie wiedzieli, jak ją traktować, zwłaszcza matka, która wzbudzała w niej śmiertelny strach. Tak, Adelinę łatwo przerazić, ale też niewiele po trzeba, by poczuła się szczęśliwa.

Po krótkiej przerwie mówiła dalej.

- Jefferson jest bardzo zainteresowany Adelina. Jest dla niej bardzo dobry. Rozumie ją.

- Jefferson wydaje mi się wspaniałym człowiekiem.

- Jest taki w istocie. Traktuje Edwinę jak własną córkę, a ona jego jak ojca. Uwielbiają przebywać razem. Tak więc widzisz, Carmel, że mam za co dziękować Opatrzności. O jedną rzecz się tylko modlę, ale być może nigdy nie będzie mi ona dana. I tak już wiele dostałam od losu.

- A czego pragniesz tak bardzo?

- Wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia w Commonwood House. Kto zabił Grace Marline? Wiem jedynie, że to nie był Edward. A więc kto? Pragnę poznać prawdę dla dobra mojego dziecka. Edwina nosi teraz nazwisko Craig i może przejść przez życie jako córka Jeffersona. Ale przecież istnieje możliwość - niewielka, przynajmniej, co zawdzięczam Jeffersonowi, ale nie można jej całkowicie wykluczyć - że ktoś odkryje kiedyś prawdę o jej ojcu. Ktoś może mnie pamiętać. Jefferson bardzo się starał, aby informacja o naszym ślubie nie przedostała się do wiadomości publicznej. Wyobrażasz sobie te nagłówki w prasie? „Jefferson Craig poślubił Kitty Carson, którą wcześniej ocalił od stryczka!”. To przecież byłoby potworne. A zaręczam ci, że wścibscy dziennikarze nie zawahaliby się przed opisaniem tak pikantnej historii, gdyby udało im się natrafić na jej ślad. Ci ludzie uczyniliby wszystko, byle tylko podnieść nakład swojej gazety.

- To okropne.

- Ta groźba ciągle nade mną wisi. Gdybym знаła prawdę o przeszłości... Może odkryję ją pewnego dnia, choć to wydaje się takie nieprawdopodobne. Ale nie wolno tracić nadziei. Carmel, myślę, że teraz, gdy odnalazłyśmy się wzajemnie, nie stracimy ze sobą kontaktu. Musisz przyjechać nas odwiedzić. Mieszkamy w hrabstwie Kent i mamy bardzo przyjemny dom. Dawniej mieszkaliśmy w

Londynie, ale po ślubie Jefferson kupił dom na wsi, byśmy mieli się gdzie schronić przed ludzką ciekawością. Widzisz, ile on dla mnie zrobił?

- Widzę i naprawdę podziwiam go za to.
- A więc przyjedziesz do nas?
- Bardzo bym chciała.
- Proszę, postaraj się przyjechać jak najszybciej. Jefferson będzie chciał cię poznać. On jest bardzo niecierpliwy i nie lubi czekać.

- Obiecuję.
- Zobaczysz Edwinę. Adelina też się ucieszy.
- Czy słyszałaś coś o Estelli i Henrym?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Pewnie doszli do wniosku, że najlepiej będzie zapomnieć o przeszłości. Adelina też chyba nie odczuwa ich braku. Właściwie lubiła tylko ciebie.

- Myślę, że całą swoją miłością darzyła wyłącznie ciebie.
- Biedne dziecko. Życie niełaskawie się z nią obeszło.
- Dopóki ty się nie pojawiłaś. Bardzo cię pokochała.
- Na pewno z radością cię zobaczy. A więc kiedy?
- Mogłabym przyjechać na przyszły weekend.
- Naprawdę?
- Nie będzie za wcześnie?

Roześmiała się.

- Będziemy cię wypatrywać niecierpliwie. Wytłuma czę ci, jak do nas dotrzeć.

Wyjęła z torebki kartkę papieru i zapisała mi instrukcje.

- Będę czekała na stacji - powiedziała. - A więc w piątek za tydzień.

Ustaliliśmy, którym pociągiem najlepiej będzie mi przyjechać.

Pożegnała mnie z uśmiechem. Przypominała teraz dawną pannę Carson, która przed wielu laty przyjechała do Commonwood House. Nasze spotkanie wyraźnie dobrze jej zrobiło. Byłam zadowolona, że zdobyłam się na odwagę, by uczynić ten krok w przeszłość.

Wyznanie

Tego samego dnia po południu odwiedziła mnie Dorothy, przygnana ciekawością, jak też przebiegło moje spotkanie z panną Carson. Była bardzo podekscytowana, zwłaszcza gdy powiedziałam jej o planowanej wizycie.

- No popatrz, jak to się wszystko dobrze ułożyło. A więc Jefferson Craig ożenił się z nią. Zawsze był eks-centrykiem. Rozumiem jej troskę o dziecko. Prasa uwielbia tego typu historie. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby prawda o tym związku dostała się do gazet. W zasadzie powód, dla którego się pobrali, straciłby wtedy sens. Ale czy panna Carson w jakiś sposób przyczyniła się do wyjaśnienia sprawy samego morderstwa?

- Tyle tylko, że utwierdziła mnie w przekonaniu o niewinności doktora.

- No tak, to naturalne, że w to wierzy.

- Ja jestem o tym całkowicie przekonana.

- Niestety, wasze przekonanie nie stanowiłoby żadnego dowodu dla sądu. A więc zostałam zaproszona do domu Jeffersona Craiga. Może w przyszłości udałoby ci się zdobyć zaproszenie i dla mnie?

- Myślę, że to byłoby możliwe.

- Jakie są twoje dalsze plany?

- Jadę tam na przyszły weekend.

- Znakomicie. A do tego czasu... całkowita tajemnica?

Popatrzyłam na nią stanowczo.

- Na tym etapie raczej tak.

Skinęła głową. Podobnie jak ja była zdania, że na razie nie ma sensu mówić o tym Lawrence'owi. Rozgrzebywanie

tej nieszczęsnej historii, która w dodatku należała już do przeszłości, z pewnością uznałby za nierozsądne. Dorothy знаła brata na wylot. Czyż nie opiekowała się nim przez tyle lat?

Wysłałam list do Rosaleen, dokładnie opisując jej ostatnie wydarzenia. Byłam pewna, że ją to zainteresuje; przecież to Harriman poradził mi, co mam robić. Natomiast Hysonom nie powiedziałam ani słowa, a Gertie miała wrócić dopiero w sobotę. Nie chciałam mówić nikomu o tej wizycie, dopóki nie będę jej miała poza sobą. Dorothy oczywiście wiedziała, dokąd jadę, ale ona знаła sprawę od samego początku, podobnie jak moja matka i Harriman.

Postanowiłam, że wszyscy muszą dowiedzieć się jednego, mianowicie, że Edward Marline przysiągł Kitty, że nie otruł swojej żony. Nawet gdyby mieli powiedzieć, że to naturalne, że należało się po nim spodziewać podobnych zapewnień. Dla mnie niczego to nie zmieniło. Wiedziałam, i Kitty wiedziała także, że Edward Marline nigdy nie złożyłby takiej przysięgi, gdyby był winny morderstwa. Głęboko wierzyłam, że to nie on podał pani Marline śmiertelną dawkę lekarstwa.

Otrzymałam odpowiedź od matki. Rosaleen życzyła mi szczęścia i pisała, że niecierpliwie wyczekuje moich kolejnych odwiedzin i relacji o rezultatach wizyty u Craigów.

W sobotę wrócili Gertie i Bernard, oboje w wysmieni-tych humorach. Ciotka Beatrice, wuj Harold i ja wyszliśmy po nich na stację. Pocałunkom, uściskom i okrzykom radości nie było końca. W domu, dzięki staraniom ciotki Beatrice, wszystko było przygotowane na przyjęcie młodej pary.

Bernard zapomniał przenieść żonę przez próg. Gertie jednak postawiła na swoim i tak długo nalegała, aż wyszli na dwór i weszli jeszcze raz, tym razem tak jak należy. Gdy Bernard ku powszechnemu zadowoleniu spełnił wreszcie swój obowiązek, wszyscy przeszliśmy do salonu, gdzie wuj Harold otworzył szampana i wypiliśmy toast za szczęśliwy powrót młodej pary.

Oni rzeczywiście byli szczęśliwi. Na widok dobrze zaopatrzonej spiżarni Gertie wydała okrzyk zachwytu i koniecznie chciała wiedzieć, czy zamiarem ciotki Beatrice jest utuczyć ją tak, by dorównała ciotce tuszą.

Nacieszywszy się nowym domem, Gertie przeniosła uwagę na mnie. Bardzo ją zainteresowała moja opowieść o Rosaleen. Mimochodem wspomniałam też, że spotkałam przyjaciół, których znałam dawniej, i że w przyszłym tygodniu wybieram się do nich z wizytą.

- Iluż ty masz tych przyjaciół z przeszłości! - zawołała. - Prawdziwie czarny koń z ciebie, Carmel Sinclair.

Na szczęście była zbyt pochłonięta swoim nowym domem, by zainteresować się bliżej moimi sprawami.

Dostałam liścik od Luciana. W połowie tygodnia wybierał się do Londynu i proponował mi lunch u Logana. Byłam w rozterce. Będę musiała powiedzieć mu, że znowu wyjeżdżam. Lucian, od chwili gdy poprosił mnie o rękę, zajmował wiele miejsca w moich myślach. Niejednokrotnie chciałam powiedzieć „tak”. Pragnęłam tego małżeństwa z całego serca. Wiedziałam, że bez Luciana będę niešťczęśliwa. Zazdrościłam Gertie, której życie ułożyło się tak gładko. Podobnie mogłoby ułożyć się i moje, gdybym tylko była pewna Luciana. Ale między nami wciąż tkwiła jakaś bariera, której nie potrafiłam przekroczyć. Nie wiem zresztą, czy rzeczywiście coś nas dzieliło. Jednak było w nim coś, czego nie potrafiłam zrozumieć, a co musiałam wiedzieć, jeśli chciałam go poślubić.

Zdawałam sobie sprawę, że Lawrence nigdy nie będzie dla mnie nikim więcej, jak dobrym przyjacielem. Dobrzy przyjaciele też się pobierają i są szczęśliwi. Na przykład moja matka i Harriman Blakemore czy Kitty i Jefferson Craig. Małżeństwo z rozsądku, o ile coś takiego w ogóle istnieje. Małżeństwo nie z racji korzyści finansowych, ale związek, w którym jedna ze stron kieruje się chęcią niesienia pomocy, a druga tej pomocy gorąco potrzebuje. Przykładem moja matka i Harriman, Kitty i Jefferson Craig. Między nimi nie było żadnego udawania.

Początkowo chciałam powiedzieć Lucianowi to samo co Gertie, mianowicie, że wybieram się z wizytą do dawnych znajomych. Właściwie nie byłoby to kłamstwo... ale nie była to też zwykła wizyta u znajomych.

Potem jednak przyszło mi na myśl, że jeśli ja nie będę szczerą wobec Luciana, jak mam oczekiwać, że on będzie szczerzy wobec mnie. Zdecydowałam, że powiem mu całą

prawdę o spotkaniu z Kitty Carson i zamierzonym wyjeździe do niej. Powiem, że ciągle nurtuje mnie myśl, co się naprawdę wydarzyło w Commonwood House tamtego fatalnego dnia.

Spotkaliśmy się przy naszym zwykłym stoliku u Logana. Gdy już złożyliśmy zamówienie, Lucian zauważył:

- Widzę, że wydarzyło się coś ważnego. Opowiedz mi. Zupełnie nie wiedziałam, od czego zacząć, więc powiedziałam po prostu.

- Wiesz, że zawsze intrygowała mnie sprawa Marline'ów.

Lucian spochmurniał i zmarszczył czoło.

- Przecież to było tak dawno. Wszystko już skończone. Jakie to ma dzisiaj znaczenie?

- Nie wiem. Ale widziałam się z Kitty Carson...

-Co?

- Pozwól mi wytłumaczyć. Widzisz, byłam z wizytą u mojej matki. Mówiłam ci, że poślubiła Harrimana Blakemore'a. Oboje bardzo by chcieli cię poznać. Musimy to zaaranżować. No więc gdy byłam u nich, rozmawialiśmy sporo o sprawie Marline'ów. Moją matkę z wiadomych względów zawsze interesował Commonwood House. Wspominaliśmy dawne dni i Harriman podsunął myśl, że skoro Jefferson Craig walczył o uniewinnienie Kitty, może także wiedzieć coś o jej dalszych losach.

- Ale co cię skłoniło, żebyś pchała się w te wszystkie kłopoty?

- Bo znałam ich dobrze, a poza tym jestem przekonana o niewinności doktora.

- Jeśli on był niewinny, to kto zamordował panią Marline?

- To właśnie jest zagadka. Może to było samobójstwo, choć w to też nie mogę uwierzyć. W każdym razie pomysł podsunął mi Harriman, a Dorothy Emmerson, która otrzymała kiedyś list od Jeffersona Craiga, miała jego adres. Tak więc napisałam do Craiga i dołączyłam list do Kitty, która jest teraz jego żoną. W rezultacie spotkałyśmy się w ogrodach Kensington. Wymarzone miejsce na rozmowę. O dziesiątej rano jest tam prawie pusto, tak że nikt nam nie przeszkadzał.

Lucian spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

- No i teraz jadę do nich z wizytą - dokończyłam.
- Nadal nie rozumiem...
- Uważasz, że nie powinnam była tego robić?
- Moim zdaniem, takie wydarzenie lepiej jest wyrzucić z pamięci i starać się zapomnieć.
- Są sprawy, których człowiek nie zapomni, choćby się nie wiem jak starał.
- Co ci powiedziała?
- Że bardzo cierpiała. Urodziła córkę. Jefferson Craig ożenił się z nią i dziewczynka nosi jego nazwisko. To wspaniały człowiek, podobnie jak Harriman. Moja matka i Kitty są teraz bardzo szczęśliwe. Biedna Kitty, tak wiele w życiu przeszła.

Lucian zapatrzył się przed siebie.

- Tak, wygląda na to, że obie znalazły odpowiednich partnerów.
- Kitty przyznaje, że pod tym względem miała wiele szczęścia. Obawia się jednak, że pewnego dnia ktoś może odkryć, że jej córka, choć nosi nazwisko Craig, w rzeczywistości jest dzieckiem Edwarda Marline. To zagrożenie zawsze będzie nad nią ciążyło.
- Przecież to taka odległa sprawa.
- Nie da się jednak zaprzeczyć, że miała miejsce. Obawy Kitty nie są bezpodstawne.
- Tak, to istotnie możliwe.
- Kitty zaprosiła mnie do swojego domu. Poznam Jeffersona Craiga. Dorothy Emerson jest bardzo podniecona. Twierdzi, że to niezwykle człowiek.

Lucian milczał. Pewnie był zdania, że moje zainteresowanie tą okropną odległą sprawą ma w sobie coś niezdrowego i jest raczej głupie. Jednocześnie miałam wrażenie, że gdy wspomniałam o cieniu, jaki zdaniem Kitty zawiśł nad jej córką, był mocno zakłopotany.

Potem Lucian zmienił temat i zaczęliśmy mówić o innych sprawach, o powrocie Gertie, o mojej następnej wizycie w Grange, która miała nastąpić, gdy tylko wrócę od Kitty. Z kolei moja matka chciała, abym przyjechała do Castle Folly i powiedziała, że byłoby jej bardzo przyjemnie, gdyby Lucian mógł mi towarzyszyć. Ale radość z naszego

spotkania gdzieś się ulotniła. Czułam, że bariera między nami jest silniejsza niż kiedykolwiek.

Ku mojemu zdumieniu jeszcze tego samego wieczoru dostarczono mi bilecik. Koperta zaadresowana pismem Luciana została wrzucona do naszej skrzynki na listy. Rozdarłam ją niecierpliwie.

Moja droga Carmel,

Koniecznie muszę się jutro z Tobą zobaczyć. To bardzo ważne. Muszę Ci cos powiedzieć, i to natychmiast. Proszę, spotkajmy się w takim miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Wspomniałasz, że z Kitty Carson umówiłasz się w ogrodach Kensington i że o dziesiątej rano było tam niemal pusto. Czy mogłabys spotkać się tam ze mną jutro o tej samej porze? Będę czekał na Ciebie pod pomnikiem Alberta.

Najdroższa, to bardzo ważne.

Kocham Cię.

Lucian

Czytałam jego list kilkakrotnie. Nazwał mnie najdroższą i napisał, że mnie kocha. To było cudowne, natomiast alarmujący ton całego listu trochę mnie zaniepokoił.

W nocy prawie nie zmużylam oka i punktualnie o dziesiątej znalazłam się przed pomnikiem. Lucian już na mnie czekał.

- Co się stało? - zawołałam.

Ujął mnie za ramię.

- Usiądźmy w tym zakątku, o którym wspomniałasz.

Pospieszylismy tam. Twarz Luciana była bardzo po-ważna. Gdy tylko usiedlismy na ławce, zaczął mówić:

- To dotyczy sprawy Marline'ów.

Zdumiałam się.

- Tak? - zapytałam bez tchu.

- Jestes przekonana, że Edward Marline nie zabił swojej żony. Wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił.

- Lucianie, kto?

Lucian patrzył prosto przed siebie. Zawahał się, jakby słowa przychodzily mu z trudem, a potem powiedział po-woli:

- Chyba... ja.

- Ty? Co masz na myśli?
- Obawiam się, że to ja jestem odpowiedzialny za śmierć Grace Marline.

- To niemożliwe. Nie było cię tam.

- Carmel, myślę, że mogę być odpowiedzialny - powtórzył. - Ta świadomość prześladowała mnie przez długi czas. Staralem się wyrzucić ją z pamięci, ale daremnie. Często budzę się w nocy dręczony straszliwym poczuciem winy. Myślę wówczas o człowieku, który został powieszony za coś, czemu ja jestem winien. Myślę o tej guwernantce... a teraz także o jej córce, nad którymi do końca życia będzie wisiał cień hańby... z powodu tego, co uczyniłem.

- Ale jak ty w ogóle mogłeś mieć z tym coś wspólnego? Prawie nie widywałeś pani Marline. Nie było cię tam.

- Byłem - odparł Lucian. - Pamiętasz dzień poprzedzający jej śmierć? Ja nigdy go nie zapomnę.

- Pamiętam. Ty i Camilla przyszliście do nas na podwieczorek.

- Tak. Piliśmy herbatę w saloniku na dole, ponieważ pani Marline była w ogrodzie, więc mogliśmy hałasować do woli. Rozmawialiśmy o opalach, przypominasz sobie?

Skinęłam głową.

- Camilla powiedziała, że nasza matka ma bardzo ładne opale, a wtedy Estella albo może Henry odparł, że pani Marline ma pierścionek z opalem, i chciał mi go pokazać.

Cała ta scena stanęła mi przed oczami. Upalne popołudnie, pani Marline w ogrodzie, dokąd Tom Yardley wywiózł jej fotel, i my wszyscy w saloniku, śmiejący się głośno, nieprzejmujący się hałasem, ponieważ „ona” jest na dworze i nie musimy zawracać sobie nią głowy, moje rozczarowanie, gdyż Lucian poszedł gdzieś z Henrym, zostawiając nas, dziewczęta, same.

Lucian mówił dalej.

- Henry koniecznie chciał mi pokazać ten pierścionek, ponieważ był przekonany, że kamień w nim jest równie piękny, jak opale mojej matki. Ja również byłem go ciekaw. Wtedy Henry zaproponował: „Chodźmy do jej sypialni. Nie bój się, matka jest w ogrodzie. Wiem, gdzie trzyma biżuterię”. Po cichu zakradliśmy się do sypialni. Pani Marline była na dworze, siedziała w cieniu dębu.

Henry wyciągnął pierścionek z szuflady. „Popatrz!” - zawołał. I wtedy właśnie to się stało. Sięgając po pierścionek, potrąciłem stolik przy łóżku, na którym stały dwie buteleczki z lekarstwami. Nie były dobrze zamknięte i tabletki rozsypały się po całej podłodze.

Przestraszyłem się, ale Henry mnie uspokoił. „Zaraz to pozbieramy. Popatrz lepiej na to. Zobacz, jak błyszczący. Moim zdaniem, to piękny kamień, jeden z najpiękniejszych”. Właśnie miałem powiedzieć, że opale mojej matki są jeszcze ładniejsze, gdy usłyszałem panią Marline mówiącą coś do Toma, a zaraz potem skrzywienie wózka. Henry szybko odłożył pierścionek, a ja zacząłem zbierać tabletki. Za nic w świecie nie chcieliśmy, aby przyłapano nas w sypialni. Pozbierałem wszystkie i wsypałem je do buteleczek. Odłożyłem fiołki na stolik i dosłownie w ostatnim momencie wybiegliśmy z pokoju, zanosząc się od śmiechu.

Carmel, zapomniałem zupełnie o tym incydencie i przypomniałem sobie o nim znacznie później. Pewnego ranka, zaraz po przebudzeniu, nagle przyszło mi do głowy, że mogłem pomylić tabletki. Przecież to były dwa różne lekarstwa i pani Marline zażyła to niewłaściwe.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Przez długi czas usiłowałem przekonać sam siebie, że to niemożliwe, ale prawdopodobieństwo istniało. Powiniennem był wystąpić i wyznać, co uczyniłem, ale i tak nie uratowałbym życia Edwardowi Marline. On wówczas już nie żył. W czasie gdy odbywała się rozprawa, ja byłem w internacie i o wszystkim dowiedziałem się znacznie później. A nawet wtedy nie uświadamiałem sobie jeszcze, jak mogło dojść do tej tragedii. Ta myśl nawiedziła mnie zupełnie nieoczekiwanie. Tak, śmierć pani Marline mogła być wynikiem incydentu z potrąceniem stolika. Tabletki były w dwóch różnych buteleczkach. Może różniły się także wyglądem, ale ja w pośpiechu nawet tego nie zauważyłem. Starałem się jedynie, aby tabletki szybko wróciły na swoje miejsce, zanim ktoś przyłapie mnie w sypialni. Pani Marline sięgnęła po lekarstwo i zażyła to niewłaściwe.

- Lucianie, twoja teoria jest zupełnie fantastyczna. Skąd wiesz, że były dwa rodzaje tabletek? Czy tylko dlatego, że na stoliku stały dwie buteleczki?

- Widziałem sprawozdanie prasowe z procesu. Wiele miejsca poświęcono zeznaniom lekarza, który sporo roz-wodził się nad tymi tabletkami i bardzo dokładnie je opisał. Jedne z nich miała przyjmować wyłącznie w przypadku silnych bólów i nie więcej niż jedną tabletkę dziennie. Drugie miały słabsze działanie i mogły być zażywane trzy razy dziennie. Myślę, że trzymała na stoliku oba lekarstwa. Tak więc sama widzisz, jak to się mogło stać. Rozsypałem tabletki, potem zebrałem je w pośpiechu i wsypałem z powrotem do buteleczek. Jestem niemal pewien, że część z nich mogła trafić do niewłaściwego opakowania.

- Ale nawet jeśli przyjmujemy, że je przemieszałeś, przecież to były różne tabletki. Z pewnością różniły się wielkością czy kolorem. Ty mogłeś tego nie zauważyć, ale ktoś, kto je stale przyjmował, z pewnością zwróciłby na to uwagę.

- Podczas procesu nie rozpatrywano możliwości pomyłki. Nie padło stwierdzenie, że tabletki mogły się znaleźć w niewłaściwych opakowaniach, ale przecież nikt nie wiedział, że uprzednio zostały rozsypane. Stwierdzono tylko, że pani Marline zażyła nadmierną dawkę tego silniejszego leku, co okazało się fatalne w skutkach. A ja dopiero znacznie później, gdy biedny doktor dawno już został powieszony, uświadomiłem sobie prawdę. Usiłowałem przekonać samego siebie, że jest zbyt późno, bym mógł cokolwiek zmienić. Cokolwiek bym przedsięwziął, nic nie wróciłoby życia doktorowi. Ale nie mogę przestać myśleć o Kitty Carson i o jej córce, które muszą żyć w poczuciu nieustannego zagrożenia. Nie potrafię o tym zapomnieć i ta świadomość prześladowuje mnie od dłuższego czasu. Carmel, odczuwam wielką ulgę, że powiedziałem ci o wszystkim. Teraz zaś muszę zrobić to... co do mnie należy.

- Cieszę się, że mi zaufałeś. Wspólnie się zastanowimy, co należy zrobić. Od tej chwili wszystko będziemy przeżywać razem.

Lucian odwrócił się ku mnie. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie i nagle znalazłam się w jego ramionach. Całował mnie namiętnie, a w jego pocałunkach było błaganie o pomoc. Przelotnie pomyślałam o dawnym Lucianie.

Wtedy był bohaterem, roztaczającym nade mną skrzydła swej opieki. Teraz okazał się słaby, a ja z całego serca pragnęłam mu pomóc.

W tym momencie zrozumiałam, że kocham go z całej duszy. Wreszcie zapanowała między nami całkowita harmonia. Zniknęły wszelkie dzielące nas bariery. Wiedziałam o tym od chwili, gdy powiedziałam mu, że wszystko będziemy przeżywać razem.

- Co teraz zrobimy? - zapytałam.

- Pojadę z tobą do Kitty Carson.

Popatrzyłam na niego w zdumieniu.

- Tak - powiedział. - Ostatniej nocy wiele o tym myślałem. Kitty jest żoną tego eksperta, Jeffersona Craiga. On będzie wiedział, jakie kroki należy przedsięwziąć. Opowiem mu o wszystkim, tak postanowiłem. To dla mnie jedyna droga. Wiem, że moja relacja wzbudzi powszechne zainteresowanie, ale wytrzymam to. Czy zgadzasz się ze mną?

- Wiem, że nie zaznasz spokoju, dopóki nie wyjawisz wszystkiego. Ale jechać ze mną do Kitty? Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Musimy się nad tym zastanowić. Kitty nie spodziewa się, że przyjadę z kimś. Sądzę, że byłoby lepiej, gdybym jej najpierw wszystko wytłumaczyła, a ty przyjechałbyś następnego dnia. Kitty pewnie będzie cię pamiętała. Bywając w Commonwood House, musiałeś ją czasami spotykać.

- Tak, pamiętam ją. Bardzo miła osoba.

- Opowiem jej o tym, co mi teraz wyznałeś, i wtedy się zastanowimy.

- Tak, myślę, że tak będzie najlepiej. Och Carmel, jaki jestem szczęśliwy, że ci powiedziałem.

- Powinieneś być uczynić to wcześniej.

- Och, teraz wiem.

- Myślę, że powinieneś przestać się zadrećcać wyrzutami sumienia. Nawet jeśli istotnie wszystko wydarzyło się tak, jak się obawiasz, chociaż ja nie bardzo mogę w to uwierzyć, nie była to przecież twoja wina. Nieostrożność i roztrzepanie ze strony chłopca nie czynią go jeszcze mordercą.

- Nie, ale ta nieostrożność mogła spowodować czyjaś

śmierć. To bardzo przygnębiająca myśl. Wszystko ma swoje skutki. Och, gdybym tak mógł być pewien, że to nie odbyło się w ten sposób.

- Zapytamy o radę Jeffersona Craiga. On będzie wiedział, co możemy uczynić.

Lucian uśmiechnął się nagle.

- Och, Carmel, jakie to wspaniałe, że mówisz „my”.

Wychodząc z parku, czuliśmy się o wiele szczęśliwsi.

Luciana ciągle dręczyło poczucie winy, ale teraz ja dzieliłam jego zmartwienie i oboje mieliśmy świadomość, że dzięki temu staliśmy się sobie bliżsi.

* * *

Kitty czekała na mnie na stacji w towarzystwie małej dziewczynki. Od razu wiedziałam, że to Edwina, która okazała się ślicznym dzieckiem, obdarzonym niezwykłym urokiem. Widać było, że między matką a córką istnieje głęboka więź uczuciowa.

- To moja córka Edwina - powiedziała Kitty. - Edwino, to jest panna Carmel Sinclair, moja dawna uczennica.

Edwina uśmiechnęła się i podała mi rękę.

Swoją delikatnością i łagodnością przypominała doktora. Bez trudu zrozumiałam, dlaczego Kitty jest taka dumna z córki i jednocześnie taka pełna obaw o nią.

Kitty powoziła sama. Podczas jazdy drogą ciągnącą się wśród pól zastanawiałam się, czy prędko nadarzy się okazja, kiedy będę mogła poruszyć temat całkowicie zaprzętąjący moje myśli.

Rozmawiając o tym i owym, zajechaliśmy przed dom; uroczy, dwupiętrowy, pomalowany na biało budynek, lśniący świeżością i czystością. Otaczające go ciemnozielone krzewy jeszcze bardziej podkreślały biel ścian. Szerokie schody prowadziły na frontową werandę, a po bokach dwa symetrycznie rozmieszczone balkony zdobiły fasadę drugiego piętra. Całość robiła czarujące wrażenie.

Gdy powozik znalazł się przed domem, na werandzie pojawiła się młoda kobieta i zbiegła po schodach, by nas przywitać. Na jej widok poczułam przypływ wzruszenia. Adelina!

Stała, zerkając na nas. Niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata. Jej duże niewinne oczy nadal spoglądały

niczym oczy dziecka. Adelina przekroczyła już trzydziestkę, ale wyglądała najwyżej na siedemnaście lat. Teraz podskakiwała wokół nas zupełnie jak mała dziewczynka. Tak, w sercu Adelina pozostała dzieckiem. Sprawiała wrażenie spokojnej i szczęśliwej.

Ze stajni wynurzył się mężczyzna, by odprowadzić powóz. Na nasze powitanie dotknął daszka czapki.

- Dziękuję, Thomas - powiedziała Kitty, a zwracając się do Adeliny dodała: - Wy obie znacie się przecież.

Adelina podbiegła do mnie i uśmiechnęła się nieśmiało. Ujęłam ją za ręce i ucałowałam serdecznie.

- Adelino, tak się cieszę, że cię widzę.

- To przecież Carmel - powiedziała Adelina, śmiejąc się.

- Tak, to Carmel - potwierdziła Kitty. - Przyjechała do nas z wizytą na kilka dni. Czy to nie wspaniale?

Adelina z zapalem pokiwała głową. Weszliśmy do domu i znalazłyśmy się w dużym, przestronnym holu, gdzie na dębowej komodzie umieszczono bukiet kwiatów, ułożony, jak się domyślałam, przez Kitty. W holu stał jakiś pan. Domyśliłam się od razu, że to Jefferson Craig. Był lekko pochylony i poruszał się z pewnym wysiłkiem, ale jego piwne oczy pod gęstymi siwymi brwiami spoglądały żywo i otwarcie. Włosy miał gęste i prawie białe.

Jefferson Craig, wprawdzie już niemłody, z pewnością miał silną osobowość.

- Bardzo się cieszę, że pani do nas przyjechała. Po naszym spotkaniu Kitty wiele mi o pani opowiadała, tak że nie jest pani dla mnie kimś zupełnie obcym. Z niecierpliwością wyczekiwałem chwili, kiedy będę mógł poznać panią osobiście.

- Dziękuję. Ja także nie myślałam o panu jako o kimś obcym. Tyle o panu słyszałam.

- Jefferson, pozwól, że pokażę Carmel jej pokój. Spotkamy się na lunchu, dobrze? - powiedziała Kitty.

- Znakomicie, będę czekał.

- Zaraz do ciebie dołączymy.

Jefferson skinął głową i wrócił do pokoju, który, jak się domyślałam, był jego gabinetem. Adelina wzięła mnie pod ramię.

- Ja pierwsza chcę pokazać Carmel jej pokój - powiedziała.

- Znakomicie - odparła Kitty.

Ciesząc się jak dziecko, Adelina chwyciła mnie za rękę.

- Sąsiaduje z moim - szepnęła.

- To wyśmienicie.

Poprowadziła mnie przodem. Kitty uśmiechnęła się. Życie z pewnością pomyślnie ułożyło się dla Adeliny, odkąd znalazła się w domu Kitty. Teraz bez wątpienia była szczęśliwa. Pomyślałam, jak inaczej czuła się w Commonwood House, drżąc przed każdym spotkaniem z matką. Adelina odwróciła się do Kitty ze słowami:

- Ale zaprowadzę Carmel przez mój pokój.

- Świetnie. Nie sądzę, aby Carmel miała coś przeciwko tej dodatkowej wycieczce.

Adelina wcale nie dojrzała; umysłowo pozostała dzieckiem, takim samym jak przed laty.

Otworzyła drzwi, weszła pierwsza i usunęła się na bok, robiąc mi miejsce. Pokój był jasny i przestronny. Od razu zauważyłam drzwi prowadzące na balkon. Umeblowanie stanowiło pojedyncze łóżko nakryte błękitną narzutą, toaletka i lustro. Ściany zawieszono były wesołymi, kolorowymi obrazkami przedstawiającymi pogodne scenki z życia rodzinnego. Był to typowy pokój młodej dziewczyny. Adelina patrzyła na mnie z wyczekiwaniem, wyraźnie domagając się słów uznania.

- Uroczy - powiedziałam, myśląc jednocześnie, jak bardzo ten kolorowy i pełen światła pokój różni się od jej dawnej sypialni w Commonwood House, ze wspaniałym rzeźbionym sufitem i ciężkimi, przytłaczającymi meblami. Nic dziwnego, że czuła się tu szczęśliwa.

Adelina skinęła na mnie, abym podeszła do okna.

- Chodź - powiedziała.

Wyszłam za nią na balkon, skąd rozpościerał się widok na ogród. Wychyliłam się przez żelazną balustradę. Poniżej znajdował się wykładany kafelkami taras, na którym stało kilka donic z kwitnącymi roślinami. Adelina z dumą objaśniła mi, że z balkonu można wejść do drugiego pokoju, tego przeznaczonego dla mnie. Złapała mnie za rękę i pociągnęła do środka.

- Widzisz - powiedziała - to jest twój pokój. Mamy wspólny balkon. Jeśli zostawisz otwarte drzwi balkonowe, będziemy mogli się odwiedzać.

- To bardzo wygodne rozwiązanie - zauważyłam.

Mój pokój przypominał sypialnię Adeliny, jednak zdobiły go tylko dwa obrazki.

Drzwi otworzyły się i weszła Kitty z Edwiną.

- Zostawimy teraz Carmel samą, by mogła się rozpakować i umyć ręce - powiedziała Kitty. - Potem będzie lunch. - Uśmiechnęła się do mnie. - Wszystko w porządku, Carmel?

Zapewniłam ją, że tak, a ona mówiła dalej:

- Gdy będziesz gotowa, zejdź do nas do ogrodu.

- Ja zaprowadzę Carmel na dół - wtrąciła Adelina.

- Widzę, że będziesz miała anioła stróża - uśmiechnęła się Kitty.

- Carmel, jestem twoim aniołem stróżem! - zawołała Adelina.

Zostawiły mnie samą. W niewielkiej alkwie stała miska i dzbanek, więc umyłam ręce. Potem rozpakowałam walizkę i odwiesiłam do szafy przywiezione ubrania.

Przez cały czas dręczyła mnie myśl, jak Kitty i Jefferson zareagują, kiedy usłyszą, co mam im do powiedzenia. Niecierpliwie wyczekiwałam odpowiedniej chwili. Było oczywiste, że nie mogłam poruszyć tego tematu w obecności Edwiny i Adeliny.

Nagle poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Było to niesamowite uczucie. Odwróciłam się. W drzwiach balkonowych stała Adelina.

- Halo, Carmel - powiedziała, jakbyśmy nie widziały się przez dłuższy czas. - Mam zaprowadzić cię na dół.

- Nie jestem jeszcze całkiem gotowa.

Adelina weszła do środka i przysiadła na brzegu łóżka.

- Gdzie ty byłaś? - zapytała.

- W Australii. Zmarszczyła brwi i

powtórzyła:

- W Australii?

- To po drugiej stronie kuli ziemskiej.

- Dlaczego?

- Dlaczego tam leży Australia, czy dlaczego ja tam pojechałam?

- Ty.

- Zabrano mnie tam dawno temu.

- Wtedy kiedy my wyjechaliśmy?

- Tak, w tym samym czasie.

- To było okropne. Nienawidziłam pobytu u ciotki. - Brzydki grymas wykrzywił jej usta. - Ale potem przyjechałam do Kitty - dodała, a jej twarz rozpromieniła się w ułamku sekundy.

- To bardzo dobrze - powiedziałam. - Cieszę się, że jesteś z Kitty. Tutaj na pewno czujesz się wspaniale.

Skinęła głową i zapytała:

- Po co do nas przyjechałaś?

- Ponieważ Kitty mnie zaprosiła.

Adelina znów pokiwała głową. Zachowywała się tak, jakby coś ją dręczyło, ale teraz uspokoiła się pod wpływem moich wyjaśnień.

- Zejdźmy na dół - zaproponowałam. - Jestem już gotowa.

Kitty, Edwina i Jefferson Craig siedzieli w ogrodzie. Zaczęliśmy rozmawiać o mojej podróży, przyjaciółach w Anglii i pobycie w Australii. Zaczynałam się niecierpliwić. Myślę, że Kitty zdawała sobie sprawę z mojego niepokoju, gdyż uśmiechnęła się do mnie, jakby chciała mi powiedzieć, że będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu na rozmowę.

Lunch upłynął w przyjemnym nastroju. Do stołu podawała Annie, pokojówka. Później dowiedziałam się, że w domu jest jeszcze kucharka, służąca u Jeffersona od wielu lat. Tak więc żyli dostatnio, ale bez ostentacji.

Okazja do poważnej rozmowy nadarzyła się dopiero po lunchu. Edwina zabrała gdzieś Adelinę, a my troje usiedliśmy na trawniku w cieniu dębu, skąd roztaczał się widok na dom. To był właściwy moment. Nie tracąc czasu, odpowiedziałam im o wyznaniu Luciana.

Jefferson był w najwyższym stopniu zainteresowany.

- Biedny młody człowiek - powiedział. - Co za sytuacja. Tyle czasu dręczyło go poczucie winy. Tak. Mogę sobie do kładnie wyobrazić, jak się to odbyło. Przewrócony stolik,

tabletki rozsypane na podłodze, obawa, że pani Marline pojawi się lada chwila i przyłapie go w sypialni. Chłopak wpadł w panikę. Myślał tylko o jednym: jak najszybciej pozbiierać tabletki i uciec. Moim zdaniem, choć oczywiście nie można tego całkiem wykluczyć, jest mało prawdopodobne, by to on był odpowiedzialny za śmierć tej kobiety.

- Nieprawdopodobne! - zawołałam. - Och, gdyby Lucian potrafił popatrzeć na to w ten sposób.

- Rozważmy wszystko krok po kroku. Przecież te tabletki musiały różnić się między sobą kolorem albo wielkością. Lucian był tak przestraszony, że nawet tego nie zauważył. Jedyną jego myślą było wrzucić je z powrotem do buteleczki i uciec. Ale pani Marline zażywała je regularnie. Na pewno potrafiła rozróżnić silniejszy lek od słabszego i nie zażyłaby tego pierwszego, gdyby nie miała takiego zamiaru.

- A więc uważa pan, że Lucian nie ponosi żadnej odpowiedzialności?

- Oczywiście pewne prawdopodobieństwo istnieje. Ale nie pewność.

- Lucian uważa, że postąpił niewłaściwie, nie przyznając się wcześniej. Obawia się, że z powodu jego niefrasobliwości został powieszony niewinny człowiek.

- Przecież nie mógł nic zrobić we właściwym czasie - zauważyła Kitty. - Był w internacie i o wszystkim dowiedział się dopiero wtedy, gdy było już za późno na jakąkolwiek interwencję.

- Pozostaje sprawa twoja i Edwiny - przypomniałam jej i zaczęliśmy dyskutować o następstwach, jakie dla Edwiny miałyby ujawnienie nazwiska jej prawdziwego ojca.

- Często o tym myślałam - przyznała Kitty. - Byłoby wielkim dobrodziejstwem, gdyby imię Edwarda zostało oczyszczone z zarzutów.

Zwróciłam się do Jeffersona:

- Lucian i ja pomyśleliśmy, że pan będzie najlepiej wiedział, co należy przedsięwziąć w tym wypadku. Sądzę, że Lucian nie odzyska spokoju, dopóki nie ujawni wszystkich faktów.

- Wiem, co pani ma na myśli - powiedział Jefferson. - Rzeczywiście należy wziąć pod uwagę Kitty i Edwinę. Je-

śli ta historia ponownie znajdzie się na łamach prasy, uwaga publiczności znowu skupi się na Kitty, a to będzie fatalne w skutkach dla Edwiny. Gdybyśmy mieli pewność, kto zabił Grace Marline... gdyby ktoś się przyznał... Wtedy sprawa także narobiłaby zamieszania, ale w tym wypadku gra byłaby warta świeczki. Znalibyśmy rozwiązanie i imię Edwarda Marline'a zostałyby oczyszczone z zarzutów. Kitty byłaby wolna od podejrzeń, a Edwinie nic by nie zagrażało. To byłoby zupełnie coś innego niż taka wątła poszlaka.

Powiedziałam, że Lucian przyjedzie, tak jak się umówiliśmy, następnego dnia.

- Właściwie powinnam najpierw zapytać o pozwolenie, ale nie było już na to czasu, a jemu tak bardzo zależało na tej wizycie. Jest naprawdę wstrząśnięty i ma nadzieję, że pan udzieli mu wskazówek, jak ma postąpić w tej sytuacji.

- Z przyjemnością go zobaczę - powiedziała Kitty. - Pamiętam go, oczywiście. Był takim przyjemnym chłopcem. Ty, Carmel, przepadałaś za nim wówczas.

- Zawsze był wobec mnie bardzo troskliwy, a w tamtych czasach nawet odrobina sympatii znaczyła dla mnie bardzo wiele.

- Tak, wiem.

- Naprawdę z przyjemnością będziemy go gościć.

- Przyjedzie o drugiej po południu. Czy to odpowiednia pora?

- Tak, oczywiście - powiedziała Kitty, a Jefferson dodał:

- To bardzo interesujące. Nie mogę się już doczekać rozmowy z tym młodym człowiekiem. A tymczasem jeszcze raz przemyślę wszystkie fakty. Może rzeczywiście coś da się zrobić. Na razie wszystko wydaje mi się oparte raczej na kruchych podstawach i zastanawiam się, czy publiczne rozgłoszenie tego, o co on się oskarża, nie przyniesie więcej szkody niż pożytku. Tak, muszę to sobie dokładnie przemyśleć. Jutro wszystko wspólnie przedyskutujemy, to zawsze pomaga. Muszę przyznać, że ta sprawa jest w najwyższym stopniu interesująca.

- Jak dużą rolę odegrały w niej opale - zauważyła Kit-

ty. - Pamiętasz, Carmel, jak Adelina, szukając pierścionka z opalem, rozsypała zawartość szufladki, co zakończyło się tą okropną awanturą?

- O tak, pamiętam doskonale.

Usłyszeliśmy jakiś szelest dobiegający z zarośli i odwróciliśmy się w tamtym kierunku.

- Pewnie jakieś zwierzę - zawyrokował Jefferson.

- Może lis? - dodała Kitty.

- Raczej nie - odparł Jefferson.

- Mówiliśmy o opalach - ciągnęła Kitty. - Niektórzy ludzie twierdzą, że opale przynoszą nieszczęście. Przyznam, że nie lubię ich od tamtego czasu. Z pewnością przyniosły pecha Lucianowi i biednej Adelinie.

W krzakach coś się poruszyło i naszym oczom ukazała się Adelina pędząca przez trawnik w stronę domu.

- Te wcześniejsze odgłosy to musiała być Adelina, a nie lis - zauważyła Kitty.

Adelina zniknęła właśnie w drzwiach domu.

- To dziwne stworzenie - mówiła Kitty. - Najczęściej zachowuje się jak dziecko, ale czasami zaskakuje mnie swoją wiedzą. Pamięć ma znakomitą. Jej niektóre uwagi na temat przeszłości wprawiają mnie w zdumienie. Oczywiście wiele przeszła, podobnie jak my wszyscy, i to pozostawiło ślad na jej psychice.

- Ale z tobą jest bardzo szczęśliwa.

- O tak, bez wątpienia. Gdy tu przyjechała, była naprawdę w ciężkim stanie. Ona bardzo potrzebuje ciepła i zrozumienia.

Wróciliśmy do nurtującego nas tematu, a ja nie mogłam się już doczekać, kiedy Lucian dołączy do naszego grona.

* * *

Lucian przyjechał następnego dnia wczesnym popołudniem. Kitty i Jefferson przywitali go serdecznie, wyrażając wielką radość z jego przyjazdu. Jefferson, nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy. Powiedział, że zapoznał się już z całą historią, którą teraz trzeba będzie dokładnie przedyskutować.

Na widok Luciana Adelina zaczęła wołać:

- To Lucian! Patrz, Lucian, to ja, Adelina. Pamiętasz mnie jeszcze?

Lucian odparł, że oczywiście. Wyraźnie sprawiło mu przyjemność, że go nie zapomniła.

- Jesteś teraz większy - powiedziała - dużo większy.

- Za to ty nie zmieniłaś się prawie wcale.

Adelina uśmiechnęła się do siebie.

Dzięki Kitty wkrótce znaleźliśmy się sami. Usiedliśmy we czwórkę w tym samym miejscu co wczoraj i zaczęliśmy omawiać nurtujący nas temat.

Jefferson z uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu Luciana, który na zakończenie powiedział, że zdecydował się ujawnić publicznie wszystkie fakty i teraz prosi o radę, w jaki sposób ma to uczynić. Jefferson zrobił przeczący gest ręką, mówiąc, że nie jest wcale pewien słuszności tej decyzji. Zaczął rozwijać swoje argumenty, te same, które przedstawił nam wczoraj. Nie wystarczy ogłosić, że Grace Marline zmarła w wyniku przemieszania tabletek. Jest to tylko hipoteza, nie poparta żadnymi dowodami, a jej ujawnienie sprawi, że cała historia znów będzie roztrząsana publicznie.

Lucian przysłuchiwał się z uwagą jego wywodom. Tak, tabletki mogły się różnić wyglądem. Wówczas nie zwrócił na to uwagi. Jedyłą jego myślą było włożyć je z powrotem do fiolek.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej podoba mi się pomysł podawania tego wszystkiego do publicznej wiadomości - zakończył Jefferson.

- Tak więc nadal będę siedł przez życie dręczony wątpliwościami, że być może spowodowałem śmierć tej kobiety i że to ja jestem winien zbrodni, która jej męża zaprowadziła na szubienicę - powiedział Lucian.

- Tak stałoby się w każdym przypadku - zauważył Jefferson. - W jaki sposób pańskie wyznanie może zmienić fakty? To zaledwie jedna z możliwości i w gruncie rzeczy mało prawdopodobna. Ale nie powinien pan obwiniać się o to, co się stało. Przecież nie miał pan zamiaru nikogo skrzywdzić.

Baczenie obserwowałam Luciana. Będę musiała coś zrobić, by przestał się zadrećcać wyrzutami sumienia. Czułam jednak, że ta sprawa nie da nam spokoju, że będzie nas prześladowała po kres naszych dni.

Lucian podziękował Kitty i Jeffersonowi za to, że tyle czasu poświęcili jego - jak to określił Jefferson - dylematowi.

- To przecież także nasz dylemat - powiedziała Kitty.

Miała rację. Wszyscy byliśmy uczestnikami tej tragedii, miała ona wpływ na nasze życie i wydawało się, że tego nic już nie zmieni. Nigdy nie uda nam się uciec od następstw tamtych tragicznych wydarzeń.

Kitty zaproponowała Lucianowi, żeby został na noc. Połączenie kolejowe nie jest najlepsze, a przecież w domu jest dodatkowy pokój gościnny, który Annie z łatwością może przygotować. Naprawdę nie będzie żadnego kłopotu. Towarzystwo Luciana sprawiło jej i Jeffersonowi prawdziwą przyjemność. Tyle spraw musieliśmy jeszcze wspólnie omówić. Dyskusja mogła tylko pomóc, rodzą się wtedy nowe pomysły, które w rozmowie można rozpatrzyć ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Jak zauważył Jefferson, jest to najlepsza droga do znalezienia optymalnego rozwiązania.

Tak więc Lucian został.

Wieczorem Kitty zaproponowała, abyśmy poszli na spacer. Zdawała sobie sprawę z łączących nas uczuć i pewnie przypuszczała, że chcielibyśmy być przez chwilę sami.

Poszliśmy więc do wioski, a potem jeszcze kawałek dalej. Ujęłam Luciana pod ramię, a on mocno przycisnął moją rękę.

- Jak dobrze jest mi z tobą - powiedział. - Nie mogłem się już doczekać, kiedy tu przyjadę. Co za interesująca para.

- Wyglądasz teraz o wiele lepiej - zauważyłam.

- Powinienem być wyznać ci wszystko wcześniej.

- To rozmowa z Craigami podniosła cię na duchu. Uświadomiłeś sobie, że Jefferson ma rację. Była to zaledwie odległa możliwość, nic ponadto. Nic nie mogłeś zrobić.

- Nie jestem pewien.

- Ale chyba zdajesz sobie sprawę, jakie byłyby następstwa, gdyby ta sprawa ponownie nabrała rozgłosu.

- Imię doktora zostałyby oczyszczone.

- Tylko w wypadku, gdyby można było udowodnić, że to zamiana tabletek była przyczyną śmierci pani Marline. Ale tego nie dowiedziemy. Jefferson ma rację. Twoje wyznanie

spowodowałyby jedynie, że ta historia znowu znalazłaby się na ustach wszystkich. Większość ludzi zapomniała już o sprawie Marline'ów. Chyba sam widzisz, że teraz nic już nie możemy zrobić. Możemy tylko starać się wymazać przeszłość z pamięci. Zresztą to przecież był wypadek. Co innego, gdybyś wyznał wszystko przed skazaniem doktora. Nie możesz cofnąć przeszłości. Musimy zapomnieć.

- Nie sędzę, abym potrafił zapomnieć, że być może spowodowałem śmierć dwojga ludzi, bo to przecież przeze mnie doktor został powieszony za zbrodnię, której nie popełnił.

- Zapomnisz, ponieważ ja ci w tym pomogę.

- A więc wyjdiesz za mnie?

- Z największą radością.

- A jeszcze do niedawna się wahałaś.

- Teraz jestem pewna.

- Co się stało, że tak nagle zmieniłaś decyzję?

- Czasami sama siebie nie rozumiem. Kochałam cię od chwili, kiedy znalazłeś mój naszyjnik, zaprosiłeś mnie na podwieczorek i kazałeś zreperować ogniwo w łańcuszku. Pamiętam tamten dzień, każdą jego minutę.

- W porównaniu z czynem Lawrence'a Emmersona, który pośpieszył ci na ratunek w Suezie, to była drobnostka.

- Przecież nie chodzi mi tylko o zgubiony naszyjnik, ale o coś więcej. Twoja obecność zmieniła wszystko w moim życiu. Kiedy umarł mój ojciec, wydawało mi się, że już nigdy nie będę naprawdę szczęśliwa. Ty pokazałeś mi, że to jest możliwe. Pytałeś, dlaczego zmieniłam tak nagle decyzję. Myślę, że stało się to w momencie, gdy zobaczyłam, że jesteś nieszczęśliwy, że coś cię trapi. Wydawałeś mi się wówczas taki młody, choć nie byłeś już tym bohaterem z moich dzieciennych marzeń. Potrzebowałeś pomocy. Och, myślę, że są tysiące powodów, dla których człowiek uświadamia sobie nagle, że kogoś kocha.

- Carmel, wiem, że ja także potrafię jeszcze być szczęśliwy. Zapomnę o przeszłości albo przynajmniej przekonam samego siebie, że to był wypadek i że nic już nie można zrobić. Twoje postanowienie, żeby odszukać Kitty,

było najlepszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać. Wiem, że czasami będą mnie dręczyły wyrzuty sumienia, ale ty będziesz wówczas przy mnie. Muszę to sobie bez przerwy powtarzać. Ty będziesz przy mnie.

- Ja będę przy tobie - powiedziałam. - Będziemy we dwoje.

- Tak więc musimy się pobrać, i to jak najprędzej.

- A co powie na to twoja matka?

- Powie: „Dzięki Bogu”. Już od dawna chciała, abym się ożenił. Należy do tego typu kobiet, które lubią mieć coś do powiedzenia w sprawie wyboru narzeczonej dla syna, i niejedną raz dała mi do zrozumienia, że jej wybór padł na ciebie. To ty teraz doświadczysz tego wątpliwego honoru.

- Nie śmieję się. Dla mnie to prawdziwy honor i pragnę tego bardziej niż jakiegokolwiek innej rzeczy na świecie.

- A więc kiedy?

- Myślę, że termin powinniśmy ustalić wspólnie z twoją matką.

- Porozmawiam z nią zaraz po powrocie do domu, a ty musisz przyjechać do nas na przyszły weekend i wtedy wszystko uzgodnimy.

Byłam szczęśliwa. Byłam szczęśliwa, choć po śmierci Toby'ego wydawało mi się niemożliwe, bym jeszcze kiedykolwiek mogła zaznać tego uczucia. Wiedziałam, że nigdy nie przestanę oplakiwać Toby'ego, podobnie jak Lucian nigdy nie zapomni tego wypadku, w wyniku którego być może stał się mimowolnym sprawcą śmierci dwojga ludzi. Tego nie da się zmienić, ale będziemy mieli siebie nawzajem. On będzie mnie pocieszał, gdy ból po stracie ojca będzie zbyt dotkliwy, a ja będę przy nim, gdy ogarną go chwile wątplenia.

Będziemy szczęśliwi. Razem zbudujemy nasze życie. Oboje wiemy, co pragniemy osiągnąć, i dołożymy wszelkich starań, by to urzeczywistnić.

* * *

Kiedy wróciliśmy, w domu panowało lekkie zamieszanie. Adelina była bardzo przejęta.

- To przecież niebezpieczne - powtarzała. - Ktoś może

zlecić, tak jak to się przydarzyło tamtej pani w Garston Towers.

- To było zupełnie coś innego - uspokajała ją Kitty. - Tamta pani spadła z murów zamkowych. - Odwróciła się ku mnie. - Nic takiego się nie stało. Adelina zauważyła, że obluźował się jeden z prętów w balustradzie balkonu. - Uśmiechnęła się, lekko podnosząc w górę brwi, jakby dając do zrozumienia, że Adelina niepotrzebnie robi zamieszanie z powodu drobiazgu. - Zaraz przyjdzie Tom ze stajni i to naprawi.

- Może ja to obejrzę? - zaferował się Lucian.

- Och, nie ma potrzeby - odparła Kitty.

- Na wszelki wypadek popatrzę.

Poszliśmy do mojego pokoju. Obluzowany pręt znajdował się na balkonie łączącym pokoje mój i Adeliny.

- Gdzie to jest? - zapytał Lucian. - Aha, już widzę. - Przyklęknął i obmacał uszkodzony fragment balustrady.

- Zwykle Tom reperuje podobne rzeczy - powiedziała Kitty.

- To niebezpieczne! - zawołała Adelina. - Ludzie mogą spaść tak jak tamta pani w Garston Towers.

W tym momencie usłyszeliśmy wołanie Edwiny i Adelina natychmiast pobiegła do niej, zdając się już nie pamiętać o oblużowanym pręcie.

- Adelina bardzo bierze sobie do serca różne historie - powiedziała Kitty. - Wypadek w Garston Towers szczególnie nie podzielał na jej wyobraźnię. Często o nim wspomina. Dopóki Tom nie doprowadzi balustrady do porządku, najlepiej będzie się do niej nie zbliżać.

Wreszcie przyszedł Tom. Obejrzał balustradę i podobnie jak Lucian stwierdził, że najlepiej byłoby zamocować nowy pręt. Zamówi go u kowala Healy'ego i za kilka dni balustrada będzie jak nowa. Chwilowo jakoś podeprze się ten stary.

Gdy przebierałam się do obiadu, znowu poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Nie zdziwiłam się wcale, widząc Adelinę stojącą w drzwiach balkonowych.

- Halo - powiedziała. - Czy dobrze się bawisz?

- O tak, dziękuję.

- Długo cię nie było.

- Owszem.
- To dlaczego teraz przyjechałaś? Żeby coś powiedzieć Kitty?
- Po prostu, żeby z nią trochę pobyc. Dawniej byliśmy w wielkiej przyjaźni, pamiętasz?
- Tak, pamiętam wszystko. Czy wiesz, co stało się z lady Garston?
- Nie. Wiem tylko to, co mi powiedziałaś.
- To zdarzyło się w Garston. Garston to taki zamek... bardzo duży. Lady Garston spacerowała po blankach. Czy wiesz, co to są blanki?
- Tak.
- Było tam niebezpiecznie i założyli żelazną barierkę. Ludzie stali na blankach i wylewali wrzący olej na wrogów.
- Mój Boże, to było przecież całe wieki temu.
- No i pewnego dnia lady Garston tam poszła. Przechyliła się przez barierkę i poręcz się złamała. Lady Garston spadła w dół... z bardzo wysoka. Zabiła się.
- Biedna lady Garston.
- Nie wiedziała, że poręcz jest obluzowana.
- Ale my już wiemy, że nasza balustrada jest obluzowana, więc będziemy bardzo ostrożni, dopóki się jej nie naprawi.
- Bo inaczej moglibyśmy się zabić.
- Och, pomówmy o czymś weselszym. Masz bardzo ładną sukienkę.
- Twarz Adeliny rozjaśniła się.
- To Kitty ją wybrała.
- Do twarzy ci w niej.
- Kitty zawsze mówi, że powinnam nosić ładne sukienki. Popatrzyłam na Adelinę z uśmiechem.
- Kochasz Kitty, prawda?
- Kocham Kitty najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Tak jak ja, nikt jeszcze nigdy nikogo nie kochał. - Popatrzyła na mnie chmurnie. - Nikt nie może odebrać mi Kitty.
- Jestem pewna, że nikt nie chciałby tego zrobić. Popatrz, już pora zejść na obiad.

Po obiedzie, gdy Lucian i ja zostaliśmy z Kitty i Jeffersonem, powróciliśmy do tematu, który tak bardzo zaprzątał nasze umysły. Jefferson nie zmienił stanowiska. Nadal uważał, że nie powinno się rozgłaszać faktu, że tabletki zostały przemieszane.

- Chętnie bym to jeszcze przemyślał - powiedział. - Pan chyba nie musi wyjeżdżać już jutro? - zwrócił się do Luciana. - Może zostałby pan jeszcze jeden dzień? W takiej sprawie najlepiej jest wszystko dokładnie przedyskutować, nawet jeśli kilka razy wraca się do tego samego. W ten sposób najłatwiej jest dojść do jakichś rezultatów.

- To bardzo kusząca propozycja - powiedział Lucian.

- Czasami dobrze jest ulec pokusie - dodała Kitty.

- W takim razie bardzo dziękuję za gościnę i za zainteresowanie moim problemem.

- To także nasz problem - powiedziała Kitty.

* * *

Leżałam w łóżku, ale sen nie nadchodził. Nie było w tym nic dziwnego. Myślałam o Lucianie i o tym, jak bardzo go kocham. Myślałam też, jak znakomitym pomysłem okazało się spotkanie z Jeffersonem, który tak przekonująco potrafił argumentować. Dzięki niemu Lucian poczuł się spokojniejszy.

Nagle do moich uszu dotarł jakiś dźwięk. Otworzyłam oczy. W otwartych drzwiach balkonowych stała Adelina.

- Carmel! - wołała z drzeniem w głosie - chodź szybko. Proszę, pospiesz się.

Wyskoczyłam z łóżka.

- Co się stało?

- Chodź, proszę.

Wyszłam za nią na balkon. Adelina zatrzymała się raptownie.

- To tutaj - powiedziała.

Z całych sił złapała mnie za ramię i zaczęła ciągnąć w stronę balustrady. W jej oczach czaiło się szaleństwo.

- Adelino, uważaj, wiesz przecież...

Adelina nie rozluźniała uścisku. Twarz miała wykrzywioną. W niczym nie przypominała dawnej, dobrze znanej

Adeliny. Mocno przypierała mnie do balustrady. Wiedziałam, co zamierza. Przecież balustrada była uszkodzona. Adelina usiłowała mnie wypchnąć. Poczulałam, że balustrada zaczyna się chwiać. Po chwili spadła; brzęk metalu odbił się echem po kamiennym tarasie.

Teraz, pomyślałam, teraz. Szarpnęłam się z całej siły, usiłując się wyswobodzić. Ale Adelina nie ustępowała, a jej chwyt był jak z żelaza. Na jej twarzy malowało się szaleństwo.

- Dlaczego? - powtarzałam. - Co się stało?

Adelina nie wypuszczała mnie z uścisku. Teraz zaczęła rozpaczliwie szlochać. Chwiałyśmy się na krawędzi balkonu, podczas gdy ja bezskutecznie usiłowałam się uwolnić. Nagle Adelina zaczęła odciągać mnie od balustrady. Jej uścisk nie zelżał ani na moment. Płakała rozpaczliwie.

- Nie potrafię tego zrobić - powtarzała przez łzy. - Nie potrafię zabić Carmel. Nie Carmel.

Czułam się jak w koszmarnym śnie. Przecież to nie mogła być prawda. A jednak Adelina próbowała mnie zabić. Dlaczego? To był pewnie jeden z powodów, dla których tak ją opanowała myśl o uszkodzonej balustradzie. Usiłowała wypchnąć mnie z balkonu. Gdyby próba się powiodła, byłoby już po mnie. Co dręczyło jej biedny, chory umysł? Dlaczego zaatakowała akurat mnie?

Adelina szlochała nieprzerwanie.

- Adelino - powiedziałam - co to ma znaczyć? Co ty chciałaś zrobić?

- Nie mogłam, nie potrafiłam tego zrobić - odparła. - Nie potrafiłam cię zabić. Ale nie pozwolę, by ktoś zabrał mnie od Kitty.

Udało mi się zaprowadzić ją do mojej sypialni. Usiadłyśmy na łóżku. Objęłam ją ramieniem.

- Adelino - powiedziałam - wyznaj mi, co cię dręczy. Na pewno potrafisz mi wytłumaczyć.

- Ty mnie teraz nienawidzisz. Wiesz wszystko, prawda?

- Nie mogłabym cię nienawidzić. Bardzo cię lubię. Dawniej byliśmy przecież przyjaciółkami, pamiętasz?

Skinęła głową.

- Przyjechałaś, żeby jej powiedzieć. Ty wiesz. Słyszałam, jak rozmawialiście. Wiesz wszystko. To o nią chodzi...

o moją matkę... o tę moją okropną matkę. Chciała odesłać Kitty. Chciała, abym jej już więcej nie zobaczyła.

- Adelino - nalegałam - opowiedz mi wszystko.

- Oni zabiorą mnie od Kitty.

- Na pewno nikt tego nie zrobi. Kitty cię kocha, zostaniesz z nią na zawsze.

- Nie pozwolę, aby mnie od niej zabrali. Nie dam się.

- Oczywiście, że nie. Ale dlaczego usiłowałaś mnie skrzywdzić?

- Bo ty chciałaś im wszystko powiedzieć. Przywiozłaś tu Luciana. Słyszałam, jak rozmawialiście. Chciałaś powiedzieć Kitty. Chciałaś powiedzieć wszystkim... policjantom... dziennikarzom... wszystkim.

- Ale co powiedzieć?

- Że to ja ją zabiłam. Przyjechałaś, żeby to rozgłosić.

- Ty zabiłaś swoją matkę?

- Bo ona chciała odesłać Kitty. Była okrutna. Nikt jej nie kochał. Bez niej było dużo lepiej. Bałam się jej. Przyłapała mnie w swoim pokoju. Chciałam tylko pokazać Lucianowi pierścionek z opalem i wtedy wszystko się wysypało... i Kitty przyszła po mnie, a matka była zła i powiedziała, że Kitty musi odejść. Poszłam do niej do pokoju. Matka leżała w łóżku, jęcząc i łapiąc powietrze. „Moje tabletki... moje tabletki” - powtarzała. Wzięłam ich dużo, rozpuściłam w wodzie i podałam jej szklankę. Wypiła wszystko... i potem umarła. Ale zabrali nas do ciotki Florence. Nie chciałam tam zostać i po pewnym czasie odesłali mnie do Kitty. A teraz ty przyjechałaś, żeby to wszystko zepsuć.

- Och Adelino, moja biedna Adelino.

Adelina szlochala, oparta o moje ramię.

- Przyjechałam do Kitty - powiedziała. - Tu jest tak pięknie. To jest najpiękniejsze miejsce na świecie. Ja nie chcę odejść od Kitty. A teraz ty przyjechałaś. Słyszałam, a wy mówiliście tylko o jednym... że ty wiesz i że powiesz wszystkim. Gdyby się dowiedzieli, zabraliby mnie od Kitty, a ja nie chcę stąd odejść. Tu jest bezpiecznie, tu jest mój dom. Nie chciałam cię skrzywdzić... ale musiałam... ale potem nie potrafiłam tego zrobić, bo cię kocham.

- Adelino, nie miałam najmniejszego pojęcia o tym wszystkim, co mi teraz wyznałaś. Żle mnie zrozumiałaś.

Przyjechałam z wizytą do Kitty i po prostu rozmawialiśmy o tamtej sprawie. Proszę, przestań płakać. Zawołam Kitty. Ona będzie wiedziała, co zrobić. Zaraz wracam. Adelina uspokoiła się momentalnie.

- Kitty - powiedziała - ona będzie wiedziała. Ale teraz, gdy wszystko powiedziałam... o tak, Kitty będzie wiedziała, co zrobić.

Zostawiłam ją i pobiegłam do pokoju Kitty. Spała już, ale obudziłam ją, mówiąc, że musi zaraz przyjść, gdyż Adelina urządziła scenę.

Kitty momentalnie zerwała się z łóżka.

- Co się stało? - dopytywała.

- Rozmawialiśmy o przeszłości. Proszę, chodź szybko. Boję się o Adelinę.

Pobiegłyśmy do mojego pokoju, ale Adeliny tam nie było. Nie było jej także u siebie, a drzwi balkonowe były szeroko otwarte.

Wyszłam na balkon i podeszłam do samej krawędzi, tam gdzie była uszkodzona balustrada.

Wychyliłam się. Adelina leżała na tarasie.

* * *

Zabrano ją do szpitala. Kitty nie opuszczała jej ani na chwilę i Adelina była spokojna i szczęśliwa. Nie odczuwała wcale bólu, jak nas uspokoił doktor, ale miała nieodwracalnie uszkodzony rdzeń kręgowy. Przez większą część dnia była przytomna i mówiła o przeszłości.

Wracała do tego tematu nawet w obecności lekarzy i pielęgniarek, opowiadając po kilka razy, jak podała matce tabletki, które ją zabiły, i dlaczego uważała, że musi to zrobić. Wiedziała o działaniu tabletek, ponieważ słyszała, jak pielęgniarka okręgowa opowiada o nich niani Gilroy i pani Barton. Adelina wiedziała sporo rzeczy. Ludzie często w jej obecności rozmawiali w sposób zupełnie nieskrępowany, ponieważ przypuszczali, że i tak niczego nie zrozumie.

Wiedziała, że matka ma zamiar odesłać Kitty, i dlatego ją zabiła. A potem posłano ją do ciotki Florence, gdzie specjalnie robiła takie awantury, że ciotka nie mogła z nią wytrzymać i ubłagała Kitty, by ją zabrała. I tak wszystko ułożyło się szczęśliwie. Teraz jednak, gdy wszyscy wiedzą,

że zabiła matkę, zabiorą ją od Kitty. Wie, że jej nie powieszają, ponieważ uważają, że jest głupia, ale wołałaby już taki wyrok, niż życie z dala od Kitty. Samobójstwo uznała za najlepsze rozwiązanie, ponieważ w ten sposób Kitty będzie przy niej aż do śmierci, a ona - Adelina - wie, że umrze już niebawem.

Usiłowała mnie zabić, ponieważ sądziła, że wiem, kto zabił jej matkę, jednak nie potrafiła tego zrobić, bo byłam jej przyjaciółką, więc w końcu postanowiła zabić się sama. Lady Garston spadła z zamkowych murów, a ona rzuciła się z balkonu.

Żyła jeszcze przez dwa dni. Ponieważ swoje przedśmiertne wyznanie złożyła w obecności wielu świadków, dręczący nas wszystkich koszmar rozwiął się niczym poranna mgła.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami Jeffersona sprawa Marline'ów ponownie znalazła się w centrum uwagi. Wyznanie Adeliny i fakt, że niewinny człowiek został skazany za zbrodnię, której nie popełnił, wzbudziły powszechne zainteresowanie i przez dłuższy czas były komentowane przez prasę. Kitty, Jefferson i Edwina wyjechali na kilka miesięcy za granicę, by uniknąć rozgłosu. Sprawa Marline'ów została definitywnie zamknięta i wyjaśniona w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. Stało się tak dzięki ostatniemu, dramatycznemu postępkowi Adeliny.

Było mi smutno, gdy myślałam o biednej Adelinie i jej życiu. Potem jednak przypominałam sobie, jaką radość czerpała z przebywania z Kitty. Z pewnością była wtedy szczęśliwa. Nie odczuwała wyrzutów sumienia. W jej odczuciu matka była zła i okrutna i przyniosła nieszczęście wielu ludziom. Zasłużyła na śmierć. A ojciec? Czy kiedykolwiek o nim myślała? Nie znała go dobrze, ale przecież zawsze był wobec niej bardzo serdeczny. Pewnie wymazała go z pamięci.

Lucian i ja pobraliśmy się w trzy miesiące później. Lady Crompton nalegała, by wesele odbyło się z wielką pompą. Wprawdzie ani Lucian, ani ja wcale nie pragnęliśmy takiej wystawności, ale w gruncie rzeczy było to bez znaczenia. Byliśmy zbyt szczęśliwi, by zważać na takie drobiazgi.

Po latach

Od śmierci Adeliny upłynęło już pięć lat. Były to szczęśliwe lata.

Rozpoczął się nowy wiek, a wraz z nim początek nowej ery. Myślę, że cała Anglia jest tego świadoma. W pewien posępny zimowy dzień zmarła królowa i dwór pogrążył się w żałobie. Pochowano ją w „drogim mauzoleum” w Windsorze, u boku uwielbianego małżonka.

Stojąc przy oknie, spoglądam na trawnik, gdzie dawno temu piłam herbatę z Camillą, Lucianem, Estellą, Henrym i Adelina i myślę: To jest mój dom, Lucian jest moim mężem i wszystko, co wydarzyło się w przeszłości, doprowadziło do mojego obecnego szczęścia.

Lady Crompton jest już zupełną inwalidką, ale jej życie jest obecnie o wiele pogodniejsze. Mam syna Jonathana, który skończył właśnie cztery lata, i dwuletnią córeczkę Catherine. Babcia uwielbia ich oboje. Mamy też Bridget, a Jemina Cray opuściła Grange na zawsze. Odczułam wielką ulgę, gdy się jej wreszcie pozbyliśmy. Starannie przygotowałam się do tego starcia. Zaoferowałam jej roczne wynagrodzenie, pod warunkiem że odejdzie natychmiast i zaprzestanie fabrykowania swoich żalosnych oskarżeń. Nadmieniałam przy tym, że jest to zwykłe zniesławienie, więc żeby miała się na baczości. Odetchnęłam z ulgą, gdy

zgodziła się opuścić Grange bez wysuwania dalszych roszczeń.

Moja matka i Harriman są częstymi gośćmi w Grange, a dzieci uwielbiają odwiedzać Castle Folly. Gertie jest szczęśliwą mężatką, a pokój dziecięcy, przygotowany z taką nadzieją przez ciotkę Beatrice, zamieszkuje dwójka Raglaniątek.

Dwie nowiny z Australii wprawiły mnie w doskonały nastrój. Obie dotyczyły Jamesa Formana.

Elsie napisała w liście:

Myślę, że miał trochę zwarzony humor, gdy usłyszał o Twoim małżeństwie, ale James nigdy nie uzewnętrzniał swoich uczuć. Ostatnio dowiedziałam się od pani Forman, że zainteresował się bardzo miłą dziewczyną i że chyba coś z tego będzie. Znalazł kilka opali, nie jakichś nadzwyczajnych, ale ładnych. Biedny James, uparty jak zawsze.

Mam jeszcze jedną wspaniałą nowinę. Wiadomo już, kto zabił tego starego sundownera. Zabójcą okazał się jeden z poszukiwaczy. Tak przypuszczaliśmy. Na biednym Jamesie przez długi czas ciążyły podejrzenia, a teraz ta sprawa szczęśliwie się wyjaśniła.

Pomyślałam o ciężkiej próbie, przez którą musiał przejść Lucian, i ucieszyłam się ze szczęścia Jamesa.

W kilka miesięcy po ślubie ku swemu miłemu zaskoczeniu dostałam od niego list. Do listu dołączony był prezent. Gdy otworzyłam niewielkie pudełeczko, ze zdumieniem zobaczyłam leżący w środku czarny opal. James pisał:

Moja kochana Carmel,

Przesyłam Ci spóźniony prezent ślubny, abys pamiętała o dniach spędzonych tutaj. Ja nadal haruję w pocie czoła i od czasu do czasu mój trud zostaje wynagrodzony jakimś znaleździem. Nie zamieniłbym tej pracy na żadną inną. Z listów Gertie dowiedziałem się nowin o Tobie. Życzę Ci wszystkiego najlepszego, co życie ma do zaoferowania. Pomyślałem, że taki prezent będzie dla Ciebie najodpowiedniejszy. Ostatnio czytałem książkę historyczną o starożytnym Rzy-

mie. Autor miał wiele dobrego do powiedzenia o opalach. Okazuje się, że w starożytności słowo opal oznaczało „Magiczne oko” albo „Prorok szczęścia”, gdyż wierzono, że kamień ten przynosi jego posiadaczowi dar jasnowidzenia. Opale nazywano klejnotami szczęścia, więc pomyślałem sobie, że koniecznie powinnaś posiadać taki kamień.

Wyjęłam opal z pudelka i przyjrzałam mu się uważnie, rozmyślając o tym, jak wielką rolę odegrały te kamienie w naszym życiu. Gdyby Adelina tamtego fatalnego dnia nie usiłowała znaleźć pierścionka matki, nie uczyniłaby później tego, co uczyniła, doktor Marline i Kitty Carson nie zostaliby oskarżeni o morderstwo, a Lucianowi oszczędzone by zostało wiele cierpień.

Wprawiłam opal w pierścionek, z którym się nie rozstaję.

Kitty także mieszka tutaj. Muszę przyznać, że gdy usłyszałam po raz pierwszy, co zamierza, byłam bardzo zdumiona, ale teraz, gdy jej plany zostały urzeczywistnione, rozumiem, co nią kierowało.

Jefferson zmarł trzy lata temu, zostawiając Kitty i Edwinie sporą fortunę. Gazety rozpisywały się o jego życiu i pracy; zwracano uwagę, że poślubił Kitty Carson, przy czym oczywiście po raz kolejny wracano do sprawy Marline'ów.

Po jego śmierci Kitty i Edwina często przyjeżdżały do Grange. Podczas tych wizyt Kitty nabrała zwyczaju chodzenia do Commonwood House. Pewnego dnia zaproponowała mi wspólny spacer i gdy stanęłyśmy wśród ruin, powiedziała nagle:

- Carmel, wracam tutaj.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co ma na myśli. Kitty mówiła dalej:

- Dawno, dawno temu marzyłam, że tu zamieszkać. Kochałam ten dom. Wyobrażałam sobie, jak mogłoby ułożyć się w nim moje życie. Chciałabym zamieszkać w twoim sąsiedztwie. Kocham cię i Edwina także cię kocha. Myślę, że tutaj jest szczęśliwsza niż gdziekolwiek indziej. Z dnia na dzień coraz bardziej upodabnia się do Edwarda. Chcę mieszkać tutaj. Mam zamiar kupić tę po-

siadłość. Wiesz, że Jefferson zostawił mi sporo pieniędzy, więc z łatwością mogę to uczynić. Tę ruinę się rozbierze, a na jej miejscu powstanie nowy dom... nowy Commonwealth House.

Początkowo nie mogłam uwierzyć, że mówi poważnie, ale ku mojemu zdumieniu przekonałam się, że naprawdę ma taki zamiar.

Tak też uczyniła. Wprowadziła się do nowego domu w pierwszym tygodniu nowego wieku, a ja, gdy po raz pierwszy przekroczyłam jego próg, wiedziałam już, że jej decyzja była słuszna. Mieszka tutaj wraz z Edwiną i wspomnieniami o Edwardzie, którego imię wreszcie zostało oczyszczone z zarzutów.

Wyglądając oknem, widzę, że zaczyna padać śnieg. Dzieci biegają przez trawnik. Jonathan wyciąga rączki, usiłując złapać wirujące płatki. Śmieje się radośnie. Uwielbia bawić się śniegiem.

Teraz idzie Lucian. Catherine podbiega ku niemu, a on podnosi ją do góry i razem kierują się w stronę domu.

Spoglądam na mój czarny opał i myślę o jego obietnicach. Przypadł mi w udziale naprawdę szczęśliwy los.